

NA  
OSTRVA  
NOZA

TOM II

MIROSLAV  
ZAMBOCH



**Zamboch Miroslaw**

**Na ostrzu noża**

Z języka czeskiego przełożyła Anna Jakubowska

# ТОМ II

# Rozdział 1

## Niemilosierny

Przed świtem wszyscy troje, Umwald, Rezka i ja, wyruszyliśmy do Fenidong. Księżyc już zachodził, jechaliśmy tak szybko, jak to było możliwe w półmroku. Zimne powietrze prędko wypędziło z nas resztki senności. Drogę do miasta i z powrotem znałem jak własną kieszeń. Przemierzałem ją w siodle, na koźle powozu, a nawet i na własnych nogach.

Mój plan był prosty. Może cesarz opłacił w Fenidong całą armię chłopców na posyłki, ale mózgow zdolnych do zorganizowania ścigania karawany wśród nich z pewnością nie było wiele. I założyłbym się o każdego złocisza, jakiego zarobiłem w ciągu ostatnich lat, że ludzie, których Keleman zaprosił tego wieczoru, kiedy Rezka podsłuchiwała jego rozmowę z Dunem, należeli do elity rezydentów cesarza. Zatem plan opierał się na prostych założeniach: gdzie nie ma mózgu, tam nawet najsilniejsze ramiona są do niczego.

Do murów obronnych dotarliśmy około pół godziny przed otwarciem bramy. Konie były zgrzane, prowadzaliśmy je tam i nazad, żeby się nie wyziębiły.

- Czego pan ode mnie właściwie oczekuje? - zapytała Rezka.

Dziewczyna przypominała mi jedną dzikuskę, którą spotkałem w lasach tropikalnych na granicy Imperium Crambijnego. Też miała głębokie, przenikliwe spojrzenie, a z każdego jej ruchu biła wrodzona energia.

- Kowalski mówił, że czasem pracowała pani dla Kelemana - wymigałem się od odpowiedzi na jej pytanie.

Przyglądała mi się i czekała, co będzie dalej.

- Podobno pracowała pani dla niego jako gospodyni i pani domu.

Nie zdołała ukryć rozbawionego uśmiechu. Umwald patrzył w bok i ostentacyjnie dawał do zrozumienia, że nas nie słucha. Wydawało mi się, że potrafi nadstawiać uszu jak pies.

- Coś w tym stylu - przytaknęła.

Dolny brzeg tarczy słonecznej odlepił się od horyzontu, z domku strażników chwiejnie wyczłapał zaspany żołnierz. Schował się w bramę za potrzebą. Zauważył nas, kiedy był w trakcie. Drgnął przestraszony i obficie poplamił sobie spodnie. Klnąc, dokończył, odwrócił się i skierował z powrotem do domku.

- Chciałbym, żeby zorganizowała pani kolejny taki wieczorek. I żeby wszystko było dokładnie tak jak wcześniej.

- Tylko z taką różnicą, że nie będzie tam Kelemana - uzupełniła.

- Dokładnie tak. Gwoździem programu będę ja.

- Kim będą goście?

- Ci sami co ostatnio.

- Dlaczego pan to robi?

- Chcę ich przekonać, żeby zapomnieli o karawanie.

Spojrzała na mnie pytająco.

- To pan powiedział Ledowi? Pokręciłem głową.

- Nie. Nie pozwoliłby pani iść. Powiedziałem mu, że potrzebuję pani z powodu informacji, jakie pani posiada. Da pani radę?

- Tak. Przy tego typu wieczorkach zajmowałam się wszystkim. Wynajmowałam służbę, zamawiałam jedzenie, załatwiałam nawet późniejsze sprzątanie. Keleman ma, to znaczy miał tylko jednego stałego starego sługę, trzy razy w tygodniu przychodziła mu sprzątać praczka z sąsiedniej ulicy. Oboje są przyzwyczajeni, że czasem przez dłuższy czas się nie pokazuje, a mnie znają.

Rezka mówiła rzeczowo i bez długiego namysłu. Była o wiele mądrzejsza i sprytniejsza, niż się wydawało na pierwszy rzut oka.

- Świetnie. Jesteśmy umówieni. Pójdę do banku i dam pani pieniądze na przygotowanie przyjęcia. Niech pani o to zadba. Musi wyglądać tak samo jak zawsze.

Wszyscy strażnicy byli już na zewnątrz. Przez chwilę ciekawie na nas zerkali, potem, po niezbyt grzecznej zachęce swojego dowódcy, zabrali się do pracy: zaczęli oliwić i sprawdzać koła zębate systemu podnoszącego kratę bramy.

- Ryzykuję przy tym głową. Co z tego będę miała? - zapytała Rezka.

- Większe prawdopodobieństwo, że gdy Kowalski wydobrzeje, dojdziemy tam, dokąd wszyscy zmierzamy.

Na wypadek gdyby odmówiła, miałem przygotowane jeszcze jedno rozwiązanie. Nocne polowania na jednego mężczyznę po drugim. Wymagałoby to więcej pracy, byłoby wolniejsze i bardziej ryzykowne, ale miałem chęć spróbować.

- Najniebezpieczniejszymi ludźmi nie są ci, którzy potrafią machać mieczem, lecz ci, którzy myślą. Pan wie, że dużo ryzykuję, prawda? - powiedziała, a w oczach jej gniewnie błysnęło.

Nie odpowiedziałem.

- Zgadza się. Pomogę wam w tym. Nam - poprawiła się w końcu.

Strażnicy podnieśli wreszcie bramę. W mig wskoczyłem na siodło, Rezka i Umwald z powodu niskiego wzrostu raczej się wdrapali. Przejechaliśmy bez problemów. Z banku pobrałem sto złotych i od razu skierowaliśmy się do najbliższej stołówki na śniadanie. Był to prosty, ale dobry lokal, korzystali z niego głównie drobni urzędnicy, którzy w pracy musieli być o wiele wcześniej niż ich szefowie.

- A co będę robił ja? - zapytał Umwald, kiedy pożarł swoją porcję owsianki.

- Pójdiesz do armatora Hatovu i przekażesz mu, że od dziś za cztery wieczory będziemy ładować zboże. Niech jego łodzie będą przygotowane. Po południu spotkamy się u Masnera. Ja coś kupię na targu, a potem - odwróciłem się do Rezki - zatrzymam się u pani, żeby przygotować parę rzeczy i zapoznać się z domem Kelemana. Jeśli wszyscy zjedliśmy, idziemy - zakończyłem rozmowę.

Na pierwszym skrzyżowaniu rozdzieliliśmy się. Patrzyłem za nimi, dopóki nie znikli mi z pola widzenia. Mimo że oboje zdawali się mali i bezbronni, wciągnąłem ich w bardzo niebezpieczne przedsięwzięcie. Ja sam w odróżnieniu od nich byłem dużym, groźnym facetem, którego ciężko zabić.

Dwie godziny zajęło mi znalezienie między kramami z bronią tego, czego szukałem. Kupiłem dwie ciężkie kusze, używane zazwyczaj do obrony murów zewnętrznych, z krótkimi, ale bardzo sztywnymi łukami. Trzeba je było naciągać korbą przynajmniej dobrą minutę. Nie przeszkadzało mi to, ponieważ planowałem, że z każdej wystrzelę tylko raz. Do tego zaopatrzyłem się w dwie mniejsze kusze z jemeńskiego brązu. Były skuteczne tylko na małą odległość i pewnie nawet nie przestrzeliłyby dobrej jakości zbroi kółkowej, lecz miały mocną konstrukcję i wyglądały dostatecznie reprezentacyjnie. Miałem nadzieję, że napięte i z założoną strzałą wytrzymają parę godzin nieuszkodzone. Reszta zakupów zabrała mi tylko chwilę. Piły, pilniki, świdry, dłuta i lep. Potem pojechałem do domu Masnera. Umwald przekazał moje polecenie Hatovu, siedział teraz w gabinecie przy stole, jadł swoje ulubione pierogi i machał nogami.

- Co będziemy robić? - zapytał wyczekująco.

- Wysłać zaproszenia.

Rozczarowaną minę robił tylko do momentu, kiedy zdradziłem mu, o co właściwie chodzi.

Listy, które Rezka zabrała Kelemanowi, teraz nam pasowały. Keleman zapraszał w nich swoich wspólników na ważne spotkanie. W żadnym liście nie pojawiło się ani jedno nazwisko, ale na szczęście na kopertach były adresy. Jeden hrabiego Mardadettiego, drugi pana Kleviego, handlarza drogimi kamieniami, trzeci hrabiego Nevyma, a czwarty Jego Ekscelencji Giuseppe. Nevym był z całą pewnością cesarskim rezydentem, Giuseppe finansistą z dobrymi kontaktami w crambijskich instytucjach finansowych. O Mardadettim i Klevim nie wiedziałem nic. Chociaż Keleman pisał listy w nieprzyjemnej sytuacji, używał doskonale wyrobionego dworskiego stylu. Spokojnie mogło to być zaproszenie na końcowe rozliczenie wyświadczonych usług. Miałem nadzieję, że w ten sposób odbiorą list. Mój plan mógł odnieść sukces tylko wtedy, jeśli Duno nie chwalił się zbyt swoim niepowodzeniem. Nic nie dopisywałem, wystarczyło poprawić datę. Zajęło mi to godzinę. Doręczenie zaproszeń zostawiłem Umwaldowi i wyruszyłem do Rezki.

\*\*\*

Konia zostawiłem w najemnej stajni, do domu Kelemana wolałem iść pieszo. W niektórych dzielnicach jeździec w siodle zwraca niepożądaną uwagę. Zwłaszcza taki jeździec jak ja. Rezkę zastałem w wirze pracy. Dom roił się od służby. Czyścili okna, wycierali kurz, trzepali dywany, z kuchni dobiegał przyjemny zapach. Przyszedłem w momencie, kiedy wyjaśniała staremu mężczyźnie, prawdopodobnie wspomnianemu słudze, że obrazy będą wisieć tak samo jak ostatnio. Jego nieśmiałe uwagi, że niedawno pan życzył sobie, żeby zmienić ich rozmieszczenie, zmiotła jednym gestem. Przypominała raczej energiczną damę dworu niż dziewczynę z wątpliwą przeszłością, która tydzień temu sprzedawała się za trzy srebrne.

Kilka razy obszedłem dom i wbiłem sobie w pamięć rozmieszczenie drzwi, pokoiów, schodów, największą uwagę zwróciłem na drzwi wejściowe. Miały grubość prawie dwudziestu centymetrów, składały się z wielu warstw. Klejone drewno wytrzyma więcej niż wzmocnione żelaznymi gwoździami. Zasuw były trzy: na dole, pośrodku i na górze. Mały wizjer umożliwiał bezpieczne obejrzenie gości. Prawie dwie godziny zajęło mi przecięcie i ponowne sklejenie zasuw. Miałem nadzieję, że będą trzymać wystarczająco dobrze. Wyglądałoby dziwnie, gdyby komuś złamały się w rękach. Potem jeszcze raz wypytałem Rezkę o panujące tu zwyczaje. Pokazała mi salonik, gdzie za reguły spotykali się goście. Dopisywało mi szczęście. Keleman, jak większość bogatych ludzi tego typu, był miłośnikiem broni-dekoracji. Dwa stare miecze powieszono na ścianie na prawo od drzwi

wejściowych zdjęłem i zastąpiłem moimi nabitymi kuszami. Przypuszczałem, że nikt się nie będzie nad tym zastanawiał. Według Rezki goście przychodzili zazwyczaj w towarzystwie osobistych strażników, ale każdy podobno miał przy sobie zawsze tylko jednego. Miałem nadzieję, że tak będzie również i tym razem. Opisała mi nawet, jak są uzbrojeni. Już wychodziłem, kiedy zawołała mnie z powrotem.

- Muszę się poradzić. Keleman sam był kelnerem i przywiązywał wagę do tego, co oferuje gościom.

Z ochotą jej poradziłem i w nagrodę wzięłem sobie butelkę białego vezelskiego z wykwinnych zapasów Kelemana. Martwi i tak nie piją wina.

\*\*\*

Kuliłem się w wąskiej uliczce między kamiennymi ścianami dwóch sąsiadujących ogrodów i obserwowałem dom. Tym razem przyszło więcej ochroniarzy niż zazwyczaj i w sumie czekało na mnie siedmiu uzbrojonych po zęby ludzi. Przynajmniej siedmiu, ponieważ któryś z gości mógł zostawić dwóch, trzech zabijaków, żeby z dala obserwowali budynek. Ja bym tak zrobił. W tym wypadku miałoby mnie jak na dłoni. Mój plan nie wydawał się nagle tak doskonały i wykonalny. Gdybym nie zmusił Rezki, żeby zarzuciła przynętę, z chęcią bym się wycofał.

Zapadał zmierzch, a potrzebowałem odrobiny światła, kiedy będę próbował dostać się do środka. Pod obdartym płaszczem miałem schowane ciężkie kusze, w każdej ręce trzymałem jedną. Do luksusowego świata rezydencji dyplomatów i bogatych handlowców pasowałem jak pięść do oka, ale na razie nikt mnie nie zauważał.

Zza rogu wyłonił się mężczyzna. Szedł równym krokiem, okolicy poświęcił tylko jedno znudzone spojrzenie. Był uzbrojony w miecz z szeroką klingą i potężnym koszem ochronnym. Przed głównym wejściem zatrzymał się, z woreczka na szyi wysypał na dłoń szczyptę tabaki, pochylił głowę i głęboko niuchnął. Było już ciemno, mimo to widziałem, że przemyka przy tym oczy. Zza przeciwległego rogu wyszedł drugi mężczyzna. Każdy obchodził połowę domu i spotykali się raz z jednej, raz z drugiej strony. Facet, który lubił tabakę, chodził prawie dwukrotnie szybciej niż jego kolega. Wymienili parę słów, lecz akurat powiał wiatr i nie dosłyszałem, o czym mówili. Odwrócili się i poszli z powrotem. Wstałem, delikatnie rozchyliłem płaszcz, żeby nie przeszkadzał. Kątem oka zauważyłem, że na ulicy za mną lampiarz zapala pierwsze lampy uliczne. Skrzywiłem się, będzie mnie bardziej widać. Facet dokładnie jak w zegarku znów wyłonił się po swojej stronie budynku. Moje zdenerwowanie minęło, karty zostały rozdane. Poczekałem, aż niuchnie, i wyskoczyłem. Nie biegłem, szedłem tylko szybkim krokiem, z głową lekko pochyloną ku ziemi. Obserwowałem go spod oka, żeby nie widział mojej twarzy. Kusze sprawiały, że płaszcz nienaturalnie mnie opinał, ale miałem nadzieję, że w półmroku nie zwróci na to uwagi. Zauważył mnie, dopiero kiedy uszedłem prawie dziesięć metrów. Przez moment się wahał, uczynił kolejne trzy kroki. Zrobił groźną minę. - Hej, chłopie...

Wciąż było zbyt daleko, żeby strzelać z biodra. Idąc, bez mierzenia podniosłem prawą kuszę i strzeliłem. Ochroniarz pod krótkim skórzanym płaszczem miał zbroję płytkową, ale zdała mu się na nic. Zgrzyt metalu i stalowa strzała zniknęła aż po lotkę w brzuchu mężczyzny. Trafienie złamało go wpół, na ziemię upadł już martwy. Odłożyłem kuszę na jego ciało i niezmiennym tempem szedłem dalej w stronę rogu domu. Miałem nadzieję, że będę na czas, żeby zaskoczyć drugiego ochroniarza. Dobyłem miecza, maszerując, trzymałem go blisko przy sobie.

Nie zdążyłem. Albo coś słyszał, albo był bardzo spostrzegawczy. Wyłonił się zza rogu z mieczem w ręce i natychmiast wyszedł mi naprzeciw. Prawie biegł. Szedłem dalej. Dobrze oszacował odległość, utrzymując tempo, od razu z marszu zaatakował mnie niskim cięciem w pierś, połączonym ze sztychem z drugiej strony w ramię. Może ze zbyt dużym rozmachem. Skłonem tułowia dałem do zrozumienia, że zamierzam się wycofać, ale zamiast tego przesunąłem się w bok i grubszą częścią klingi odwróciłem jego atak. Utrzymując kontakt ostrzy, przeszedłem do kontrataku ślizgiem. Ochroniarz nie zareagował na czas, udało mi się zadrasnąć go w lewy bok. Niestety, za płytko. Odskoczył i poziomym cięciem z półobrotu starał się dosięgnąć mojej szyi. Uchyliłem się pod ostrzem, dźgnąłem faceta w pierś. Wypuścił powietrze z pufnięciem, jakby pękł miech kowalski, i ze zdumieniem usiadł. Dobiwszy go, odwróciłem się w stronę drzwi. Uświadomiłem sobie, że mam ranę na lewym bicepsie. Jego atak nie był znowu aż tak zamaszysty.

Przez chwilę czekałem tuż przed wejściem do domu. Na ciemnym tle w gęstniejącym mroku byłem marnym celem, ale i tak na plecach czułem lodowate ciarki. Wystarczyłby jeden uważny człowiek z kuszą albo łukiem. Nasłuchiwałem, jednak słyszałem tylko swój przyspieszony oddech. Wewnątrz panował spokój. Na razie nic nie zauważyli. Kropla wody spadła na ziemię. Potem druga, trzecia. To nie woda, a krew z mojej rany. Zdecydowanie zastukałem kołatką, raz, drugi. Nawet przez drzwi słyszałem odgłos energicznych kroków.

- Co tu się, do cholery, dzieje? - odezwał się głos z wnętrza.

- Niosę mięsne ciasteczka - odpowiedziałem. - Co?

- Pani domu je zamawiała. Piec nie ciągnął, dlatego przychodzę tak późno. Podobno ma tu być niezłe przyjęcie. Dla panów kupowała w delikatesach obok, a dla poddanych u nas, w piekarni. Będzie wielka impreza, więc niech coś z tego mają i pozostali, powiedziała.

- Kto... - zaczął facet.

- Ej no, człowieku, jestem spóźniony - wpadłem mu w słowo. - Jak pan chce, zostawię ciasteczka tutaj, na ziemi. Mnie jest wszystko jedno. Ci dwaj, co tu chodzą dokoła jak dwa koguty, powiedzieli, że mogę wejść do środka. Zostawię tutaj też wino. Jak je wychleją, niech pan się skarży gdzie indziej.

To przeważało.

- Dobrze, dobrze, już otwieram, ale stań tak, żebyś mógł cię zobaczyć przez wizjer.

Górna i dolna zasuwą zaskrzypiały, środkową zostawił zamkniętą. Był naprawdę przezorny. W chwili kiedy zachrobotąło podnoszone przykrycie wizjera, wystrzeliłem. Strzała bez stabilizacyjnych lotek i grotu, jedynie stalowy pręt z naostrzonym i zahartowanym końcem, zniknęła w drewnie. Oparłem się ramieniem o drzwi. Nadpiłowana zasuwą z trzaskiem puściła. Ochroniarz był przybity po drugiej stronie jak motyl. Na razie wszystko szło jak po maśle, nie wierzyłem, że złapie się na mój podstęp z ciasteczkami i będzie chciał mi otworzyć. Wszedłem. Korytarz był oświetlony dwoma lichtarzami. Zasłona na końcu rozchyliła się, wysoki mężczyzna spojrzał na mnie zaskoczony.

- Co się tutaj, do diabła, dzieje? - wrzasnął. Upuściłem kuszę na ziemię, z nożem do rzucania w jednej oraz mieczem w drugiej ręce zniknąłem w prawym przejściu. Prowadziło do kuchni, a stamtąd przez pierwsze piętro dało się wejść bezpośrednio do saloniku dla gości.

\*\*\*



Rezka niespokojnie przyglądała się koszykowi z sześcioma zakurczonymi jeszcze butelkami wina, które Koniasz wybrał na uroczysty toast. Staranność, z jaką podchodził nawet do tak nieistotnych drobiazgów, zdenerwowała ją. Przyszło jej do głowy, że naprawdę wdała się w interes, z którego może nie wyjść cało. We wspomnieniach wróciła do chwili, kiedy po raz pierwszy zobaczyła Kowalskiego. Prawdopodobnie to wszystko zaczęło się już wtedy. Wystarczyło, że odrzuciłaby jego propozycję, i nigdy nie znalazłaby się w takiej sytuacji. A także nigdy nie uciekłaby ze „Złotej Magnolii”, przypomniała sobie. Może wystarczyłoby, żeby wtedy Kowalski nie spił się do nieprzytomności, a ona się z nim przespała. Pewnie już nigdy by go nie zobaczyła, ponieważ - wykorzystając swoją intuicję - wstydziłby się jej. Konkluzja, do której Rezkę doprowadziła znajomość mężczyzny, rozbawiła dziewczynę. Wydawało jej się to niewiarygodne, ale wiedziała, że to prawda. Uspokojona powróciła do rzeczywistości. Złapała pierwszą butelkę, żeby ją wytrzeć i włożyć do naczynia chłodzącego z lodem, ale zamiast tego zamarła w połowie ruchu. Wpadła na pewien pomysł. Wyciągnęła jeszcze dwie butelki i z wysokości upuściła na ziemię. Trzask rozbitego szkła ściągnął do przygotowanej pomocy kuchenną.

- W porządku, posprzątam to sama. - Rezka odgoniła ją gestem.

Zgarnęła odłamki na szufelkę i postawiła w kącie tak, żeby każdy zauważył. Pozostałe trzy butelki wyglądały w naczyniu chłodzącym samotnie. To było dokładnie to, czego potrzebowała.

Przed siódmą zapłaciła wynajętej służbie, w domu zostawiła tylko dwie kelnerki. Dla pewności posłała je do kuchni. Po raz ostatni sprawdziła zaaranżowane pomieszczenia, czystość kieliszków, jedzenie. Wszystko było w najlepszym porządku. Nawet pedantyczny Keleman nie znalazłby żadnej wady. Już ktoś walił do drzwi.

Posłała starego sługę, żeby otworzył, a sama stanęła za zasłoną, aby widzieć, kto przychodzi. Pierwszy przybył hrabia Mardadetti. Tylko że nie towarzyszył mu jeden ochroniarz, lecz dwóch. Rezka przełknęła ślinę, żeby pozbyć się guli strachu w gardle, wygładziła spódnicę i szybko udała się na swoje miejsce. Służący zaprowadził gościa do salonu. Hrabia przywitał Rezkę, jakby rzeczywiście była panią domu. Zawsze tak robił, nawet jeśli w późniejszych godzinach wieczoru niektóre jego propozycje były mocno perwersyjne.

Klevi i Giuseppe przyszli razem i towarzyszył im tylko jeden zabijaka. Rezce ulżyło. Starła się, żeby goście dobrze się bawili, a ich puchary nigdy nie były puste, i udawało jej się to. Zdawała sobie jednak sprawę, że za chwilę znów spytają o Kelemana i tym razem nie wystarczy jakaś błaha wymówka. Nevym przyszedł ostatni. Rezka nie miała pojęcia, jak dostał się do środka, ponieważ nie pukał. Za nim na korytarzu ujrzała czterech ludzi z ochrony.

- Gdzie jest? - warknął Nevym zamiast powitania. Rezka zrozumiała, że hrabia musiał słyszeć o czymś nieprzyjemnym.

- Kto? - zapytała i bezradnie wydeła wargi. Nevym szybko się do niej zbliżył, bez ostrzeżenia wymierzył podwójny policzek, aż ją zmiotło z fotela. Rezka poczuła na ustach żelazisty smak krwi. Nie zaczyna się dobrze, przyszło jej do głowy.

- Nie rób z siebie idiotki, dziwko! Dobrze wiesz, o kogo pytam. Gdzie jest Keleman?

Gorączkowo się zastanawiała. Jeśli się podniesie, Nevym ponownie ją uderzy. Jeśli będzie wciąż siedzieć, może ją zakopać na śmierć bezpośrednio na podłodze. Pozostali co prawda wydawali się być zdziwieni i zde gustowani, ale wiedziała, że nie ruszyliby nawet palcem, żeby jej pomóc.

Ostrożnie wstała.

- Gdzie jest?! Mów!

Uchyliła się od policzka, opuszczając głowę, lecz ciosu pięścią w brzuch się nie spodziewała. Upadła na kolana, próbując złapać oddech.

- Mów albo to z ciebie wybiję!

Nevym z wściekłości zaciskał dłonie w pięści. Pozostali goście przyglądali się ze swoich wygodnych foteli z umiarkowanym zdziwieniem. Mardadettiemu, który wypił najwięcej, oczywiście się to podobało. Wszyscy zasługujecie, żeby zdechnąć, pomyślała Rezka z nienawiścią.

- To nie będzie mu się podobać. Nie lubi, kiedy bije mnie ktoś inny - wysepleniła specjalnie tak, żeby wyglądało, iż nie ma zęba.

Nevym przerwał. Wszyscy wiedzieli, że Keleman w pewien sposób jest do dziewczyny przywiązany. Nawet jeśli czasem dla zabawy poniżał ją przed gośćmi, to nigdy jej nie pożyczał.

- Słyszałem, że Kelemanowi coś nie wyszło, i muszę z nim porozmawiać. Nigdzie nie mogłem go zastać, dopiero teraz, kiedy nas wszystkich zaprosił do siebie - kontynuował Nevym trochę spokojniej. - Dlaczego go tu nie ma?

Rezka wyczuła, że teraz przyszedł ten moment, kiedy miała szansę zyskać trochę czasu. Koniasz, spiesz się, inaczej mnie zatłucze, modliła się w myślach.

- Powiedział mi, że ma to być uroczysty wieczór dla uczczenia zakończonego sukcesem przedsięwzięcia. Podobno coś bardzo wyjątkowego. Kelner rozbił trzy butelki wina i Keleman poszedł po nowe. - Przybrała skrzywdzony i gapowaty wyraz twarzy.

- Nie kłam! Ma pełną piwnicę, trzy butelki nie mogą wszystkiego zdeorganizować!

- Jaka to była marka? - do rozmowy z zainteresowaniem wmieszał się Klewi.

Rezka wiedziała, że ten człowiek podziela namiętność Kelemana do dobrych win.

- Nie wiem, nie znam się na tym, może pan popatrzeć w przygotowalnię - jęknęła.

Poszli za Rezką wszyscy. Nevym tuż za nią, jakby się bał, że spróbuje mu uciec. Klewi zajrzał do naczynia chłodzącego i cmoknął z uznaniem.

- Chablis ze zbiorów sprzed dwunastu lat. To był wyśmienity rok. Kelnera należałoby wybatożyć. Jeśli Keleman zdoła jeszcze teraz zdobyć kolejne trzy butelki, ma o wiele lepsze kontakty, niż myślałem. Wróćmy do salonu, panowie. Dzisiejszego wieczoru nasze podniebienia powinny dostać coś delikatnego. Takie wino na to zasługuje. Co też nasza droga gospodyni może nam zaproponować?

Zaoferował Rezce ramię i z kurtuazją wyprowadził z pomieszczenia. Rezka wiedziała, że ten człowiek nie rzuca słów o batożeniu na wiatr. Kiedyś handlował niewolnikami i sam Keleman twierdził, że osobiście zakatował kilku ludzi. Koniasz, na miłość boską, przyjdź już! - życzyła sobie w duchu.

Cichy chrobot usłyszała tylko ona, na dźwięk metalu szurającego o kamień zwrócili uwagę jedynie niektórzy, lecz przekleństwo strażnika usłyszeli już wszyscy. Potem stało się wiele rzeczy naraz. Starła się uciec chyłkiem po schodach na górne piętro, ale Nevym był szybszy i chwycił ją za ramię.

- Ty tu zostaniesz!

- Kusza, rzuć mi tę kuszę! - krzyknął do niego Mardadetti. Mężczyzna posłuchał.

- To zasadzka! Znikamy stąd! Tylnym wyjściem! - rozkazał Nevym.

Jednocześnie z przygotowalni wbiegło do środka dwóch kolejnych ochroniarzy, jeden z krwawą krechą na twarzy.

- Uciekł na piętro! - wrzasnął.

- Kto to, do cholery, jest? - chrypiał Giuseppe, ale Nevym już wypychał przed sobą Rezkę z salonu. Dziewczyna kątem oka ujrzała ruch za sobą i odwróciła się. Nevym też to zauważył.

- Tam! - syknął.

Koniasz skoczył z półpiętra aż na dół i wylądował w głębokim przysiadzie, w prawej ręce trzymał miecz, drugą miał pustą, żołnierz przy drzwiach do przygotowalni przewrócił się z nożem w gardle.

- Zdejmijcie go! Jest sam! - ktoś krzyknął.

Rezka spróbowała wyrwać się z uścisku Nevyma, lecz ten trzymał ją przed sobą jak tarczę. Klewi wyciągał swój ozdobny mieczyk i zanim sobie uświadomił, jaką głupotę popełniał, upadł na ziemię ze szramą przez pierś. Koniasz w obrocie chciał się opędzić od Mardadettiego, ale stary hrabia wykręcił się półprzysiadem, jego kusza szczęknęła, miecz Koniasza zabrzączał na podłodze, prawą rękę miał przestrzeloną w ramieniu, strzała została w ranie.

- Nie ma broni! Skończcie z nim! - wydierał się Nevym. Dwaj strażnicy z mieczami utorowali sobie drogę przez ogólne zamieszanie. Koniasz cofnął się do ściany, miał puste ręce. Rezka z desperacją szukała czegoś, czym mogłaby mu pomóc. Na podręcznym stoliku obok niej stał tylko antyczny wazon z różowej porcelany. Hrabia Mardadetti założył do kuszy rezerwową strzałę z kolby. Ochroniarze byli zaledwie trzy kroki od Koniasza. Ten, zamiast uciec przez drzwi, przemknął się koło Giuseppe, lewym sierpowym w brodę rzucił go prześladowcom pod nogi i ze ściany za sobą zdjął dwie kusze. Kiedy się poruszył, ze zranionego ramienia trysnął mu krótki strumień czerwonej krwi. Wystrzelił z biodra z obu broni naraz, strażnicy skończyli na podłodze ze strzałami w brzuchach. Mardadetti podniósł kuszę i starannie wymierzył, Rezka chwyciła wazon i z całej siły cisnęła nim w hrabiego. Giuseppe ze sztyletem w rękę rzucił się na Koniasza. Porcelana roztrzaskała się o łysą potylicę hrabiego, brzęknęła kusza, Giuseppe krzyknął, Rezka skoczyła do przodu i rozplaszczyła się na podłodze.

Zapanowała cisza. Dziewczyna ostrożnie podniosła głowę i rozejrzała się. W pomieszczeniu oprócz niej przy życiu zostały tylko dwie osoby - Koniasz i Nevym.

Obaj mężczyźni uważnie się sobie przyglądali, ona leżała między nimi. Nie odważyła się nawet drgnąć.

Nevym obserwował przeciwnika i szacował swoje szanse. Zabijaka był oczywiście zraniony w paru miejscach, w prawym ramieniu miał wciąż wbitą strzałę, materiał spodni na prawym udzie przesiąkał krwią. Wyglądało jednak, że tych ran nawet nie zauważał. Nevym nie był żołnierzem, był intrygantem, dworzanim i szpiegiem. Doświadczenie go nauczyło, że więcej niż siłą da się zyskać przebiegłymi pertraktacjami, podstępem, czasem też sprytnymi kompromisami.

- Zawrzemy transakcję? - zaproponował pytająco. Oczy mężczyzny pozostały obojętne, utkwione w

wyimaginowany punkt gdzieś na piersi Nevyma. Mimo to odpowiedział:

- Może. Co proponujesz?

Nevym przestąpił z nogi na nogę, w lewej ręce trzymał sztylet. Wydawało mu się, że rękojeść pali go w dłoń. Klewi z prawej strony poranionego Koniasza lekko się poruszył. Nevym wstrzymał oddech i zaczął grać na zwłokę. Miał nadzieję, że ten kupiecki baran nie będzie kolaborował i spróbuje dostać zabijakę od tyłu. Ta mała dziwka na szczęście nic nie zauważyła.

- Cokolwiek będziesz chciał, a ja będę w stanie ci to dać.

- Chcę wiedzieć, dla kogo pracowaliście, kto wynajął Duna, kto ma na sumieniu sprawę z wąglikiem.

Nevym zmrużył oczy. Może plan Kelemana w końcu wypalił? - pomyślał. Może sytuacja nie była taka zła, jak się obawiał? Teraz musiał tylko pozbyć się tego chudego zabijaki i wszystko będzie jak dawniej. Może nawet lepiej. Klewi podniósł głowę, wydawało się, że nasłuchuje. Rusz się, weź się w garść, ty kupiecki tchórz, zachęcał go w duchu Nevym. Wystarczy jeden cios w plecy, facet już goni resztkami sił.

- Kiedy to zdradzę, pozwolisz mi iść? - zapytał Nevym.

Koniasz skinął.

- Pracujemy dla cesarza. My wszyscy, którzy tutaj byliśmy. - Nevym rozejrzał się dokoła. - Oprócz Kelemana. On pracuje sam, ale czasem bierze od nas zamówienia. Te najbrudniejsze. Dostaliśmy rozkaz, żeby zniszczyć karawanę Masnera za każdą cenę, jednak jakoś nam się nie udawało. Przypuszczam, że za naszymi niepowodzeniami stoisz ty.

Nevym zamilknął w krasomówczej pauzie, ale Koniasz nie reagował. Klewi pomału przyciągał ręce do tułowia, żeby jak najszybciej się podnieść.

Nevym ucieszył się w duchu. Wyglądało na to, że się uda.

- Kontynuuj - zachęcił go Koniasz. Nevym skinął głową.

- Keleman brał prace ze wszystkich stron i ktoś mu zaproponował piękną paczuszkę za zyskanie dowództwa nad karawaną. Tylko że w tym czasie zainkasował już zaliczkę od cesarza, dokładnie mówiąc, od Giuseppe. Za trzydziestoprocentową prowizję z jego honorarium dałem Kelemanowi namiar na Duna, agenta cesarza do spraw zbrojnych. Zgodnie z nowym planem miał przejąć karawanę, a później przekazać ją trzeciej stronie.

- A potem? - zapytał Koniasz spokojnie, jakby wcale go to nie interesowało.

- A potem miał zaatakować wąglikiem. Mardadetti kiedyś handlował bydłem i miał wystarczająco dużo kontaktów, żeby od rzeźników kupić cztery chore sztuki. Ja załatwiłem transport na miejsce, a Keleman resztę.

Klewi był już przygotowany, Nevym poznał to po dłoni kurczowo opierającej się o podłogę. Teraz! - krzyknął w duchu. Handlarz jakby go usłyszał, błyskawicznie się podniósł, ale zamiast zaatakować, uciekł przez drzwi. Koniasz szarpnął się w kierunku kuszy, która leżała obok Rezki na ziemi. Dziewczyna bez wahania mu ją rzuciła. Chwycił ją zranioną ręką, napiął ramiona z brązu, potem jednym ruchem wyciągnął strzałę z rany w ramieniu i założył na kuszę. Nevym nie odważył się nawet

poruszyć. Wydawało mu się, że chudy mężczyzna nie jest w ogóle człowiekiem. Klewi przebiegł już prawie cały trawnik. Zbyt duża odległość dla małej kuszy, chciał krzyknąć Nevym. Koniasz wystrzelił wysokim łukiem. Nevym wyciągał szyję, żeby jak najlepiej widzieć przez okno. W ciemności na zewnątrz nie dojrzał strzały, usłyszał tylko stłumiony trzask i zaraz potem odgłos ciała upadającego na trawę.

- Powiedziałem już wszystko - wybełkotał Nevym nerwowo.

- Wiem.

Koniasz upuścił kuszę na podłogę. Broń metalicznie zachrzęściła.

- Mogę iść?

Nevym dopiero teraz zaczął się naprawdę bać. Nie był pewny, czy jego negocjacje na coś się zdały.

Koniasz kiwnął głową, prawą rękę położył na sprzączce paska.

Rezka prawie nie zauważyła tego ruchu, było to tylko drgnięcie nadgarstka. Nevym zacharczał, chwycił się za szyję i przewrócił w tył. Kiedy jego ręce osłabły, Rezka zobaczyła, że w gardło ma wbitą gwiazdę do rzucania z czarnego metalu.

Ze zdziwieniem i gniewem popatrzyła na Koniasza.

- Powiedział pan, że może iść, że go pan zostawi!

- Wiem, ale czasem kłamie - odpowiedział prawie smutno.

\*\*\*

Rezka w półśnie poddawała się wstrząsom dwukółki, lewą ręką przytrzymywała na kolanach ciężką kuszę. Kolaska podskakiwała na kamieniach i dołach starej drogi kupieckiej, która wiała się między wzgórzami wyrastającymi z mokradeł. Zjechali z łagodnej góry, pod kołami zachlupotało bagno, zapluskła woda. Rezka usłyszała okrzyk Umwalda i nieumiejętne trzaśnięcie batem, którym starał się zachęcić konia do większego wysiłku. Oczy miała zamknięte, podobnych przespanych odcinków przejechali już w ciągu dnia kilka. Droga pierwotnie łączyła farmy w meandrach rzeki Varany z miastem i panował na niej duży ruch. Miejscami była nawet brukowana dużymi płytami łupków. Jednak parę lat temu podczas dużych powodzi koryto rzeki się przesunęło, a urodzajna nizina zamieniła w tereny bagienne, gdzie dobrze powodziło się tylko chwastom i owadom. Ludzie opuścili swoje gospodarstwa, handel upadł, droga powoli się rozpadała.

Przez cały dzień nie spotkali ani jednego człowieka, widzieli tylko zniszczone pozostałości niegdysiejszych wsi. Koniasz tę na wpół zapomnianą drogę wybrał celowo, bał się, żeby ktoś ich nie śledził. W ciągu trzech dni, które z nim spędziła, zaczynało się Rezce wydawać, że ze swoimi uwagami i ciągłymi obawami przed prześladowaniem jest paranoidalny. Już prawie rozbudzona przesunęła kuszę wyżej. To był kolejny dowód jego manii prześladowczej. Wątpiła, czy taką ciężką bronią zdołałaby w ogóle wycelować.

- Rozbijemy obóz, nie widzę już nawet na krok - wyrwał ją z rozważań Umwald.

- Tu? Pośrodku drogi?

- Jeśli wiesz o jakimś lepszym miejscu na nocleg, to dawaj.

W głosie Umwalda nie było ani śladu kłótności, tylko wielkie zmęczenie. Ognia nie rozniecali, nie było z czego. Podparli dwukółkę, konie uwiązali na długich wodzach, żeby w skupisku ostów przy drodze mogły znaleźć coś do jedzenia. Siedzieli obok siebie na kocach i w milczeniu żuli solone mięso z chlebem.

- Nie powinniśmy go tam zostawiać samego! - wybuchnął nagle chłopak.

Rezka popatrzyła na niego ze zdumieniem.

- Kogo?

- Koniasza.

- Dlaczego? Umwald się zakłopotał.

- Bo, bo... jest ranny, potrzebuje pomocy, jest... jest z nim źle.

Rezka wzruszyła ramionami.

- On wyjdzie cało ze wszystkiego. Umwald pokręcił głową.

- Znam go tylko miesiąc i na początku też tak mówiłem. Tylko że on wygląda coraz gorzej, jakby tracił siły.

- Lubisz go.

Słowa Rezki zabrzmiały jak oskarżenie. Umwald chciał się odciąć, ale powstrzymał się.

- Może - powiedział w końcu cicho. - Nie chciałbym być taki jak on, ale lubię go. Nigdy w życiu nikt wobec mnie nie zachowywał się tak w porządku.

Przez chwilę szukał właściwego słowa.

- Wie, że jestem wiele wart. Że nie jestem tylko małym, brudnym chłopakiem z ulicy, który obija się jak może. Żebrze, kradnie, wykonuje każdą pracę.

Rezka pokręciła głową.

- Nie mogłabym lubić takiego człowieka. Musiałam w życiu spróbować wielu rzeczy, ale nigdy nie przeżyłam nic podobnego jak dziś albo wczoraj, albo przedwczoraj. Nigdy nie widziałam śmierci tylu ludzi, nigdy nie musiałam pomagać przy ćwiartowaniu trupów, przy układaniu resztek ciał w wapnie. Rozumiesz? Nigdy w życiu tego nie zapomnę. Dźwięku pękających kości i łamanych stawów. Ciągle mam to w uszach. Najgorszy ze wszystkiego był ten jego spokój. Jakbyśmy rąbali drewno albo tkali materiał, albo po prostu nie wiem co. Jakbyśmy robili coś zupełnie normalnego.

Rezka zdała sobie sprawę, że prawie krzyczy, i to ją zastopowało.

Umwald wzruszył ramionami. Starał się mieć obojętną minę, jednak mimowolnie wykrzywił usta.

- Musieliśmy tak zrobić.

- Dlaczego? - wybuchła znów Rezka. - Ci, którzy ich przysłali, i tak będą wiedzieć, kto ich zabił. Dlaczego przez cały dzień musieliśmy ciąć i grzebać ciała?

- Bez ciał i świadków każdy może mówić, co chce, ale miejscowe sądy zostawią Koniasza w spokoju. Gdyby z powodu zabójstwa prześladował go również rząd, nie miałby szans.

Rezka odstawiła niedojedzoną kolację i zawinęła ją w płótno.

- Jesteś strasznie mądry i może masz rację, ale to i tak nie zmieni tego, że się go boję i kiedy tylko jest blisko mnie, mróz mi przelatuje po plecach.

W oddali zarechotała żaba, zaraz odpowiedział jej cały skrzekliwy koncert. Ochłodziło się, Rezka czuła na twarzy zimne kropelki mgły, wystarczyła chwila, żeby zwilgotniały im ubrania. Zatrzęsa się z zimna.

- Zimno mi i jestem zmęczona, chodź położyć się koło mnie na wozie.

Umwald szybko na nią spojrział. Przez moment nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy rozbić mu głowę kolbą kuszy. Wszyscy mężczyźni byli właściwie tacy sami. Od lat dwunastu do stu.

- Nie wygłupiaj się. Tutaj pewnie w nocy jeszcze jest mróz, musimy się ogrzać.

A zwłaszcza ja, pomyślała w duchu. Była drobna i mała, łatwo marzła.

Przykryli się dwoma kocami, które ze sobą wieźli, i przytulili do siebie. Rezka w nocy kilka razy budziła się z zimna, raz słyszała, jak Umwald mówi przez sen. Nie dało się go zrozumieć, bełkotał. Wydawało jej się, że kogoś o coś prosi. Świt oboje powitali cali i zdrowi.

Krótko po obiedzie wyjechali z mokradeł. Droga zniknęła i zastąpił ją pas wyjeżdżonych kolein prowadzących przez łąki i pastwiska. Przeprawiali się przez region, gdzie hodowano bydło. Co chwila przejeżdżali przez potok albo płytką rzeczkę, prawie ciągle w polu widzenia mieli kilka mniejszych czy większych stad pasącego się bydła. Ujrzeni również samotnego pastucha, ale na szczęście z daleka ich ominął. Pod wieczór zaskoczył ich jeździec. Wynurzył się z wąziutkiej dolinki między dwoma stromymi pagórkami. Umwald przekazał lejce Rezce, a sam sięgnął po kuszę. Konny podjechał do nich i szeroko się uśmiechał.

- Witam. Cieszę się, że was widzę.

Dopiero teraz poznali Kanta, jednego z trzech żołnierzy, którzy podróżowali z karawaną.

Mężczyzna otarł kurz z twarzy i napił się z manierki.

- Kowalski już się ciebie nie może doczekać, dziewczyno. Zachowuje się jak gdyby nigdy nic, ale jest zdenerwowany jak pies. Kiedy tak na ciebie patrzę, to wcale mu się nie dziwię - powiedział z uśmiechem.

Rezka nie wiedziała, co ma myśleć o żołnierzu z twarzą jaskiniowca, lecz Umwald odłożył kuszę na wóz.

- Wozy Kowalskiego jadą z tyłu. Ja jeszcze muszę objechać okolicę, sprawdzić, czy nie czeka tu na nas jakieś niemiłe zaskoczenie - rzucił Kant i popędził konia. - I uważajcie na purytanów. Ostatnimi czasy nie da się z nimi wytrzymać, zwłaszcza ty, dziewczyno, jesteś im solą w oku - krzyknął jeszcze na pożegnanie.

Na karawanę natknęli się po niecałych dziesięciu minutach dalszej drogi pomiędzy brzozowym gajem a szeroką, ale płytką rzeczką. Umwald ostrożnie przeciskał się między wozami, które w kilku miejscach całkiem zatarasowały drogę. Rezka uświadomiła sobie, że z niepokojem się rozgląda i szuka... Zmusiła się do spokoju. Czego właściwie szuka? Czego oczekuje? Łóżka, ciepłego jedzenia w żołądku i czystej bielizny, odpowiedziała sobie, ale nie była pewna, czy przypadkiem się nie

okłamuje. W końcu ujrzała wozy Kowalskiego. Stały koło siebie w kształcie litery „L”, obok płonął ogień, w kociołku zawieszonym na trójnogu gotowała się zupa fasolowa. Zza bliższego wozu wyszła Natasza, ze zdziwieniem popatrzyła na dwukólkę i rozpoznała Rezkę. Rezka, nie myśląc, co robi, zeskoczyła na ziemię. Dziewczyny wybiegły sobie na spotkanie, objęły się.

- Strasznie się cieszę, że jesteś z powrotem - szepnęła jej Natasza do ucha.

Rezka była zadowolona, że w tej chwili nikt nie patrzy jej w oczy. Nie chciała, żeby ktoś widział, jak płacze. To spotkanie znaczyło dla niej więcej, niż jeszcze przed chwilą myślała.

- Bałem się, że już cię nigdy nie zobaczymy - usłyszała znajomy głos.

Rezka odwróciła się i ujrzała Kowalskiego.

Rany po bokserskiej walce z Kelemanem powoli mu się goiły, całą twarz miał pokrytą strupami, ale uśmiechał się szeroko. Złapał Rezkę w objęcia i pocałował tak mocno, że aż jej otarł wargi krótkim zarostem. Potem, jakby sam był zdziwiony tym, co zrobił, puścił dziewczynę i miał prawie zakłopotaną minę. Rezka stwierdziła, że właśnie wróciła do domu. Nagle wiedziała, że zależy jej na tym, żeby czuła się tutaj jak w domu. Jedyne, co psuło jej radość, to źle ukrywana zazdrość na twarzy Nataszy. Zdecydowała, że będą musiały razem porządnie porozmawiać. Przez chwilę miała poczucie, że zdoła poradzić sobie naprawdę ze wszystkim.

Umwald z kozła obserwował scenę powitalną. Trochę przy tym ścisnęło go w gardle, ale zachowywał się jakby nigdy nic. Odrzucił zaproszenie na kolację i poszedł w stronę obozowiska żołnierzy. Wóz Koniasza był w porządku, nawet z dużą skrzynią i pozostałym ekwipunkiem.



## Rozdział 2

### Intrygi

Pierwsze chwile były najgorsze. Mdłe światło wczesnego świtu wszystkim przedmiotom w pokoju przydało szarości. Sufit wymagał otynkowania, był pełen odprysków. W rogach pomieszczenia pająki uprzedły gęste pajęczyny, w niektórych wisiały wysuszone truchelka much. Opuściłem nogi z łóżka i wstałem. I zaraz żałowałem, że to zrobiłem. Zawrót głowy o mało mnie znokautował, musiałem oprzeć się ramieniem o ścianę. Pokój pięć na cztery metry, łóżko, stół, jedno krzesło i okno na ulicę. I włąz na strych tuż przy drzwiach. Nie lubię pomieszczeń, które mają tylko jedno wyjście. Na stoliku miałem poukładany cały swój ekwipunek, głównie broń. Inne rzeczy łatwo można kupić. Jeśli się ma pieniądze i nie jest akurat na pustkowiu.

Zacząłem się ubierać. Dokładnie mówiąc, zacząłem naciągać na siebie uprząż piersiową, a na niej starannie wieszałem futerały z nożami. Pod pachy, na biodra, na pas. Na końcu schowałem w pasku małe walcowate pudełko z lakierowanego drewna. Było w nim dwadzieścia pięć różowych tabletek. Kiedyś, dawno temu, zabrałem je pewnemu martwemu facetowi wysoko w górach. Jedną tabletkę ścisnął w zębach i nie dał już rady jej połknąć. Wzbudziło to moją ciekawość. Później się dowiedziałem, że faceta goniło kilka oddziałów policji cesarskiej i że zajeździli przy tym kilkadziesiąt koni. Musiał to być jakiś stary i bardzo mocny narkotyk. Na razie jednak jeszcze nigdy nie miałem poczucia, że powinienem go wypróbować. Poruszyłem barkami i ramionami, żeby uprząż lepiej się dopasowała. Każdy ruch bolał. Pobieźnie przyjrzałem się pościeli. Prześcieradło i pierzyna w paru miejscach były zakrwawione. Najlepiej bym zrobił, gdybym został w łóżku, ale za bardzo się bałem popleczników cesarza. Może udało mi się wszystko zatuszować i na razie nikt nie przeczuwał, że śmietanka dowódców cesarskich szpiegów już śpi wiecznym snem. Z drugiej strony wszyscy agenci cesarza mogli mieć mój rysopis i rozkaz, żeby mnie zdjąć. Nie chciałem się zatrzymać w jednym miejscu dłużej, niż to było bezwzględnie konieczne. Musiałem zmienić dzielnicę i znaleźć następny podrzędny pensjonat i kolejne łóżko, które będę mógł zakrwawić.

\*\*\*

Otworzyłem oczy. Spałem cały dzień, słońce właśnie zachodziło, a cienie rzucane przez meble były ostre jak brzytwa. Powoli wstałem i znowu zacząłem się ubierać.

Następną noc chciałem spędzić gdzie indziej, najlepiej po przeciwnej stronie miasta. Jutro miał być mój ostatni dzień odpoczynku. Wiedziałem jednak, że nie nabrałem sił. W krótkim czasie odniosłem zbyt wiele ran, spędziłem zbyt wiele dni w siodle i z mieczem w ręce. Czuję się zmęczony i pusty. Może byłem pusty?

\*\*\*

Obudził mnie pocałunek. Ciepły i czuły. Pachniała kawa, bochenek chleba ledwo co wyjęto z pieca, przypieczona skórka przyjemnie chrupała w zębach. Nie widziałem twarzy kobiety ani nie rozumiałem, co mówi. Słyszałem tylko jej perlisty śmiech. Obudziłem się naprawdę. Mały pokój, na stole resztki kolacji i ryszunek, pościel z plamami krwi. Zatrzasnąłem za sobą drzwi i życzyłem sobie, żebym już nigdy w życiu nie musiał wychodzić z pustego wynajętego pokoju.

W cenie zakwaterowania było również śniadanie. Gospodyni postawiła przede mną talerz gorącej kapuścianki i dwie grube kromki chleba i szybko odeszła. Poprosiłem o dokładkę. Kiedy dolewała mi zupy, patrzyła w bok, nie chciała nawet pieniędzy. Wyszedłem na zewnątrz. W nocy padało.

Zerknąwszy w płytką kałużę rozlewającą się po bruku, zrozumiałem, dlaczego gospodyni była przy mnie taka zdenerwowana. Wyglądałem jak trup wykopany dwa dni po pogrzebie. Wychudzony, same kości, dwudniowy zarost, głęboko zapadnięte oczy podkrążone ze zmęczenia. Wizyty u fryzjera i w łaźni z pewnością by mi nie zaszkodziły.

U czarowników odebrałem ostatnią część worków do przewożenia zboża. Teraz, gdy byliśmy współnikami, przynajmniej nie musiałem płacić. Wszystko zapisywane było na listę pozycji Winien i Ma. Zwiedziłem gospody, gdzie później mógłbym wynająć robotników do załadunku towaru. Nie chciałem korzystać z usług pośrednika, ponieważ to z góry równałoby się z niepotrzebną zdradą moich zamierzeń. Przez profesjonalnego kuriera posłałem Hatovu potwierdzenie, że termin załadunku jest aktualny. Miałem nadzieję, że wszystko odbędzie się bez problemów. W chwili kiedy łodzie ze zbożem podniosą kotwice, pozbędziemy się słabego punktu, w jaki nasi przeciwnicy mogliby nas ewentualnie uderzyć. Brakowało mi Umwalda i jego umiejętności znajdowania kogokolwiek i gdziekolwiek, ale w końcu do wieczora dałem sobie ze wszystkim radę. Tym razem przespałem się w domu Masnera. Zaczynał śmierdzieć stęchlizną, jak miejsce, w którym długo już nikt nie mieszka. Czułem się tam prawie jak w domu.

Fenidoński port rzeczny jest miejscem, gdzie cudzoziemiec może łatwo zabłądzić. Płatanina wąskich uliczek prowadzących pozornie donikąd, napchane drewniane magazyny wznoszące się często na wysokość trzech pięter, prowizoryczne, szybko stawiane i jeszcze szybciej rozbierane zadaszenia dla mniej delikatnego towaru albo dla ładunku, z którym trzeba się szczególnie spieszyć, labirynt kanałów ciągle wypełnionych ciężarowymi puchówkami pływającymi wahadłowo między lądem a statkami na kotwicy. Varana ma w większości poszarpane i bagniste brzegi i istnieje niewiele miejsc, gdzie da się wybudować port dla żaglowców wypływających w morze. Czynniki były nieprzeciętnie wysoki, więc oszczędzało się miejsca na każdym kroku. Przeszedłem długą brukowaną ulicą oddzielającą miasto od portu i nagle znalazłem się w innym świecie. Smród ryb, smoły i dziegciu, cienie w przejściach tak wąskich, że ledwo można się było przez nie przecisnąć. Przeszedłem obok straży portowej. Dwóch mężczyzn z herbem miasta przypiętym na piersi właśnie karało właściciela na wpół rozwalonej drewnianej budy za to, że jego przeciwpożarowa skrzynia z piaskiem jest pusta. Pożary są nocnym koszmarem wszystkich w porcie. Straże wciąż sprawdzają, czy ludzie przestrzegają przepisów przeciwpożarowych, czy mają przygotowany materiał do gaszenia i czy ich ogniska są bezpieczne. Podczas silnych wiatrów zarządca portu wydaje zakaz rozniecania jakiegokolwiek ognia.

Nie miałem ochoty i czasu na błądzenie, dlatego przy pierwszej okazji wynająłem człowieka z łódką, żeby zawiózł mnie na „Gualarę”. „Gualara” to większy z dwóch statków, które miały przewieźć główne zapasy zboża i ekwipunek. Dowodził nim facet, którego już znałem. Dowiedziałem się, że nazywa się Boukly, a spotkałem go, gdy robił za osobistego adiutanta Hatovu. Czasem miałem wrażenie, że ci dwaj są raczej współnikami niż szefem i podwładnym. Statek stał na kotwicy daleko od brzegu, z dziobem ustawionym z prądem. Była to koga z wypukłymi bokami, żeby weszło do niej jak najwięcej załadunku. Właściciel łódki podpłynął aż do drabinki spuszczonej z pokładu. Zapłaciłem mu i poprosiłem, żeby chwilę na mnie poczekał. Wszedłem na pokład. Początkowo miałem problemy z jednostajnym kołysaniem. Od kiedy ostatnio pływałem po morzu, minął już jakiś czas.

Boukly przywitał mnie skrzywieniem twarzy.

- Marnie pan wygląda. Wzruszyłem ramionami.

- W nocy było za ciepło, źle spałem.

Ześliznął się spojrzeniem na opatrunek, który wystawał spod rękawów mojej koszuli, i skinął głową ze zrozumieniem.

- No, niektóre noce bywają niezwykle gorące. Jakie wiadomości pan przywiózł?

- Im szybciej podniesiecie kotwice, tym lepiej, kapitanie. Dziś wieczorem będziemy ładować.

- Antony! Uzupełnij zapasy i zamarynuj świeże warzywa! Koniec włóczenia się po lądzie! Chcę mieć wszystkich ludzi na statku! - krzyknął w kierunku środkowego pokładu.

Mimo że wydał rozkaz jednemu człowiekowi, wśród załogi zapanował natychmiast ożywiony ruch, a łysy bosman zaczął zasypywać drużynę całymi salwami rozkazów. Dla każdego marynarza było oczywiste, co oznaczają świeże warzywa w kuchni.

- Chodźmy do mojej kajuty, tam możemy wszystko dokładnie omówić - zachęcił mnie.

Kabina Boukly'ego wyglądała tak, jakby dopiero niedawno się do niej sprowadził. Brakowało tu drobiazgow, które czynią przytulniejszym miejsce, w którym człowiek zatrzymuje się na dłuższy czas i które uważa za swój dom. Na biurku wznosił się wysoki stos map, szczegółowy wyrys wybrzeża na południe od Fenidong był naprędce przybity do ściany, na łóżku leżały dwie ciężkie, zakrzywione szable - najzwyklejsza broń piratów na Wschodzie, zamiast lampy na haku w suficie bujała się butelka opleciona cienkim sznurkiem.

Boukly odsunął stertę na bok, żeby zrobić choć trochę miejsca na biurku.

- Napije się pan?

Nie czekając na odpowiedź, odkorkował butelkę i podał.

- Kieliszków tu nie mam.

To był rum, mocny i pachnący. Nawet ciepły dobrze smakował. Rozłożyłem na blacie własną mapę portu.

- Nasz towar jest tutaj. - Pokazałem czerwone kółko, którym wcześniej oznaczyłem wynajęty magazyn. - Kanał dwadzieścia dwa, parcela siedem.

Boukly coś zaburczał, sięgnął do swych map i jedną wyciągnął. Była to mapa portu, chyba dwa razy bardziej szczegółowa niż moja. Kanały miały oznaczone mnóstwo odgałęzień, w wielu miejscach ręcznie dopisano drobne cyfry. Zgadywałem, że oznaczają głębokość.

- Nie jest źle, dotrzemy prawie na miejsce, ciężarowe puchówki będą mieć kawałek. Chcę wypłynąć o świcie, a to oznacza, że załadunek muszą zorganizować ludzie wynajęci przez pana - powiedział Boukly.

Zgodziłem się. Bezcelowe było obarczanie marynarzy pracą, z którą mogła sobie poradzić grupa tragarzy.

- Ta mapa - pokazałem na stół - jest bardzo dokładna, żadnej takiej nie widziałem.

Boukly zaśmiał się z zadowoleniem.

- Nie dziwię się. Takie sztuki nie są na sprzedaż i strzeże się ich jak oka w głowie.

- Co znaczą te symbole i dlaczego niektóre tereny ma pan oznaczone, a inne nie?

Ręką przejechałem po gęsto zapisanym papierze, żeby nie było widać, o co właściwie pytam. Boukly wyszczerzył zęby.

- To jest cała nauka i kto ją zrozumie, zarobi bez wysiłku niezłe pieniądze.

Tak jak większość ludzi nie oparł się pokusie, żeby popisać się swoją wiedzą. Dostałem szczegółowy wykład o położeniu portu, o współzawodnictwie między kartelami przewozowymi, o walkach między przemytnikami i o wspólnej nienawiści do poborców podatkowych. Trwało to prawie dwie godziny i wypiliśmy przy tym dwie butelki ciepłego rumu.

Wychodząc, powiedziałem jeszcze:

- Nie wydaje mi się, żeby ta koga do pana pasowała. Zdaje się za pękata i za wolna jak dla pana.

Boukly się skrzywił.

- Ma pan cholerną rację. Powiedzmy, że Hatovu niekiedy zleca mi delikatne sprawy. Czasem wymieniam statki jak szlachcic służki. Ale mogę pana zapewnić, że żaden statek nie jest na tyle zły, żebym nim nie dotarł, gdzie chcę.

Zamknąłem za sobą drzwi. Po rumie byłem rozluźniony i wydawało mi się, że słońce grzeje aż za mocno. Na czole czułem krople potu, trochę kręciło mi się w głowie. Facet w łódce, co dziwne, wciąż czekał. Kazałem się odwieźć na molo przy ujściu pierwszego kanału, skąd było najbliżej do miasta. Do jego taksy dołożyłem srebrnik napiwku i obaj byliśmy zadowoleni.

Najadłem się i wróciłem do portu. Wcześniej zatrzymałem się w kilku gospodach, żeby przekonać się, czy nie szerzą się legendy o wielkim mordzie w dzielnicy dyplomatów. O masakrze w domu Kelemana wciąż jeszcze nikt nie wiedział, fenidoński wymiar sprawiedliwości na razie się mną nie interesował i nigdzie nie wisały plakaty z moim portretem i napisem: „Poszukiwany żywy lub martwy”. Taka popularność może niezłe skomplikować życie. W dwóch knajpach przesiąkniętych smrodem dziegciu zebrałem dwunastu ludzi - robotników portowych. Wyglądali na takich, którzy mogliby mnie wepchnąć gdzieś do wody, ale też wystarczająco sprytnych, żeby nie pytać, dlaczego towar ładowany jest w nocy. Brakowało mi Umwalda. Nikomu nie mogłem wierzyć i wszystkimi drobiazgami musiałem zajmować się sam.

Krótko po zachodzie słońca z kohortą tragarzy za plecami stałem przed dużym drewnianym budynkiem otoczonym niskim płotem z cienkich żerdek. Nad dwuskrzydłowymi wrotami w gęstniejącym zmroku świecił jadowicie żółty, miejscami bardzo nieczytelny napis: „Szopa Żlujca: sucha, strzeżona, bezpieczne schronienie dla waszych towarów”. Wszystko wydawało się w porządku z wyjątkiem tego, że nie widziałem ludzi, którzy mieli pilnować magazynu. Do czynszu wliczono mi pensję dla sześciu strażników. Zamek w zasuwie był nienaruszony.

- To co, szefie? Gdzie ta robótka? - zapytał któryś z tragarzy.

Nie odpowiedziałem i podszedłem do wrót. Mimo że wyglądały na rozpadające się, w rzeczywistości były zbite z solidnych dębowych desek. Przycisnąłem twarz do drewna i starałem się zajrzeć przez wąską szparę do środka. Owionęło mnie ciepło skumulowane w ciągu całego dnia i znajomy odór, który w niczym nie przypominał zapachu dobrej jakości zboża. Mój klucz nie pasował do zamka. Słyszałem niezdecydowane przytupywanie tuzina mężczyzn za sobą. Zamek był nowy, jeszcze błyszczał. Za to łańcuch zabezpieczający zasuwę wiele już przeszedł. Kiedy go dotknąłem,

czułem pod palcami delikatne łuseczki rdzy.

- Będziemy coś robić, szefie, czy trzymasz nas tu tylko do towarzystwa? - zapytał ten sam głos z nieskrywanym rozbawieniem.

Odszedłem dwa kroki od drzwi, wyciągnąłem miecz i cięciem z góry przeciąłem obręcz. Stał natknęła się na żelazo, zardzewiałe ogniwa zadźwięczały i kilka z nich spadło na ziemię. Wsadziłem miecz do pochwy, poluzowałem zasuwę i ostrożnie otworzyłem drzwi.

Z wyjątkiem sześciu ciał, ładnie ułożonych na podłodze pośrodku, magazyn ział pustką. Z bliska odór był mocniejszy. Leżeli tutaj już dłuższy czas. Stałem oniemiały i nagle nie wiedziałem, co mam robić. Naszego zboża nie było. Spodziewałem się problemów podczas kupna, nie później. Ten prosty i elegancki ruch powalił nas na kolana. Bez zapasów zboża na zimę i na obsianie pól cała karawana była zgubiona, a interes nie miał nadziei na sukces. Wydawałem się sobie największym głupkiem na świecie. Zrobiłem błąd, za który zapłacili wszyscy. Wróciło zmęczenie, rozboleła mnie głowa. Nagle miałem powyżej uszu ludzi, handlowych i politycznych intryg, najemnych zabijaków i całego tego chaotycznego zawirowania wokół złota i siły. Wszystko wydawało mi się niepotrzebne, nic nie było niczego warte. Wszystko jedno, cokolwiek bym zrobił, zawsze byłem sam przeciwko pozostałym, przeciwko zbiegom okoliczności, niesprzyjającym warunkom. Słyszałem, jak ludzie za mną się wycofują.

- Pójdziemy, szefie. Wygląda na to, że nie ma pan żadnego towaru.

Tylko że poddawanie się wcześniej niż wtedy, kiedy człowiek jest zupełnie martwy, jest złe. I zaprzecza temu wszystkiemu, o co się starał. Zrobiłem w życiu wiele rzeczy, z których nie mogę być zbyt dumny, wręcz przeciwnie, i choć raz chciałem to zmienić. Uświadomiłem sobie, że zgrzytam zębami. Odwróciłem się na pięcie, rząd ludzi przede mną cofnął się o krok. Było jeszcze ciemniej, nie widziałem ich twarzy, oczy niektórych błyszcząły w świetle odbijanym od powierzchni wody.

- Mam jeszcze jeden magazyn. Kto z was chce w ciągu reszty nocy zarobić dziesięć razy więcej?

Kilka osób niezdecydowanie przestępowało z nogi na nogę, trzech mężczyzn w milczeniu odeszło i zniknęło w ciemności wąskiego przejścia. Za chwilę poszli za nimi następni.

- Każdemu dam dziesięć złotych. Po pracy. Zaliczkę już dostaliście. Kto chce, niech spada. Natychmiast.

Zostało ich sześciu.

- Za godzinę przy kanale dwanaście, parcela pięć.

Ten numer znałem z mapy Boukly'ego. Oznaczał największy magazyn kartelu specjalizującego się w transporcie zboża.

- Wiecie, gdzie to jest?

- No, wiem. Zaprowadzę ich tam - powiedział niższy facecik z ramionami szerokimi jak szafa.

Zostawiłem ich i poszedłem w stronę kanału. Pierwsza łódź Bouklyego już się zbliżała. Załoga składała się tylko z czterech mężczyzn. Reszta miejsca była przeznaczona na ładunek.

- Koniasz - przedstawiłem się.

Ściemniło się ostatecznie, łódź widziałem jako ciemny zarys na tle połyskującej powierzchni

wody.

- Zmiana planów. Przekażcie Boukly'emu, że ładować będziemy w kanale dwanaście, parcela pięć. Za godzinę.

- To cholernie niebezpieczne tak pływać w nocy po porcie - odpowiedział mi nerwowo jeden z mężczyzn.

- Ponadto zabronione - dodał drugi.

- Powiedzcie mu, że jeśli nie dotrzecie tam na czas, wszystko bierze w łeb - odprawiłem ich. Próbowali jeszcze coś do mnie mówić, ale odwróciłem się i szybko odszedłem. Ja również miałem nabity program. W duchu wyobrażałem sobie szczegółową mapę Bouklyego i starałem się przypomnieć sobie wszystko, co mi mówił o porcie. Mogło się udać, nawet jeśli szanse nie były zbyt duże. Wiał lekki wiatr równoległy do wybrzeża, było mi to trochę na rękę. Po krótkim błędzeniu znalazłem suche doki. Przelazłem przez wysoki drewniany płot. Moje rany protestowały przeciwko tym akrobacjom, ale na próżno. Znow jednak zacząłem krwawić. W dokach było ciemno i nikt ich nie pilnował. Niby po co. Kto by się interesował wznoszącymi się wysoko niegotowymi kadłubami statków, w nocy przypominającymi szkielety dawno wymarłych jaszczurów. Wszędzie pachniało drewnem, smołą i dziegciem. Włamałem się do małej szopy - była pełna worków z piaskiem. Po raz drugi miałem szczęście. Półki zapełniały wielkie pochodnie używane podczas topienia smoły do uszczelniania kadłubów statków. Zrobiłem z nich dużych rozmiarów wiązkę, kilka wziąłem do ręki i znow wróciłem na uliczki portu. Musiałem pójść wyżej.

Między kanałami dwadzieścia osiem a dwadzieścia dziewięć zapaliłem pierwszą pochodnię. Palila się kopącym, wysokim prawie na pół metra płomieniem i oświetlała okolicę żółtym, migotliwym blaskiem. Powoli szedłem ulicami i szukałem dobrego miejsca, żeby zacząć. Z uliczki wynurzyła się portowa straż nocna. Gdy tylko mnie zobaczyli, biegiem ruszyli w moim kierunku.

- Człowieku, co ty, do cholery, robisz?!

Zapaliłem następną pochodnię, a tę pierwszą rzuciłem wysokim łukiem na słomiany dach czegoś, co przypominało przerośniętą szopę.

- Rozniecam pożar. Powinniście ogłosić alarm, żeby całe miasto nie obróciło się w popiół.

Mężczyzna po lewej rzucił się na mnie, ale był zbyt wolny. Uderzyłem go palącym się końcem pochodni w twarz i jeszcze kopnąłem w kolano. Z krzykiem upadł i zajęło mu trochę czasu, zanim ugasił swoje włosy. Dach palił się już mocnym płomieniem, ogień wciąż przybierał na sile i zaczynał huczeć. Krąg światła się rozszerzał, nagle zrobiło się gorąco. Drugi strażnik sięgnął po długi sztylet.

Pokręciłem głową.

- Nie robiłbym tego. Raczej niech pan ogłosi alarm i zaopiekuje się kolegą, żeby więcej nic mu się nie przydarzyło.

Zostawiłem ich i poszedłem dalej. W regularnych odstępach rozrzucałem pochodnie na dachy magazynów, warsztatów i równych stosów drewna budowlanego. Za mną szybko rozrastała się linia ognia. Przepisy przeciwpożarowe naprawdę były na miejscu, ogień rozprzestrzeniał się z niewiarygodną prędkością. Ostatnich pochodni nie wykorzystałem, ponieważ ogień mnie doganiał. Zacząłem biec. Modliłem się, żeby nie zablądzić i znaleźć od razu parcelę pięć. Spokój nocy zniknął, zastąpiły go ryki, chaotyczne wrzaski i szum ognia. Spotkałem spieszącego się faceta i zapytałem, co

się właściwie dzieje. Wściekle mówił o gwardii miejskiej, która co prawda gasi, ale nikogo nie wpuszcza na teren portu. Na właściwą parcelę doszedłem chwilę później. Załadunek już trwał. „Gualara” Boukly’ego stała bezpośrednio przy przybrzeżnym molo, tragarze śmigali po drabinkach tam i z powrotem, pomagało im paru marynarzy. Większość załogi pilnowała, żeby w ciemnościach nikt nas nie zaskoczył. Boukly stał na pokładzie i z wysoka przyglądał się sytuacji. Wspiąłem się do niego. Ogień prawie się do nas zbliżył, ale wyglądało, że dalej się już nie posuwa.

- Jest pan spóźniony. Wiedziałem, że się spieszymy, dlatego kazałem zniszczyć zamki. Mam nadzieję, że to panu nie przeszkadza.

Pokręciłem głową.

- W najmniejszym stopniu. A ochrona? Boukly się zaśmiał.

- W chwili kiedy zapłonął ogień, rozpierzchli się, jakby ktoś do nich strzelał. Ponadto nie ma żadnego strażnika miejskiego i złodzieje mają wolną rękę. Jeśli oczywiście się odważą, a ja bym powiedział, że nie, bo miejscowi panicznie boją się pożaru. A ponieważ wybrał pan to molo, mogliśmy podpłynąć aż do niego, co nam uprościło załadunek.

Zamilkł i obserwował okoliczne ciemności.

- Jednak jeśli stwierdzą, że ten ogień to pana sprawka, poćwiartują pana żywcem.

Miałem nadzieję, że tego nie stwierdzą.

W ciągu dwóch godzin zboże było załadowane, a oba statki zniknęły w ciemnościach. Żebym nie musiał wracać przez port, ukradłem puchówkę, lecz pod obręczą do cumowania zostawiłem trzy złociszce dla właściciela. Nad powierzchnią wody unosiła się powłoka duszącego dymu, ogień palił się już tylko w kilku ostatnich miejscach. Regularnie wiosłowałem w ciemności i trzymałem się białych czapek fal tworzących się między palami. Od kołysania puchówki zrobiło mi się niedobrze. Zdziwiło mnie to, nigdy wcześniej nie miałem choroby morskiej. Musiałem zniknąć z Fenidong jak najszybciej, ponieważ zaczynałem mieć już za dużo na swoim koncie, a następnym logicznym ruchem naszych przeciwników było napuszczenie na mnie urzędów. Zakotwiczyłem pod głównym mostem przez Varane, z domu Masnera zabrałem ekwipunek i wróciłem nad rzekę. Bez problemu przepłynąłem między wieżami obronnymi pilnującymi wodnej drogi przez miasto i w końcu zostawiłem puchówkę pół kilometra dalej, w gęstych krzakach na brzegu.

Szedłem pieszo. Konia chciałem kupić w pierwszej wsi, na jaką się natknę. Byłem zmęczony, jednak starałem się iść jak najszybciej. Gdzieś nad ranem zdałem sobie sprawę, że zataczam się z jednej strony drogi na drugą. Przed oczami miałem mroczki i nie mogłem sobie przypomnieć, co zdarzyło się przed chwilą. W niedostatecznie zagojonych ranach czułem rwanie, słyszałem łomot własnego serca. Potem zgubiłem drogę i tylko szczęśliwym zbiegiem okoliczności natknąłem się na starą szopę na skraju lasu. Skorzystałem z jej gościnności, zagrzebałem się w zeszlorocznym sianie, usnąłem i spałem jak zabity.

Obudziłem się późno, przez rozeschnięte poszycie dachu do środka dochodziło popołudniowe słońce. Na podłogę przed moją twarzą usiadła z bzyczeniem mucha.

Była rozmazana. Spróbowałem wyostrzyć spojrzenie, ale wciąż wyglądała jak czarna, chwiejąca się plama z niewyraźnymi konturami. Spróbowałem wstać, lecz nawet to mi się nie udało. Uświadomiłem sobie, że szczękam zębami i trzęsę się z zimna. Moje żelazne zdrowie, moja

zwierzęca sprężystość i niezłomność po raz pierwszy w życiu mnie zdradziły. Całe noce nie spałem, wyęczałem się do granic możliwości, śledzili mnie nieprzyjaciele, uciekałem przed nimi, a teraz zachorowałem. Nie mógł pomóc nawet najlepszy lekarz, felczer, może tylko czarownik ze starych czasów, ale akurat nigdzie w pobliżu takiego nie było. Potrzebowałem po prostu spokoju i trochę czasu. Zdusiłem w sobie chęć przeklinania i zamiast tego zebrałem całe stare siano, które znalazłem w szopie, z części zrobiłem sobie poślanie, resztą się przykryłem, zamknąłem oczy i starałem się usnąć. We śnie człowiek najszybciej wraca do zdrowia.

\*\*\*

Led Kowalski przeciągnął się w siodle, był zmęczony. Otarł twarz z lepkiego potu zmieszanego z kurzem i dłonią poklepał konia po boku. Wozy wszelkiego autoramentu turkotały koło niego jeden za drugim, mnóstwo ludzi szło piechotą, wielu niosło ładunek albo prowadziło zwierzęta. Dobrym wynikiem było dwadzieścia pięć kilometrów dziennie, trzydzieści - wspaniałym. Dziś przeszli niecałe piętnaście. Musieli pokonać dwa brody, bójka między rodzinami purytanów i górali opóźniła ich o dobre dwie godziny. Po raz pierwszy Kowalski miał poczucie, że poszło o coś więcej niż tylko przypadkowe okazywanie wzajemnej niechęci między ludźmi mającymi różne przyzwyczajenia. Mężczyźni, którzy sprowokowali sprzeczkę, należeli do Faraciusa Edugana, najbogatszego purytańskiego farmera, który stopniowo zdobywał wśród ludzi coraz większe wpływy. Kowalski wiedział, że ten mężczyzna nienawidzi go z powodu Rezki i Nataszy, dlatego rozwiązanie sporu powierzył Bonsettiemu. Kiedy później wypytywał Honzę Szoblaja o powód bójkę, młodzieniec odpowiadał wymijająco. Jego krewni dołączyli właśnie do Faraciusa, a on niewątpliwie poczuwał się do lojalności wobec swojej grupy.

Był dopiero początek maja, ale upał zrobił się straszny, trawa pokrywająca pofalowaną, pagórkowatą krainę zaczynała powoli żółknąć. Od bardzo dawna już nie padało. Za dzień lub dwa powinni dotrzeć do granic państw Ligi i wjechać na obszar, gdzie ich dalsze losy zależą od umów, które zawarł Masner z miejscowymi władcami. I od ich dobrej woli, żeby umów dotrzymać, przypomniał sobie Kowalski.

Na wzgórzu pojawiła się samotna sylwetka. Led odruchowo sięgnął po kuszę w futerale przy siodle, ale potem wsunął ją z powrotem. Poznał Kanta. Żołnierz z daleka sygnalizował, że znalazł miejsce na rozbić obozu. Kowalski popędził konia, żeby znaleźć się na czele karawany. Jeśli karawana pokonała w ciągu dnia piętnaście kilometrów, jego koń miał w nogach z pewnością co najmniej trzy razy więcej. Muszę je częściej wymieniać, postanowił. Przejechał obok Bonsettiego, który z typowo drętwo-życzliwą twarzą znów wyciszał jakieś konflikty.

Kowalski z niepokojem zacisnął wargi. Mieli mnóstwo problemów z drogą, z terenem, psującymi się wozami, z ludźmi, którzy nie byli w stanie znieść trudów podróży. Wszystko pogarszały jeszcze wieczne skargi i niesnaski, i ciągle zagrożenie, że zatargi mogą przekształcić się w bójkę i pojedynki.

Karawana zmieniła kierunek, opuściła ledwo widoczną drogę i skierowała się między dwa wzgórza porośnięte wysoką trawą. Żołnierze jeździli tam i z powrotem z obu stron, zabraniali ludziom zbaczania z właściwego kierunku i czasem, kiedy najbardziej było trzeba, pomagali. Kowalskiemu udało się po drodze wynająć następnym dwudziestu żołnierzy. Rozdzielił ich po pięciu, dowództwo nad tymi małymi oddziałami powierzył trzem weteranom, którzy zostali z karawaną po masakrze w dolinie. Na nich mógł polegać. Jedną piątkę zostawił sobie na własne potrzeby. Kiwnął teraz na nich.



- Jedziemy na koniec. Z przodu pilnują, musimy uważać, żeby nikt nie został w tyle i nie zabłądził.

Albo nie zbiegł, dokończył w duchu. Chociaż wraz z powiększającą się odległością od bogatego i gęściej zamieszkanego wybrzeża do ucieczek dochodziło coraz rzadziej. Jechał pod prąd, rozglądał się na boki. Ujrzał Umwalda przy wozie Koniasza. Za nim jechał Szoblaj, który kierował większym z jego własnych wozów. Umwald pomachał, Kowalski ze znużeniem odpowiedział gestem. Swoich dziewczyn, jak je czasem w duchu nazywał wzorem Umwalda i Szoblaja, nigdzie nie widział. Nie chciał się jednak zatrzymywać i dalej jechał w kierunku końca karawany. Nieobecność Koniasza nie była dla niego problemem. Piętnaście dni minęło, a on wciąż nie wracał. Lecz Kowalski nie cieszył się, że miałby przez obce terytorium prowadzić ludzi sam. Wiedział, że jeśli naprawdę będzie musiał, podejmie się tego, ale wydawało mu się to zbyt wielkim obciążeniem.

Rezka siedziała na ziemi oparta o koło wozu i pogryzała z miski bób z kawałkami pokrojonego mięsa wołowego. Nie miała pojęcia, jak Nataszy to się udaje, ale nawet wykorzystując minimum przypraw, potrafiła potrawom z tych samych produktów nadać za każdym razem inny smak. Natasza siedziała na drewnianym stopniu drugiego wozu i utkwiała spojrzenie w oknie. Wyglądała na zamyśloną. Rezka zmarszczyła nos. Pracowała nad wzajemnymi stosunkami już prawie dwa tygodnie, ale Natasza była uparta jak osioł. Ich relacja, zamiast się poprawiać, raczej się pogarszała. Za każdym razem kiedy Rezka uśmiechnęła się do Leda czy z nim zażartowała, Natasza zamykała się w sobie i nie było z nią żadnej rozmowy. Rezka wiedziała, że albo rozwiąże ten problem, albo wszystko się popsuje do końca. Najlepiej, nawet z ciężkim sercem, zacząć od razu. Miała na to całą noc, ponieważ Led w obozie tylko się zatrzymał i oznajmił, że przyjdzie później. To oznaczało po północy lub dopiero nad ranem. Rezka rozumiała, że będzie ustalał z pozostałymi, czy mają czekać na Koniasza, czy nie. Przeczuwała, jak to się skończy. Led będzie chciał parę dni poczekać, Baribald Bryzold zgodzi się z jego zdaniem, Bonsetti będzie milczał, a opinii przedstawicieli pozostałych współników całego przedsięwzięcia żaden z tych trzech nie będzie ciekawy.

Przyszłam do Fenidong, nauczyłam się, jak sobie radzić, i żyło mi się trochę lepiej. Ale i tak nie było to nic przyjemnego. Nie pamiętam, żeby przez ten cały czas ktoś był dla mnie dobry. Był dobry i nic za to nie chciał. Potrafisz to sobie przynajmniej wyobrazić?

Natasza pokręciła głową, płakała. Rezka zdała sobie sprawę, że staranne planowanie tego, co powie, było na nic.

- On był pierwszy. Był dla mnie dobry, tak po prostu. Za nic.

- Odejdę - wyszeptała Natasza. Teraz Rezka pokręciła głową.

- Na litość boską, dlaczego? Pomyśl. Led jest dobrym człowiekiem. I chce się ustatkować. Umiem to poznać, nauczyłam się rozumieć mężczyzn. Za to dałabym sobie głowę uciąć. I zna się na wszystkim, umie załatwić sprawy tak, żeby szły, jak powinny. Wszystkim nam może być dobrze.

- Ale są przecież bogatsi ludzie. Rezka pokręciła głową.

- Nie chodzi o bogactwo, a tutaj, w tej podróży, to już w ogóle nic nie znaczy. Glorius, jeden z wójtów purytanów, jest bardzo bogatym człowiekiem. Swoją żonę bije jak bydło. To masz na myśli?

Natasza zaprzeczyła gwałtownie.

- Wczoraj w rzece przewrócił się wóz Terenca. Jego żona się utopiła, a z nią jego dwoje dzieci.

- To był nieszczęśliwy wypadek, mógł się przydarzyć każdemu.

Rezka przytaknęła.

- Kochasz go? - zapytała cicho Natasza.

Rezka spojrzała na nią z zaciekawieniem. Miała tak duże i głębokie oczy. I była piękna. I delikatna. Ostrożnie, dziewczyno, ostrożnie, napominała w duchu samą siebie. Nie mogła teraz niczego popsuć. Gdyby Natasza była mężczyzną, wszystko byłoby o wiele prostsze.

- Leda?

Natasza przytaknęła. Oczy jej błyszczały, Rezka miała ochotę przysiąc się do niej i zacząć ją uspokajać. Stłumiła chęć dociekania, jak, na miłość boską, tamta przeżyła w tym praworządnym świecie.

- Tak, kocham go.

- Dobrze, ja odejdę.

Głos Nataszy załamał się pomiędzy szlochem a westchnieniem.

- Dlaczego?

- Ja też go kocham.

- I w czym jest problem? Rezka celowo zrobiła niedomyślną minę. Natasza na nią spojrzała.

- Nie możemy przecież obie...

Nie dokończyła. Rezka odstawiła miskę, obeszła ognisko, usiadła obok dziewczyny na schodku i złapała ją za rękę.

- Swoich rodziców nie pamiętam. Potem wychowywał mnie ojczym. Wychowywał... - Uśmiechnęła się drwiąco. - Czasem się dziwię, że przeżyłam. Uciekłam, kiedy miałam dwanaście lat, przez rok tułałam się, gdzie się dało. Po wsiach, mniejszych miastach. Potrafisz sobie wyobrazić, jak to było? Samotna dziewczyna bez opieki?

- Pewnie. Ale wóz prowadził Terenc. Ledowi się to nie przydarzyło. Zauważyłam, że dostałaś od niego duży wełniany pled.

Natasza radośnie się uśmiechnęła.

- Tak, chyba go kupił w ostatniej wsi, przez którą przejeżdżaliśmy. Musiał kosztować mnóstwo pieniędzy.

Rezka dokładnie wiedziała ile, ponieważ sama pomagała Ledowi wybierać.

- Prosiłaś o niego? - Nie.

- A co powiedziałaś?

- Nic. Tylko że rano i wieczorem jest mi zimno. Rezka pogłaskała Nataszę po włosach.

- Tak jakoś powinno to wyglądać tam, gdzie mamy dom, nie?

- A co z miłością? Ona nic dla ciebie nie znaczy? Rezka pokręciła głową.

- Nie wiem. Nie wiem, co oznacza to słowo, lecz jeśli ty wiesz, ciesz się. Pomyśl, dziewczyno, będziemy potrzebować wszystkich sił, żeby przeżyć tam, na miejscu. Ale jeśli nam się uda, wszyscy

troje moglibyśmy mieć dom. A potem nasze dzieci miałyby dobrze. Kiedy odejdziesz, popsujesz wszystko.

Natasza nie protestowała głośno, chociaż wciąż nie wyglądała na przekonaną.

\*\*\*

Kowalski chmurnie studiował tekst na brązowym pergaminie. Koniasz z przypuszczalną datą swojego przyjazdu opóźniał się już o dwa tygodnie, dlatego również administracyjno-sekretarskie obowiązki spadły na głowę Leda. Na pergaminie znajdowały się pieczęcie z podpisem Masnera.

Kowalski nigdy przedtem nie widział kaligraficznego pisma i miał sporo problemów, żeby dojść do tego, które litery są które. Dopiero przy trzecim czytaniu zdołał trochę szybciej sylabizować.

Rezka siedziała na pieńku oparta o koło wozu i przesywała spódnicę. Wymieniła ją za sarni udziec z kobietą z sąsiedniego obozowiska. Jednocześnie niepostrzeżenie przyglądała się Ledowi. Po całodziennym podróży pokryty był kurzem, jego nieogolone policzki przybrały szary odcień. Widziała, że czytanie dokumentu sprawia mu kłopot, ale tym bardziej podziwiała jego zacięcie.

- Co tam robisz? - spytała.

- Uczę się na pamięć tekstu umowy dotyczącej przejścia. Jutro rano będziemy prowadzić rozmowy z przedstawicielami księcia marmockiego.

- I jak to się według ciebie skończy?

Kowalski podniósł wzrok na drewnianą palisadę pogranicznego miasteczka Bosk. Obóz był rozbity w takiej odległości, że widać było bramę wejściową, ludzie nie będą mieli daleko na targowisko. Bosk oficjalnie należał do Repelu, najmniejszego państwa Ligi Handlowej, ale mieszkańcy bardziej respektowali zwyczaje sąsiedniego władcy. Głównie z powodów praktycznych, ponieważ książę był bliżej niż władza urzędnicza Repelu i nie miał przesadnych skrupułów przy wykorzystywaniu swoich żołnierzy.

- Bryzold twierdzi, że moglibyśmy przekupić głównego sekretarza, żeby poszedł nam na rękę i niepotrzebnie nas tu nie zatrzymywał. Przedstawiciele udziałowców się z nim zgodzą.

- A ty?

Kowalski skrzywił usta.

- Nie znam się na tym. Ten świstek - potrząsnął umową - podobno kosztował siedem tysięcy złotych. Wcale mi się nie podoba wpychanie złota w czyjeś gardło. Ale posłucham rady.

- A jeśli to nie zadziała?

- Musi zadziałać. Zaproponuję mu sto złotych, jeśli napisze nam glejt od razu, trzydzieści, jeśli zrobi to do jutra. Następną moją ofertą będą wybite zęby i złamany nos.

Rezka badawczo przyjrzała się Ledowi. Pod okiem miał świeży siniak od kamienia, który wyprysnął spod koła przejeżdżającego wozu, a zagojone blizny po walce z Kelemanem wciąż wyglądały źle.

- Nie gol się i nie myj. Będzie ci wierzyć.

- No, mam nadzieję. - Kowalski uśmiechnął się niewesoło.

- Powinniśmy kupić jakieś drobiazgi na drogę. Mówiłeś, że Bosk to ostatnia okazja na długi czas - skierowała rozmowę na praktyczne sprawy.

Kowalski odpiął od pasa sakiewkę i podał Rezce.

- Daj Nataszy, nie mam gdzie schować - zbyła go. To nie była prawda, lecz Natasza wciąż przysparzała Rezce zmartwień. Na początku Rezka miała wrażenie, że podczas ich ostatniej poufnej rozmowy przekonała przyjaciółkę do swoich racji, ale po paru dniach nie była już taka pewna. Natasza znów zaczęła zamykać się w sobie i stroniła od towarzystwa. Rezka bała się, że dziewczyna zrobi coś głupiego. Musiała ją jakoś przywiązać do Leda, a tym samym i do siebie. Skierowała wzrok na wozy. Ponieważ było gorąco, boczna płachta była odgarnięta, Rezka widziała bok skrzyni, która jednocześnie służyła za łóżko. W każdym wozie były dwie takie skrzynie. Nawet jednej osobie spało się na niej źle, a już w ogóle Rezka nie umiała sobie wyobrazić, jak można by spać we dwoje. Nawet cztery łóżka na trzy osoby nie były najszcześniejszą kombinacją.

\*\*\*

Arthur Duno rozejrzał się po pokoju, gdzie spędzał większość czasu w ciągu ostatnich trzech tygodni. Nie był to przesadnie luksusowy apartament, ale dla ранego żołnierza wystarczająco wygodny, a ponadto z dala od najbardziej gwarnych dzielnic Fenidong. Z dużych okien miał widok na most przez Varane, na fasady domów na przeciwległym brzegu. W zamyśleniu przejechał palcami po bliźnie na szyi. Wciąż była wrażliwa. Lekarz twierdził, że od wykrwawienia dzieliły go tylko minuty. To wiedział nawet bez doktora. Na ciele miał kilka innych blizn, które będą mu przypominać tę noc aż do śmierci. Z niepokojem potrząsnął głową. Mimo że dowodził doskonale wyćwiczonymi ludźmi, którzy byli w ponadtrzykrotnej przewadze, nie zwyciężył. Jego starannie przygotowany plan w jednej chwili się załamał.

Do dziś nie był pewny, jak to się mogło stać. Przeciwnicy byli co prawda zdeterminowani, na samym końcu walki po ich stronie stanęła też bogini Fortuna, ale mimo to powinni skończyć martwi, wdeptani w ziemię przewagą jego ludzi. Był pewien, że gdyby wtedy zarznął Koniasza, wszystko skończyłoby się inaczej. Ponownie dotknął palcami blizny i chyba po raz tysięczny rozegrał w myślach kluczowy pojedynek. Nie popełnił żadnego błędu. To musiał być przypadek, który jednemu pomoże, a drugiego zabije, stwierdził w końcu.

Z rozmyślań wyrwał go odgłos kroków na schodach. Kilka pierwszych dni, kiedy był przykuty do łóżka, spędził na nasłuchiowaniu, czy korytarzem nie zbliża się grupa ludzi przygotowanych, żeby go zabić lub zaarrestować. Teraz znał wszystkie dźwięki w domu i potrafił rozróżnić skrzypienie poszczególnych klepek na schodach. Służąca za chwilę zapukała do drzwi.

- To pańskie ubranie, proszę pana. Mam powiedzieć stajennym, żeby przygotowali również konie?

Duno przytaknął, kobieta ukloniła się i zniknęła.

Pracował teraz sam dla siebie, bez pana, bez obowiązków. Do tej pory pracował dla cesarza, teraz z tym skończył. Cesarz nie wybaczał niepowodzeń, a kiedy ktoś katastrofalnie zawiódł, karał. Duno rozłożył ubrania na łóżku i zaczął się przebierać w odzież podróżną. Nie był naiwnym marzycielem, żeby wierzyć w potęgę Imperium i nieśmiertelność boskiego władcy. W bankach poza Cesarstwem miał odłożoną niezłą sumkę, która wystarczy mu na długie, wygodne życie. O ile będzie zainteresowany takim życiem. Naciągnął spodnie z dobrej jakości sukna i zaraz potem obuwie. Nie były to typowe jeździeckie buty z cholewami, ale takie, w których mógł się wygodnie poruszać i w

mieście, i w lesie. Nagle jego wzrok przykuł róg białej koperty wystającej przez szparę w drzwiach. Duno odruchowo sięgnął po miecz i ostrożnie zbliżył się do drzwi. Czekał minutę, dwie, trzy. Nic nie słyszał, nic się nie poruszyło. Gwałtownie otworzył i uskoczył plecami do ściany. Korytarz był pusty. Ostrożnie, jakby w kopercie mógł się ukrywać żywy skorpion, podniósł ją i otworzył. Znalazł bogato zdobione zaproszenie dla dwóch osób na uroczysty bal maskowy urządzany przez gubernatora Fenidong na cześć rozpoczęcia nowego sezonu handlowego. Zajrzał do koperty jeszcze raz i wyciągnął małą karteczkę. Zamaszystym, energicznym pismem skreślono:

*Mam dla pana interesująca ofertę handlową. Proszę założyć czarno-białą maskę. Będę mieć taką samą.*

Podpisu nie było. Duno zamknął drzwi, odłożył miecz i usiadł na łóżku. Zaproszenie wyglądało ciekawie, a odjechać mógł w dowolnym momencie. Również po balu.

\*\*\*

Arthur Duno podał odźwiernemu swoje zaproszenie i został z szacunkiem zaprowadzony do pałacu. Miał na sobie długi płaszcz obszyty futrem z soboli, kurtkę z krokodylej skóry i koszulę z wysokim, mocno wykrochmalonym kołnierzem. Do tego wypolerowane trzewiki z wąskimi noskami zgodnie z najnowszą modą. Twarz zakrywała mu czerwona maska. Większość gości nakładała maski przed wejściem do pałacu, dlatego nie rzucił się w oczy, kiedy z wynajętego powozu wyszedł już z zakrytą twarzą. W płaszczu było mu gorąco, ale łatwo ukrył pod nim miecz. Niektórzy goście wprawdzie pysznili się bronią, lecz były to tylko ozdobne sztuki dobre do teatru albo do olśniewania bogactwem. Duno przyszedł bez damskiego towarzystwa, ponieważ w końcu stwierdził, że przysporzyłoby to tylko problemów.

Dla gości dostępne były całe dwa piętra głównego budynku pałacu. Przeszedł przez wszystkie pomieszczenia i saloniki z poczęstunkiem, jednak nigdzie nie znalazł śladu żadnej przygotowywanej zasadzki. W pustym pokoju zmienił czerwoną maskę na czarno-białą i wrócił do głównej sali. Tymczasem zaczęła grać muzyka na tarasie i parkiet do tańca się zapełnił. Duno usiadł przy stole blisko wyjścia i czekał. Mężczyzny, który zaprosił go na spotkanie, nigdzie nie widział. Nie spieszył się ani nie był specjalnie zdenerwowany. Rzeczy miał spakowane w workach podróżnych, w trzech różnych stajniach czekały na niego przygotowane konie. Dopiero w drugiej połowie wieczoru z zamieszania na parkiecie wyłonił się mężczyzna z brodą, która wyglądała na sztuczną, i w czarno-białej masce.

- Arthur Duno? - zapytał zamiast powitania.

- Proszę usiąść - zachęcił go Duno.

- Polecono mi pana jako bardzo zdolnego człowieka. Mam dla pana interesującą propozycję - mężczyzna przeszedł do rzeczy bez owijania w bawełnę.

Duno oceniał nieznanego. Tamten mówił jak człowiek z wyższych sfer, umiał się ubrać, dysponował wrodzonym autorytetem i najwidoczniej był przyzwyczajony do wydawania rozkazów.

- Jak pan mnie znalazł? - zaczął od sprawy, która najbardziej go interesowała.

- Dowiedziałem się, że był pan ranny. Wystarczyło zadać kilka pytań we właściwych miejscach.

Duno skorygował swoją opinię o nieznanym. Jeśli był w stanie skontaktować się z wszystkimi lekarzami w mieście i dowiedzieć od nich o pacjentach, musiał należeć do tych najwyższych albo

najbogatszych sfer. W większości przypadków chodziło o te same osoby.

- Kto mnie polecił? - pytał dalej. Mężczyzna wahał się tylko chwilę.

- Powiem prosto z mostu. Zwrócił mi na pana uwagę jeden z dyplomatów cesarza. Według niego nie powiodła się panu pewna akcja i zgadywał, że będzie pan chciał stąd zniknąć.

- Jeśli crambijski dyplomata powiedział panu coś takiego, to znaczy, że pracuje pan dla cesarza - odpowiedział Duno zimno.

Nieznajomy przytaknął. Duno podniósł się do wyjścia.

- W tym wypadku pańska oferta mnie nie interesuje. Nie chcę mieć nic wspólnego z cesarzem. Właśnie przygotowuję się, żeby wymówić mu służbę.

- Proponuję panu sześć tysięcy złotych za zabicie człowieka o nazwisku Koniasz i zniszczenie karawany, którą kieruje.

Duno zatrzymał się zaskoczony. Nie wchodzi się dwa razy do tej samej wody, przypomniawszy mu się stara prawda. I on wcale nie chciał do niej wchodzić. Chociaż propozycja, żeby przeciwstawić się znów Koniaszowi, była nęcąca i przerażająca jednocześnie.

- Czego dokładnie pan ode mnie oczekuje? - zapytał, żeby zyskać na czasie.

Mężczyzna pod maską się uśmiechnął, jakby sytuacja rozwijała się dokładnie tak, jak oczekiwał.

- Zabije pan Koniasza i rozproszy karawanę, żeby już się nie dało zebrać jej razem. Metody, jakich pan użyje, zależą od pana.

Duno uświadomił sobie, że o podobnej okazji właściwie skrycie marzył. Nie potrafił sobie wyobrazić, jakby żył dalej z myślą, że gdzieś jest człowiek, który go pokonał.

- Wchodzę w to - odpowiedział.

\*\*\*

Dopiero po dwunastu dniach przymusowego leżenia w szopie ozdrowiałem na tyle, że odważyłem się wyruszyć z powrotem do Fenidong. Na początku choroby prawie całe dni przesypiałem, później uśmiechnęło się do mnie szczęście w postaci zabłąkanego cielęcia, które zarznąłem i zjadłem do ostatniego kawałka. Mimo to wychudłem na wiór. Miałem nadzieję, że gorączkowe poszukiwania podpalacza już osłabły. Koniecznie potrzebowałem kilku następnych dni odpoczynku z odpowiednią ilością jedzenia i większym komfortem, niż zapewniał rozlatujący się budynek i kupka zeszłorocznego siana. Wiedziałem, że nie dogonię karawany w umówionym terminie, ale wierzyłem, że Kowalski i Bryzold poradzą sobie beze mnie.

Droga do miasta porządnie mnie wyczerpała, chociaż nie było to więcej niż piętnaście kilometrów. Daleko mi jeszcze było do normalnej kondycji. Strażnicy przy bramie przyglądali mi się wprawdzie podejrzliwie, ale nie zatrzymali. Nie miałem przy sobie wiele pieniędzy, dlatego skierowałem się do dzielnicy rzemieślniczej, żeby tanio się najeść. Przed gospodą z przyzwyczajenia obejrzałem tabliczki, na których zarząd miasta wypisuje listy przestępców i osób poszukiwanych. Na honorowym miejscu pośrodku widniała moja własna podobizna, a pod nią napis: „Poszukiwany żywy lub martwy. Uwaga, uzbrojony i bardzo niebezpieczny. Nagroda tysiąc złotych”.

Słumiłem natychmiastową chęć, żeby się odwrócić i uciekać. Mój portret był bardzo dobrze

narysowany, ale na szczęście malarz przedstawił mnie w momencie, kiedy byłem gładko ogolony, krótko ostrzyżony i ważyłem o dobre piętnaście kilogramów więcej niż obecnie. Zdecydowałem, że odłożę wizytę u cyrulika i zniknę z Fenidong jak najszybciej będę mógł. Od porządnego jedzenia jednak nic nie mogło mnie odstraszyć. Pierwszą porcję pochłonałem tak szybko, że aż dostałem przy stole zadyszki. Do drugiej zamówiłem dzban wina, a przy trzeciej byłem w stanie skoncentrować się również na czymś innym niż gryzienie i połykanie. Jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby rząd w kupieckim państwie dał za jakiegoś przestępcę tysiąc złotych. Jak dla mnie była to wprost niewyobrażalna rozpusta. Ponadto jeśli któryś z radnych przejawiał nadmierną gorliwość, gubernator Valer prawdopodobnie by się wtrącił. Nawet gdyby grał z nami w jakąś grę, z pewnością nie chciałby, żeby po śladach przywódcy karawany, w którą zainwestował niezłą sumę pieniędzy, wyruszyła cała zgraja gońców. Dobrze wiedziałem, jak to się odbywa w takich sytuacjach, ponieważ kiedyś zarabiałem na życie jako łowca nagród. Tysiąc złotych oznaczało, że dała je osoba prywatna. Przez chwilę rozważałem myśl, żeby sprawdzić, Jęto stoi za pieniędzmi, potem ją jednak odrzuciłem, najważniejsza była karawana.

- Proszę pana?

Kelnerka niepewnie mi się przyglądała.

- Czy będzie pan sobie życzył jeszcze jeden obiad?

Moment się wahałem. Mądrzy twierdzą, że przejadanie się jest niezdrowe, ale z drugiej strony co zjemy, tego nam już nikt nie zabierze. Jeśli oczywiście nie użyje do tego kawałka dobrze naostrzonej stali. Miałem jednakże nadzieję, iż dam radę przypilnować własnego brzucha.

- Tak. Wezmę jeszcze gęś. Taką samą, jaką pani przyniosła tamtemu panu.

Pokazałem na grubasa z potrójnym podbródkiem, który głośno mlaszcząc, połknął pierwszy kęs. Obserwował swoją pieczeń z podziwem, który u większości mężczyzn jest zarezerwowany dla długonogich kobiet o odpowiednich krągłościach. Znowu byłem głodny. Nic tak nie poprawia apetytu jak dwa tygodnie ścisłej diety.

\*\*\*

Kowalski zatrzymał konia i posępnie obserwował posuwającą się pomału karawanę. Z bliska hałas był ogłuszający. Skrzypienie drewnianych kół, wrzawa ludzi, ryk bydła, regularny stukot kopyt. Wzniesiony kurz lepił się do twarzy i razem z potem tworzył swędzącą warstwę brudu. Delikatnie pofalowany, pagórkowaty obszar został za nimi, teren się podnosił, na horyzoncie mgliście rysowały się wysokie góry. Najwyższe szczyty były uwieńczone bielą pól lodowcowych. Kowalski wiedział, że jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, przez cały czas podróży będą mieć łańcuchy górskie po lewej ręce. Miejscami co prawda będą się do nich zbliżać, ale wciąż trzymając się w mniej więcej przejezdnej okolicy. Obejrzał się. Palisada Bosku zlewała się z horyzontem, jeszcze rozpoznawał kontury najwyższych budynków. Popędził konia, wmieszał się między wozy i dogonił czoło karawany. Zauważył, że niektórzy mężczyźni przyglądają mu się z nieskrywaną niechęcią, ale nie zwracał na to uwagi. Rozmowy z farmerami i ciągłe łagodzenie ich sporów już całkiem powierzył Bonsettiemu. Chociaż plenipotent marmockiego władcy pozwolił im przejechać przez księstwo, Kowalski nie przestawał myśleć o setce jego ciężko uzbrojonych żołnierzy na koniach. Sam miał do dyspozycji dwudziestu najemników i pięćdziesięciu ledwo wyćwiczonych farmerów. Wojsko księcia rozpedziłoby ich w jednej chwili. Los wszystkich ludzi w karawanie zależał jedynie od

respektowania za-; wartego porozumienia.

Natasza siedziała na ławeczce, upijała wino z blaszanego kubka i wesoło paplała z Honzą. Rezka krytycznym okiem oceniła swoje dzieło kulinarne. Sarnina w cieście z kartofli, starty chrzan i świeża cebula. Ostatecznie wyglądało to całkiem dobrze. Menu starannie zaplanowała wcześniej i wszystkie potrzebne rzeczy kupiła w Bosku. Nie była doświadczoną kucharką, przygotowanie jedzenia zabrało jej dużo czasu i wciąż denerwowała się, żeby i niczego nie popsuć. Darkyego, szczenię, które Led kupił w mieście, musiała przywiązać do drzewa, ponieważ; ciągle mieszał jej się do gotowania.

Natasza dźwięcznie się z czegoś zaśmiała. Rezka zdecydowała, że z następnym kieliszkiem wina poczeka na Leda. To w dzbanie było świeże, kolejne dwie butelki chłodziły się w wiadrze. Kiedy zaproponowała Nataszy pierwszy kieliszek, powiedziała, że wykruszył się korek i że lepiej będzie wypić zawartość, niż ją wylać, po chwili wahania Natasza spróbowała i stwierdziła, że wino jej smakuje. Rezka z zadowoleniem przytaknęła sobie w duchu. Dobrze zgadła, że młodej dziewczynie najbardziej będzie pasować słodkie porto.

Między wozami pojawił się Kowalski. Był zakurzony i na pierwszy rzut oka zmęczony, za uzdę prowadził konia. Rezka obserwowała go spod zmrużonych powiek. Już wcześniej zauważyła, że im dzień był bardziej męczący i cięższy, tym lepiej Led opiekował się zwierzętami. I nie tylko zwierzętami. Wszystkim i wszystkimi, którzy byli mu bliscy. Przez chwilę się wahała, czy naprawdę chce przeprowadzić swój plan, ale w końcu wzruszyła ramionami. Kosztowało ją to tyle wysiłku i przemyśleń, a zresztą - takie rzeczy nic dla niej nie znaczyły. Zgodnie z umową kiwnęła na Honzę. Ten się podniósł, bez pytania wziął od Kowalskiego uzdę i odprowadził wałacha. Kowalski chciał coś powiedzieć, ale zainteresowała go przygotowana kolacja.

- To wygląda uroczyście, coś się stało?

Natasza ześliznęła się z ławki, przywitała Leda pocałunkiem i podała mu ręcznik i mydło. Kowalski przez chwilę wyglądał na zdziwionego, potem rozbawionego. Rezka stłumiła uczucie zazdrości. Przecież wszystko przebiegało zgodnie z jej planem.

- W zakolu za wierzbami jest porządne kąpielisko, w wozie masz przygotowane czyste ubranie - poleciła mu.

Kowalski niezdecydowanie popatrywał to na nią, to na Nataszę.

- Coś się stało? Natasza chwyciła go za rękę.

- Nie. Przed Boskiem wyglądałeś na bardzo zatroskanego, powiedziałyśmy sobie z Rezką, że będziemy świętować, jak już to będzie za nami. Pokażę ci to miejsce, jest naprawdę piękne i nikt tam nie chodzi.

Rezka spróbowała, czy fasola jest już miękka. Natasza, jeśli się rozluźniła i nie zachowywała jak stara panna, była naprawdę czarująca. A w nowej sukni z dekoltem, którą Rezka przerobiła specjalnie na tę okazję, była po prostu zniewalająca. Ponownie ją zdziwiło, jak Led w niektórych sytuacjach jest naiwny. W ogóle nie wyczuł, o co chodzi. Jednocześnie każdej kobiecie wystarczyłoby jedno spojrzenie na wystrojoną dziewczynę i przygotowaną kolację. Westchnęła: Natasza naprawdę wyglądała ślicznie. Po raz pierwszy w życiu Rezka sobie życzyła, żeby też była piękna. Wcześniej nigdy jej to nie obchodziło, ponieważ mężczyźni zaczepiali ją od momentu, kiedy przestała wyglądać jak chłopak.



Powoli się zmierzchało, żar dnia minął, powietrze było świeże, pachniało wilgocią i kwitnącymi lipami. Jedli na zewnątrz, w okolicy, co dziwne, nie było żadnych komarów ani moskitów. Rezka nałożyła wszystkim słuszną porcję sarniny, wino rozlała do blaszanych kubków. Początkowo jedli w milczeniu.

- Facet obok jest dobrym garbarzem. Widziałam, jak wyprawiał skórę z jelenia. Jest delikatna, prawie jak materiał. W górach będziemy potrzebowali ciepłych ubrań. Moglibyśmy od niego kupić parę sztuk - Rezka podrzuciła temat.

Kowalski natychmiast się tego chwycił. Wszystko, co miało związek z przyszłym gospodarzeniem, go interesowało i mógł o tym ochoczo dyskutować z każdym. Wieczorem, kiedy miał trochę czasu, szkicował na piasku rozmieszczenie pól, zagród, plany domów. Rezka następną uwagą zmieniła temat rozmowy, żeby mogła w niej wziąć udział również Natasza. Rozmawiali teraz o ubraniach podróżnych. Kiedy z Honzą odchodziła od ogniska, ci dwoje nawet tego nie zauważyli.

Usiedli koło koni i na zmianę popijali wino z kubka, który przynieśli ze sobą. Rezka oparta o pień drzewa patrzyła w ciemność.

- Ty to wszystko zaplanowałaś?

Uświadomiła sobie, że Honza pyta ją już po raz drugi.

Przytaknęła.

- Tobie to nie przeszkadza? Znow przytaknęła.

Widziała, że Honza chce coś powiedzieć, ale w końcu przełknął zdanie.

- Dobranoc. Jeśli będziesz czegoś potrzebować, przyjdź. Będę spać u swoich, na skraju przy dwukółce.

Pożegnał się przelotnym dotknięciem i odszedł. Rezce zaczęło być zimno, ale nie chciała jeszcze iść do wozu. Bała się, że ich usłyszy. Skrzywiła się i wypila resztkę wina. Nigdy by nie uwierzyła, że właśnie to może jej przeszkadzać. Potem przyszło jej do głowy, że zrobiła największe głupstwo w życiu. Płakała, dopóki nie usnęła.

O świcie obudziła się z zimna. Przywlokła się do wozu, obfita rosa zmoczyła jej spódnicę po kolana. Szczękała zębami, po nocy spędzonej na zewnątrz bolały ją zziębnięte stawy. Chociaż wiedziała, że to nedorzecznosc, przez chwilę miała nadzieję, że kiedy odgarnie płachtę, Natasza będzie spała na skrzyni. Wóz oczywiście był pusty. Rezka leżała pod przykryciem i wciąż nie mogła się rozgrzać. Skośne promienie słońca przenikały przez grubo tkaną płachtę i sprawiały, że były widoczne pyłki kurzu wirujące w powietrzu. Innego dnia o tej porze Kowalski dawno byłby na nogach i budziłby innych mężczyzn. Z tą myślą usnęła.

Obudziło ją dopiero kołysanie wozu. Wyjrzała na zewnątrz. Na koźle siedział Honza Szoblaj, drugim wozem, jadącym na holu, kierowała Natasza. Rezka podgarnęła tylną płachtę i przez szparę przez chwilę po kryjomu jej się przyglądała. Natasza ubrana była w zwykłą podróżną odzież, ale włosy miała starannie rozczesane i spięte swoją najładniejszą spinką, pomalowała sobie nawet oczy. Rezka się skrzywiła. Sama ją tego nauczyła, a w Bosku pomogła wybrać właściwy kolor cieni. Natasza nie zwracała zbytniej uwagi na otoczenie i uśmiechała się rozmarzona. Nagle cała się rozpromieniła. Pole widzenia Rezki było ograniczone, ale nie chciała bardziej rozszerzać szpary. Z boku wyłonił się Kowalski na koniu i czule uśmiechnął się do Nataszy. Rezce z zawiści ścisnęło się

serce, powoli zaciągnęła płachtę. Już ich nie chciała widzieć. Początkowo starała się powstrzymać łzy, na próżno. Ten uśmiech mógł należeć do niej. Cicho płakała aż do obiadu, a potem wpadła w odrętwiałą obojętność. Smutek i żal ją wyczerpały, już nawet nie złościła się na Nataszę. To wszystko było jej błędem i właśnie dokładnie tego chciała. Nie miała jednak pojęcia, że jeden uśmiech może mieć dla niej taką wartość.

Rozejrzała się po wnętrzu wozu innymi oczami. Przyzwyczała się uważać go za swój dom, mimo że był to tylko ciężki powóz kupiecki. Teraz zmienił się dla niej w miejsce należące do kogoś innego, jedno z wielu, gdzie już w życiu przebywała. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogłaby zostać razem z Ledem i Nataszą. Zdecydowała, że wróci do Bosku, a potem spróbuje się dostać z powrotem do jakiegoś dużego miasta Ligi. W małych miasteczkach kobietom jej pokroju raczej się nie wiodło. Spakowała swoje rzeczy w tobołek, do tego zapas suszonego mięsa i jabłek. W nocy chciała odjechać na jednym z koni Leda. Nie wierzyła, że z tego powodu będzie ją ścigać. Przy tej myśli znów puściły Rezce nerwy i zaczęła płakać.

Krótko przed wieczornym rozbiciem obozowiska ześliznęła się z wozu i zniknęła na równinie. Przejeżdżali teraz przez pofalowane morze trawy, w której łatwo ukryła się przed oczami innych. Obserwowała karawanę z niewielkiego oddalenia, rozbiwszy obóz w odległości trzystu metrów. Po konia chciała iść dopiero po północy. Nie bała się, że ktoś mógłby ją o coś podejrzewać. Wszyscy wiedzieli, że należy do Kowalskiego. Usnęła z wyczerpania i dopiero późno w nocy obudził ją głośny szelest trawy. Ze strachem przywarła do ziemi. Nie miała pojęcia, kto albo co to jest, ale miała nadzieję, że w ciemności jej nie zauważy. Żdźbła przed nią się rozchyliły i zanim zdążyła porządnie się przestraszyć, poczuła na twarzy mokry szczeniący język Darkyego.

- Co ty tu robisz, kudłaczku? - szepnęła i pogłaskała zwierzę po głowie. Psiak zaskomlał.

- Aleś narozrabiała, dziewczyno - usłyszała z bliska znajomy głos, a za chwilę Kowalski stał już obok niej.

Widziała jego sylwetkę na tle rozgwieżdżonego nieba.

- Już się bałem, że ta bestia nie zrozumie, czego właściwie od niej chcę!

Rezka ponownie miała oczy pełne łez.

- Miałeś tu nie przychodzić! Już nigdy nie chcę cię widzieć! Znikaj! - krzyknęła.

Więcej nie zdołała powiedzieć. Trzęsa się z wściekłości, cieszyła i jednocześnie bała.

Led wziął ją w objęcia. Szaleńczo próbowała mu się wyrwać. Z przestraszeniem ją puścił. Rezka upadła na trawę i trzęsa się z płaczu, którego nie mogła opanować. Kowalski stał nad nią bezradnie i wołał już niczego nie próbować.

- Chciałam.. nie chciałam.. - Rezka próbowała tłumaczyć, ale za każdym razem kończyło się to atakiem szloch. - Zimno mi - westchnęła bez związku.

Kowalski klęknął przy niej, przykrył ich oboje swoim długim płaszczem i objął dziewczynę w talii.

- Już nie chcę być sama, boję się. Zrobiłam głupstwo... - Rezka czuła, że jeszcze słowo i znów zacznie chaotycznie pleść, do oczu cisnęły jej się nowe łzy, ciągle drżała od powstrzymywanych łkań. Kowalski zupełnie nie miał pojęcia, co ma robić. Siedział tylko i obejmował ją tak mocno, że

aż się bał, że ją skrzywdzi.

- Wiesz, ja w ogóle nie rozumiem kobiet - szepnął w końcu nieszczęśliwie. - Strasznie bym nie chciał cię stracić.

Rezka znów się rozplakała. W duchu wymyślała sobie od zakutych pał, ale nie potrafiła się opanować.

Siedzieli mocno objęci aż do rana. Rezka w końcu usnęła, a Led na rękach zaniósł ją z powrotem do obozu. Obudziła się, kiedy układał ją do łóżka.

- Nie masz racji - szepnęła. - Myślę, że rozumiesz kobiety lepiej niż wszyscy, których kiedykolwiek spotkałam.

Gdy Kowalski wyszedł z wozu, spotkał Nataszę. Właśnie wybiegła na zewnątrz owinięta jedynie w pled, wyglądała na zdenerwowaną i wystraszoną, oczy miała wilgotne i błyszczące. Kowalskiemu spomiędzy zaciśniętych warg wyrwał się cichy jęk. Objął Nataszę za ramiona i zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć albo zrobić, prawie siłą zaprowadził z powrotem do wozu.

- Jestem zmęczony, wczoraj nie jadłem kolacji, całą noc nie spałem. Jeśli ty również planujesz ucieczkę, zdradź mi to, proszę, wcześniej. Przedłużę południową sjęstę, żebym w nocy był w stanie utrzymać się na nogach - powiedział.

Nie wyglądało na to, żeby jego przemówienie wpłynęło na Nataszę uspokajająco, wręcz przeciwnie - w jej oczach zabłyszczały łzy.

- Proszę, nie. - Kowalski pokręcił głową.

Był wykończony, brakowało mu sił i wyobraźni. W życiu nie widział tylu kobiecych łez.

- Obiecuj mi - pocałował mocno Nataszę - że mi - pocałował ją po raz drugi - nie uciekniesz.

Wydawało się, że tak prowadzona rozmowa nie pogarsza sytuacji, dlatego kontynuował w ten sam sposób.

- I proszę... zaopiekuj się... Rezką. Jest nieźle przeziębiona. A ty też... nie chodź... na zewnątrz... na wpół naga.

Ostatni pocałunek nie był już konwersacyjny, lecz był pocałunkiem dla pocałunku.

Tego dnia żadna przeszkoda nie wydawała się Kowalskiemu nie do pokonania. Kiedy straż przednia oznajmiła mu przed obiadem, że na drodze stoi im stromy kanion o długości kilkudziesięciu kilometrów, ku zdziwieniu innych odparł, że są gorsze rzeczy.

## Rozdział 3

### W drodze

Rezka wyjechała poza strumień wozów i rozejrzała się po okolicy. Już któryś dzień z kolei podróżowali łagodnie pofalowaną równiną porośniętą sztywną, ostrą trawą sięgającą jeźdźcom aż do kolan. Na wschodzie niezmiennie wznosiły się góry z białymi czapami. Nawet z daleka wyglądały na nieprzystępne i groźne. Rezka cieszyła się, że zgodnie z planem podróży obejdą je.

Nie mogąc wytrzymać nieustannego skrzywienia drewnianych osi wozów, niekończących się wstrząsów na koźle, już trzeci dzień jechała w siodle. Mimo że bolały ją pośladki i uda, wydawało się to o wiele wygodniejsze. Poklepała Blyznę, dorodną, łagodną kobyłę, którą kupił dla niej Led, i popędziła ją szturchnięciem piętami. Nie zważając na ostrzeżenia i rady, odmówiła ostróg. Nie umiała sobie wyobrazić, po co miałyby robić Blyźnie krzywdę. Skierowała wzrok na ludzi. Jak zwykle zarejestrowała kilka spojrzeń wyrażających zgorzelenie.

Rezka ubrana była w spodnie i siedziała w siodle po męsku. To oczywiście nie podobało się purytanom. Nie podobało im się też, że jeździła sobie tu i tam. Drażniło ich również, że należy do Leda. Fakt, że ten mężczyzna żyje z dwiema kobietami, doprowadzał ich prawie do szaleństwa. Rezka popędziła Blyznę i dogoniła Nataszę. Wozem kierował pomocnik, którego Led wynajął na parę dni.

- Nie chcesz się przejechać ze mną? Spodoba ci się, pojedziemy gdzieś dalej. Odpoczniesz od kurzu i tego wiecznego hurgotu - kusił przyjaciółkę.

- Led powiedział, że nie powinnaś odjeżdżać daleko, w trawie mogą się ukrywać jakieś zbiry - odmówiła Natasza.

Nawet w trzęsącym się wozie starała się coś wyszywać i, co dziwne, udawało jej się to. Rezka wychyliła się z siodła, żeby zobaczyć motyw na obrusie.

- Bardzo piękne - pochwaliła powstający haft. Natasza uśmiechnęła się promiennie.

- Poczekaj, aż będzie cały.

Rezka popędziła Blyznę i zręcznie przecisnęła się między dwoma wozami. Po trzech dniach w siodle zaczynała się czuć jak doświadczony jeździec, chociaż po pierwszym upadku uważała, że nigdy już nie usiądzie na końskim grzbiecie. Jej myśli na chwilę zeszyły na Nataszę. Cieszyła się, że po porannej rozmowie wrócił przyjaciółce dobry humor i już się nie złościła. Musiała użyć całej swojej elokwencji, żeby przekonać Nataszę, że zajście w ciążę podczas drogi, która może jeszcze potrwać ładne parę miesięcy, nie jest najlepszym pomysłem. Na Ledzie w tej materii oczywiście nie można było polegać. Z rozbawieniem się uśmiechnęła. Na szczęście istniało mnóstwo sposobów uniemożliwiających poczęcie, a Rezka większość z nich знаła. Napar, który przygotowała, był gorzki, ale skuteczny. Zmusiła Nataszę, żeby go wypila w jej obecności.

Kowalski jak zwykle jechał pięćdziesiąt metrów przed czołem całej karawany. Był jeszcze bardziej zasępiony niż zazwyczaj. Koniasza ani widu, ani słyhu, ponadto Kant, który pełnił funkcję przedniego wywiadowcy, nie pojawił się od wczorajszego poranka. Za półtora tygodnia zgodnie z mapą mieli dotrzeć do granicy dabavsko-ryżskiej. Oficjalnie umowa o przejeździe karawany została zawarta, ale Ryżanie mieli złą opinię i czasem dochodziło do starć między mieszkańcami a dzikimi plemionami z gór. Zgodnie z ową umową granicę mieli przekroczyć przy Salisbur, małej

przygranicznej twierdzy na rzece oddzielającej Dabavię od Hrabstwa Ryżskiego. Właśnie przechodząc przez hrabstwo, mieli najbardziej przybliżyć się do gór. Kowalski rozmyślał, ilu ludzi przypląci życiem przejście pięciuset metrów w górę. Już podczas jazdy przez Pogórze Marmockie wypadków i śmiertelnych obrażeń było więcej niż dość.

- Posępnie pan wygląda. Nie powinien pan mieć takiej miny. To robi złe wrażenie na ludziach - przeszkodził mu w rozmyślaniach Baribald Bryzold, który tymczasem podjechał.

Kowalski początkowo trzymał czarownika na dystans, ale stopniowo zauważał w nim praktycznego człowieka, którego rady są użyteczne, a ponadto wyczuł bratnią duszę, faceta, który lubi rzemiosło i pracę w ogóle.

- Za granicą będziemy wędrować górami. Nie możemy mieć tylu nieszczęśliwych wypadków jak podczas przejścia przez Pogórze Marmockie - Kowalski wypowiedział na głos swoje obawy.

- Musimy mieć lepszą organizację. Ludzie powinni się nawzajem wspierać - odparł Bryzold.

- Stworzymy brygady z linami, które pomogą zwierzętom podczas najgorszych odcinków, i grupy, które z wyprzedzeniem będą wyrównywać drogę. Ludzie muszą sobie uświadomić, że los każdego wozu zależy od wszystkich uczestników - rozwijał myśl Kowalski.

- To mogłoby zadziałać. Bonsetti to zorganizuje - zgodził się Bryzold.

- Cholera - zaklął nagle Kowalski.

Krótko gwizdnął i podniósł lewą rękę. Karawana przy głośnym krzyku i przeklinaniu woźniców zatrzymała się. Po chwili zamieszania ustawiły się dwa oddziały wyćwiczonych farmerów i zajęły miejsce po bokach. Połowa wynajętych żołnierzy uformowana w rozłożony wachlarz wyruszyła do przodu, żeby zbadać sytuację.

- Wolno, zbyt wolno. Gdyby chcieli zaatakować, już dawno bylibyśmy rozbici - warknął Kowalski.

Bryzold dopiero teraz zauważył mężczyzn brodzących w morzu trawy w ich kierunku.

- Jest ich tylko dwóch - powiedział.

- Ale idą beztrąsko i nie ukrywają się. Jeśli byłbym sam przeciwko takiemu zastępowi ludzi, zachowywałbym się ostrożniej. Musi być ich więcej - tłumaczył Kowalski z niepokojem.

Pierwszy rozpoznał przybyłych Umwald.

- Koniasz! - wykrzyknął z entuzjazmem i natychmiast zdziwił się swoją radością.

Chwilę później Kowalski odwołał alarm. Drugim mężczyzną był Kant.

- Cieszę się, że pan wrócił - burknął Kowalski ze źle skrywaną ulgą, kiedy spotkał się z Koniaszem twarzą w twarz.

\*\*\*

Kowalski w skrócie, ale dokładnie, zapoznał mnie z sytuacją. Udawało im się utrzymywać średnią dzienną między dwadzieścia a dwadzieścia pięć kilometrów i jak dotąd stracili około trzydziestu ludzi. Kilkoro zginęło podczas wypadków, a pozostali pewnej nocy stwierdzili, że mają dość wędrowki, i bez pożegnania się odłączyli. Ziarna i ekwipunku oczywiście nie oddali. Na wynajętych

przez Kowalskiego żołnierzach mniej więcej można było polegać, a oni sami teraz zajmowali się rekonesansem i podstawową ochroną karawany. W sumie nie szło nam źle. To jednak nic nie znaczyło, ponieważ byliśmy dopiero na początku drogi i najtrudniejsze wciąż jeszcze było przed nami. Największym problemem według Kowalskiego okazywały się sprzeczki między farmerami, głównie między purytanami i biednymi góralami. Bonsetti twierdził to samo.

Wzięłem udział w cowieczornej naradzie z wójtami. Bonsetti podzielił rolników na dziesięć grup, średnio stuosobowych, i o bieżących sprawach rozmawiał z ich przywódcami. Żeby żaden z wójtów nie miał na swoich ludzi zbyt dużego wpływu, utrzymywał jednocześnie kontakt z innymi silnymi i niezależnymi ludźmi. Przez pierwsze pół godziny omawiali kwestię, kto następnego dnia będzie jechał na końcu karawany. Nikomu nie zależało na połykaniu wzbitego kurzu. Debata była burzliwa, lecz nie mogła się równać z następną dyskusją. Chodziło o to, ilu ludzi każdy z wójtów zwolni do regularnego umacniania drogi. Wójtowie kłócili się bardziej niż handlarze i nawet sobie grozili. Bonsetti minimalnie ingerował w spory, jedynie w momentach, kiedy już rzeczywiście nie było innego wyjścia. Znał się na tym i w końcu wszyscy robili to, czego od nich oczekiwał. Bardzo mu pomogło, że siedziałem obok niego. Zastępowałem stracha na wróble. Wystarczyło parę wymownych spojrzeń Bonsettiego typu: „Jeśli nie będziecie robić tego, czego chcę, ten tam brzydki i niebezpieczny facet popędzi wam kota” i nawet najwięksi zawadiacy się uspokajali. Najwięcej problemów sprawiał Faracius Edugan. Od pierwszego spojrzenia nie znosił Kowalskiego i czasem wyraźnie to okazywał. Kilku wójtów komun purytańskich otwarcie uznawało Edugana za swojego nieoficjalnego przedstawiciela.

- Coś dla pana mam - zatrzymał mnie Baribald Bryzold, kiedy już wszyscy inni odeszli, i podał mi cienką, oprawioną w skórę książeczkę. Na stronie tytułowej zamaszystym, wyblakłym przez lata pismem widniało: Joseph Achromet: Notatki z Gór Grimma.

Dziennik był ostemplowany ołowianą pieczęcią ozdobioną skomplikowanym reliefem, który na pierwszy rzut oka wyglądał bezsensownie.

- Z pieczęci wynika, że książka jest własnością naszego klanu od ponad pięćdziesięciu lat. Nie miałem o tym najmniejszego pojęcia, ale ujrzałem ją na stole w gabinecie Wielkiego Mistrza.

- Wie pan, co jest w środku? - zapytałem. Pokręcił głową.

- Gdybym otworzył dziennik, Wielki Mistrz, który prawdopodobnie zrobił pieczęć, dowiedziałby się o tym. Wydalono by mnie z klanu. A tego nie chcę.

- A jeśli pieczęć naruszę ja? Baribald Bryzold uśmiechnął się.

- Wielki Mistrz będzie myślał, że podczas swojej wizyty w naszej cytadeli odwiedził pan w sekrecie jego gabinet. A ponieważ nawet on nie ma prawa zatrzymywać tylko dla siebie klanowych archiwaliów, nie robi wokół tego wielkiego szumu. Mam nadzieję, że panu... że nam wszystkim pomoże, kiedy pan się z tym dziennikiem zapozna.

Skinął mi na pożegnanie i odszedł.

\*\*\*

Wreszcie wszystkie obowiązki miałem za sobą i po chwili poszukiwania znalazłem obóz Umwalda. Wóz i ładunek wydawały się w porządku, nawet zwierzęta były w dobrym stanie. Wytarłem oba konie do sucha, porządnie je wyczyściłem zgrzebłem i każdemu zawiesiłem na szyi

torbę z owsem. Zasłużyły na to. Tymczasem Umwald bez gadania rozniecił ogień i zaczął coś smażyć. Ładnie zapachniało. Na kolację dostałem jajka sadzone na bekonie ze świeżym chlebem. Z dała od cywilizacji tak dobrej kolacji chyba jeszcze nigdy nie jadłem. Sam Umwald wyglądał zdrowo. Nie schudł, przeciwnie - w ciągu czterech tygodni, kiedy się nie widzieliśmy, przytył.

Byłem zmęczony. Zaraz po kolacji zawiązałem się w koce i usnąłem szybciej, niż zapadł zmrok.

Ze snu zbudził mnie głośny krzyk i wyzwiska. Włożyłem buty i z mieczem w ręku pobiegłem w kierunku głosów. Do jednego krzykacza dołączyli następni, aż nie dało się rozpoznać znaczenia słów. Ludzie szybko wstawali, w ciemności roilo się od zaspanych ciekawskich. Zazwyczaj budzę się w pełni przytomny, ale tym razem oczy miałem na wpół sklezione i nie do końca kojarzyłem jak należy. Oprócz krzyków ludzi nic się nie działo. Na pewno jednak nie chodziło o atak na karawanę. Raczej do obozu zabłąkało się jakieś dzikie zwierzę. Miałem tylko nadzieję, że nocne zamieszanie nie wybuchło z powodu kobiety. Z ostatnim takim wydarzeniem łączyły się nieprzyjemne wspomnienia i nie chciałem ich sobie przypominać.

Przepchnąłem się przez tłum. Wewnątrz kręgu ludzi stali chłopak i dziewczyna i ze strachem trzymali się za ręce. Jęknąłem w duchu. No i stało się. Co dziwne jednak, w centrum uwagi nie byli oni, ale dwie grupki mężczyzn.

- Ten twój bachor zgwałcił moją córkę! Za to go zabiję i ciebie również! - krzyczał krępy, brodaty facet koło czterdziestki, wściekle wymachując długim, okutym kijem.

Dziewczyna nie wyglądała na zgwałconą. Na wystraszoną to tak. Ludzie, którzy akurat nie zajmowali się wykrzykiwaniem pogroźek pod adresem członków drugiej grupki, mierzyli ją wzgardliwymi i potępiającymi spojrzeniami. Ze strzępów rozmowy zrozumiałem, że są to jej krewni. Przytuliła się do chłopaka, który, jak twierdził jej ojciec, pozbawił ją honoru. Nigdy nie zrozumieć pewnego ludzkiego wyobrażenia o honorze.

- Tylko spróbuj, a zobaczysz, jak smakuje glina! - odpowiedział takim samym groźącym tonem mężczyzna stojący na czele drugiej grupy. Oprócz kija między rozmocjonowanymi ludźmi widziałem również siekiery, kilku mężczyzn ukrywało w rękawach noże.

- Krew, tylko krew może ocalić nasze imię! - zajęczał pokrzywiony facecik, który wszedł w krąg słabego światła pochodni. Tłum z jednej strony zahuczał zgodnie. Nie widziałem żadnego sposobu, jak zapobiec grożącemu przelewowi krwi. Nie chodziło o uwiedzenie dziewczyny, ale o trwającą od dawna nienawiść między góralami a purytanami. W duchu przeklinałem tego chłopaka. Nie mogli ukrywać się lepiej? Cofnąłem się o krok, żeby mieć wokół siebie więcej miejsca, w lewej ręce trzymałem sztylet, w prawej miecz. Nawet gdybym krzykacza natychmiast zabił, w niczym już by to nie pomogło. Nagle broń była wszędzie wśród ludzi. Groźby stawały się coraz bardziej wulgarne i barwne, oczy błyszczały z wściekłości. Wiedziałem, że jeśli wybuchnie jatka, karawana się rozpadnie i całe przedsięwzięcie diabli wezmą. A ludzie zostaną sami w obcej ziemi. W najlepszym wypadku sprzedadzą się do niewoli, w najgorszym - z powodu majątku, jaki wiozą ze sobą, zostaną zabici. Zdecydowałem się postawić wszystko na jedną kartę i krzykacza uciszyć. Istniała mała szansa, że potem jego zwolennicy będą uważać na przesadne gesty. Krępy brodac z okutym kijem zamierzył się na mężczyznę z wrogiej grupy, w powietrzu błysnęła siekiera. Zamieniłem sztylet na nóż do rzucania.

Kowalski przedarł się bezpośrednio między rozwścieczonych mężczyzn. Czegoś takiego nigdy bym

nie zaryzykował. W rękę trzymał stary filcowy kapelusz.

- Zbiórka dla młodej pary! Kto wesprze młodą parę?

Wymownie podniósł kapelusz do góry. Ludzie ucichli. Częściowo ze zdziwienia, ponieważ podobnego rozwoju sytuacji nikt się nie spodziewał, częściowo dlatego, że bali się, żeby ich ewentualne głośne wypowiedzi nie zostały uznane za chęć wsparcia. Jeśli chodzi o pieniądze, każdy farmer jest skąpy. Kowalski podniósł w górę również drugą rękę i tak, żeby wszyscy widzieli, wrzucił do kapelusza wysokim łukiem garść monet. Złoto zabręczało, wnioskując z dźwięku, mogło to być osiem, dziesięć złotych, więcej, niż większość obecnych w życiu widziała naraz. Wyciągnął rękę z kapeluszem w kierunku rodziny młodzieńca. Ich przywódca się skrzywił, sięgnął jednak do sakiewki i dodał następnego złociska, pozostali krewni poszli w jego ślady. Kowalski zaczął pomału obchodzić ludzi, wybrał taką drogę, żeby do ojca dziewczyny dojść jako jednego z ostatnich. Ja dorzuciłem dwa dziesięciozłociszka i postarałem się, żeby porządnie zabręczały. Dziesięciozłociszka mają charakterystyczny, głęboki dźwięk, czasem nazywa się je „rajskimi dzwonami”. W momencie kiedy Kowalski dotarł do purytanów, w kapeluszu była niezła sumka, a większość z tego w złocie. Sam się zdziwiłem, ile tam tego ludzie nawrzucali.

Kowalski potrząsnął monetami, zabręczało. Ludzie z zafascynowaniem przyglądali się rozwojowi sytuacji.

- Powiedziałbym, że mamy tutaj dobre osiemdziesiąt złotych. To naprawdę ładne wiano - rzucił Led w kierunku ojca dziewczyny.

Facet zajrzał do kapelusza i przełknął ślinę. Dla niego osiemdziesiąt złotych oznaczało bogactwo. Nie mógł nawet pomyśleć, że potrafiłby tak dobrze zabezpieczyć swoją córkę.

- To jest niezłe wiano. Jeśli ślub nie dojdzie do skutku, ludzie zabiorą swoje złoto - kontynuował Kowalski niezaangażowanym tonem profesjonalnego podbijacza cen na targu.

- Przyłączy się pan? Ojciec niezdecydowanie przestępował z nogi na nogę i nieświadomie ścisnął przy tym w rękę swoją okutą metalem pałkę. Jego towarzysze z napięciem go obserwowali. Popatrzył na kapelusz, potem na córkę, która wciąż przytulała się do swego kochanka. Nie był to zły chłopak. Z pewnością miał stracha, ale nie dawał tego po sobie poznać i jeszcze starał się uspokajać dziewczynę. To więcej, niż potrafi większość mężczyzn. Zgromadzeni nawet nie pisnęli, prawie słyszałem, jak opada rosa. Farmer w końcu sięgnął do paska i dorzucił do kapelusza swoją własną sakiewkę.

- Nie jestem żadnym biedakiem, żeby od swojego ojca nic nie dostała.

Ludzie odetchnęli z ulgą. Niepokój spowodowany nadchodzącą bójką dawno minął, wszyscy się cieszyli, że obeszło się bez martwych i pokaleczonych. Odwróciłem się i odszedłem z powrotem do swojego wozu. Zanim zawinałem się w koc, ponownie podniosła się straszna wrzawa, nie były to już pogroźki, ale ogólne świętowanie. Tym razem najgorsze było już za nami. Kowalski miał farmerów pod kontrolą. Wszystkich, nawet Faraciusa Edugana. Kiedy przechodziłem koło niego, przeszywał Kowalskiego nienawistnym spojrzeniem.

Rano obudziłem się o brzasku. Niebo na wschodzie było jasnoniebieskie, ale na zachodzie świeciły jeszcze gwiazdy. Pogoda była bezwietrzna, w morzu wysokiej trawy nie poruszało się ani jedno źdźbło. Budziły się pierwsze ptaki, w szarej ciszy od czasu do czasu rozbrzmiewał pojedynczy tręł, obóz jeszcze spał.



Czułem się zmęczony, lecz wiedziałem, że już nie usnę. W głowie kłębiło mi się zbyt dużo myśli. Usiadłem, oparłem się plecami o koło wozu i otworzyłem dziennik Achrometa. Na początku miałem problemy z rozróżnianiem liter napisanych wyblakłym atramentem, jednak wraz z nadchodzącym blaskiem czytało mi się coraz lepiej. Nie było żadnego wstępu, książeczka zaczynała się od razu pierwszą notatką:

*Wczoraj wyruszyliśmy w drogę. Tysiąc dwieście mężczyzn, kobiet i dzieci z niepełnym ekwipunkiem i niewystarczającymi zapasami na zimę. Mimo to mam nadzieję, że damy radę. W ciągu pierwszego dnia przejechaliśmy trzydzieści pięć kilometrów. To dosyć, ale z pewnością przyjdą dni, kiedy nie damy rady nawet połowy... Zdecydowałem się pisać dziennik. Wierzę, że gdy będę spoglądać wstecz, niektóre wspominki mogą być użyteczne. A także w swoich zapisanych myślach z pewnością znajdę otuchę.*

Zapis miał datę dwudziestego piątego maja 317 roku. Następny powstał trzy dni później:

*Przekroczyliśmy rzeczkę Oles i opuściliśmy teren oficjalnie należący do Fenidong. Z drugiego brzegu obserwowało nas kilkudziesięciu ludzi. Byli biednie ubrani i nie wyglądało na to, żeby należeli do sił zbrojnych miejscowego barona. Gonach, dowódca moich żołnierzy, chciał ich ścigać. Przekonałem go dopiero wtedy, kiedy zwróciłem mu uwagę, że to może być zasadzka - próba odwrócenia uwagi naszych żołnierzy. Nie jest za mądry. Może powinienem poświęcić więcej uwagi wybieraniu dowódcy? Żeby uniknąć spotkania z miejscowymi, zmieniłem trasę i zdecydowałem, że pójdziemy do granicy między Państwem Haackim a Lubuskim.*

*Trzynastego czerwca.*

*Droga przez bagna była piekłem. Utopiło się dwudziestu ludzi i straciliśmy cztery wozy. Wczoraj dotarliśmy wreszcie na suchy ląd, ale byłem tak zmęczony, że nie dałem rady nawet pisać. Dziś rano brakowało kolejnych dwóch wozów. Jeden z nich był wyładowany zapasami. Zboża będzie nam brakować, jednak nie mamy czasu na ściganie zbiegłych farmerów. Zwołałem wszystkich i powiedziałem, że następnych będę ścigać, a może nawet każe bez litości powiesić. Życzę sobie, żebym nie musiał spełniać swojej groźby.*

I tu następował długi spis produktów spożywczych i wyposażenia, które ze sobą wieźli.

Zaskrzybiało drewno, oderwałem wzrok od dzień nika. Nad horyzontem właśnie zaświeciły pierwsze promienie słońca. Ujrzałem Kowalskiego. Zatrzymał się na stopniach wozu, przeciągnął i rozejrzał dokoła. Nie zauważył mnie, pewnie przypuszczał, że obudził się pierwszy. Na moment popatrzył za siebie do wozu i czule się uśmiechnął. Nigdy bym nie powiedział, że mężczyzna może mieć taki miękki i miły wyraz twarzy. Zaciągnął płachtę i ostrożnie, żeby nie narobić niepotrzebnego hałasu, zeskoczył na ziemię. Szybko rozпалиł ogień i jeszcze zanim na zewnątrz pojawił się ktoś inny, w dzbanku bulgotała woda. Tymczasem zdążył jeszcze zająć się koniem i obudzić swego pomocnika, z którym podzielił się pierwszym metalowym kubkiem kawy. Potem napełnił dwa mniejsze i zaniósł do wozu swoim dziewczynom. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że coś ciepłego w żołądku też by mi nie zaszkodziło. Podniosłem się i poszedłem do potoku po wodę. Nikogo nie spotkałem, ale na rozmiękłym brzegu odkryłem dwa ślady małych stóp, a w świeżym porannym powietrzu unosił się zapach, który rozpoznałbym wśród tysięcy. Krystyna również wstawiała wcześniej. Kilka razy głęboko wciągnąłem powietrze, uścisk przepony ustąpił. Napełniwszy manierkę, napiłem się bezpośrednio ze strumienia. Właściwie nawet nie potrzebowałem kawy.

Przed ósmą byliśmy już w drodze. Dwoje „bohaterów wczorajszej nocy” jechało na własnym wozie, który z pewnością wydzielili dla nich krewni. Wyglądali na trochę wystraszonych, jakby nie byli pewni, czy to sen, czy jawa. Chłopak, korzystając z rady Kowalskiego, wymienił część pieniędzy na narzędzia, ekwipunek i parkę krów. Ceny towarów szły do góry na razie delikatnie, mało kto z przyszłych osadników miał świadomość, że porządna piła za kilka miesięcy będzie na wagę złota. Przed południem przejeżdżaliśmy przez małą, biedną osadę. Mieszkańcy przyglądali nam się niespokojnie, ale na nic innego się nie odważyli, ponieważ było nas za dużo. Spróbowaliśmy z nimi handlować, lecz oprócz mięsa wołowego nie mieli czego zaoferować. Dalej jechaliśmy prawie przez pustkowia. Dabavia była biednym krajem, a jedyne większe miasto karawana minęła już kilka dni temu. Pozostałe to osady, które można było nazywać wsiami tylko z przymrużeniem obu oczu.

Po południu przyłączyłem się do grupki przedstawicieli udziałowców. Trzymali się razem zaraz za wozami Kowalskiego i stronili od innych członków karawany.

O ile mogłem osądzić, nawet między nimi nie było żadnych więzi. Pierwszy jechał wojskowy wóz z prowiantem, ciągnięty przez cztery pary dużych długorogich wołów, z tyłu podróżowali ludzie Valera. Wóz Hatovu też tam był, opiekował się nim tylko woźnica, pozostali ludzie brali udział w stróżowaniu i badaniu drogi przed nami. Bryzold z innymi czarownikami jeździli każdy gdzie indziej, w zależności od tego, gdzie ich potrzebowano. Współpracowali z Kowalskim i kierowali brygadami, które pomagały wozom pokonywać krytyczne miejsca; opiekowali się chorymi i zranionymi.

Kant zagrał na rogu umówiony sygnał i czoło karawany się zatrzymało. Jak na komendę wszędzie rozległy się wyzwiska i okrzyki woźniców i jeźdźców, regularny rytm marszu zachwiało się i rozpadł.

- Przerwa południowa! - krzyknął żołnierz, jeszcze raz zatrąbiwszy. Kurz podniesiony przez koła wozów i kopyta zwierząt powoli opadał. Otarłem pot i brud z twarzy. Ludzie wyprowadzali bydło na pastwisko opodal przepływającej rzeczki, której nie było na mapie. Kowalski wybrał na odpoczynek przypadkowe miejsce pośrodku jej długiego zakola. Z większej odległości ewentualny obserwator prawdopodobnie by nas nie zauważył, ponieważ z trzech stron świata widok zasłaniał gęsty i wysoki pas krzaczastych olch i potężnych topoli.

Noc przebiegła bez żadnych niepokojów, rano znów przez chwilę studiowałem dziennik Achrometa. Na razje niemal dokładnie kopiowaliśmy drogę, którą pokonał prawie przed wiekiem. Nawet granicę dabawsko-ryżską mieliśmy przekraczać w tym samym miejscu, przy twierdzy Salisbur. Wtedy jednak żadna twierdza tam nie stała i Achromet musiał stawiać czoła dzikim plemionom, które zamieszkiwały w tamtych czasach ówczesne terytorium ryżskie. Na nas dzisiaj w twierdzy czekał emisariusz hrabiego ryżskiego. Ponieważ Kowalski i Bryzold bez problemów dawali sobie radę z rutynowymi obowiązkami, powierzyłem im dowództwo nad karawaną i w towarzystwie Bonsettiego wyruszyłem w kierunku Salisbur. Chciałem się przekonać, że pełnomocnik hrabiego jest przygotowany na dotrzymanie umowy. W przypadku gdyby nie był, mieliśmy z Bonsettitem cztery dni na to, żeby go zmusić do zmiany zdania. Szacowałem, że do miasteczka dotrzemy za dwa albo trzy dni, karawana najwcześniej za tydzień.

\*\*\*

Rezka usiadła i oparła się o pień karłowatej sosny. Po długim gorącym dniu witała wieczorny chłód z radością. Żałowała tylko, że w pobliżu nie ma żadnego strumienia, w którym mogłaby się wykąpać. Nataszy powiedziała, że idzie się przejść, żeby zostawić ją samą z Kowalskim. Przed oczami Rezki pojawił się obraz melancholijnego żołnierza. Nawet sobie nie zdawała sprawy, że

uśmiechnęła się na to wspomnienie. Led częściowo wymykał się jej wiedzy o mężczyznach. Miał co prawda dwie kobiety, ale gdyby ona sama przynajmniej trochę się nie starała, żyłby w celibacie jak prawdziwy mnich. Rezce przyszło do głowy, że może właśnie z powodu jego niepewności i wstydlivosti w relacjach z kobietami tak bardzo go lubi.

Między krzewami miała widok na obozowisko Faraciusa Edugana i jego ludzi. Mężczyźni o czymś z zapalem dyskutowali w kręgu wokół ognia. Wiedziała, że z Eduganem jadą też krewni Honzy Szoblaja. W gęstniejącym zmroku nie mogła rozpoznać, czy przypadkiem nie ma go wśród nich.

Pokręciła się, żeby usiąść wygodniej. Rozkoszowała się spokojem, zapachem żywicy i leniwym bzyzieniem przelatujących owadów. Wydawało się nierealne, w jakim kierunku potoczyło się jej życie. Jeszcze niedawno była trzysrebrnikową dziwką bez nadziei na lepszą przyszłość, a teraz zmierzała naprzeciw nieznanemu losowi przy boku mężczyzny, którego wszyscy szanowali. Myśl była słodka. Nigdy w życiu nikt jej niczego nie zazdrościł. Aż do teraz. Przez chwilę bawiła się wspomnieniami nieprzyjaznych spojrzeń innych kobiet, ale potem przestała. Uświadomiła sobie, że nie tego oczekuje od przyszłości. Led Kowalski ją lubił, chyba nawet kochał, a Rezka ze zdumieniem stwierdzała, że chociaż podświadomie się przed tym broni, zaczyna czuć to samo. Na tle ciemniejącego nieba ujrzała sylwetkę zbliżającego się mężczyzny. Nie przestraszyła się, po sposobie chodzenia poznała Honzę.

- Widziałem, że tu idziesz, więc pomyślałem sobie, że na chwilę przyjdę. I przyniosłem trochę kawy.

Podał jej kubek.

- Coś się dzieje? - zapytała Rezka. Młodzieniec ciężko westchnął.

- Nie podobacie się ludziom.

- Komu i co się nie podoba?

Rezka od razu wiedziała, o czym będzie mowa.

- Nie podoba im się, jak z Nataszą i Kowalskim żyjecie.

- Nic im do tego.

Honza wzruszył potężnymi ramionami.

- Może, to znaczy... masz rację. Ale jestem za małym człowieczkiem, żeby im to tłumaczyć. Mój ojciec był bezrolnym chłopem i zarabiał, harując jak wół. Gdyby mówiło się o tym tylko w mojej rodzinie, pał to lichu. Jednak dziś przeciwko wam publicznie wypowiedział się sam Faracius Edugan. Powiedział, że naszym dowódcą nie może być człowiek, który żyje z dwiema ładacznicami. Wybacz.

Rezka ledwo zarejestrowała obelgę i późniejsze przeprosiny. Gorączkowo rozmyślała.

- Ale ty wiesz, dlaczego nas atakuje - powiedziała po chwili.

- Jasne. Sam chce zostać szefem - przytaknął Honza.

- Przecież dowódcą karawany jest Koniasz, nie Led.

Honza nerwowo obracał w palcach suchą gałąź i nagle ją złamał. Suchy trzask rozległ się głośno w wieczornej ciszy.

- Jasne, ale ludzie traktują to inaczej. Kowalski decyduje i wydaje rozkazy, Kowalskiego widzą codziennie.

Koniasz jest dla nich tylko żołnierzem, który się pojawia i znów znika. Dla wszystkich jest jasne, że kiedyś całkiem zniknie. I jeszcze coś chciałem ci powiedzieć.

Rezka zrozumiała, że teraz nastąpi zasadniczy temat, który leży Honzie na sercu.

- Pamiętasz tamtego faceta, z powodu którego kiedyś was z Nataszą pilnowałem?

Przytaknęła.

- Nazywa się Ostar Hon i już od jakiegoś czasu jest prawą ręką Faraciusa. Wtedy dobrze go oceñałaś. On nie jest całkiem normalny.

Rezka czekała, czy Honza nie będzie mówił dalej, ale młodzieniec milczał.

- Krzywdzi kobiety? - zapytała.

- No. Już dwie naprawdę wstrętnie zbił i zgwałcił.

- A dlaczego ludzie tolerują go między sobą? Honza zmieszany odkaslnął.

- Faracius go ochrania.

Rezce przebiegł mróz po plecach.

- Jak myślisz, dlaczego Faracius utrzymuje taką kreaturę?

Młodzieniec milczał.

- Honza, muszę o nim wiedzieć jak najwięcej. Co mówi, co ustala ludzie Faraciusa, co planują. Po prostu wszystko, co by nam mogło pomóc.

Nawet w mroku widziała, że młodzieniec wpatruje się w ziemię.

- Z nimi jest moja rodzina, nie mogę ci pomagać przeciwko nim - powiedział gwałtownie po długim waju haniu.

- Człowiek czasem musi wybrać, po czyjej stronie stanie. Ale wszystko jedno, co zdecydujesz, jesteś moim przyjacielem. Jesteś i będziesz. Dobranoc. Jestem zmęczona.

Jej dobry humor ulotnił się. Ostar Hon bezkarnie zgwałcił dwie kobiety. Wiedziała, że u takich mężczyzn apetyt rośnie w miarę jedzenia. Ponadto śmiertelny wróg Kowalskiego go chroni. Nagle zaczęła się bać. Kiedy dotarła do wozów, zatrzymała się niepewnie. Nie chciała spać w samotności. Wahala się tylko przez chwilę. Wszędzie było cicho, Kowalski z Nataszą już dawno pogrążeni byli we śnie. Ostrożnie wskoczyła na stopnie i przecisnęła się pod płachtą. Słyszała ich ciche oddechy. Bluzkę ściągnęła przez głowę, rozpięła guziki spódnicy i pozwoliła jej zsunąć się na ziemię. Nie miała najmniejszej ochoty szukać w ciemności drugiego koca. Naga wsunęła się do łóżka i przytuliła do Kowalskiego. Burknął coś przez sen. Nagle poczuła się o wiele lepiej. Jeszcze przez chwilę przez głowę przelatywały jej nerwowe myśli, ale ciepło i uczucie bezpieczeństwa szybko ukołysały ją do snu.

\*\*\*

Kowalski uświadomił sobie, że powinien wstawać. Jego wewnętrzny zegar był nieubłagany i im

więcej obowiązków na nim spoczywało, tym wcześniej wyganiały go z łóżka. Z drugiej strony przyśnił mu się erotyczny sen. Jak każdy mężczyzna lubił takie sny. Lubiał je nawet bardziej niż inni mężczyźni, ponieważ po obudzeniu nie miał żadnych wyrzutów sumienia. A po nocy spędzonej w domu publicznym - tak. Zdecydował, że obowiązki mogą jeszcze trochę poczekać. Śniła mu się wspaniała brunetka, która pieściła jego podbrzusze. Śmiała się i coś do niego mówiła. Nie rozumiał co. Objął ją rękami wokół talii i przyciągnął sobie na pierś. Wyglądała na drobną, ale kiedy ją złapał, poczuł wyraźną krzywiznę bioder i podniecającą miękkość skóry. Znow się zaśmiała i coś powiedziała delikatnie zmienionym głosem. Jednocześnie nie przestawała go pieścić. Podciągnął ją wyżej, aż do twarzy, otoczył go zapach kobiecego łona. Zaczął ją pieścić językiem. Nie spieszył się. W snach nigdy się nie spieszył. W snach było zawsze lepiej i ładniej niż w rzeczywistości. Był delikatny i prawie jej nie dotykał. A ona nie zaprzestawała pieszczot. Wydawało mu się to dziwne, ale wiedział, że w wyobrazeniach wszystko jest możliwe. Podobało mu się. W życiu nie miał tak pięknego i realnego snu. Ustami rozkoszował się jej smakiem, rękami gładził ją po biodrach i jednocześnie się z nią kochał. Krzyknęła z rozkoszy. Dwoma głosami. Led nie mógł już zapanować nad swoim pożądaniem. Jego i jej ruchy straciły płynność i elastyczność, były coraz szybsze i gwałtowniejsze, aż się bał, że się obudzi. Zapach kobiecego łona był coraz bardziej upojny, dał się ponieść fali rozkoszy. Usłyszał potrójny jęk i otworzył oczy. Nie klęczała nad nim brunetka, ale ruda, a rękami obejmował inną kobietę. Było już jednak za późno. Oddał się bez reszty. Kiedy znow zyskał władzę nad swoim ciałem, zamknął oczy i leżał bez ruchu. Rezka z Nataszą przytuliły się do niego, każda z jednej strony. Kowalski związany pętami swojego purytańskiego wychowania nie widział żadnej drogi ucieczki. Wiedział tylko, że jeśli już spotka go jakiś straszny los, będzie zasłużony.

- Nie możemy tego wymagać od niego za często, musimy go oszczędzać. Jest wprawdzie w dobrej kondycji, ale ma już przecież swoje lata - powiedziała jedna.

Gdyby Led Kowalski mógł, zatkałby sobie uszy. Zamiast tego usłyszał perlisty śmiech Nataszy, a na czole poczuł gorący dotyk warg.

- Myślisz, że jeszcze długo będzie tak leżał? Ludzie już wstali, za chwilę powinniśmy wyruszyć w drogę.

- Musimy go obudzić.

Dwa kobiece ciała przytuliły się do niego. Kowalski, starając się panować nad sobą, cicho jęknął, ale dźwięk zginął w dziewczęcym chichocie. Potem jego wola i purytanizm ponownie skapitulowały.

\*\*\*

Z bliżej nieokreślonego powodu tego dnia karawana wyruszyła w drogę z ponaddwugodzinnym opóźnieniem.

\*\*\*

Jechaliśmy z Bonsettami jak najszybciej pozwalając nam konie. Nie umawiając się, instynktownie podzieliliśmy obozowe obowiązki. On szedł po wodę, ja przygotowywałem ognisko, on robił kolację, ja zajmowałem się wierzchowcami. Obaj spędziliśmy wiele lat na najróżniejszych krętych ścieżkach w dziczy i wśród ludzi i wiedzieliśmy, jak się zachowywać. Straży nie trzymaliśmy. Spaliśmy lekko, przygotowani na każdą niespodziankę. Byliśmy jak wilki - razem, ale jednocześnie każdy sam. W ciągu całych dwóch dni nie wypowiedzieliśmy ani jednego słowa. Nie było po co. Nie można powiedzieć, żeby mi to przeszkadzało, raczej odczuwałem to jako normalną rzecz.

Drugiego dnia późnym popołudniem dotarliśmy do celu. Najpierw pojawił się przed nami zielony pas drzew otaczający pograniczną rzekę Luen. Po kilku następnych kilometrach drogi wzdłuż nienaruszonej przez człowieka dżungli leszczyn, topoli i olch, broniących dostępu do wody, dotarliśmy do Salisbur. Chociaż Salisbur leżał na stronie dabawskiej, prawnie należał do Hrabstwa Ryżskiego. Strzegł jedyne bezpieczne brodu przez Luen na długości dobrych czterystu kilometrów i gwarantował w ten sposób hrabiemu stałe źródło niezłych dochodów w opłatach za przejście przez bród, ponieważ regularnie podróżowali tędy kupcy zmierzający do południowych państw Ligi Handlowej. Miasto chronił wał obronny wykonany z podwójnej palisady, wysoki na mniej więcej sześć metrów, z powierzchnią wewnątrz wyłożoną łąką. Po położonej wyżej drodze w regularnych odstępach przechodziły strażę. Za linią fortyfikacji wznosiły się trzy wieże i kilka wyższych budynków. Blżej wybrzeża Salisbur byłby tylko małym i nic nieznaczącym miasteczkiem, tutaj jednak służył jako ważne skrzyżowanie handlowe i punkt wojskowo-strategiczny. Na podstawie porozumienia zawartego z Masnerem powinien czekać na nas wysłannik hrabiego ryżskiego z zezwoleniem przejścia i innymi dokumentami polecającymi. Miałem ogromną nadzieję, że rzeczywiście tak jest.

Słońce zachodziło i zabarwiało zewnętrzną palisadę na ciemnoczerwony kolor, suche powietrze z wszechobecnym kurzem drapało w gardle. Po całodziennym smażeniu się w siodle skórę miałem wysuszoną i pomarszczoną, aż mi się wydawało, że gdzieś na ciemieniu słońce przez odsłoniętą kość czaszkową wypala mi mózg. Bonsetti jechał obok mnie. Siedział w siodle w ów nieładny sposób, który narusza zasady wszystkich szkół jazdy konnej, z drugiej jednak strony umożliwia bez wielkiego zmęczenia i ujemy na zdrowiu spędzić na końskim grzbiecie całe tygodnie. Sam jeżdżę podobnie i z daleka przypominam chwiejącą się kukłę. Wyjeżdżona droga oddaliła się od rzeki, otworzył się przed nami widok na miasteczko namiotów, jeszcze przed chwilą ukryte za palisadą. Sezon handlowy dopiero się zaczął, mimo to na zewnątrz tłoczyło się mnóstwo kupców. Szacowałem, że jest ich kilkuset, może z tysiąc.

Dotarliśmy do bramy twierdzy, kopyta zadzwoniły na bruku. Dwóch strażników nieprzyjaźnie nam się; przyglądało. Przyjechaliśmy tuż przed zamknięciem, co dla nich było równoznaczne z nieoczekiwaną pracą na ostatnią chwilę. Krępy facet w zniszczonych butach i z krótkim, masywnym mieczem za pasem obejrzał nas ze wszystkich stron.

- Skąd i dokąd zmierzacie? - zapytał, trzymając dłoń na rękojeści miecza.

- Z północy na południe - powiedziałem.

- To nie jest dobra odpowiedź - warknął i zacisnął zęby. Przypominał teraz dzikiego buldoga. W jego głosie słychać było stanowczość uzyskaną dzięki częstym treningom. Z pewnością miało to wzbudzać strach.

- No nie jest - zgodziłem się.

- Co macie do oclenia? W Salisbur płaci się cło za każdy przywieziony towar. Kamienie szlachetne, przyprawy, jedwab, konie.

Aż się trząsał, żeby mi zabrać parę złotych.

- Nic.

- Będziecie czymś handlować? Kupcy płacą podatek od dochodu. Jeden złoty. Dostaniecie na niego glegt, bez którego nie możecie handlować.

- Nie.

Facet koło nas podskakiwał coraz bardziej wściekły. Bonsetti go nie zauważał, przyglądał się palisadzie obronnej i domom wokół. W Salisbur wykorzystano każdy metr kwadratowy powierzchni, zaraz za bramą zaczynała się plątanina wąskich uliczek.

- Otwórzcie torby siodłowe! - rozkazał. Zirytowałem go i teraz chciał mi pokazać, kto tu jest panem. Przedwieczorny spokój naruszyły regularne uderzenia dzwonu. Jego kolega, facet z długimi jasnymi włosami wyglądającymi spod skórzanej czapki, postawił oczy w ślup. Dwóch żołnierzy stało przy domku strażników i z rozbawieniem przyglądało się całej sytuacji. Pewnie czekali, aż będą mogli się zmienić.

- Kend, nic nie mają. Inaczej zachowywaliby się grzeczniej. Kończy nam się szychta, zamykamy bramę i przekazemy służbę. Nie wiem, jak ty, ale ja mam tego na dziś powyżej uszu. Wolę sobie wypić parę piw, niż pastwić się z tobą nad tymi dwoma.

Blondyn miał poczucie rzeczywistości.

Kend przez chwilę niezdecydowanie nam się przyglądał.

- Jedźcie, do licha - krzyknął i machnął ręką. Pomyślałem, że umrze na wrzody żołądka. O ile wcześniej lekkomyślnie nie wkurzy kogoś, kto będzie radził sobie z mieczem lepiej niż on.

- Jeśli szukacie dobrego noclegu, gdzie się zajmą waszymi końmi, spróbujcie w gospodzie „Pod Tarczą”. Wprawdzie to na drugim końcu miasta, ale jeśli będziecie jechać wciąż przy palisadzie, nie możecie jej przegapić - zawołał za nami blondyn. - Dobre jedzenie, dobre picie, dobre ceny.

- Skąd ta troska? - zapytałem.

- Dostaję od nich prowizję, miedziaka za każdego, kogo tam pošlę. Ale naprawdę nie są źli i mają duże stajnie.

Pomachałem mu na pożegnanie i ruszyliśmy.

- Z północy na południe? - zdziwił się Bonsetti. Wzruszyłem ramionami.

- Nie lubię zbyt ciekawskich ludzi.

- Ze strażami przy bramach zazwyczaj rozmawia się grzeczniej.

- Nikt nie jest doskonały. Chce mi się pić i jestem zmęczony.

Bonsetti nie wiadomo dlaczego skrzywił się. W ciągu minionych dwóch dni był to nasz najdłuższy dialog. Spróbowaliśmy w paru gospodach, które mijaliśmy, ale albo nie mieli miejsc, albo brakowało stajni, albo po prostu nie podobaliśmy się właścicielom. Nie miałem im tego za złe. Gdybym był uczciwym człowiekiem, też bym nie wpuścił do domu dwóch podejrzanych indywidualistów, jakimi byliśmy ja i Bonsetti. Brudni, zarośnięci i obwieszani bronią.

W końcu rzeczywiście doszliśmy aż do „Tarczy”. Oberżysta, pochmurny, zgarbiony facet, przez chwilę nam się przyglądał i zaproponował pokój na poddaszu z dwoma łózkami. To był większy komfort, niż się spodziewałem. Zazwyczaj w izbach jest jedno łóżko, a ludzie muszą się nim podzielić. Konie zostawiliśmy w stajni i usiedliśmy w knajpie. Oberżystka, która pod względem uprzejmości mogła śmiało konkurować ze swoim mężem, bez pytania postawiła przed nami dwa dzbany piwa.

- Coś do jedzenia? Przytaknąłem.

- Co będzie? Mamy wieprzowinę, cielęcinę, wczoraj zarżnęliśmy młodego byczka.

Wzruszyłem ramionami i wskazałem na Bonsettiego.

- Wszystko jedno - powiedział. Oberżystka burknęła coś pod nosem i odeszła.

- Myślałem, że jesteś smakoszem - rzucił Bonsetti. Obserwował przy tym czubki swoich butów.

- Jakoś ostatnio nie mam ochoty na jedzenie. Opróżniłem dzban. Po długiej drodze zimne piwo smakowało wyśmienicie. Milczeliśmy. Przyglądałem się izbie i ludziom. Chłopki z zapomnianej miejsciny. Ubrani jak rzemieślnicy, ale ze spodniami wypchanymi na kolanach od częstej jazdy na koniu. W większości uzbrojeni w noże myśliwskie i prawie półmetrowe klingi bez osłony. W mieście, gdzie od dzikiego pustkowia dzieli tylko sześciometrowej wysokości palisada, jest to na pewno praktyczne.

Weszło dwóch nowych gości. Na pierwszy rzut oka niczym nie różnili się od pozostałych, mimo to nie pasowali do tego miejsca. Bonsetti ledwo na nich spojrzął, ale też od razu zauważył, że coś jest nie w porządku. Odzież tych dwóch była zbyt nowa, buty do pracy zbyt czyste, a włosy zbyt dobrze ułożone. Jakby ktoś ich ubrał w teatralnej rekwizytorni. Zdecydowałem, że nie będę się spieszyć i dam im trochę czasu, żeby się pokazali.

Jedzenie przyniósł kucharz. Bez gadania postawił przed nami wielką misę z kawałkami chudego mięsa wołowego w sosie własnym, a do tego kupę pieczonych ziemniaków. Pachniało smakowicie, kucharz nie oszczędzał na przyprawach, rozpoznawałem wyraźny aromat majeranku i jałowca.

- Moja żona lubiła gotować i robiła to dobrze. Czasem przyrządzała mi coś podobnego i nazywała to dużą kolacją dla dużego faceta. Kiedy ode mnie odeszła, nie mogłem w ogóle jeść - powiedział nagle Bonsetti.

Jednocześnie wpatrywał się w miskę.

- Zacząłem dużo pić i stałem się kompletną ruiną człowieka. Trwało to dwa lata.

- Jak z tego wyszedłeś? - spytałem.

- Okradła mnie banda rozbójników. Rozrabowali gospodarstwo, zabrali wszystko, co mogli, a mnie niej zabili tylko dlatego, że byłem pijany w sztok. Myślę, że ze mnie drwili, ale za bardzo tego nie pamiętam. Kiedy doszedłem do siebie, nie miałem pieniędzy na gorzałkę, nie miałem ubrania, po prostu zupełnie nic. Gdyby mi zostawili wódkę, miałbym ich gdzieś. W piwnicy miałem schowaną dziesięciolitrową beczkę gorzałki domowej roboty. Ukraść jej nie mogli, więc rozbili. Ich pech. Ruszyłem za nimi. Pieszko, ponieważ ukradli również konie. Dogoniłem ich i zabrałem to, czego jeszcze nie zdołali roztrwonić. Do gorzałki już nie wróciłem i zacząłem zarabiać na życie śledzeniem ludzi, na których sądy w Fenidong wydały nakaz aresztowania. Wiodło mi się całkiem dobrze.

Skinąłem na oberżystkę, żeby doniosła nam następny dzban. Bonsetti mnie zaskoczył. Bardzo chętnie bym się dowiedział, pod jakim nazwiskiem dawał się wynajmować. Łowcy nagród są różni, ja sam, kiedy pilnie potrzebowałem pieniędzy na spłatę długów, dorabiałem w ten sposób. Istnieje pewna odmiana tych profesjonalistów, którzy nazywani są łowcami głów. Są tacy, którzy nie trują się przyprawianiem złapanego przestępcy przed sąd, przywożą jedynie głowę, za którą inkasują nagrodę. Przed sądem oznajmiają, że ściganego zabili w obronie własnej. Ich twierdzenia zwykle



nikt nie podaje w wątpliwość. Zastanawiałem się, jak skończyli złodzieje, którzy okradli Bonsettiego, ale nie zapytałem.

Wyciągnąłem nogi przed siebie. Po długiej jeździe na koniu to była ulga. Miałem wrażenie, że „nasi” chłopcy coraz bardziej nerwowo zerkają w naszą stronę. Spod oka dokładniej im się przyjrzałem. Grubszego i starszego zdobił duży czerwony nos chronicznego pijaka, drugi był jeszcze młodzikiem. Miał długie jasne włosy związane w kucyk, miękkie, jak na mężczyznę zbyt wyraziste wargi i czystą skórę. Przez lewy policzek biegła cienka, zagojona blizna, która rozpraszała nieco wrażenie zniewieściałości.

Oberżystka krążyła między barem a salą i ledwo dawała sobie radę z realizacją wszystkich zamówień. Jedzenia nie roznosił już kucharz, lecz służąca, dziewczyna z dużym biustem i jeszcze większą pupą. Ciągłe ktoś ją klepał. Nie wyglądało, żeby jej to przeszkadzało. Stwierdziłem bowiem, że za każde klepięcie dolicza do ceny miedziaka. Interes to interes. Widać było, że tu dobrze gotują, ale takiej wielkiej i pięknej porcji, jaką dostaliśmy ja i Bonsetti, nie miał nikt. Na pewno na właścicielu lokalu wywarliśmy wyjątkowo dobre wrażenie. Albo wyjątkowo złe.

Kazałem sobie przynieść trzeci dzban piwa. Nie miało już tego słusznego smaku jak na początku, ale ciągle jeszcze dało się pić. Zjadłem parę ziemniaków i przesunąłem misę w kierunku Bonsettiego. Wiedziałem, że powinienem coś zjeść, ale jakoś nie potrafiłem się do tego zmusić.

- Cierpisz na brak apetytu? - rzucił Bonsetti i zmierzył mnie badawczym spojrzeniem.

Skinałem. To było lepsze niż długie tłumaczenie.

- Niech pani to zabierze i przyniesie nam piwo. - Machnął na służkę.

- Budzi to we mnie nieprzyjemne wspomnienia - dodał, żeby się wytłumaczyć, kiedy nasze jedzenie zniknęło ze stołu.

Po trzech dzbanach na pusty żołądek zaczynałem mieć przyjemnie lekką głowę, ale nie miałem nic przeciwko następnej kolejce. Albo dwóm.

Pijak z młodzieńcem nie przestawali nas obserwować i widać było, że są z czegoś niezadowoleni. Służąca z miską w kuchni tylko się obróciła, nawet nie dodała ziemniaków, które zjadłem, i przyniosła danie towarzystwu przy stole obok. Dostała miedziaka napiwku, z pewnością za szybką obsługę.

- Jaki jest dalszy plan? - zapytał Bonsetti.

- Wyśpimy się, rano pójdziemy do miasta i postaramy się o przyjęcie u miejscowego człowieka hrabiego. Nie powinno z tym być dużego problemu. Załatwimy formalności, umówimy się z nim i pojutrze rano możemy wyjechać karawanie naprzeciw. Będzie lepiej, jeśli koło Salisbur tylko przejedziemy, najlepiej wcześniej rano albo po zachodzie słońca, kiedy bramy są zamknięte. Każdy niepotrzebny niepokój może nam tylko zaszkodzić.

Zamilkliśmy. Czwarty dzban znów miał lepszy smak. Albo otworzyli nową beczkę, albo moje kubki smakowe były już wystarczająco stępione.

Facet przy stole obok nagle się podniósł, potrącone krzesło z łomotem przewróciło się na podłogę. Obiema rękami trzymał się za gardło, oczy miał wytrzeszczone i chrypiał. Jego współbiednik chciał mu pomóc, ale nagle zbladł i próbował złapać oddech. Przez chwilę stał w odrętwieniu, nagle

zgiął się i przewrócił na stół. Goście umilkli, ze strachem przyglądali się całemu przedstawieniu, tylko pijak i blondyn z blizną nie byli zaskoczeni. Pierwszy, który dostał ataku, nie zdołał utrzymać się na nogach i upadł na ziemię. Skóra twarzy i rąk mu zsiniała, seria skurczów zgięła go jak gumową lalkę. P0 spazmie, który musiał porozrywać mu więzadła i ścięgna, znieruchomiał.

- Otruli ich naszą kolacją - szepnąłem tak, żeby słyszał tylko Bonsetti.

Ostatni z trzech biesiadników czknął i zaczął wymiotować. Oberżystka rozwrzeszczała się z przerażenia.

- Zaraza! - ktoś krzyknął.

Ludzie w panice zaczęli pędzić do drzwi, młodzieniec i pijak oczywiście razem z nimi. Ujrzałem tylko, jak Bonsetti wykonuje krótki ruch nadgarstkiem. Pijak upadł, młodzieniec nie zdążył zareagować, potknął się i przewrócił o niego. Oberżystka usiadła na podłodze i histerycznie płakała. Agonia trzeciego mężczyzny była najciekawsza i najdłuższa. Pewnie zjadł najmniejszą ilość trucizny.

W ciągu dwóch minut było po wszystkim. W sali, nie licząc martwych, zostali tylko oberżystka z małżonkiem, młodzieniec, który stał nieruchomo, ponieważ Bonsetti trzymał ostrze noża oparte o jego gardło, i ja. Pijak również był martwy. Bonsetti trafił go nożem do rzucania prosto w tętnicę szyjną. To się nazywa szczęście. Albo pech, zależy od punktu widzenia. Wyciągnąłem broń z ciała. Nóż nie był dłuższy niż szerokość dłoni, z czego połowa przypadła na omotaną skórą rękojeść. Oddałem go Bonsettiemu. Nie spuszczać oczu z jeńca, wytarł ostrze i włożył broń z powrotem do miniaturowego futerału na pochwie miecza. Uświadomiłem sobie, że Bonsetti nie nosi przy pasie jednego miecza, lecz dwa włożone do podwójnej wspólnej pochwy. Osłony były tak zręcznie zrobione, że wchodziły jedna w drugą. Oberżystka zapewne nie była przyzwyczajona do trupów w lokalu i szukała oparcia w objęciach męża. Byli podobni do siebie - bardziej jak rodzeństwo niż małżeństwo.

- Ten uczynny strażnik przy bramie - powiedział Bonsetti z błyskiem w oku.

Przytaknąłem.

- Powinno mi to od razu przyjść do głowy. Grzeczni ludzie są zawsze podejrzani.

Młodzieniec bez przerwy przeskakiwał spojrzeniem ze mnie na Bonsettiego i z powrotem. Chyba starał się zgadnąć, który z nas jest tym bardziej niebezpiecznym. Trudna decyzja.

- Przysłał nas tutaj, gdzie byli na nas przygotowani - kontynuował dedukowanie Bonsetti, przyglądając się przy tym jeńcowi w sposób, w jaki cieśla ogląda kawałek drewna.

- Ci dwoje byli z nim w znowie. - Kiwnąłem na parę właścicieli. - A sam mistrz truciciel przygotował potrawę. I już prawdopodobnie dawno go tu nie ma.

- Dlaczego w ogóle tu przyszliście? - spytał jeńca Bonsetti, pytaniu towarzyszył mocniejszy nacisk noża. Na napiętej skórze pojawiła się mała czerwona kropelka. O życie młodzieńca zakładałbym się tylko wtedy, gdyby zaoferowano mi naprawdę dobrą cenę.

- Mieliśmy sprawdzić, czy rzeczywiście nie żyje - odpowiedział młodzieniec i wskazał na mnie wzrokiem. - Pan, proszę pana, w najmniejszym stopniu nas nie interesował - dodał grzecznie w kierunku Bonsettiego i zrobił minę, jakby cała sprawa go złościła.

- Kto cię przysłał?

Bonsetti postawił pytanie tonem konwersacyjnym, jak gdyby w rzeczywistości niezbyt go to interesowało.

- Tego nie mogę zdradzić! - powiedział jeniec zdecydowanie.

To był tak błyskawiczny ruch, że ledwie zauważyłem. Młodzik zawył i ręką zakrył krwawiącą ranę, którą miał teraz zamiast ucha. Nóż Bonsettiego znów nieruchomo spoczywał na gardle.

- Kto cię przysłał?

Znów ten sam konwersacyjny ton. Karczmarz z żoną przyglądali się z przestachem. Sam mimowolnie miętosił własne ucho, jakby się chciał upewnić, że jeszcze je ma. Ktoś kiedyś pewnie stłukł mu je pięścią albo kijem. Wyglądało jak powyginana kartka przymocowana do czaszki.

- Nie może pan. Za to pana powieszają! - krzyknął młodzian z wściekłością.

Sekundę później nie miał również drugiego ucha i małego palca prawej ręki. Nagle nie wiedział, której ranie ma poświęcać większą uwagę. Ciągle jednak panował nad sobą. Na mój gust Bonsetti podchodził do tego aż nazbyt gwałtownie, ale z drugiej strony uniknęliśmy zasadzki tylko dzięki szczęściu. A ja miałem go podwójną ilość, ponieważ gdyby truciciel nie oszczędzał na materiale i zatrzał również ziemniaki, byłbym czwartym martwym.

- Chłopcze, on - wskazałem na Bonsettiego - bardzo lubi torturować i w ogóle przy tym nie myśli. Tortury dla niego znaczą tyle co przespanie się z kobietą.

Bonsetti popatrzył na mnie podejrzliwie.

- Jak myślisz, co będzie następne w kolejce? Uszu już nie masz, straciłeś palec i nie ruszyłeś nawet brwią. Wygląda na to, że nie ma sensu tępić ostrza odcinaniem następnych. A co, jeśli za chwilę nie będziesz miał czym mrugać? - kontynuowałem.

Na twarzy Bonsettiego pojawił się prawie dobrotliwy uśmiech.

- To dobry pomysł - ocenił z uznaniem. Przeszły mnie ciarki. Miałem nadzieję, że chłopak przestanie kryć swojego pracodawcę.

- Pracuję dla Chuana Doora, namiestnika wojewody w Salisbur.

Stłumiłem syk. To było najgorsze, co mogło nas spotkać. Człowiek, który miał nam umożliwić bezproblemowe przejście przez hrabstwo, próbował nas otruć. Dokładnie mówiąc, próbował otruć mnie. Analizowałem nową sytuację z każdej strony. Znalazłem tylko jedną dobrą. Door nie wykorzystał siły oficjalnej i nie zaślaniał się hrabiowskim autorytetem. Mogła to być jego prywatna akcja.

- Zaprowadzisz nas do swego pana - powiedziałem do młodzieńca.

- Teraz? - zapytał Bonsetti. Wzruszyłem ramionami.

- Nie mamy na co czekać. Im dłużej będziemy zwlekać, tym bardziej prawdopodobne, że pojawi się ktoś, kto będzie zadawać wiele niepotrzebnych pytań.

Szliśmy wąskimi, krętymi uliczkami. Nasz jeniec pierwszy, za nim Bonsetti, ja na końcu. Miało się wrażenie, że Salisbur nie tętni nocnym życiem. Oprócz kilku gospód, z których dobiegały odgłosy zabawy, miasto było ciche i ciemne. Spotkaliśmy tylko paru przechodniów, za to strażę przy palisadzie chodziły tak samo regularnie jak w ciągu dnia. Z nocnym wietrzykiem niósł się zapach

kwitnących drzew i traw. Gdzieś pośrodku dzikiej przyrody swoje sny śniły dwa tysiące mężczyzn, kobiet i dzieci. Spali i mieli nadzieję, że wkrótce dotrą do miejsca, gdzie zbudują farmy, założą domy i będą żyć w spokoju. Tylko że nie miałem pojęcia, jak ich tam doprowadzić, a wrócić się już nie dało. Zaczynałem się źle czuć w całej tej sytuacji. Przeciwno sobie mieliśmy zbyt wielu ludzi, było zbyt wiele problemów. A najgorsze było to, że nawet gdybym teraz spakował manatki i zniknął, w niczym by mi to nie pomogło, ponieważ ci ludzie zostaliby w głuszy, a ja bym o nich nigdy nie zapomniał. Głęboko westchnąłem.

Do siedziby Doora dostaliśmy się bez problemów, a kiedy strażnik zobaczył naszego przewodnika, skinął mu na powitanie i bez pytania wpuścił do środka, gięliśmy szczęście, że młodzieniec nosił długie włosy. Rozpuszczone doskonale zasłaniały krwawiące rany po uszach.

Jedynym, który naprawdę spróbował zabronić nam rozmowy z Doorem, był jego osobisty kamerdyner. Nie doszliśmy w końcu do porozumienia i weszliśmy bez zapowiedzi.

Według słów kamerdynera Jego Ekscelencja Chuan Door właśnie pracował, według mnie przeglądał ekskluzywny ilustrowany katalog wysyłkowy domów publicznych z wybrzeża. Najpierw zobaczył naszego jeńca, skrzywił się jak ktoś, komu przeszkadza jakaś nieznacząca pluskwa. W chwili kiedy uświadomił sobie, kto mu towarzyszy, opadła mu szczęka, a w oczach pojawił się strach. Chuan Door był delikatnie zbudowanym mężczyzną. Prawie nie miał ramion, a jego wątle nadgarstki pasowałyby bardziej kobiecie niż mężczyźnie. Długie, pofalowane włosy błyszczały od pomady, w gabinecie unosił się zapach ciężkich perfum. Może był dobrym politykiem i intrygantem, ale nie był przyzwyczajony do użycia siły fizycznej. Broda mu się trzęsła, dłonie kurczowo zaciskał w piąstki. Ponieważ tym razem nie chciałem zostawiać pertraktacji Bonsettiemu, stanąłem bezpośrednio przed Doorem, chwyciłem go za kołnierz i podniosłem z krzesła. Naprawdę przeglądał katalog. Dziewczyna na obrazku ubrana była w prześwitujący strój, opierała się o pokrzywioną sosnę, w lewej ręce trzymała kwiatek. Miała duże ciemnoniebieskie oczy i patrzyła smutnym, trochę zamglonym wzrokiem.

Ci, którzy lubują się w takich ilustracjach, uznaliby go za wyrafinowanie uwodzicielski. Zdałem sobie sprawę, że ciągle trzymam Doora za jego wykrochmalony kołnierz i że powoli zaczyna sinieć.

- Pan wie, kim jestem - powiedziałem. Gorliwie przytaknął i spróbował coś powiedzieć, ale z gardła wydobyło się tylko charczenie.

Puściłem go. Zsunął się z powrotem na fotel jak szmaciana lalka.

- Pana człowiek nie ma dwojga uszu i kilku palców. Jeśli szybko mi pan nie wytłumaczy, dlaczego próbował nas otruć, skończy pan za chwilę tak samo.

Door wytrzeszczył oczy, otworzył usta i zemdłał. Popatrzyłem na Bonsettiego. Ze zniechęceniem wzruszył ramionami.

Przesłuchiwałem Doora aż do północy i mimo że najwyższą przemocą fizyczną, jakiej wobec niego użyłem, był podniesiony głos, zemdłał jeszcze trzy razy. W końcu z jego jęśliwych i chaotycznych odpowiedzi zyskałem całkiem dokładną opinię o sytuacji.

Według Doora hrabia z powodu umowy, jaką zawarł z Masnerem, był pod dużą presją. Cesarski emisariusz doręczył mu ofertę handlową i groźbę jednocześnie. Przedmiotem dyskusji była nasza karawana. Co prawda hrabstwo nie sąsiadowało bezpośrednio z Imperium, jak również nie było od niego zależne pod względem gospodarczym, to jednak pokłócenie się z taką potęgą nie wydawało się

hrabiemu najmądrzejszym rozwiązaniem, Nie mógł również odmówić przejścia karawanie, ponieważ w umowie Masnera za podobną sytuację groziła wysoka grzywna. Gdyby odmówił jej zapłacenia, naruszyłby stosunki z państwami Ligi Handlowej. W ten sposób znalazł się w sytuacji bez wyjścia, ponieważ handlowcy kategorycznie wymagają, żeby dotrzymywać wszystkich zawartych umów. Bowiem właśnie na dotrzymywaniu umów opierała się ich siła i bogactwo. Masner nie oszczędzał na kosztach i potwierdził umowę w fenidońskim Sądzie Handlowym. To znaczyło, że jej niedotrzymanie spowodowałoby wypowiedzenie wszystkich kredytów, które hrabia miał w państwach Ligi, konfiskatę jego majątku na terenie Ligi, a ponadto nałożenie specjalnego cła na wszelkie towary z hrabstwa. Znow w duchu uchyliłem kapelusza przed zmysłem organizacyjnym Masnera. W końcu hrabia po konsultacjach ze swoimi prawnikami zdecydował się wykorzystać fakt, że w umowie do rozmów był upoważniony tylko jeden człowiek - ja. Strażnicy przy bramach dostali mój opis, książęcy truciciel przez ostatnie trzy tygodnie był w gotowości. Jeśli nie ma pełnomocnika, to nie ma negocjacji.

Duży zegar wybił następną godzinę. Bonsetti kazał sobie przynieść zimną kolację, ja obwiązałem rany młodzieńcowi. Door siedział w fotelu. Wyglądał załóżnie, jakby przeszedł ciężkie przesłuchanie w katowni. Wstałem i oglądałem wiszącą na ścianie mapę zachodniego wybrzeża. Nasza droga przez terytorium hrabstwa miała około czterystu pięćdziesięciu kilometrów, to oznaczało mniej więcej szesnaście dni wędrówki. Na południowym wschodzie naturalną granicę tworzyły Góry Grimma. Na zachodzie teren hrabstwa wyznaczał bieg Varany. Jej bagienna, regularnie zalewana przez morze, nieurodzajna delta była prawie nie do przebycia i praktycznie izolowała hrabstwo od morza. My musieliśmy się dostać na południe, do Przełęczu Keżskiej, najbardziej dostępną drogą przez wał Gór Grimma. Mieliśmy trzy możliwości: przejść przez hrabstwo zgodnie z pierwotnym planem, podążać wzdłuż woweńsko-ryżskiej granicy w kierunku zachodnim i starać się przedostać przez trzęsawiska Varany albo ominąć zamieszkane tereny i spróbować szczęścia w górach, które nie były od nas dalej niż sto dwadzieścia kilometrów. Doświadczony człowiek być może by to potrafił, ale nie dwa tysiące ludzi bez potrzebnego sprzętu. Przejście przez hrabstwo wyglądało na jedyne możliwe rozwiązanie. Nie wiedziałem jednak, co zrobię, kiedy hrabia zaatakuje nas swoją armią.

- Chcę dokumenty dotyczące przejazdu. Wszystkie i jak najszybciej - powiedziałem Doorowi i odwróciłem się w kierunku Bonsettiego. - Poczekamy, aż karawana dojedzie do samej granicy. Tymczasem będziemy go pilnować - machnąłem w kierunku Doora - żeby nic nie próbował zrobić i zachowywał się tak, jakby nic niezwykłego się nie wydarzyło. O prawdziwym stanie rzeczy wie tylko hrabia i kilku najwyższych szlachciców. Dla żołnierzy, urzędników i miejscowej szlachty miarodajne będą papiery, które dostaniemy. Odjadę z karawaną, ty z nim tu zostaniesz jak najdłużej się da. Im później poinformuje hrabiego, tym większą będziemy mieć przewagę. Nie może mu się nic stać, ponieważ byłoby to dla hrabiego oficjalnym pretekstem do ataku zbrojnego. A tak będzie się tylko zastanawiał. Nie pozwoli sobie na zabicie dwóch tysięcy ludzi, których sam wpuścił na swoje terytorium. Odjedziesz, gdy sytuacja będzie nie żo opanowania.

Mój plan wyglądał rozsądnie. Oczywiście zakładając, że ryżski hrabia rzeczywiście nie będzie ryzykować zmasakrowania dwóch tysięcy ludzi z następującą później skargą handlową zarządcy spuścizny Masnera. Gdy sobie wyobrażałem, że mogę się mylić, w żołądku rósł mi kawał lodu.

Bonsetti się uśmiechnął. W ręce trzymał jeden ze swoich noży i ostrzył jego klingę na skórzanym rzemieniu.

- Będę tutaj sam pośród całej armii wrogów. Wystarczy zawahanie, chwila nieuwagi albo tylko

pech i nigdy nie wydostanę się na zewnątrz.

Wzruszyłem ramionami.

- To prawda. Jeśli się nie zgodzisz, zamienimy się rolami.

Bonsetti zrobił taką minę, jakbym jego pokera z asem przebił królewskim.

- Wchodzę w to, zostanę - powiedział i odwrócił się w stronę Doora. - Właśnie wynajął pan nowego kamerdynera i osobistego strażnika w jednym. Będę z panem chodzić nawet do toalety.

Door zrobił jeszcze bardziej wystraszoną minę. Wydawało mi się, że to się podoba Bonsettiemu.

Czuwałem resztę nocy i kazałem Bonsettiemu się wyspać. Doora zmusiłem, żeby trzymał dłoń nad płomieniem świecy. Za każdym razem, kiedy ze zmęczenia zaczynały mu się kleić powieki, ręka opadała i parzył się. Bonsetti miał na niego uważać przez kilka następnych dni i na pewno nie zaszkodzi, jeśli Door będzie trochę zmęczony. Na jutro zaplanowałem Doorowi ból głowy, który pojutrze przemieni się w gwałtowną gripę, więc Jego Ekscelencja będzie musiał kurować się w domu i nie będzie pokazywał się publicznie. Przesunąłem świeczniki bliżej fotela, usiadłem i wyciągnąłem dziennik Achrometa. Właśnie na dzisiejszej dabavsko-ryżskiej granicy jego droga rozeszła się z naszą. Odbił na północny wschód, w stronę Gór Grimma, żeby dwa lata później wrócić samemu. Przeczytałem kilka następnych zapisów po kolei. Wymieniał w nich wyschnięte koryta, które podczas roztopów w górach zamieniały się w śmiertelnie niebezpieczne, duże rzeki, bagienne lawiny, huragany niszczące całe wozy. Wpływało to na mnie depresyjnie, wołałem zacząć przeglądać katalog domu publicznego. Większość obrazków była zwyczajna, doskonała pod względem rzemieślniczym. Tylko ten jeden był inny. Długo przyglądałem się nieznanym dziewczynie. Na pewno wyglądała już inaczej, jej oczy się zmieniły i nauczyły widzieć świat w jego prawdziwych kolorach. Door syknął z bólu, kiedy znów się oparzył. Zegar wybił piątą.

## Rozdział 4

### Komplikacje

Kowalski nabrał wody w dłonie i opłukał twarz. Był zmęczony, śmiertelnie zmęczony. Od chwili kiedy przeszli bród na Luen, Koniasz zmuszał wszystkich do strasznego pośpiechu. Na próżno razem z Bryzoldem przekonywali, że ludzie już nie mają siły. Wykorzystywał strach, jaki wzbudzał wśród farmerów, i bezwzględnie zmuszał ich do zwiększenia szybkości, skracał przerwy i czas spania. Kowalski zdawał sobie sprawę, że sytuacja nie jest różowa i jeśli sobie z nią poradzą, to tylko dzięki twardemu podejściu Koniasza.

Rezka odłożyła czerwoną glinę, odsunęła się o krok i krytycznie oceniła swoje dzieło.

- Nie wiem, jak w dzień, ale teraz, wieczorem, w świetle ognia... - nie dokończyła zdania.

- Popatrz sama - powiedziała i podała Nataszy lustro. Natasza stanęła tak, żeby na jej twarz padało jak najwięcej światła.

- Pięknie - westchnęła. - Jeszcze nigdy nie byłam tak pięknie umalowana. Bardzo mi się to podoba.

Rezka się uśmiechnęła.

- Zmyj to. Na noc powinnaś mieć czystą cerę.

- Nie szkoda?

- Nie. I tak tego nawet nie zauważy. Będzie spać jak zabity.

Obie się zaśmiały.

- Następnym razem możemy spróbować trochę inaczej. Wytlumaczę ci co i jak i jeśli będziesz chciała, możesz mnie też umalować. Jeśli przydarzy się sposobna chwila, urządzimy uroczystość. Będziemy pierwszymi damami wieczoru, w najlepszych sukniach, wszyscy będą nam się przyglądać, będą się zachwycać, jakie jesteśmy piękne i jakiego mamy dobrego mężczyznę.

Natasza się zamyśliła.

- Nigdy w życiu nie byłam, jak to powiedziałaś? Pierwszą damą wieczoru?

Rezka zaczęła ostrożnie wkładać preparaty kosmetyczne do skrzyneczki.

- Ja też nie - szepnęła cichutko.

Natasza w nagłym odruchu podeszła do Rezki i pocałowała ją.

- Naprawdę cię lubię. A tą uroczystością mógłby być nasz ślub.

Rezka popatrzyła na nią z niedowierzaniem.

- Ślub? Myślisz poważnie? Dwie panny młode i jeden pan młody?

Natasza z udawanym zdziwieniem pokręciła głową.

- Dziwisz się? Jestem z purytańskiej rodziny. Już od młodości mnie uczyli, że kobieta powinna wyjść za mąż za ojca swoich dzieci. O tym, że na ślubie musi być tylko jedna panna młoda, nigdy nie słyszałam. Więc co!

- Wiesz, że, delikatnie mówiąc, jesteś nienormalna? Obydwie śmiały się tak długo, że aż

wzbudziły zainteresowanie otoczenia.

Wstali jeszcze przed świtem. W nocy padało i zanosiło się, że pochmurno będzie cały dzień. Honza Szoblaj zmarznięty kulił się przy ognisku. Noce, jak na późną wiosnę, były tutaj zadziwiająco chłodne, z pewnością z powodu bliskości Gór Grimma. Od chwili kiedy pokonali Luen, codziennie przecinali wiele potoków i rzeczek. Po suszy na terytorium dabavskim była to mile widziana odmiana. Rzeki miały swoje źródło w górach i wszystkie wpływały do Luenu.

Kowalski szybko dopił kawę, nalał świeżą do dwóch metalowych kubków i ostrożnie niósł je do wozu. Nawet sobie nie zdawał sprawy, że poranne przynoszenie napoju dziewczętom stało się dla niego rytuałem, który oznaczał, że zaczyna się dzień. Honza Szoblaj podniósł się, przeciągnął i poszedł zaprzęgnąć konie. Kant zatrąbił po raz pierwszy. Do odejścia został kwadrans. Od czasu kiedy Kowalski kazał spóźnialskim całe trzy dni wdychać wzbity kurz na końcu karawany, nikt nie chciał zostawać w tyle. Ciężkie krople wody zabębniły na płachtach wozów, rozszalała się ulewa. Szoblaj zaklął półgłosem. Dzień wyglądał rzeczywiście nieprzyjemnie.

Pierwsze wozy ruszyły. Gęsto padało, rozmiękła ziemia chlupotała pod kopytami koni, koła ślizgały się w błocie. Jednolita zasłona chmur pokrywająca horyzont od wschodu do zachodu sprawiła, że nie było świtu, ciemność nocy zamieniła się tylko w trochę jaśniejszy półmrok. Gór na wschodzie nie było widać, ale padający deszcz ziębił i pachniał mrozem. Kowalski objeżdżał karawanę i kontrolował sytuację. Posuwali się powoli, każdy kilometr kosztował ich wiele sił, lecz Koniasz w kwestii przerw był nieustępliwy. Przed południem wyjeżdżona droga, po której się poruszali, rozmiękła na tyle, że wozy z tylnej części karawany zapadały się w błoto aż po czopy. Kowalski ogłosił krótką przerwę, a po niej kazał zmienić kolejność. Ci, którzy rano jechali na czele, byli obecnie na końcu.

Po obiedzie deszcz trochę osłabł, ale jeszcze bardziej się ochłodziło i w ciągu zaledwie kilku minut podniosła się mgła. Szare kłęby wyrastały bezpośrednio z trawy, wciąż rosły, aż pokryły wszystko jednolitym oparem. Kowalski nakazał Kantowi, żeby ze swoją drużyną objeżdżał ludzi i uważał na zbłąkanych. Sam wyruszył za Koniaszem. Ryzyko, że we mgle zjadą z drogi, było zbyt duże i niewarte żadnej przewagi, jaką mogli zyskać. Wyprzedzał grupę wozów, kiedy kątem oka dostrzegł nagły ruch. Bez zastanowienia zsunął się z siodła, strzała świsnęła mu nad głową. Koń, na którego grzbiecie podróżował Led, spłoszył się i stanął dęba. Mężczyzna odtoczył się w bok, wierzchowiec zarżał i upadł. W brzuchu miał wbity następną strzałę. Kowalski leżał bez ruchu na ziemi. Miał nadzieję, że strzelec przyjdzie obejrzeć swoją ofiarę. W miękkim gruncie zaczęła się tworzyć kałuża, do której spływała woda i stopniowo przenikała jedną warstwę ubrania za drugą, aż Led trząśł się z zimna. Wozy i ludzie, w mlecznym oparze wręcz niematerialni, defilowali w niekończącym się szeregu jak widma. Kowalski wciąż czekał. Wiedział, że często przeżywa ten cierpliwszy.

Najpierw usłyszał miękkie chlupotanie butów w błocie. Strzelec był ostrożny i nie zbliżał się od strony karawany. Kowalski bał się poruszyć, ponieważ jakikolwiek dźwięk mógł go zdradzić. Już nie było mu zimno, na czole perlił się pot. Przekonywał siebie, że nikt nie może go zauważyć wgniecionego w ziemię i na wpół przykrytego gęstą trawą. Mimo to oddychał szybko i bał się, że słyhać głośnie bicie jego serca. W końcu zobaczył jakiegoś mężczyznę. Tamten wynurzył się spomiędzy krzewów dzikiej róży. Był ubrany w czarny płaszcz z kapeluszem nasuniętym głęboko na twarz. Kiedy ujrzał strzałę w końskim boku, cicho zaklął i badawczo się rozejrzał. Spod płaszcza wyciągnął kuszę i zaczął napinać opuszczone ramiona. Najpewniej stwierdził, że jego ofiara leży zraniona gdzieś w pobliżu. Kowalski nie mógł czekać dłużej, choć wciąż nie wiedział, kto to jest. Z



nożem w ręce rzucił się w kierunku strzelca. Mężczyzna nawet nie próbował się bronić, w panice rzucił broń i zaczął biec w stronę karawany, gdzie natychmiast zgubił się w potoku ludzi. Kowalski spróbował go gonić, ale miał pecha. Obok przechodziła właśnie grupa purytanów. Wyglądało, jakby specjalnie zatarasowali mu drogę, i tylko wrogo milczeli w odpowiedzi na jego gorączkowe pytania. Dał spokój purytanom i wrócił na miejsce ataku. Miał nadzieję, że zdoła przynajmniej wyczytać coś ze śladów. Na próżno. Czego nie rozmyśla woda, rozdeptały zastępy maszerujących ludzi.

\*\*\*

Led Kowalski przykucnął przy ognisku oparty plecami o koło wozu i w zamyśleniu patrzył w ciemność dookoła. W ciągu ostatnich dwóch dni minęli dwa zamki i kilka wież sygnalizacyjnych, wsie dla pewności obchodzili szerokim łukiem. Straże za każdym razem zadawały się ich papierami. Przyciągnął płaszcz bliżej do ciała i postawił kołnierz. Ciągłe było zimno i mokro, pogoda w niczym nie przypominała nadchodzącego lata. Natasza z Rezką od wysiadania na zewnątrz wołały ciepłe łóżko, towarzystwa dotrzymywał mu tylko Honza Szoblaj. Kowalski nie mógł wciąż zapomnieć o ataku, podczas którego ktoś postanowił go zabić. Dziewczętom nic nie powiedział, ale wspomniał o tym Szoblajowi. Chłopak był jego pomocnikiem i jakiegokolwiek zagrożenie dla Kowalskiego oznaczało niebezpieczeństwo również dla niego. Ponadto Led chciał, żeby młodzieniec zwracał większą uwagę na dziewczyny. Kowalski po raz kolejny wyciągnął z torby jeździeckiej zdobytą broń, ale i tym razem nie zdradziła mu nic nowego. Mała czteroramienna kusza na dwa strzały, niezbyt precyzyjna, do stosowania tylko na małą odległość. W państwach Ligi podobna broń była zakazana, a jej posiadanie surowo karane. Sam Kowalski nie miał z nią żadnego doświadczenia.

W ciemności ktoś chrząknął, w krąg światła ogniska wszedł Umwald.

- Bonsetti wrócił, Koniasz zwołuje naradę. Natychmiast. Już obszedłem wszystkich, pan jest ostatni.

Kowalski zerknął na Szoblaja. Młodzian skinął głową.

- Popilnuję ich. I... niech się pan zastanowi, komu najbardziej jest pan solą w oku.

Potem odwrócił wzrok w bok, jakby powiedział więcej, niż zamierzał.

\*\*\*

Kowalski obrzucił spojrzeniem zgromadzonych. Czekali tylko na niego. Przedstawiciele poszczególnych udziałowców, Bonsetti, Bryzold, Kant. Bonsetti miał na twarzy kilkuniedniowy zarost, oczy zaczerwienione z niewyspania, ale poza tym wyglądał dobrze. Umwald kulił się w ciemności, żeby nikt nie protestował przeciwko jego obecności. Kowalski wiedział, że o faktycznej sytuacji Koniasz rozmawiał tylko z nim i Bryzoldem, dla reszty dzisiejsza narada miała być pełna nowości. Mały ogień niespokojnie migotał, wilgotne drewno syczało. Bonsetti krzywił się w uśmiechu i Kowalski był pewny, że ten grymas nie oznacza dla nich nic dobrego. Chociaż Bonsetti był nieocenionym pomocnikiem w rozmowach z farmerami, Led czuł do niego coraz większą niechęć.

Koniasz, nawet nie wstawszy czy chociaż popatrzywszy na obecnych, zaczął mówić.

- Panowie, chciałbym zapoznać was w faktami, które dotyczą nas wszystkich. Macie prawo mieć pretensje, że nie powiedziałem wam o niczym wcześniej. Nie zrobiłem tego, ponieważ uznałem, że zwiększy to powodzenie naszego przedsięwzięcia. Teraz pokrótce streszczę sytuację, a potem

możecie pytać. Ryżski hrabia nie ma zamiaru umożliwić nam przejścia przez swoje terytorium. Z powodu umowy, jaką zawarł z Tobiaszem Masnerem, nie miał odwagi użyć przeciwko nam regularnej armii. Zamiast tego próbował mnie zabić. Miał nadzieję, że w ten sposób opóźni karawanę lub też całkiem zatrzyma. Pan Bonsetti ostatnie cztery dni spędził w Salisbury i w ten sposób umożliwił nam przekroczenie granicy i nie dopuścił do prześladowań. Chwilowo, oczywiście. Parę godzin temu wrócił.

Dokładnie jak przypuszczał Kowalski, oświadczenie spowodowało ogólną wrzawę. Wspólnicy przekrzyki-; wali się jeden przez drugiego i zalewali Koniasza lawiną pełnych urazy pytań. Koniasz na wszystkie spokojnie i zwięźle odpowiadał. Dopiero po dobrej półgodzinie wzburzone emocje opadły.

- Zatem teraz bez zezwolenia hrabiego jesteśmy na jego terenie - podsumował sytuację przedstawiciel armatora Hatovu Roland Gadon.

Koniasz potrząsnął głową w sprzeciwie.

- Mamy formalne pozwolenie na przejście. Dokument jest prawdziwy i mogą spokojnie sprawdzać jego autentyczność w każdym sądzie. Problemem jest to, że nie wiemy, jak na powstałą sytuację zareaguje hrabia. Może pozwoli nam tak po prostu w spokoju przejść.

- A ma pan jakiś plan, skoro doprowadził nas pan tutaj, nie pytając nawet o nasze zdanie? - wybuchnął Ravlin, człowiek gubernatora.

- Do granic Wolnego Państwa barona Grooka zostało nam już tylko niecałe dziesięć dni jazdy - przypomniał Gadon.

- Baron Grook to złodziej, morderca, a jego słowo nie ma żadnej wartości! - krzyknął Ravlin, wstając gwałtownie, czubkiem buta niechcący przy tym rozrzucił ognisko. Płomienie zgasły, wszystkich ogarnęła ciemność.

Baribald Bryzold zręcznie zagarnął żarzące się węgielki na kupkę, dołożył drwa i ogień ponownie zapłonął.

- Ostrożnie, proszę. Drewno jest mokre, nie mam ochoty rozpalać tego jeszcze raz.

Kowalski obrzucił spojrzeniem obecnych. Od przejścia przez granicę się nie golili, twarze mieli szare od czterodniowego zarostu, migotliwe światło podkreślało głębokie zmarszczki zmęczenia. Dziesięć dni drogi. Czy dadzą radę?

- Ma pan rację - zgodził się Koniasz. - Grook jest szlachcicem tylko z nazwiska. W rzeczywistości jest pierwszorzędnym rzezimieszkiem. To jednak działa na naszą korzyść. Ponieważ nie jest od nikogo zależny, to tylko kwestia pieniędzy. Zaproponujemy mu więcej nit druga strona.

- Jak pan chce to zrobić? Może wziąć wszystko, co ze sobą wieziemy! - wybuchnął znowu Ravlin.

- Na zablokowanym rachunku w Fenidong na nazwisko Grooka ulokowana została suma dwunastu tysięcy złotych. Do pieniędzy będzie miał dostęp dopiero, gdy przejedziemy przez Przełęcz Keżską. Zwiększenie wspomnianej sumy jest bardzo proste, wystarczy na miejscu dodać do umowy aneks, pod którym podpiszą się wszyscy udziałowcy. Handlowców i prawników licencjonowanych w Fenidong jest wśród nas wystarczająco dużo - tłumaczył Koniasz z cierpliwością rodzica pouczającego głupie dziecko.

Guiny junior wstał.

- Zgadzam się. Ze względu na to, że od tego kroku zależy powodzenie całego przedsięwzięcia, nic innego nam nie pozostaje. Grook wprawdzie jest złodziejem, ale w Fenidong pracuje dla niego kilku sprytnych ludzi. Nie możemy go oszukać, rzucać dowolnymi liczbami, a potem zdać się na kruczki prawne. Wszystkiego, co mu obiecamy, będziemy musieli potem dotrzymać.

Kowalski wyłączył się z dyskusji. Inicjatywę przejęli wspólnicy, a cyfry latające w powietrzu go nie interesowały. Wydawało mu się, że znaleźli się w położeniu zająca, który ucieka przed sforą dzikich psów, a na wykryty ma coraz mniej czasu i miejsca. Skierował spojrzenie na Koniasza, który uważnie śledził rozmowę. Kowalski znał granicę swych możliwości, w życiu już kilkakrotnie spotkał ludzi, którzy w wielu dziedzinach byli od niego lepsi, czy to chodziło o posługiwanie się mieczem, czy o manewrowanie między prawniczymi paragrafami, czy o prostą sztukę zarabiania pieniędzy. Koniasz prawdopodobnie był lepszy jeszcze w wielu innych rzeczach, ale mimo to Kowalskiemu wydawało się, że odpowiedzialność i obowiązki, jakie Koniasz na siebie wziął, zjadają go żywcem. Miał nadzieję, że debata szybko się skończy. Był zmęczony, senny i chciał jak najszybciej być w domu. Kiedy uświadomił sobie, jak myśli o wozie, w którym spały Natasza z Rezką, aż się zatchnął. Lecz gdy powtórzył to słowo, wciąż brzmiało tak samo przekonująco: dom.

- Pan Bonsetti przyniósł jeszcze inne wiadomości, których powinniście wysłuchać - Koniasz wmieszał się do rozmowy, kiedy wydawało się, że dyskusja do niczego nie prowadzi.

Bonsetti pogrzebał w ognisku, żeby płomienie były silniejsze.

- Gdy opuściłem namiestnika hrabiego, zatrzymałem się w Salisbur jeszcze chwilę. Chciałem się zorientować, co robi. Namiestnik, sądząc z przesłanek, kieruje się pierwotnymi rozkazami i nie chce przeciwko nam zorganizować nic, o co później mogliby oskarżyć hrabiego. Natychmiast zaczął wynajmować ludzi. Żołnierzy, ludzi o wątpliwej reputacji, rozbójników. Nawet ułaskawił kilku groźnych przestępców. Według mnie organizuje półwojskową jednostkę, którą pośle za nami. A jak nas napadną i wymordują, hrabia uzna to za godny pożałowania atak bandytów, z którym on nie ma nic wspólnego. Każde późniejsze śledztwo potwierdzi jego słowa, ponieważ będą mieć wystarczająco dużo czasu, żeby zatrzeć wszystkie ślady.

Kowalski podniósł się do wyjścia. Koniasz doskonale wstrzelił się w dyskusję z rewelacją Bonsettiego. Uczestnicy pogodzili się już z myślą, że będą musieli sięgnąć głębiej do kieszeni, a zostali zachęcani do tego w sposób bardzo przekonujący.

\*\*\*

Z rana znów zaczęło padać. Rezka założyła długi skórzany płaszcz z kapturem, który znalazła w wozie z zapasami. Był przeznaczony dla człowieka dwa razy większego niż ona, lecz po kilkakrotnym podwinieciu, zakasaniu i zszyciu rękawów przestała się w nim topić i nawet mogła jeździć konno. Przypominała stracha na wróble przywiązane do siodła, ale było jej wszystko jedno. Ostatnie dwa dni spędziła na koźle, ewentualnie pchając wóz, a bez kontaktu z ludźmi dokoła nie była w swoim żywiole. Osiodłała sobie Blyznę, wdrapała się na siodło i pomachała Nataszy. Ta na osłoniętym od wiatru i zadaszonym koźle wyglądała na całkiem zadowoloną. Obiecała Rezce, że będzie kierować podwójnym zaprzęgiem wołów przez dłuższy czas bez zmiany. Rezka jechała przez chwilę obok wozu, który prowadził Honza Szoblaj, jednak młodzieniec był ponury i nie miał ochoty na rozmowę. Dlatego dołączyła do czoła karawany, progi prawie nie było widać, momentami miała wrażenie, że

jadą przez dziewiczą równinę, kierując się tylko szacunkami Kowalskiego, Koniasza i Baribalda Bryzolda. Obserwowała ich naradę. Dyskutowali nad mapą, Bryzold pokazywał na niebo w kierunku, gdzie na podstawie jaśniejszego punktu dało się wypatrzeć słońce. Karawana skręciła później lekko w lewo. Rezce, wnioskując z chłodu, który teraz czuła na twarzy, zdawało się, że jadą bardziej w stronę gór.

Deszcz zgęstniał, w trawie znów snuła się mgła. W półmroku wydawało się, że nawet okoliczne drzewa i krzewy mają szary kolor. Rezka zwolniła tempo, precyzyjnie się między ludźmi i w rzece wozów i zwierząt dostała się aż na koniec karawany. Wraz ze zwiększającą się odległością od czoła strumień ludzi rozciągał się wciąż w szerszy pas. Grunt był tak nasiąknięty wodą, że końskie kopyta robiły w ziemi zagłębienia, które natychmiast zmieniały się w małe kałuże. Ślady kół tworzyły dziesiątki płytkich potoczków. Ciągłe skądś słychać było okrzyki i wołanie o pomoc. Niektóre wozy grzęzły w błocie albo wjeżdżały w koleiny, z których nie były w stanie wyjechać o własnych siłach. Brygady - kierowane przez Kanta i kilku ludzi Bryzolda - z końmi i silnymi wołami miały pełne ręce roboty. Rezka przez chwilę ich obserwowała. Kant rozglądał się, jak sobie radzą ludzie. Gdy tylko coś szło nie tak, podjeżdżał ze swoim oddziałem do potrzebującego pomocy farmera, zaprzęgał zwierzęta i wyciągał wóz. Nie czekając, natychmiast spieszył dalej.

Bonsetti pracował sam. Objeżdżał farmerów, radził i rozkazywał. Po jego interwencji ludzie bez względu na pochodzenie i przynależność do klanu pomagali sobie nawzajem i ratowali jeden drugiego. Rezka przez jakiś czas trzymała się w jego pobliżu. Od pierwszej chwili, kiedy go spotkała, myślała o nim jako o „pustym człowieku” i było dla niej tajemnicą, dlaczego ludzie tak łatwo podporządkowują się jego rozkazom. Parę razy udało jej się zbliżyć do niego na zasięg głosu, tak że o niej nie wiedział. Chociaż w coraz gęstszym deszczu nie było to aż takie trudne. Rezka ze zdumieniem stwierdziła, że Bonsetti kilkoma słowami potrafi nakłonić do współpracy ludzi, którzy się nie lubią, ale wzajemna nietolerancja, miast się zmniejszać, rosła jeszcze i zamieniała w większą wrogość i nienawiść. Dziewczyna popędziła Blyznę i w strumieniu karawany posunęła się kawałek do przodu. Zazwyczaj potrafiła rozgryźć ludzi, zwłaszcza mężczyzn. Znów w pamięci przytoczyła scenę, kiedy Bonsetti przyjacielsko poklepywał jednego z górali po ramieniu. Uświadomiła sobie, że Bonsetti używa dwóch różnych języków równocześnie. Słowa naprzeciw gestom i mimice. Przestała go słuchać i skoncentrowała się tylko na gestykulacji. W chwili kiedy zrozumiała, o mało nie zraniła Blyzny, tak gwałtownie pociągnęła za uzdę. Bonsetti wprawdzie na pierwszy rzut oka zachęcał farmerów do współpracy, lecz między słowami przekazywał coś więcej. Mówił: „Pomóżcie im”, ale każdy rozumiał to w sensie: „Pomóżcie tym głupkom, z powodu których ugrzęźliśmy w tym bagnie”. Rezce jego zachowanie i postępowanie ukazało się nagle w nowym świetle, zrozumiała każdy jego ruch, odkryła sens pozornie niewinnych dowcipów, którymi rzucał podczas przemówień do ludzi. Podjudzał przeciwko sobie wrogie rody i klany, szkalował jednych przed drugimi, wzbudzał w nich poczucie, że właśnie oni są lepsi niż inni, podtrzymywał nienawiść i zawiść. Nie miała pojęcia, dlaczego to robi. Od Leda wiedziała, że Bonsetti dostanie zapłatę, gdy karawana przybędzie do celu. Ponadto nie wydawał się zły. Był po prostu pustym. Miała poczucie, że tym wszystkim tylko się bawi i prowadzi osobliwą, ale jednocześnie bardzo niebezpieczną grę.

Pogrążona w myślach nie zwracała uwagi, którądy jedzie, i nie zderzyła się z nikim tylko dzięki Blyznie, która sama wybierała wolną drogę. Rezka rozejrzała się i stwierdziła, że wmieszała się w grupę Faraciusa Edugana. Już wcześniej zdawała sobie sprawę, że jest purytanom solą w oku, a od Leda wiedziała, że ludzie Edugana sprawiają najwięcej problemów. Dlatego z nimi Bonsetti, najlepszy w rozwiązywaniu sporów, musiał spędzać najwięcej czasu. A może właśnie dlatego

sytuacja była coraz bardziej napięta, uświadomiła sobie nagle. Popędziła konia. Kaptur płaszcza zawęził jej pole widzenia, Ostara Hona zauważyła dopiero, kiedy przecięła mu drogę. Jechał na koniu tak jak i ona i natychmiast ją poznał. Zgarbił się w siodle niczym dzikie zwierzę, oczy mu zaświeciły. Rezce przeleciał mróz po plecach. Ten mężczyzna był śmiertelnie niebezpieczny. Od czasu gdy widziała go ostatnio, przebył długą drogę na ścieżce szaleństwa i obecnie nie umiał już nad sobą zapanować. Rezka wiedziała, że jej pragnie i jednocześnie nienawidzi. Ostar Hon był jak zwierzę dotknięte wścieklizną. Chory i śmiertelnie niebezpieczny. W towarzystwie ludzi zdołał przetrwać tylko dzięki temu, że ktoś mocny go ochraniał. Rezka zdała sobie sprawę, że przegapiła moment, kiedy mogła popędzić Blyznę i odjechać. Ostar Hon swoim kasztankiem zablokował jej drogę.

- Ty dziwko! - syknął i wyszczerzył zęby w parodii uśmiechu.

Podobna obelga nie była wśród farmerów zbyt częsta. Zwykle używano określeń „ladacznica”, „ulicznica”, a Rezka miała wrażenie, że to słowo niedawno od kogoś słyszała. Ostar Hon sięgnął po nóż. Dziewczyna wiedziała, że nie ma szansy uciec. Panował nad koniem o wiele lepiej niż ona, ponadto z jednej strony ograniczał ją niekończący się szereg przejeżdżających wozów. Wątpiła, czy na jej wołanie o pomoc ktoś zareagowałby wystarczająco szybko. O ile w ogóle by zareagował, ponieważ wciąż otaczali ich ludzie Faraciusa Edugana.

Nachyliła się do niego jak najbliżej się odważyła.

- Ale tutaj sobie nie użyjesz! - powiedziała celowo zachrypniętym głosem i wyduła wargi. Lewą ręką zaczęła rozpinąć guziki płaszcza, prawą mocno ścisnęła uzdę i jednocześnie żałowała, że nie ma ostróg. Gdyby wystarczająco stanowczo popędziła Blyznę, mogła wyskoczyć do przodu, nie zważając na nic. Ostar Hon z zafascynowaniem jej się przyglądał. Krople deszczu spływały po szyi Rezki, ubranie szybko wilgotniało.

- A może pojechać kawałek dalej, w krzaki. Tam z pewnością podobałoby ci się o wiele bardziej. - Popatrzyła na Ostara Hona w sposób, jakiego miała nadzieję już nigdy nie użyć. Spojrzenie zrażeń, niewinne i rozpustne jednocześnie. Szybko rozsznurowała bluzkę, krople ściekały po piersiach aż na brzuch. Ostar Hon otworzył usta, miał przyspieszony oddech i się ślinił. Trochę absurdalnie przyszło Rezce do głowy, że nie ma na co patrzeć, ponieważ miała prawie chłopięce piersi. Hon jęknął, puścił uzdę i jedną rękę wyciągnął w stronę dziewczyny. W drugiej trzymał sztylet przygotowany do dźgnięcia. Rezka wiedziała, że nadszedł jej moment.

- Chętniej bym się przespała z kompanią wojska niż z tobą! Jesteś bydlakiem! - wrzasnęła i jednocześnie kopnęła Blyznę w słabiznę jak najmocniej potrafiła. Zaskoczenie na chwilę zastopowało Ostara Hona. Rezka przegalopowała koło niego i zmusiła Blyznę, żeby wcisnęła się w lukę między dwoma wozami. Ostar Hon ze zwierzęcym wyciem ruszył za nią. Dalszą drogę zatarasował Rezce poczwórny zaprzęg wołów. Odwróciła się. Hona zatrzymali jego własni ludzie. Faracius Edugan wydawał gniewne rozkazy i starał się załagodzić sytuację. Zaprzęg w końcu przejechał i pojawił się przed Rezka kawałek wolnej przestrzeni. Nie czekając, ruszyła do przodu.

Dopiero po kilkuset metrach się uspokoiła. Wciąż jeszcze się bała, serce waliło jej w gardle jak młot szalonego kowala, ale już potrafiła trzeźwo myśleć. Nie była pewna, czy to, co robi, jest rozumne, lecz nie mogła się opanować. Była ciekawa. Wyjechała z rzeki ludzi, precyzyjnie się między krzakami i szerokim łukiem wróciła. Strach przed Ostarem Honem i ludźmi Edugana sprawił, że zapomniała również o swoim braku umiejętności konnej jazdy i fachowo przejechała przez leżące

kamienie i głębokie, zalane wodą rozpadliny. Stała tak, żeby widzieć drogę, za wysokim krzakiem dzikiej róży.

Wkrótce ujrzała Ostara Hona, jak rozmawia z Faraciusem Eduganem i coś mu tłumaczy. Obszarnik na koniec rozmowy się roześmiał i przyjaźnie poklepał Hona po ramieniu. Rezce przyszło do głowy, że Faracius Edugan lekceważy próbę zabójstwa. Jeszcze przez chwilę obserwowała przesuwaną się kolumnę ludzi. Zwolennicy Edugana jechali w mniej więcej uporządkowanej grupie w oddaleniu od pozostałych, o porządek dbało kilku jeźdźców na koniach, sami młodzi mężczyźni. Widać było, że traktują swoją pracę poważnie i czują się przełożonymi innych farmerów. Rezka zrozumiała, że widzi właśnie dowód rosnącej siły Faraciusa.

\*\*\*

Na noc karawana zatrzymała się trochę wcześniej, niż planowałem, ale musiałem się zgodzić. Pod powłoką chmur szybko się zmierzchało i groziło nam, że w ciemności zgubimy kierunek. Nie mówiąc o tym, że za moment połowa wozów ugrzęzłaby w błocie. Przystało padać, mgła się rozrzedziła, jednocześnie jeszcze bardziej się ochłodziło. Kowalski rozbił obóz niedaleko żołnierzy, widziałem, jak z Nataszą, Rezką i Szoblajem siedzą wokół ogniska i poważnie o czymś rozmawiają. Nawet na jego dziewczynach, mimo że troszczył się o nie jak najlepiej potrafił, z pewnością odbiły się już niedogodności podróży. Wiedziałem, że będzie jeszcze gorzej.

- Jedzenie za chwilę będzie gotowe - wyrwał mnie z rozmyślań Umwald.
- Nie będę jeść - warknąłem.
- Na kolację są placki jaglane z wieprzowiną, naprawdę dobre.
- Nie.
- Powinien pan coś zjeść.
- Powiedziałem nie, to nie! - wybuchnąłem. - Co się, do diabła, martwisz?!

Umwald wściekle odłożył patelnię, aż placki wysypały się na trawę. Wyglądał, jakby nie był pewny, czy ma się rozplakać, czy rozzłościć. Wybrał to drugie.

- Dlaczego się martwię? Ponieważ wygląda pan, jakby miał jutro zdechnąć z głodu, ponieważ ma pan siebie gdzieś, rano pije pan wodę z potoku i gdyby nie ja, to nawet nie rozpaliby pan ogniska!

Na chwilę zamilkł i nagle złapał drugi oddech:

- Gwiżdżę na pana, niech sobie pan zdycha, jak pan chce! Daje mi pan do czytania te beznadziejne prawnicze pisma i wszędzie jako pełnomocnik mający wszystkie upoważnienia wymieniony jest pan! Z panem Masner wszystko omawiał, panu wierzył! Jak pan myśli, dokąd bez pana dojdziemy? Donikąd, to mogę panu powiedzieć już teraz. Martwię się, ponieważ nie mam jeszcze piętnastu lat i nie chcę zejść z tego świata!

Ze złością mi się przyglądał, potem machnął ręką i z dostojeństwem oraz dumą, które są typowe tylko dla czternastoletnich chłopców, poszedł spać. Placki zostawił w trawie. Po kwadransie wahania podniosłem się i je pozbierałem. Zdażyły już nasiąknąć wodą, były rozmiękle i niezbyt mi smakowały. Z drugiej strony nie pamiętam, kiedy ostatnio ktoś martwił się o moje zdrowie, jeśli mu za to nie płaciłem. Zanim zdażyłem dojeść, Umwald już regularnie oddychał. Leżałem zawinięty w koc, ale nie mogłem usnąć. Swoją tyradą, dlaczego się o mnie martwi, zabił mi ćwieka. Co by się

stało, gdybym naprawdę umarł? Rozwazałem tę myśl z każdej strony i musiałem przyznać Umwaldowi rację. Szanse ludzi w karawanie znacznie by się zmniejszyły. Przeniósłem spojrzenie na obozowisko Kowalskiego. Właśnie układali się do snu, wszyscy troje w jednym wozie. Przez chwilę mu... im zazdrościłem. Każdy ma to, na co sobie zasłuży. Dołożyłem do ognia i otworzyłem dziennik Achrometa.

26 czerwca 317

*Dziś zaczęliśmy wchodzić pod górę. Kiedy patrzę na zaśnieżone szczyty przed nami i uświadamiam sobie, że to dopiero początek, przejmuje mnie strach. Obawiam się, że dotychczasową drogę będziemy wspominać jako coś łatwego, lekkiego i przyjemnego. Od świtu pokonaliśmy zaledwie piętnaście kilometrów. Mimo że jest lato, gwałtownie się ochłodziło. Wiele osób ma biegunkę i jest przeziębionych. Podejrzewam, że jest to spowodowane piciem lodowatej wody z rzek. Nie ma w nich żadnych ryb, na pewno mają swoje źródła na zboczach gór w lodowcach.*

29 czerwca 317

*Już trzeci dzień wchodzimy pod górę. Siła zwierząt często nie wystarcza i wozy muszą pchać albo ciągnąć ludzie. Nie jestem pewien, czy mamy wystarczającą ilość lin.*

*Rolnicy narzekają coraz więcej. Myślę jednak, że to nie będzie problemem. Za chwilę i na narzekania nie będą mieli sił. Mam nadzieję, że się zmuszę do pisania dziennika przynajmniej tak regularnie jak do tej pory. Posłałem Kormstena z kilkoma ludźmi, którym można wierzyć, z powrotem na nizinę, żeby spróbowali kupić jak najwięcej zwierząt pociągowych. Zaczynam się obawiać, że nie doceniłem uciążliwości terenu, wyżej w górach będzie jeszcze gorzej. Przynajmniej o ile sobie przypominam.*

2 lipca 317

*Przedwczoraj dopadła nas burza śniegowa. O tej porze roku zaskakujące zjawisko, nigdy czegoś takiego nie przeżyłem ani o niczym podobnym nie słyszałem. Najpierw wokół Białej Igły (górski szczyt o charakterystycznym kształcie) pojawiła się mgła, która stopniowo opadała. Im była niżej, tym bardziej ciemniała. Potem w nieoczekiwanie krótkim czasie zakryła całe niebo. Wyglądało to jak dym pęłający w dół ze szczytów gór. Mieliśmy szczęście, że akurat rozbiliśmy obóz pod szerokim nawisem. Wichura z trasy zmiotłaby nas w jednej chwili.*

6 lipca 317

*Dwa dni trwało, zanim śniegowe zasy się roztopiły, a myl znów mogliśmy wyruszyć w drogę. Dziś do parowu stoczyły się dwa wozy. Było to tylko parę metrów, ale nikt nie przeżył. Niedługo będziemy jechać nad stumetrowymi przepaściami po o połowę węższych drogach. Dopada mnie beznadzieja. Stary Haust i Fremden przyszli mi powiedzieć, że wracają. W sumie zabierają ze sobą prawie dwadzieścia osób. Nie miałem siły ich przekonywać, chociaż wiem, że powinienem się przynajmniej postarać. Są złym przykładem dla innych.*

7 lipca 317

*Przeglądałem starsze zapisy w dzienniku i trochę mi to pomogło. Już wiele razy myślałem, że nie damy rady, a na razie wszystkie przeszkody z powodzeniem pokonaliśmy. No, nie mogą tego powiedzieć martwi, których za sobą zostawiliśmy. Nie powinienem zapominać o pisaniu dziennika.*

*Codziennie jest to cięższe, brakuje mi sił.*

*8 lipca 317*

*Dziś przeszliśmy prawie dziesięć kilometrów. Najlepszy wynik w ciągu ostatniego tygodnia. W końcu dogonił nas Kormsten. Kupił dwanaście wołów, osiem mułów i dziesięć koni pociągowych. Mniej, niż się spodziewałem, ale lepsze to niż nic. Po drodze spotkał Haustów i Fremdenów. Stracili wszystkie wozy i zwierzęta i wracają piechotą tylko z tym, co uniosą na plecach. Schodzenie w górach jest o wiele bardziej niebezpieczne niż wchodzenie. Wygląda na to, że droga powrotna naprawdę nie istnieje. Przykazałem Kormstenowi, żeby informację o ich pechu rozpowszechnił między ludźmi. Zaczyna być ze mnie dobry dowódca - na naszą korzyść potrafię wykorzystać również niepowodzenie.*

*10 lipca 317*

*Dziś po raz pierwszy nie byłem pewny, którądy dalej. Ścieżka rozgałęziła się na dwa podobne do siebie kaniony. Zapomniałem, że jest tu takie rozwidlenie. Dobrze, że mam mapę. Szacuję, że jesteśmy na wysokości trzech tysięcy metrów.*

Przestałem czytać i pobieżnie przekartkowałem dziennik aż do końca. Mimo że nie znalazłem żadnej mapy, notatki Achrometa same w sobie miały wartość informacyjną. Człowiek dowiadywał się z nich dużo o regionie i o warunkach naturalnych. Mapa drogi przez góry, o której istnieniu nikt nie miał nawet pojęcia, miałyby jednak wartość wprost nieopisaną. Trzymałem tę małą książeczkę na kolanach i rozmyślałem. Achromet nie wyglądał mi na kupieckiego łowcę przygód, raczej na mądrego, doświadczonego i rozważnego człowieka. Postarał się, żeby notatki zachowały się dla jego potomnych. Z pewnością do dziennika dołączył również wspomnianą mapę. Każdy rozumny człowiek by to zrobił. Pewnie leżała zapomniana, wsadzona gdzieś między tysiące tomów diabli wiedzą jakiej biblioteki. Odłożyłem dziennik i starałem się usnąć.

Obudziłem się jako pierwszy. Niebo ciągle było zachmurzone, ale przynajmniej nie padało i zimno trochę zelżało. Po raz pierwszy od długiego czasu rozpałem poranne ognisko i wstawiłem wodę na kawę. Na patelni podsmażyłem kilka plastrów słoniny i opiekłem parę kromek chleba. Umwalda obudziłem, kiedy śniadanie było gotowe. Przez chwilę gapowato mrużył oczy, a potem z apetytem zaczął jeść.

\*\*\*

Rezka szczerzej otuliła się płaszczem i rozsiadła wygodniej na koźle. Po wczorajszej przygodzie miała na parę dni dosyć konnych przejażdżek, a próba morderstwa, o której powiedział Led, wystraszyła ją jeszcze bardziej. Natasza od tego czasu ciągle bawiła się zdobytą kuszą.

- Co chcesz z tym zrobić? - zapytała Rezka. Natasza wzruszyła ramionami.

- Chcę to naciągnąć. Niezgrabnie napinała ramiona kuszy.

- Próbowałaś tego już kiedyś?

- Nie.

Rezka spod oka obserwowała próby Nataszy. W końcu jej się udało, ale wysiłek przyplącała rozciętymi opuszkami palców i poharatanymi dłońmi od stalowych strun.

- Ty czasami jesteś nieźle uparta - powiedziała.



- Nie, nie wiem. Albo raczej: nie byłam - odpowiedziała Natasza i uśmiechnęła się.

- Co będziesz robić teraz?

- Założę strzały.

- I co dalej?

- Nauczę się z tego strzelać. Rezka skinęła głową.

- No, to może nam się kiedyś przydać. Może będzie lepiej, jeśli nikt cię przy tym nie zobaczy.

Natasza nie odpowiedziała. Zamiast tego bacznie obserwowała broń na swoich kolanach.

- Ale to jest nieładna rzecz. Jak sobie wyobrażam, że mogłabym tym zrobić komuś krzywdę, dostaję gęsiej skórki - rzekła w końcu zamyślona.

Ostrożnie, jakby dotykała jeżozwierz, wyjęła strzały z rowków, popuściła ramiona, złożyła je i włożyła kuszę z powrotem do skrzyni. Nie odłożyła jej jednak na dno, ale tak, żeby później łatwo mogła się do niej dostać.

Wóz przed nimi bez widocznego powodu się zatrzymał. Rezka szarpnęła za lejce i wstała, żeby zobaczyć, co jest z przodu. Kiedy ucichł ogólny stukot i skrzypienie wozów, usłyszała głuchy huk. Drogę przegrodziła im rzeka.

Rezka z Nataszą pieszo precyzyjnie się między wozami aż na czoło karawany. Stare ślady wyjeżdżonych kolein znikwały w wodzie, wartki prąd wgrzyzał się w glebę i zabierał ze sobą całe połacie ziemi. Krzewy wierzb i leszczyn otaczających brzegi w połowie były pod powierzchnią wody. Miała ciemnoszary kolor i wiało od niej chłodem, czasem w spienionym nurcie mignął wyrwany krzew albo mniejsze drzewo. Przeciwległy brzeg był oddalony o ponad osiemdziesiąt metrów. Dziewczęta wmieszały się w gromadkę farmerów, Kowalski z Koniaszem i Bryzoldem stali tuż przy brzegu i o czymś dyskutowali. Bonsetti trzymał się opodal.

- Utrzymujemy dokładny kierunek, tu powinien być bród. O tym nawet nie odważyłem się myśleć - stwierdził Bryzold, ton jego głosu nie świadczył o zbytnim entuzjazmie.

Rezka starała się, żeby nie umknęło jej ani słowo. Kowalski przyglądał się rzece z widoczną niechęcią.

- Woda podniosła się prawie o metr - burknął.

- Musimy kontynuować podróż. Czekanie nie przyniesie nam nic dobrego - powiedział Koniasz.

Wyglądało na to, że wartki prąd w ogóle go nie interesuje.

Kowalski popatrzył na niego poważnie.

- Nie wiemy, jak tu głęboko. Jeśli przy normalnym stanie jest tu metr wody, dziś są dwa. Wozy się utopia. A nawet gdyby wody było mniej, prąd jest zbyt silny. Wystarczy, że zwierzęta raz się poślizną, stracą równowagę i woda zniesie je w dół. Koryto się zwęża, brzegi są strome. Utopią się.

Koniasz nie powiedział nic, tylko dalej obserwował rzekę. Rezce jego twarz wydawała się tak samo ponura i posępna jak okoliczna kraina.

Kowalski wskoczył na siodło, popędził do wody i zatrzymał się w chwili, kiedy woda sięgała zwierzęciu do brzucha. Dotarł prawie dwadzieścia metrów od brzegu, woda wokół konia marszczyła

się i bulgotała.

- Może się uda, ale trzeba przebadać cały bród. Przeciagniemy linę, z drugiej strony postawimy zaprzęg, który będzie pomagał przy przechodzeniu - musiał krzyżeć, żeby było go słychać przez szum wody. Przemoczony wrócił na brzeg. - Tylko że ten, kto spróbuje jako pierwszy, cholernie dużo ryzykuje - dodał po chwili.

Koniasz przytaknął.

- Potrzebuję cienkiej, mocnej liny, którą będę mógł wziąć ze sobą. Umwaldzie, przyprowadź mi kasztanka, jest wypoczęty.

Zaczął się rozbierać. Farmerzy nie spuszczaali z niego oczu i każdy element jego uzbrojenia kwitowali cichymi westchnieniami. Gdy już odłożył miecz, uprząż piersiową, bandolet i został tylko w koszuli oraz spodniach z jeleniej skóry, wyglądał na jeszcze chudsze niż w rzeczywistości. Rezka popatrzyła na czarny prąd wody i rozejrzała się za Nataszą. Rozumiały się doskonale, obie się cieszyły, że drogi nie szuka Led. Bez wahania precisnęły się między ludźmi i stanęły przy Kowalskim, każda z jednej strony. Koniasz tymczasem przywiązał linę do łąku przy siodle, wskoczył na konia i wszedł w nurt. Bonsetti stał w miejscu, gdzie przed chwilą dojechał Kowalski, i wybierał Koniaszowi linę.

- Utopi się - zamruczał ktoś z tyłu, a Rezka w tej uwadze wyczuła nutę życzenia.

Rozumiała to. Jeśli Koniaszowi się uda, będą musieli przejść wszyscy. Przy tej myśli zatrzęsała się ze strachu, mimowolnie złapała Leda za rękę.

Koniasz jechał powoli dalej w nurt, wzburzone fale po raz pierwszy zamoczyły koniowi brzuch, kasztanek nerwowo zatańczył.

- Dlaczego to robi? - Rezka usłyszała głos Nataszy. Sama nie spuszczała wzroku z chudego jeźdźca posuwającego się w kierunku coraz bardziej niebezpiecznych fal i mocniejszego nurtu. Już był prawie w połowie szerokości rzeki. Prowadził konia ukośnie pod prąd, fale rozbijały się o boki kasztanka. Już na pierwszy rzut oka było oczywiste, jak wielki wysiłek jeździec i zwierzę wkładają w każdy krok. Bonsetti pozwalał linie prześlizgiwać się między palcami, uważał tylko, żeby nie porwała jej rzeka. Rozpadało się, wielkie krople pomarszczyły niespokojną taflę wody.

- Ponieważ ktoś to musi zrobić - odpowiedział Kowalski Nataszy.

- A co się stanie, jeśli mu się to nie uda? Poczekamy, aż woda opadnie?

Rezka znała odpowiedź, zanim jeszcze Led otworzył usta.

- Nie, przyjdzie kolej na mnie.

- Więc życzę mu wszystkiego najlepszego - mruknęła pod nosem Natasza i zafascynowana przyglądała się mężczyźnie walczącemu z nawałem wody.

W połowie brodu kasztanek źle stąpnął i zachwiał się. Koniasz zmusił go do skoku w przód w nadziei, że pokonają trudne miejsce i odzyskają równowagę, ale koń podczas skoku zatoczył się po raz drugi i przewalił na bok. Woda się rozprysła, Rezka wstrzymała oddech. Pole widzenia przesłonił im niesiony przez prąd wielki krzak.

- Już po nim - westchnął ktoś z nieskrywaną ulgą. Umwald stanął na brzegu z otwartymi ustami i

niemym krzykiem na wargach. Bonsetti z kamienną twarzą to poluzniał, to napinał linę. Deszcz nagle zgęstniał, zmienił się w gradobicie, padające okruchy lodu podnosiły całe gejzery wody, widzialność znacznie się pogorszyła.

Koń znoszony przez prąd wydostał się na powierzchnię i starał się płynąć. Kilka razy w deszczu zabrzmiało stłumione rżenie, potem zaległa cisza. Koniasza nie widzieli. Nagle Rezce się wydało, że na przeciwległym brzegu, koło dwudziestu metrów w bok, coś się kołysze.

Przez chwilę nic się nie działo, potem wśród krzewów i traw podniosła się niewyraźna sylwetka i zaczęła przebijać się wodą z powrotem w stronę brodu. Wkrótce linka się naprężyła. Nikt się nie ucieszył.

- Idźcie do wozów, tutaj teraz będzie straszny chaos. I uważajcie na siebie - powiedział Kowalski i ucałował obie dziewczyny na pożegnanie. Natasza zrobiła zawstydzoną minę.

- Wiesz, że jeszcze nigdy tego nie zrobiłeś? - zaśmiała się Rezka.

- Czego?

- Nie pocałowałeś nas publicznie.

Kowalski wzruszył ramionami i powtórzył pocałunki.

- Masz rację, ale bardzo mi ulżyło. Bo ja nie umiem pływać.

\*\*\*

Obserwowałem Kanta z Bryzoldem, jak przy pomocy podwójnego zaprzęgu wołów przeciągają przez nurt wóz za wozem. Leżałem pod prowizorycznym daszkiem z wierzbowych witek, jaki dla mnie zrobił Umwald, i popijałem gorącą, przesłodzoną kawę. Miałem wrażenie, że na ten napój poszły ostatnie resztki cukru. Umwald przeszedł rzekę z naszym wozem jako pierwszy i natychmiast zaczął o mnie dbać. Ja sam po prostu nie miałem na to siły. Gdyby to zależało tylko ode mnie, leżałbym tam, gdzie po wyjściu z rzeki załamały się pode mną kolana, i czekałbym, aż trochę dojdę do siebie. Nawet lubię wodę. Najbardziej chyba tę gorącą i pachnącą w kadzi łaźiebника albo w łaźni, ale również w lecie z upodobaniem kąpię się częściej, niż większość ludzi uważa za zdrowe. Ta bezimienna rzeka wyssała ze mnie wszystkie siły i jeszcze teraz w kościach czułem jej chłód.

Dopiero po zmroku doszedłem do siebie na tyle, że wylazłem z koców. Umwald już spał. Zbyt dużo wrażeń jak dla niego. Przez chwilę mu się przypatrywałem. Wyglądał na spokojnego i rozluźnionego, tylko czasem coś mrucał przez sen. Zaczynałem lubić tego chłopaka.

Mimo że ciągle trochę padało, zaordynowałem sobie na rozgrzewkę spacer wzdłuż brzegu. Woda podniosła się o kolejne pół metra i teraz już przez rzekę nie przedostałby się nawet przewoźnik z solidnym promem. Nurt szalał, zrywał całe kawały brzegu, w korycie migąło drzewo za drzewem. Już wiedziałem, co Achromet miał na myśli, kiedy pisał o lodowcowych rzekach, które w jednej chwili potrafią wygryźć w ziemi całą ogromną dolinę. Cieszyłem się z tego, ponieważ wysoka woda na jakiś czas zatrzyma naszych prześladowców. Szansa na pomyślny przejazd przez Hrabstwo Ryżskie wydawała się coraz bardziej realna.

## Rozdział 5

### Gra va banque

Krystyna ukryta w cieniu wierzby obserwowwała Koniasza. Rozrzedzone cienką warstwą chmur światło księżyca odbijało się w spienionej wodzie i rysowało na błyszczącej tafli tylko sylwetkę mężczyzny. Gdy Krystyna zobaczyła Koniasza kilka dni temu na brzegu potoku, stała bez ruchu tak samo jak teraz. Tylko że wtedy to był przypadek, dzisiaj specjalnie na niego czekała. Wyraźnie widziała grymas, który pojawił się na jego zazwyczaj kamiennej twarzy, kiedy na podstawie śladów stwierdził, że przed chwilą była nad potokiem. Złękła się, jak bardzo emocje Koniasza na nią działają. Bała się rozmowy z nim, bała się przebywać z tym pokrytym bliznami i jednocześnie bardzo interesującym mężczyzną sam na sam.

- Dobry wieczór - przywitała się. Milczał.

- Chcesz być sam?

- Nie. Możesz spokojnie wyjść spod tego drzewa. Uważaj, zaraz spadną na ciebie wszystkie krople z gałęzi.

Pomógł kobiecie wydostać się z płataniny wierzbowych witek. Krystyna drgnęła, gdy dotknął jej przedramienia.

- Wszystko w porządku?

Stali tuż obok siebie i Krystyna musiała zadrzeć głowę, żeby zobaczyć jego twarz. I tak zamiast niej widziała tylko ciemny owal na tle oproszonych srebrem chmur.

- Jestem tutaj, ponieważ muszę z tobą porozmawiać - powiedziała ze ściśniętym gardłem.

- Chodźmy na spacer. Kiedy nie będziemy już mieli sobie nic do powiedzenia, możemy udawać, że uważamy na drogę. Chociaż w tych ciemnościach i tak to nie ma znaczenia.

Starał się mówić z humorem, ale Krystyna czuła w jego głosie napięcie. Miała nadzieję, że Koniasz umie panować nad sobą lepiej niż ona sama. Szli ramię w ramię przez niską trawę, obfita rosa moczyła im buty. Krystyna słyszała odgłos kroków na mokrej trawie, szelest materiału swojej spódnicy, skrzywienie skóry rzemieni jego ekwipunku. Z bliska wyczuwała woń konia, jakim jego odzież była przesiąknięta na wylot, dym obozowych ognisk, który osiadł na włosach Koniasza, i zapach jego ciała. Kiedy przechodzili pod zwisającą gałęzią starej topoli, niechcący go dotknęła. Czuła, że zamarł, i chwilę trwało, zanim znów zrobił krok. Wołała utrzymywać większą odległość. Zaczynała myśleć, że to spotkanie było błędem, który mógł wszystko skomplikować jeszcze bardziej. W mrocznym cieniu drzew ukazał się im widok na delikatnie pofalowaną wodę. Koryto rzeki poszerzyło się i jednocześnie pogłębiło, nurt stracił swoją siłę i płynął o wiele ciszej.

- Tutaj jest spokojnie i jesteśmy daleko od obozu. Nikt nie będzie nam przeszkadzał - powiedział Koniasz.

Chmury się przetały, blask księżyca zyskał na intensywności. Krystyna wreszcie widziała oczy Koniasza ukryte pod gęstymi brwiami, wąską linię zaciśniętych warg i potężny nos. Gdzieś blisko zabrzmiało ciche wycie. Rozejrzała się, ale nic nie zobaczyła.

- Co to było? - zapytała.

- Wilki. Jesteśmy blisko gór, oczywiście wychodzą na łowy też na niziny. Jest tutaj mnóstwo zwierzyny i mało ludzi.

Jakby na potwierdzenie tych słów pierwszemu wilkowi odpowiedziały następne, ich głosy rozplywały się w oddali.

- Boisz się?

Krystyna pokręciła głową.

- Nie - odpowiedziała i nagle uświadomiła sobie absurdalność sytuacji.

Była z prawie obcym mężczyzną sama pośród dzikiej przyrody i nie bała się. Nie bała się wrogów, zwierząt, niczego. Może tylko siebie.

- Po tym jak się kochaliśmy, zaproponowałeś, żebym z tobą odeszła - rozpoczęła temat, z powodu którego właściwie tutaj przyszła. Jej własny głos brzmiał ostro i nienaturalnie. Odmówiłam. Wiele razy później to sobie wyrzucałam. Hammonda, mojego męża, nigdy nie było, ja i dzieci go nie interesowaliśmy. Widziałam, jak mnie obserwujesz, jak się nami przejmujesz, jak nam pomagasz. Często wspominałam tę noc. - Krystynie głos się załamał. - Nie chcę, żebyś sobie myślał, że tylko dla wygody i bezpieczeństwa chciałam wymienić jednego mężczyznę na drugiego. Lubiłam Hammonda, a wcześniej naprawdę go kochałam, ale tak dalej się nie dało. Nie można żyć z człowiekiem, dla którego nie jest się ważnym.

Ostatnie zdanie Krystyna wyszeptała, stojąc z założonymi rękami. Wstydziła się i czuła się dziwnie. Chociaż nie wiał wiatr, trzęsła się z zimna. Koniasz podszedł do Krystyny, narzucił na nią płaszcz i przez chwilę trzymał dłonie na jej ramionach. Nawet przez skórę jego ręce przyjemnie grzały.

- Potem przyszła choroba - kontynuowała - i on wrócił. Zadbał o nas, pielęgnował i od tego czasu jest ciągle z nami. Ze mną i z dziećmi. Nie jest jak kiedyś, już mu tak nie wierzę, ale wciąż go lubię i... - zamilkła.

Znów poczuła na ramionach dłonie Koniasza.

- Przyszłaś, żeby mi to wszystko powiedzieć. Szkoda zostawić tę sprawę niedokończoną.

Nie myśląc, przytuliła się do niego.

- Nie kocham go, ale lubię. Przynajmniej tak myślę. Chcę mu dać szansę. To już nie jest ten Hen co kiedyś, bez wątpliwości, pewny siebie. Zmienił się. Czasem widzę, jak się stara, żebym była zadowolona. Cieszy się, kiedy ja się cieszę. Parę razy zobaczyłam, że się bał. Bał się, że od niego odejdę. Wyglądał bezbrinnie jak chłopiec. Nie wiem, czy mnie rozumiesz.

Krystyna uświadomiła sobie, że wciąż przytula się do Koniasza, lecz nagle nie było w tym nic erotycznego. Dotyk dawał jej pewność siebie i poczucie bezpieczeństwa.

- A potem widzę ciebie i nie wiem, co mam robić. Zapadła cisza. Czuła ciepło i zapach jego ciała, chłód nocy i podnoszący się wietrzyk, który stroszył jej włosy.

- Nic nie rób. Sytuacja jest, jaka jest, i nic tego nie zmieni. Wkrótce dotrzemy na miejsce, gdzie założycie nowy dom, a ja zniknę. Stanę się dla ciebie wspomnieniem. Może trochę bolesnym, choć mam nadzieję, że przyjemnym. Tak jak ty dla mnie. Przyjemnym wspomnieniem aż do śmierci.

Nawet w ciemności zdała sobie sprawę, że żołnierze się uśmiecha.

- Czasem lubisz pomniejszać wagę pewnych rzeczy, prawda?

- A jak inaczej, kiedy są zbyt ciężkie? Zaśmiała się.

- Myślę, że powinniśmy wracać. Jest późno i mógłby zacząć się o mnie niepokoić. A chyba by mi nie uwierzył, że tylko rozmawialiśmy.

Ostrożnie wyzwoiła się z objęć Koniasza.

- Czasem to naprawdę cholernie ciężkie tylko rozmawiać - powiedział i uśmiechnął się smutno.

\*\*\*

Ranek był bardzo chłodny, ale jasny. Na błękitnym niebie nie została nawet jedna chmura, powietrze pachniało świeżością. Przed odjazdem sprawdziłem stan wody w rzece. Po nocy jeszcze się podniósł. Miałem nadzieję, że parę dni tak się utrzyma.

- Obudziłem się w nocy, a pana nie było. Działo się coś? - zapytał Umwald, jeszcze zanim wybrałem się na regularny objazd karawany.

- Nie. Ćwiczyłem się w panowaniu nad sobą i w udawaniu szlachetności.

Może powiedziałem to zbyt poważnym tonem. Umwald spojrzał na mnie podejrzliwie.

- Co?

- Czasem ci przykro, że coś zrobiłeś, i jednocześnie cieszysz się, że nie zrobiłeś nic innego, i na odwrót.

Spojrzał na mnie jeszcze bardziej podejrzliwie.

- Nie spadł pan z konia? Nie ma pan gorączki?

- Nie. Jak będziesz starszy, wytłumaczę ci to. Muszę opowiedzieć, jakim jestem głupkiem, ale parę lat spokojnie poczekam.

Ostatnim zdaniem bardzo Umwalda zainteresowałem.

- A kiedy to będzie?

- Zostaw to mnie. I staraj się mówić ładnym językiem, nie jak żebrak z ulicy - odparłem, a ponieważ wiedziałem, że potrafiłby aż do wieczora się wypytywać, popędziłem konia.

W ciągu dnia pokonaliśmy dobre trzydzieści kilometrów całkiem przyjemnym pogórzem porośłym wysoką, sztywną trawą w niebieskawym odcieniu. Płytkie dolinki, w których gromadziła się woda z licznych potoków i rzek, były zarośnięte nieprzebytą gęstwiną osik, wierzb i topoli. Wyjeżdżona droga, której się trzymaliśmy, omijała doliny, wiła się po zarośniętych trawą grzebieniach niewysokich wzgórz. W odległości kilkudziesięciu kilometrów po naszej lewej stronie wznosił się pierwszy wał Gór Grimma, za nim drugi, wyższy, a za nim jeszcze następny, którego najwyższe szczyty w porannym i wieczornym słońcu połyskiwały oślepiającą bielą.

Kolejny ranek był równie piękny jak poprzedni. I równie spokojny. Dopiero przed obiadem sytuacja zaczynała się psuć. Kant ze swoimi ludźmi, którzy jak zawsze przeczesywali obszar przed nami, nie wrócili. Już wiele razy się zdarzało, że ich patrolowa jazda się przeciągała, dlatego nie

wysnuwałem z tego żadnych dalekosiężnych wniosków. Góry były trochę bliżej niż wczoraj i przybyło drzew. Zbliżaliśmy się do najcięższego odcinka drogi, na którym będziemy musieli pokonywać stosunkowo wysokie i strome góry. Droga już nie pięła się po szczytach, ale wiała przez jary i wąwozy.

Ponieważ miał nas jutro czekać bardzo trudny dzień, Kowalski dał rozkaz do przenocowania o dwie godziny wcześniej niż zwykle. Na rozbicie obozu wybrał małą dolinę z przepływającą rzeczką, która w niższym krańcu tworzyła małe jezioro. Ludzie rozproszyli się po całym terenie, po raz pierwszy od dłuższego czasu mieli poczucie bezpieczeństwa. Nie zdążyłem nawet rozdzielić żołnierzom straży, kiedy na północnym zboczu ujrzałem błysk. Nie mógł to być Kant ze swoimi ludźmi. Na ich ubraniach i ekwipunku nic nie połyskiwało. Może tylko gdyby jechali z wyciągniętymi mieczami. Osiodłałem sobie świeżego konia, żeby popatrzeć, co się dzieje w lesie nad nami, gdy między drzewami pojawili sifl pierwsi jeźdźcy. Wyjeżdżali z lasu jeden za drugim, a ich starannie wypolerowane zbroje błyszcząły w promieniach zachodzącego słońca. Początkowo ich liczyłem, lecz gdy doszedłem do siedemdziesięciu, dałem sobie spokój. Było wszystko jedno, czy jest ich siedemdziesięciu czy stu. Nie mieliśmy nic, co moglibyśmy przeciwko nim postawić. Nie miałem pojęcia, kim są, nie mogli być przecież ludźmi hrabiego. Dopiero kiedy ujrzałem chorągiew z herbem - srebrną stalową rękawicę na szkarłatnym polu - zrozumiałem, z kim mamy przyjemność. Właśnie nadjeżdżał baron Grook ze swoją straszną soldateską. Nie miałem pojęcia, czego szuka na terytorium ryżskim, ale było jasne, że przynosi kłopoty.

Bonsetti natychmiast uformował dwudziestkę naszych żołnierzy, żeby goście widzieli, że też mamy zęby. Co prawda tylko mleczne, jednak lepsze to niż nic.

- Czego tu chcą? Co my zrobimy? - wykrztusił Ravlin, człowiek Valera, gdy tylko do mnie dobiegł.

- Wsiądziemy na konie i przywitamy ich z siodeł, nie ma to jak dostojęństwo - zbyłem go i zwróciłem się do Kowalskiego: - Niech pan trzyma farmerów w gotowości, żeby w razie potrzeby mogli natychmiast wyruszyć w drogę.

Straż przednia drużyny Grooka była już zaledwie w odległości trzystu metrów. Tymczasem wokół mnie i Kowalskiego zdołali się zgromadzić przedstawiciele współników z asystą.

- Panowie, jeśli dojdzie do rozmów handlowych, w których będzie brał udział sam Grook, wszystko zostawiam wam. Pamiętajcie jednak, że po ich stronie stoi setka perfekcyjnie uzbrojonych i doskonale wyćwiczonych żołnierzy, którzy mogą nas zmieść w każdej chwili - oznajmiłem im.

Wskoczyłem na siodło i dołączyłem do Bonsettiego oraz najemników.

- Mają pancerze z nachodzących na siebie metalowych łusek. Podobną technologię wykorzystują plemiona koczownicze na Wschodzie. W porównaniu z wykonaną w całości z metalu zbroją są o wiele lżejsze, praktyczniejsze w terenie i można się w nich świetnie poruszać. Przed ciosami miecza bronią prawie tak dobrze jak kuta stal, przed dźgnięciami trochę gorzej. Strzała z długiego łuku albo z kuszy przejdzie przez to jak przez papier. To samo dotyczy również zbroi płytkowych, jeśli nie są wystarczająco masywne. W takich jednak nie można jechać na pole i są dobre co najwyżej na turniej według jakichś nadętych reguł - komentował Bonsetti uzbrojenie zbliżających się jeźdźców.

Nie przerywał swojego fachowego wykładu nawet wtedy, kiedy żołnierze Grooka okrążali nas szerokim półokręgiem. Wszyscy mieli opuszczone przyłbice. Albo było to spowodowane ich zamiłowaniem do teatralnych; gestów pełnych dramatyzmu, albo naprawdę zamierzali nas za chwilę

wyciąć w pień. Na karku czułem strużkę lodowatego potu.

- Popatrz, każdy z nich ma w futerale przy siodle łuk, dwa oszczepy do rzucania i głównie kopii. Wyglądał na to, że ludzie Grooka są świetnie wyćwiczeni i każdy z nich jest rycerzem, kopijnikiem, łucznikiem i piechurem w jednym.

Głos Bonsettiego nie zachwiał się ani na moment, brzmiał w nim tylko oceniający ton fachowca.

Dotarła pierwsza grupa jeźdźców i nasi ludzie cicho mruknęli. Nie dziwiłem im się. Gdyby doszło do konfliktu zbrojnego, rozgoniliby nas tak jak rozwścieczona niedźwiedzica psią sforę.

- Miałeś z nimi już do czynienia? - spytałem.

- Tak. Niedawno za jednego oficera Grooka była wyznaczona nagroda. Na jakimś przyjęciu pomylił szlachciankę z wynajętą prostytutką i zabawił się z nią. Damie może by to za bardzo nie przeszkadzało, tylko że zrobił to na parkiecie tanecznym przed całym towarzystwem. Mąż tej damy chciał go mieć żywego lub martwego - odpowiedział Bonsetti, na nasze szczęście szeptem.

- I jak to się skończyło?

- Zamówienie brzmiało: głowa albo jądra, dostarczyłem jedno i drugie.

Jeźdźcy pośrodku łuku odsunęli się na bok i uformowali w wąski szpaler, którym przejechał mężczyzna na potężnym czarnym ogierze, a za nim dwóch towarzyszy. Zbroja rycerza lśniła tęczowo, uprzęż konia była obita srebrem. Z bliska zobaczyłem, że każda pojedyncza łuska zdobiona jest wzorem tak, że całość stwarza efekt tęczy. Rękojeść miecza w futerale przy siodle sama w sobie była dziełem sztuki, a liczba kamieni szlachetnych, które ją zdobiły, wystarczyłaby dla kilku rozrzutnych kobiet. Z drugiej strony pochwa, choć również bogato zdobiona, wyglądała na bardzo zniszczoną. Może baron Grook lubił luksus, ale z pewnością nie unikał również brudnej roboty ze stalą w rękę.

Zatrzymał się tuż przed nami, jego dwóch przybocznych zostało w tyle o koński łeb. Źle się ocenia wysokość człowieka w siodle, ale typowałem, że jest przysadzystym facetem między metr osiemdziesiąt pięć a metr dziewięćdziesiąt. Mógł być o parę kilogramów cięższy niż ja.

Zdjął hełm. Moja ostatnia nadzieja, że pod zbroją ukrywa się zniewieściały tłuścioch, którego przed niebezpieczeństwem chronią miecze jego ludzi, umarła. Grook miał masywną, kwadratową twarz profesjonalnego zabijaki, umięśniony byczy kark i duży nos, którego jak na razie nikt nie zdołał mu rozkwasić. Drobne blizny wokół oczu zdradzały jednak, że brał udział w paru ostrych pojedynkach na pięści jeden na jednego. Zważyłem w to, że naprawdę jest szlachetnie urodzony, ponieważ szlachta zazwyczaj unika takich zabaw. Dobrze uderzenie pięścią z estetycznego punktu widzenia może naznaczyć na całe życie. Mógłbym o tym napisać całą książkę. Czarne oczy Grooka patrzyły arogancko i z rozbawieniem. Wydawało się, że zamierza rozkoszować się zaistniałą sytuacją.

- Czego pan poszukuje na ryżskich terenach? - zapytałem.

- Pan jest dowódcą? - odpowiedział pytaniem i zmierzył mnie wzrokiem, jakim obrzucają się walczące koguty. Teraz już byłem pewny, że Grook jest samozwańcem. Szlachta, uprzywilejowana dzięki swojemu pochodzeniu od urodzenia, nie ma potrzeby ciągle sobie udowadniać, że właśnie oni są przywódcami. Dla Grooka podobne podejście nie było oczywistością. Musiał być sprytny, skoro zdołał przekonać otoczenie, że rzeczywiście ma szlacheckie pochodzenie.



- Tak. Firma adwokacka Masner i spółka, reprezentująca również pozostałych współników, powierzyła mi dowództwo nad tą karawaną. Hrabia ryżski pozwolił nam przejechać przez swoje włości dokładnie tak, jak stało w zawartej umowie. Przypuszczałem, że z panem spotkamy się dopiero za kilka dni. Co pana sprowadza na ryżskie terytorium, baronie Grook?

Teatralnie się zaśmiał i z zadowoleniem przyjrzał swoim ludziom. Niewątpliwie lubił przedstawienia.

- Obawiałem się, że hrabia może się przypadkiem rozmyślić i złamać umowę. Zdecydowałem, że lepiej będzie, jeśli wam potowarzyszę!

Soldateska Grooka dołączyła do śmiechu swojego dowódcy. Nie wierzyłem w ani jedno jego słowo, ale nie chciałem za bardzo go drażnić.

- W takim wypadku uśmiechnęło się do nas szczęście, baronie. Z wdzięcznością przyjmujemy pańską ofertę. Proponuję, żebyśmy rozszerzyli naszą umowę przejścia przez Przełęcz Keżską o załącznik dotyczący eskorty. Oczywiście za dopłatą.

Grook prawie parsknął śmiechem.

- To brzmi naprawdę dobrze. Szczegóły omówimy dziś wieczorem w moim namiocie. Jestem pewien, że dojdziemy do porozumienia!

Jego ton nie pozostawiał wątpliwości co do tego, kto podczas rozmów będzie miał ostatnie słowo.

\*\*\*

Stałem przy wozie i obserwowałem ludzi Grooka. Rozbijali obóz z rutyną, jaką uzyskuje się przez wielokrotne powtarzanie czynności. Jakimś przypadkiem ich namioty zatarasowały obie drogi z doliny. Grook z pewnością podziwiał cesarski sposób organizacji armii, ponieważ jego oficerowie utrzymywali większy dystans wobec drużyny, niż to zazwyczaj bywa wśród profesjonalnych żołnierzy. Inaczej też się zachowywali, jakby byli prawdziwymi szlachcicami.

- Proszę pana?

Kant stał wśród koni, nie chciał, żeby ktoś go zauważył.

- Muszę z panem pomówić.

- Wejdz do środka i ukryj się. Za chwilę jestem u ciebie. - Pokazałem na wóz.

Duży mężczyzna z twarzą troglodyty poważnie przytaknął i przecisnął się pod płachtą. Odwróciłem się znów w stronę drużyny Grooka. Jeden z oficerów, krępy facet z gęstymi kruczoczarnymi włosami, w zamyśleniu mi się przyglądał. Nie przychodził mi do głowy żaden sposób, jak uciec Grookowi. Jego żołnierze to profesjonaliści, było ich znacznie więcej niż nas, a ponadto nie mieli wozów wypełnionych ładunkiem tak jak my. Miałem nadzieję, że cokolwiek by oznaczała obecność Grooka na terytorium ryżskim, wieczorna rozmowa zakończy się powodzeniem. Gdy oficer w końcu zajął się jakąś pracą, szybko wskoczyłem do wozu.

Kant siedział na skrzyni z zapasami i miał zaaferowaną minę.

- Pozwolili nam przejechać przez pierwszy szereg straży, a potem nas otoczyli. Czekali na nas - zaczął.

Skinąłem głową. Nie było po co się tłumaczyć. Tamci ludzie byli przyzwyczajeni do walki w

warunkach polowych i dobrze do niej przygotowani, ponadto nieźle znali teren.

- Od razu nas spytali, czy należymy do karawany. Nie było sensu zaprzeczać, więc im powiedziałem. Zabrali nam całe żelastwo, ale poza tym dali nam spokój. Tylko nas pilnowali, żebyśmy nie próbowali uciec. Z tymi ich łukami nawet mi to nie przyszło do głowy.

Znów przytaknąłem. Kant zachowywał się coraz bardziej nerwowo i omijał mnie wzrokiem.

- Groom musiał ostatnimi czasy stracić wielu ludzi, ponieważ zaproponował nam, żebyśmy dołączyli do niego.

Przyczyna zdenerwowania Kanta stała się nagle jasna.

- A ty się zgodziłeś - stwierdziłem. Kant niepewnie przytaknął.

- Jasne. Inaczej bym panu tego nie mógł powiedzieć, prawda?

- Dokładnie tak. Załatwiłeś to naprawdę sprytnie. Dowiedziałeś się czegoś?

Kant wcale się nie uspokoił, niepewnie podrapał się po brodzie. Jego całodniowy zarost wyraźnie zachrząścił.

- No, dotarłem do czegoś. Zwykli żołnierze za tę akcję mają obiecaną nagrodę, sto pięćdziesiąt złotych. Mnie Groom zaproponował cztery stowy, a myślę, że oficerowie dostaną tak sześć, siedem. Wszyscy podobno mają trzymać język za zębami. Jeśli kto coś wygada, zgodnie z umową musi zwrócić kasę.

- Stu osiemdziesięciu żołnierzy i dwudziestu oficerów to wynosi czterdzieści jeden tysięcy tylko za żołd - szybko wyliczyłem sumę w pamięci.

Kant kiwnął głową.

- Nie radzę sobie zbyt z cyferkami, ale też tak jakoś mi wyszło. Wydaje mi się, że to sporo pieniędzy, i pomyślałem sobie, że powinien pan o tym wiedzieć. Zastanawiałem się, za jaką pracę ktoś płaci taką grubą kasę.

- I do czego doszedłeś?

- Groom planuje zrobić coś, co by mu nie uszło na sucho. To znaczy gdyby to się wydało. Coś, z powodu czego inni panowie by z nim nie rozmawiali. Dlatego wpycha w ludzi tyle złota i chce od nich, żeby nie kłapali gębą. Myślę, że chce pobić wszystkich farmerów.

Przyjrzałem się Kantowi. Może wyglądał jak troglodyta z dawnych czasów, może nie umiał czytać ani pisać, chyba nie był najmądrzejszy, ale we wszystkich jego wywodach się z nim zgadzałem. Oddychało mi się ciężko, jakbym miał na piersi olbrzymi głaz. Wyglądało na to, że swoją grą w rozmowy handlowe wykupiłem nam parę godzin życia.

- Dzięki za informację - powiedziałem. - Życzę ci dużo szczęścia.

Zrobił zdziwioną minę.

- Co pan ma na myśli?

- Nie przypuszczam, że zostaniesz z nami do końca, byłbyś głupcem.

Kant znów podrapał się po brodzie, wykrzywił usta i pokręcił głową.

- Wie pan co? Ja faktycznie nie jestem zbyt mądry. Nawet moja mama to mówiła. I chociaż jestem potężny, parę razy w życiu oberwałem po łbie. Wielu ludzi również stłukłem i zabiłem, ale nigdy nikogo nie dźgnąłem od tyłu, jeśli pan rozumie, co chcę przez to powiedzieć. Ja z panem zostanę i wiem, że inni też.

Nie wiedziałem, co na to powiedzieć, sam już wiele razy dźgałem od tyłu. Człowiek czasem spotyka się ze szczerością tam, gdzie by jej nigdy nie oczekiwał.

Już nie wierzyłem, że nasze pięćdziesiąt tysięcy, które w pośpiechu zebraliśmy do kupy, przeważą szalę na naszą korzyść. Ponieważ Grook miał chęć zainwestować ponad czterdzieści tysięcy tylko w żołd, ktoś za zbiorowe zabójstwo musiał mu zapłacić co najmniej drugie tyle. Takimi pieniędzmi z łatwością mógł dysponować tylko jeden człowiek - cesarz crambijski. A ponieważ ludzie lubią okrągłe sumy, założyłbym się, że zaoferował Grookowi równe sto tysięcy. To była niewyobrażalna suma. Majątek kilku najbogatszych ludzi w państwach Ligi swoją wartością przekracza tę kwotę, ale nie są to czyste pieniądze. Składają się na to grunty, inwestycje, budynki, należności, towary. Złota jest w nim mniejszość. Sto tysięcy złotych, za to można kupić małe królestwo. Podgarnąłem płachtę i wyjrzałem. Ludzie Grooka siedzieli wokół ognisk i obserwowali nasze obozowisko. Nagle miałem wrażenie, że łakomie.

Odwróciłem się znów do Kanta.

- Mam plan. Będziemy grać va banque, ale to nasza ostatnia szansa.

Oczy żołnierza rozblęły.

- Już wcześniej było to dla mnie jasne, proszę pana. Pan ma zawsze jakiś plan!

Nie wiedziałem, czy mam się śmiać, czy płakać. Kant mi ufał, a ja sam sobie wcale.

- Zagramy wielkie teatralne przedstawienie bez możliwości powtórki. Będę do tego potrzebował twojej pomocy. A także pomocy mężczyzn, którzy byli z tobą na straży. Chcę, żebyście zamieszcili między ludźmi Grooka. Dzięki temu, że właściwie przeszliście na ich stronę, nie będzie to trudne. Między słowami dyskretnie rozgłoście, że zamierzamy się wykupić. Gotówką. Nie wiesz dokładnie, ile mamy ze sobą pieniędzy, ale szacujesz, że jakieś pięćdziesiąt, sześćdziesiąt tysięcy. Powiedz, że widziałeś, jak niosę pieniądze gdzieś do lasu. Rozumiesz?

- Tak, proszę pana. Chwytam to, chociaż nic nie rozumiem.

- Świetnie. A potem potrzebuję jeszcze tego... Rozmawialiśmy z Kantem jeszcze długo. Zleciłem mu całe mnóstwo zadań, które nawet dla agenta specjalnie wyćwiczonego do pracy na tyłach wroga byłyby trudnym orzechem do zgryzienia. Miałem nadzieję, że troglodytowy żołnierz mnie nie zawiedzie. Zostawiłem go w wozie i wyszedłem jako pierwszy. Następnym człowiekiem, który miał występować ze mną w wyreżyserowanej farsie, jaka w każdej chwili mogła zmienić się w krwawą tragedię, był Hammond.

Oparty o drzewo przyglądałem się, jak Krystyna wiesza pranie, i czekałem na jej męża. Był w lesie po materiał do naprawy kół wozów, które po drodze wciąż się psuły. Jeszcze ciągle w pobliżu Krystyny miałem poczucie, jakby przepona przyklejała mi się do kręgosłupa, ale już było lepiej. Wszystko staje się łatwiejsze, jeśli się już zdecyduje, że pewnymi problemami nie będziecie się zajmować.

W końcu Hammond wynurzył się z lasu. Na ramieniu niósł kawał pnia o prawie metrowej

średnicy, a szedł tak energicznie i szybko, jakby nie czuł żadnego ciężaru. Doszedł do nas i zrzucił ładunek na ziemię. Jeśli moja obecność go zaskoczyła, nie dał nic po sobie poznać. Był olbrzymi, spokojnie mogłoby być z niego dwóch normalnie rozwiniętych mężczyzn. Żeby mu spojrzeć w oczy, musiałem nieznacznie odchylić głowę. Wyglądał jak uosobienie siły fizycznej. Przez chwilę przyglądaliśmy się sobie w milczeniu. Nasza niechęć była wzajemna. Nie lubiłem go i gdyby był martwy, nawet by mi to za bardzo nie przeszkadzało.

- Potrzebuję pana pomocy. Ale to będzie bardzo ryzykowne, może się zdarzyć, że pan przy tym zginie - powiedziałem.

Nie był to najbardziej dyplomatyczny początek. Niewątpliwie gdzieś w środku chciałem, żeby odrzucił moją prośbę i w ten sposób ja mógłbym uważać się za lepszego. Rzucił spojrzenie na obóz Grooka. Nasza sytuacja była jasna dla każdego, kto patrzył dalej niż na czubek własnego nosa.

- Dla pana też to będzie ryzykowne? - zapytał z błyskiem w oku.

- Oczywiście. Wchodzimy w to obaj. Razem.

- No to panu pomogę.

Może miał wiele wad, ale tchórzliwy nie był.

- Może pan za chwilę przyjść do mojego wozu? Nie chcę, żeby ktoś widział, jak rozmawiamy - poprosiłem go.

Przytaknął. Skierowałem się do wyjścia. Krystyna nawet nie starała się ukryć ulgi. Pewnie tak całkiem mi nie wierzyła i bała się, żebym czegoś nie zmyślał. Nic by mi z tego nie przyszło.

\*\*\*

Zbliżał się czas rozmowy z Grookiem. Razem z Bryzoldem, Gadonem, Ravlinem i synem Guiny'ego skierowaliśmy się do namiotu barona. Towarzyszył nam czarownik-prawnik z kuferką pełną przyborów do pisania. Między nami szedł Hammond, który niósł dwa wielkie skórzane worki. Bez pośpiechu przechodziliśmy przez obozowisko. Niektórzy żołnierze Grooka ciekawie nam się przyglądali, inni uciekali wzrokiem, ale rzucali kose spojrzenia na bagaż Hammonda. To obudziło we mnie nadzieję, że Kantowi i jego ludziom udało się dobrze zagrać ich rolę.

Namiot Grooka był godny króla koczowników. Zrobiono go ze starannie wyprawionych bawolich skór zabarwionych na czerwono, miał średnicę dobrych dziesięciu metrów, a pośrodku był wysoki na trzy. Dowódca czwórki wartowników zatrzymał nas i poprosił, żebyśmy zostawili wszelką broń. Grook nie starał się nawet stworzyć iluzji równoprawnych i dyplomatycznych rozmów. Zacząłem podejrzewać, że zechce sobie ułatwić pracę i spróbuje nas wykończyć już w namiocie. Oddałem strażnikom miecz i sztylet i cieszyłem się, że nie wziąłem ze sobą noży do rzucania. Żołnierze z pewnością by je znaleźli i z tego powodu zwróciliby na mnie nadmierną uwagę. A to by całkiem pogrzebało nasze nadzieje. Wiedziałem, że nawet jeśli uda mi się dokonać wszystkiego, co przedsięwziąłem, nasz los zależy od wielu innych czynników, na które nie mam żadnego wpływu.

Gdy wchodziłem do namiotu, miałem poczucie, jakbym wstępował na arenę naprzeciw sfory wygłodzonych lwów. Zamiast żołądka miałem kawał lodu, po plecach przebiegał mi mróz, ale serce biło spokojnie, a na twarz przywołałem wyraz zdecydowania.

Pośrodku namiotu na przenośnym żelaznym ruszcie płonął wielki ogień, całe pomieszczenie

oświetlało pięć lamp olejowych. Ziemię pokrywał gruby dywan, ściany od wewnętrznej strony sprawiały wrażenie bardziej przytulnych dzięki kolorowi skór.

Wprowadzono nas do środka i posadzono wokół stołu. Ja z Bryzoldem, Guiny junior i Gadonem po jednej stronie, Grook ze swiata oficerów naprzeciwko. Hammond z Ravlinem stanęli za nami jako nasza straż honorowa. Baron i wszyscy jego ludzie byli w pełni uzbrojeni. Zdałem sobie sprawę, że naprawdę chcą nas zabić bezpośrednio w namiocie. Żaden żołnierz nie będzie w pomieszczeniu przesiadywał w pełnej zbroi, jeśli nie ma ku temu ważnego powodu. Grook siedział dokładnie naprzeciw mnie, stół między nami miał dobre półtora metra szerokości. Zacząłem mieć nieprzyjemne przeczucie, że nie dam rady.

W końcu usiedli wszyscy i zapadła cisza przerywana tylko cichym syczeniem płomieni w lampach i różnymi dźwiękami z zewnątrz. W powietrzu unosiło się napięcie, dalej nikt nic nie mówił. Sługa postawił przed wszystkimi cynowe puchary i zaczął rozlewać wino. Poczekałem, wziąłem swój puchar i napiłem się. Typowe wino, które fasuje się chyba we wszystkich armiach świata. Cierpkie i kwaśne, jednocześnie jednak słodkie, ponieważ posmak dodawanej gorzałki był maskowany hojną dawką cukru. Z ukosa spojrzałem na swoich towarzyszy. Bryzold wyglądał tak jak zawsze, może tylko wokół oczu miał więcej zmarszczek, Gadon z Fridrichem Guiny na pierwszy rzut oka byli spięci do granic możliwości. Odwrócić się nie odważyłem. Wierzyłem, że Hammond zachowa zimną krew. Powiedziałem mu, co ma zrobić, ale nie powiedziałem kiedy. Powód był prosty, sam tego nie wiedziałem. Grook sprawiał wrażenie, jakbym go wcale nie interesował, oficerowie podobnie, tylko czasem ukradkiem zerkali gdzieś za moją głowę. Miałem nadzieję, że ciekawi ich Hammond, a dokładnie jego dwa worki.

- Dziś rano pan twierdził, że ma dla mnie interesującą propozycję. Proszę więc zaczynać - Grook w końcu przerwał ciszę i napił się wina.

Sługa nalał mi z tego samego naczynia co nam. Teraz byłem zupełnie pewny, że Grook nie jest szlachcicem, ponieważ takiego wina ktoś z drzewem genealogicznym sięgającym dalej niż dwieście lat wstecz nie wziąłby do ust. Nawet w wypadku, gdyby przez całe życie miał być abstynentem.

Gadon zgodnie z umową zaczął mówić. Mówił żargonem bankierskim jak handlowiec, który chce kupić towar i stara się uzyskać jak najlepszą cenę. Grook przez chwilę słuchał, potem mu przerwał.

- Z tego, co rozumiem, wszystkie pieniądze, o których mi pan teraz mówi, dostanę dopiero wtedy, gdy was przepuszczę przez Przełęcz Keżską.

- Tak - potwierdził Gadon.

- A pan tych pieniędzy nie ma, musiałbym je podjąć w Fenidong z zablokowanego rachunku.

- Dokładnie tak.

Grook pokazał zęby w pogardliwym uśmiechu.

- A ile mi pan proponuje?

- Pięćdziesiąt tysięcy.

Guiny z Bryzoldem zrobili zdziwione miny, ponieważ Gadon miał chwilę negocjować, ja jednak ucieszyłem się, że od razu podał najwyższą kwotę. Grook podniósł lewą rękę, jakby chciał wykonać jakiś gest, ale potem tylko pokazał słudze, żeby mu napełnił puchar. Zauważyłem, że część jego ludzi

podczas tego ruchu sięgnęła do broni. Z całą pewnością mieliśmy nie wyjść stąd żywi. Dopilem cienkusz i zacząłem palcami zginać miękką cynę pucharu.

- Niektórzy pana ludzie twierdzą jednak, że macie te pieniądze ze sobą - powiedział Groom i zmierzył nas wyczekującym spojrzeniem.

- To jest oczywiście niedorzeczność, ryzyko byłoby za duże! - sprzeciwił mu się Gadon.

- Mamy ze sobą sześćdziesiąt tysięcy w złocie - wtrąciłem się szybko, zanim Groom zdążył dać sygnał.

Podejrzliwie na mnie spojrział.

- A gdzie?

Zdażyłem zgnieść cynowy puchar w ścisły rulonik. Chociaż w namiocie nie było gorąco, koszulę na piersi miałem mokrą od potu. Serce biło mi wolno, w skroniach czułem regularne tętno.

- Tutaj - powiedziałem wyraźnie.

Na to słowo Hammond przerzucił wysokim łukiem przez stół oba worki jednocześnie. Te, upadając na ziemię, rozerwały się i na dywan wysypała się rzeka złota. Spojrzenia wszystkich obecnych na moment skierowały się na żółty metal pobłyskujący w świetle ognia. Wykorzystałem to.

Pochyliłem się mocno do przodu i z całej siły wbiłem Groomowi w oko rulonik zwiniętej cyny. Przez chwilę siedział bez ruchu, drugim okiem z niedowierzaniem spojrział na mnie, potem ze zranionego oczodołu wytrysnął strumień krwi, a baron z głębokim charknięciem upadł na stół. Dopiero teraz pozostali oficerowie uświadomili sobie, co się stało, i jak na komendę sięgnęli po broń. Ciszę przeciął świst wyciąganych z pochew mieczy.

- Panowie - powiedziałem cicho i wstałem - pomyślcie. Przed wami leży sześćdziesiąt tysięcy złotych. To są uczciwe pieniądze, za które w każdym państwie świata możecie sobie kupić, co tylko będziecie chcieli.

Mężczyźni stali w pół ruchu, miecze drżały w ich rękach, popatrywali to na mnie, to na olbrzymie góry złota. Było tego prawie półtora kwintala. Tylko nieliczni mogą powiedzieć, że widzieli tyle pieniędzy naraz.

- Jest was tutaj dwunastu, z oficerami stróżującymi na zewnątrz dwudziestu. Wasz dowódca jest martwy i nie ma pewności, czy dostaniecie swój żołd. Sześćdziesiąt tysięcy dla dwudziestu ludzi to trzy tysiące na głowę, oczywiście, jeśli nie będziecie się dzielić z szeregowymi żołnierzami. Dlaczego mielibyście się dzielić, nikt przecież nie wie, że to złoto tutaj jest. Jednak kiedy nas zaatakujecie, wasi żołnierze będą chcieli swój udział.

Pochyliłem się nad stołem i zabrałem Groomowi jego miecz. I tak już go nie potrzebowałem.

- Zaręczam wam, że się o tym dowiedzą.

Wciąż panowała cisza, jakby kwintal złota na ziemi zamroził wszystkich obecnych.

- My teraz wyjdziemy, a wy tymczasem możecie zdecydować, co z tym bogactwem zrobicie. Nie musicie walczyć, nie musicie nic. Wystarczy, jeśli się podzielicie, a w nocy odejdziecie każdy ze swoją częścią.

Gestem zachęciłem swoich towarzyszy do wyjścia.

- To w sumie niezły interes - powiedział jeden z oficerów, a inni na niego spojrzeli. - Trzy tysiące bez pracy, bez walki. Już nigdy nie będę musiał pracować.

Wyglądało na to, że dojdą do porozumienia. Wycofaliśmy się z namiotu, miecz Grooka odłożyłem dopiero przy wyjściu. Szybko przeszliśmy przez obóz wojskowy do naszych ludzi. Żołnierze podejrzliwie nam się przyglądali, największą uwagę przykuwał Hammond, dokładniej jego puste ręce. Kowalski, gdy nas ujrzał, natychmiast kazał karawanie ruszać. Zadaniem jego i Bonsettiego było przygotowanie ludzi do drogi. Wywiązali się na piątkę. Powoli przejeżdżaliśmy obok soldateski Grooka. Prawie nie oddychałem, wystarczyło, żeby choć jeden z dowódców wydał rozkaz, i byliśmy zgubieni. Na szczęście złoto zajmowało ich zupełnie. Ujrzałem Kanta stojącego w grupce szeregowych. O czymś z nimi debatował i z zapalem przy tym gestykułował. Jego zadanie jeszcze się nie skończyło. Od niego zależało, kiedy zaczną nas ścigać.

\*\*\*

Jechaliśmy dzień i noc bez przerwy, poganialiśmy zwierzęta i ludzi, aż wszyscy dosłownie padali ze zmęczenia. Przed zachodem słońca na horyzoncie za nami pojawiła się mała grupka jeźdźców. Przez cały czas, zanim do nas dotarli, podświadomie wstrzymywałem oddech. To był Kant ze swoją strażą i już z daleka coś entuzjastycznie wykrzykiwał. Twarz zdobiła mu nowa szrama, jedno oko miał obwiązane prowizorycznym opatrunkiem.

- Udało się! Udało się, zabijają się jak wściekłe psy! - wrzeszczał z miną, jakby wygrał pierwszą nagrodę na loterii.

Udziałowcy natychmiast go otoczyli i zaczęli wypytywać. Ode mnie jak dotąd niczego się nie dowiedzieli, ponieważ przez cały czas nie miałem nastroju na pogaduszki. Teraz spadł mi z serca olbrzymi głaz. Kowalski dał rozkaz do rozbicia obozu na noc. Zostawiłem Kanta, żeby rozkoszował się sławą bohatera, i odjechałem do Umwalda. Zdążył już zaprowadzić wóz między dwie kępy dzikiej róży, trochę z dala od pozostałych. Wyprzągłem konie, wyczesłem zgrzebłem i przygotowałem im karmę, tymczasem Umwald rozniecił ogień i zaczął przygotowywać kolację. Po przeżytych stresie dopadło mnie zmęczenie i czułem się tak, jakby ktoś walnął mnie pałą w potylicę. Zjadłem posiłek i natychmiast poszedłem spać. Tę rundę przeżyliśmy.

Znowu obudziłem się jako pierwszy. Ranek był słoneczny, lecz zimny. Po niebie płynęły białe chmury, rzeński wiatr poruszał żdźbłami niebieskawej trawy, na horyzoncie wznosiły się wysokie i jeszcze wyższe góry z białymi szczytami. Myjąc się w źródle, widziałem kilka przebiegających królików, stadko dzikich bawołów i grupkę sarenek, które wyszły z niedalekiego bukowego lasu na poranny spacer. To była piękna okolica i gdyby nie zależał ode mnie los dwóch tysięcy ludzi, z pewnością włóczyłbym się tutaj kilka miesięcy.

Roznieciłem ogień i zacząłem robić śniadanie.

- Ciągłe nie rozumie paru rzeczy - odezwał się Umwald spod koców.

- Mówi się „nie rozumiem” - poprawiłem go.

Podpiekłem chleb, podsmażyłem fasolę i podzieliłem jedzenie na dwie porcje. Rutynowe czynności dobrze mi robiły, pomagały zebrać myśli.

- Pytaj - zachęciłem go.

- Na przykład nie jest dla mnie jasne, skąd się wzięło te sześćdziesiąt tysięcy złotych, które pan

tam zostawił - rzucił.

Z pewnością nie poszedł spać tak wcześnie jak ja, wpieryw wysłuchał opowieści Kanta.

- To nie było sześćdziesiąt tysięcy, tylko dwadzieścia. W złociszach to naprawdę fura pieniędzy i mało kto umie ocenić ilość. To nie jest kwota, z jaką człowiek spotyka się codziennie.

- No - mruknął zamiast odpowiedzi i przez chwilę obaj przeżuwaliśmy twarde chleb i zapijaliśmy go kawą.

- Ale skąd się wzięła ta forsa? Dobrze wiem, jakie problemy miał pan z Masnerem, jeśli chodzi o gotówkę.

- Były moje - zdradziłem mu.

- W tej skrzyni z czarodziejskim znakiem? Umwalda to naprawdę nakręcało.

- Dokładnie tak. Z tego powodu zrujnowałem swoje obydwie konta w Fenidong.

Chłopak w zamyśleniu mi się przyglądał.

- Wiedziałem, że jest pan bogaty, ale nie sądziłem, że aż tak bardzo.

- Byłem bogaty.

- Skąd pan wiedział, że będziecie potrzebować tych pieniędzy?

- Nie wiedziałem. Co robi każdy rozumny kupiec, kiedy jedzie w interesach?

- Weźmie ze sobą sakwę złota, żeby mógł przekupić celników, burmistrza czy coś w tym stylu - odpowiedział Umwald po chwili zastanowienia.

- Dokładnie. Zastosowałem się do tej filozofii, tylko w większej skali.

- Więc kazał pan Kantowi, żeby rozgłosił między żołnierzami Grooma, że się wykupimy. Potem zabił pan Grooma, a jego oficerów przekonał, że będzie lepiej, jeśli pozwolą nam odjechać, a złoto podzielą między sobą. Dla pewności powiedział pan Kantowi, żeby sprowokował szeregowców do ataku na oficerów, ponieważ nie dostali udziału z zysków.

Umwald z opowieści Kanta wyciągnął wnioski lepiej niż większość pozostałych.

- To nie było tylko dla pewności. Jak oficerowie by się opamiętali, doliczyliby się, że będzie dla nich o wiele korzystniejsze, jeśli nas wymordują. Zapłaciliby z tego część żołdu drużynie - wytłumaczyłem.

- Jeszcze jednej rzeczy nie rozumiem. Stracił pan o wiele więcej złota, niż zarobi. Dlaczego pan to zrobił?

Na to pytanie nie odpowiedziałem. Właściwą odpowiedź musi każdy znaleźć sobie sam.

Od razu po śniadaniu, wcześniej, niż Kant dał sygnał do odejścia, posłałem Umwalda, żeby obszedł Kowalskiego, Bonsettiego i współników i wezwał ich na poranną naradę. Akcja Grooma zmieniła mój pogląd na sytuację, lecz decyzji dotyczących całej karawany nie mogłem podejmować sam. Albo może i mogłem, ale chciałem, żeby ze mną współpracowali.

Pierwszy przyszedł Bonsetti. Bez przywitania kucnął przy ogniu, którego płomienie w dziennym świetle wydawały się bezbarwne i bez siły. Mimo to jednak w chłodny poranek przyjemnie grzały.



- Słyszałem, co zrobiłeś Grookowi. Całkiem nieźle - powiedział.

Podaliśmy mu kubek ze świeżą kawą. Przyglądał mi się w jakiś dziwny sposób, którego nie rozumiałem. Natępni przyszedli Kowalski z Bryzoldem, a po nich Gadon z Fridrichem Guiny i Ravlinem.

- Panowie - zacząłem bez wstępu - cesarz interesuje się nami coraz bardziej i intensywniej, niż przypuszczaliśmy. Jeśli zdołał przekupić Grooka tak, że go nie skusiła nawet nasza oferta pięćdziesięciu tysięcy złotych, również i ryżski władca użyje wszystkich środków, żeby nas zatrzymać. Południową granicę kraju tworzy łańcuch twierdz, a nie wydaje mi się, że możemy być szybsi niż kurierzy. Dowódcy z pewnością będą odpowiednio poinstruowani. Nie wierzę, że zdołamy przedostać się na terytorium byłych włości Grooka. Nie mówiąc o tym, że każdy z naczelników Grooka może przejąć propozycję cesarza i zlikwidować nas tak samo, jak to zaplanował sam baron.

- Proponuje pan, żeby wrócić? - zapytał Gadon. Pokręciłem głową.

- Nie, to by niczego nie rozwiązało.

A dla farmerów i tak oznaczałoby wyrok śmierci albo w najlepszym razie niewolnictwo, dodałem w duchu.

Bryzold podejrzliwie mi się przyglądał. Z pewnością przeczuwał, do czego zmierzam.

- Ominiemy zamieszkane tereny i przejdziemy przez Góry Grimma. Na niziny zejdziemy dopiero przy Morzu Keżskim - objaśniłem im swój plan.

Mężczyźni zamilkli.

- Góry Grimma są najwyższym znanym łańcuchem górskim. Nikt nigdy ich nie przeszedł i nawet nie możemy przewidzieć, co się znajduje po ich drugiej stronie. Może sięgają aż do wschodniego oceanu. Już trzeci, południowo-wschodni grzebień pokryty jest wiecznym śniegiem, a za nim wznoszą się coraz wyższe szczyty - zaczął Fridrich Guiny, zupełnie jakby cytował. Najwidoczniej przygotował się do wyprawy i dobrze przestudiował książki o krainach geograficznych.

- To wszystko prawda - zgodziłem się. - Ale my nie chcemy dojść na południowy wschód, do środka kontynentu. Za pierwszym grzebieniem skręcimy na południe, przejdziemy dolinami i wyjdziemy przy Morzu Keżskim.

- Nie wie pan, o czym mówi. Góry Grimma są po prostu nie do przejścia, pięćdziesiąt lat temu zatrzymały cesarza crambijskiego w jego najazdach na Południe - wyrzucił z siebie Ravlin zduszonym głosem i beznadziejnie pokręcił przy tym głową.

Już sama myśl o górach wzbudzała w nim strach.

- Jeden człowiek tego dokonał. Przeszedł przez góry aż na południe. Nazywał się Achromet i był to zwyczajny handlarz zbożem, żaden żołnierz czy podróżnik - starałem się załagodzić wydźwięk jego słów. - Mam notatki z jego wyprawy.

Guiny spojrzał na mnie badawczo.

- Ma pan mapę? Wiem o kilku ekspedycjach, które na darmo szukały przejścia. Jedna była doskonale zorganizowana przez Klan Haurów.

- Próba na oślep jest po prostu samobójstwem - wtrącił Bryzold. - Są tam doliny, które wyglądają

na przejezdne, ale po dziesiątkach kilometrów kończą się przegrodą stromych grzebieni albo jeszcze gorzej, czołami lodowców. Wystarczy, że się wejdzie trochę wyżej, nawet w czerwcu można umrzeć z zimna. Góry Grimma są najbardziej niegościnnym miejscem, o jakim kiedykolwiek słyszałem. Bez mapy przejść się nie da. Nie z wozami i dwoma tysiącami ludzi.

Swoje przemówienie zakończył stanowczym stwierdzeniem. Zrozumiałem, że Haurowie już wcześniej interesowali się kwestią przedostania się na południe.

Spojrzałem na Kowalskiego. Pokręcił głową.

- Muszę znać drogę, bez niej nie zaprowadzę ludzi w góry.

Może mieli rację, jednak pozostanie na miejscu albo powrót prowadziły do tego samego. Farmerzy zginą, a my razem z nimi.

- Jestem gotowy zaryzykować wiele, ale bez mapy przez góry nie pójdę - oznajmił Gadon.

Jeden po drugim do tej opinii dołączali pozostali współnicy.

Wyciągnąłem dziennik Achrometa z torby przy siodle i przed pozostałymi dokładnie go przekartkowałem. Nic, nawet szkicu. Przeczytałem na głos fragment, gdzie Achromet sam wspominał o mapie, którą narysował. Nie wierzyłem, że coś równie cennego jak mapa przejścia przez Góry Grimma tak po prostu się zgubiło. Haurowie włożyli wiele pracy, żeby przed pół wiekiem zdobyć dziennik dla siebie, starali się znaleźć drogę.

Ponownie, choć wiedziałem, że to zbyteczne, przekartkowałem książeczkę. Obserwowali mnie w milczeniu.

- Nie jest wklejona między dwie strony? Słyszałem, że tak kiedyś fałszowano testamenty - odezwał się spod wozu Umwald. Starał się potajemnie podsłuchiwać i myślał, że o nim nie wiem.

Mapa nie mogła być nigdzie wklejona, ponieważ kartki były cienkie i prawie prześwitujące, lecz jego słowa podsunęły mi pewien pomysł. Wyciągnąłem z futerału mały nożyk z krótką, ale ostrą jak brzytwa klingą i zacząłem rozcinać sztywne czerwone okładki. Początkowo się nie udawało, jednak potem ostrze trafiło na niewidoczne połączenie i za chwilę oddzieliłem cienką przednią okładkę od podklejki. Ostrożnie wyciągnąłem ze schowka stary, prawie przedarty w miejscach zginania papier. Rozłożyłem go. Naprawdę to była mapa. Niebieski atrament w kilku miejscach zupełnie wyblakł, ale pod słońce można było rozpoznać linie pióra. Mapa przedstawiała Góry Grimma. Na pierwszy rzut oka była to tylko gmatwanina wzgórz i ścieżek przetkana dużą ilością drobno spisanych uwag. Do orientacji służyła strzałka na jej dolnym brzegu, przy której było napisane: *Brama w góry - dolina 120 km na północny zachód od Brisku, punkt orientacyjny - niezależny zalesiony stożkowy pagórek.*

Osiemdziesiąt lat temu Brisk był najbardziej znaczącym miastem Hrabstwa Ryżskiego. Chyba z godzinę wspólnie studiowaliśmy mapę i odkryliśmy drogę wijącą się między górami. Trasę, którą prawie przed wiekiem szedł Achromet.

Kończyła się przy ostatnim południowym grzebieniu, a obok napisana była uwaga: *Po naturalnym moście zejście na nizinę.*

Popatrzyłem na udziałowców:

- Zgadza się na przejście przez góry?

Kowalski nie czekał na odpowiedź, odszedł do swojej pracy.

Więcej nie potrzebowałem.

## Rozdział 6

### Między niebem a śmiercią

Kant w końcu dał sygnał do rozbicia obozu i Rezka potwornie zmęczona usiadła na głazie. Popatrzyła w tył, w kierunku skąd przyszli. Widziała kamienistą ścieżkę wijącą się po zboczach gór i pozornie niedaleko niknącą za horyzontem. Odwróciła się w drugą stronę, ale tam żadnej ścieżki nie zobaczyła, może tylko nieco łatwiejszy do przejścia teren. Drogę będą sobie musieli dopiero wybudować. Uniosła wzrok, nad nią wznosiły się szczyty gór, za nimi wyższe, a za tamtymi jeszcze wyższe. Wszystkie wydawały się tak blisko, ale doświadczenie minionych dni nauczyło ją, że czyste powietrze przekłamuje i często w ciągu dnia nie udawało im się dotrzeć do miejsca, które widzieli rano. Na początku góry, takie czyste i majestatyczne, bardzo jej się podobały, lecz każdy kilometr drogi kosztował ludzi tyle starań i sił, że cały zachwyty okazałością i wspaniałością górzystego terenu rozplynął się w oziębiającym zmęczeniu.

Rezka postanowiła, że jeśli będzie dana jej jakaś przyszłość, osiadzie w miejscu, gdzie nawet łagodne górki będą rzadkością. Usłyszała głośny łoskot osuwających się kamieni. Odwróciła się i ujrzała Honzę Szoblaja, jak skraca sobie drogę między dwiema serpentynami dróg i wspina się stromym zboczem. Machała mu, dopóki nie była pewna, że naprawdę ją widzi.

Z powodu osuwających się głazów na rozkaz Leda między wozami zachowywano co najmniej trzydziestometrowe odstępy i w ten sposób rzeka ludzi rozciągnęła się na długości kilku kilometrów. Brygady, które drewnem i kamieniami umacniały, a czasem nawet dosłownie budowały drogę przed karawaną, pracowały zazwyczaj daleko w przedzie. Dlatego nie widziała już kilka dni Honzy Szoblaja. Nie miał chyba sił na powrót do obozu albo unikał ostatnio jej i Nataszy. Odrzuciła jednak tę myśl, cieszyła się, że go widzi. Dziś następowała zmiana budowniczych, więc Rezka poniekąd czekała na Honzę. Budowa ścieżki była wyczerpującą pracą, co chwila ktoś spadał ze skały, ranił się albo w najgorszym wypadku ginął. Rezka obserwowała młodzieńca, gdy zgrabnie i zręcznie przechodził przez głazy. Jak wszyscy inni, on również w ciągu ostatniego tygodnia w górach schudł, ale zachował kondycję fizyczną i siłę. Figura rozlazłego chłopaka była już tylko wspomnieniem, teraz Honza rozrósł się w barach i zmężniał. Rezka uświadomiła sobie, że przygląda mu się z przyjemnością. W końcu Szoblaj wspiął się do niej, kiwnął na powitanie i przez chwilę głośno dyszał ze zmęczenia.

- Wiesz, że ci to pasuje? - powiedziała Rezka.

Chłopak zrobił zdziwioną minę.

- Co masz na myśli? - wyrzucił z siebie. Wciąż nie mógł złapać tchu. Wraz z wysokością w powietrzu ubywało tlenu i niektórzy ludzie mieli ciągłe problemy z oddychaniem. W większości starcy albo kobiety w ciąży.

- No, twój wygląd. Naprawdę przyjemnie się na ciebie patrzy. Na pewno podobasz się wielu kobietom - odpowiedziała Rezka i łobuzersko się uśmiechnęła.

Honza usiadł na kamieniu.

- Świat nie jest sprawiedliwy, co? Mnie wszystko jedno i się im podobam, inni robią, co mogą, żeby jakąś złapać, i mają pecha. Nie znasz jakiegoś chłopaka, któremu też bym się podobał?

Obydwoje się roześmiali.

- Led chętnie cię zobaczy, a Natasza z zachwytu wyjdzie z siebie. Zostaniesz na kolacji? - zapytała.

Honza Szoblaj zrobił niepewną minę i odwrócił wzrok. Rezka uświadomiła sobie natychmiast, że jego lojalność w stosunku do krewnych jadących z grupą Edugana i jednocześnie do nich sprawia mu same problemy. Nie chciała mu tego jednak wypominać.

- Mówię poważnie. Do jedzenia, jak co dzień, mamy gotowaną wołowinę, ale Natasza specjalnie dla ciebie przygotowuje słodkie pyzy. Ja za nią zbieram drewno, żeby miała więcej czasu na kucharzenie.

Widziała, że młodzieniec chce odmówić, więc nie pozwoliła mu się odezwać.

- A już w ogóle by mi nie darowała, że cię spotkałam i pozwoliłam odejść. Lubi cię i nie może się ciebie doczekać.

Ostatnią uwagę wygłosiła specjalnie. Była prawdziwa, a wyglądało, że Honza potrzebuje usłyszeć coś podobnego.

- Dzięki za zaproszenie. Pójdę do domu się umyć i zaraz jestem u was - powiedział i podniósł się z głazu.

Rezka patrzyła za nim w zamyśleniu. Kiedy jakiś czas temu Honza mówił „dom”, miał na myśli ich własny mały obóz. Przez moment obserwowała cienie gór. Nienaturalnie szybko się wydłużały i w ciągu paru chwil cała dolina pogrążyła się w ciemności. Natychmiast zrobiło się chłodniej. Dziewczyna narzuciła sobie na ramiona pled, podniosła wiązkę drewna i ruszyła w stronę obozu. Bolały ją wszystkie mięśnie, płuca pękały, gdy próbowała mocniej odetchnąć rozrzedzonym powietrzem, czasami robiło jej się słabo, kręciło w głowie. Miała nadzieję, że już niebawem opuszczą góry.

Nie była pewna, czy młodzieniec rzeczywiście dotrzyma obietnicy. Kiedy wkrótce po zmroku wynurzył się z ciemności, powitała go tak radośnie, że aż ją to zdziwiło. Powitanie Nataszy było jeszcze żarliwsze. Od chwili gdy dziewczyna dowiedziała się, że Honza woli facetów, traktowała go z taką bezpośredniością, że Rezka musiała Nataszę hamować, żeby nie irytowała otoczenia i nie pogarszała ich już i tak zaognionych stosunków z innymi. Led przyszedł jako ostatni. Twarz miał poszarzałą ze zmęczenia, jednak kiedy ujrzał Szoblaja, przyniósł z wozu ostatnią butelkę wina, która im jeszcze została. Kolacja upłynęła w przyjemnej atmosferze, ale ponieważ wszyscy byli zmęczeni, Led z Nataszą wcześniej poszli spać. Rezka chciała jeszcze chwilę pogadać, lecz po jakimś czasie uświadomiła sobie, że siedzi na ławeczce, opiera się o ramię Honzy i drzemie. Otworzyła oczy. - Śpisz? - spytała.

Honza nie odpowiedział, odwróciła się w jego stronę i stwierdziła, że on też ma głowę opartą o koło wozu i spokojnie oddycha. Chciała go obudzić, żeby poszedł spać do wozu, gdy zauważyła, że między skałami coś się rusza. Przyjemny nastrój wieczoru prysnął. Rezka próbowała dostrzec, kto się ukrywa w cieniu. Nagle oślepiła ją płonąca kula rzucona wysokim łukiem w powietrze. Dziewczyna wystraszona zdławiła krzyk, kula upadła na płachtę wozu.

Rezka poderwała się i chciała pobiec gasić płomienie. Honza, który w tym czasie się obudził, pociągnął ją z powrotem i sam ruszył do ognia.

Wysuszona płachta już się przepaliła, strzępy tłącego się materiału wirowały w powietrzu. Szoblaj rzucił się do wozu i momentalnie wypadł z niego z jakimś płonącym przedmiotem w ręce. Rzucił z

całą siłą, ognista kula nie zdążyła przebyć nawet połowy swojej drogi, gdy z głośnym hukem rozprękała się na całe mnóstwo drobnych, palących się odłamków. Rezka pobiegła do Honzy Led Kowalski, którego obudził hałas, zaczął natychmiast zdzierać resztę tłęcej się płachty. Po chwili już było po ogniu, ale okolica zapełniła się ciekawskimi, których przyciągnęły małe fajerwerki. Rezka wzięła Honzę Szoblaja na bok i opatrywała mu oparzenia. Ucierpiały głównie dłonie, w których trzymał ognistą kulę.

Młodzian pobladł z bólu, lecz kiedy Rezka przykładła na zranienia leczniczą maść z aloesu, tylko cicho syczał.

- Nie mów nikomu, że tę rzecz z wozu wyrzuciłem ja. Powiedz, że to byłaś ty albo Kowalski. Rozumiesz? Miałbym z tego powodu duże problemy! - wyrzucił z siebie podczas zabiegu.

Rezka milcząco przytaknęła.

- Honza, już raz ci to powiedziałam - wygłosiła w końcu poważnie. - Wcześniej czy później będziesz musiał wybrać, po czyjej stronie staniesz. Ale cokolwiek by się stało w przyszłości, lubię cię. My wszyscy cię lubimy.

Szoblaj niepewnie na nią spojrzał, mruknął parę słów podziękowania i zniknął w ciemności. Rezka pozbierała opatrunki i wróciła do wozów. Koniasz właśnie rozmawiał z Ledem. Miał poważną minę, w ręce trzymał jakiś odłamek. Stała z boku i usłyszała koniec ich rozmowy.

- To jest bulwa jabjaru. Kiedy się ją wysuszy, napełni smołą i podpali, po pewnym czasie rozprysnie się podobnie jak piorun kulisty. W górnej części skórki ma pesteczki, które w gorącej temperaturze się rozpulchniają, a kiedy dotkną gołej ludzkiej skóry, przenikają głęboko do wnętrza. Widziałem, jak czegoś takiego używali podczas pogromów ogniowych w Ampurze. Jest to jedna z najbardziej zdradzieckich broni, jakie znam. Ma na sumieniu wiele kobiet i dzieci. Jeśli pan wie, kto to zrobił, niech go pan zabije. Niech go pan zabije jak najszybciej, a przedtem jeszcze parę razy obróci nóż w ranie, żeby się upewnić, czy nie ma jakichś współników.

Przy tych słowach Rezka drgnęła.

Koniasz podał odłamek Ledowi i odszedł bez pożegnania. Dziewczyna nie czekała na więcej, wśliznęła się do wozu, zrzuciła z siebie ubranie i zagrzebała pod koc. Natychmiast poznała, że Natasza nie śpi. Dotknęła palcami jej twarzy, przyjaciółka miała wilgotne od łez policzki.

- Boisz się? - spytała.

- Tak. Powinien ich zabić, wszystkich - odpowiedziała Natasza, objęła Rezkę i za chwilę usnęła. Led spał na zewnątrz. Rezka przeklęła w duchu wszystkich zamachowców świata, ponieważ w tej chwili najbardziej tęskniła za jego ramionami.

\*\*\*

Kowalski zatrzymał konia i zeskoczył z siodła. Czoło karawany dogoniło grupę, która wykonywała ostatnie prace wykończeniowe i przygotowywała drogę do przejścia wozów i bydła. Jeszcze dalej w przedzie były następne brygady pod wodzą Koniasza i Hammonda. Oddział Koniasza przeszukiwał okolicę, wypatrywał trasy Achrometa i jednocześnie gromadził materiał do budowy. Druga, liczniejsza grupa, kierowana przez Hammonda, wykonywała trudniejszą pracę - budowała mosty przez wąwozy i wąskie jary, wzmacniała i zabezpieczała spadki na skałach. Gdyby nie używali resztek starej drogi, wszystko trwałoby o wiele dłużej, jednak i tak udawało im się przejść od pięciu

do siedmiu kilometrów w ciągu dnia.

Ludzie z brygad skończyli na dziś pracę, ubierali się w ciepłe płaszcze. Słońce chowało się właśnie za szczyty gór i w głębokiej górskiej dolinie szybko zaczynało się zmierzchać. Noce tutaj były zimne, rano, podczas pobudki, powietrze pachniało mrozem, a źródła, gdy jakieś znaleźli, nawet w środku lipca były pokryte cienką warstwą lodu.

Kowalski kiwnął na Kanta i w górach zabrzmiał sygnał do wieczornego rozbijania obozu. Kowalski obejrzał się w tył. Niekończący się szereg porzrzucanych wozów i grup ludzi ginał gdzieś daleko w dole na zakręcie. Gdyby ktoś ich tutaj napadł, nie mieliby najmniejszych szans. Na szczęście nikt nie miał pojęcia, jak wygląda droga przez góry. Ponadto na wypadek, gdyby ktoś śledził karawanę, od razu na początku zasypali ścieżkę sztucznie wywołaną lawiną kamieni. Kowalski wiedział, że kiedyś uprzątnięcie tony kamienia będzie kosztowało ich wiele wysiłku, jednak zabezpieczenie się przed napastnikami było tego warte. Oprócz Koniasza nikomu o tym nie wspominał, że zanim zgubili się w górach, miał poczucie, iż ktoś ich obserwuje. Co prawda nikogo nie zobaczył, ale trzy wieczory z rzędu widział na horyzoncie ledwo widoczne słupy dymu, jakby obozował tam ktoś, komu było wszystko jedno, czy ogień ujawni jego obecność czy nie. Ponadto ostatniego dnia przed wjazdem na starą ścieżkę ujrzał również kilka stad wypłoszonych czapli i gęsi, od których przetkana rzeczka równina aż się roiała.

Led stłumił westchnienie. Starał się nie przyznawać nawet przed samym sobą, lecz niegościnnie zbocza gór z rzadko porzrzucanymi sosnami prowadzącymi nierówny bój z chłodem, wiatrem, kamienistym gruntem bez szczypty próchnicy wywoływały w nim smutek i przygnębienie. Jeszcze przed tygodniem przejeżdżali przez małe, gęste lasy, które na wysokości zmieniały się w zarośla pokręconej kosodrzewiny, ale w końcu zniknęły i one, a jedyną zielenią w morzu szarych kamieni był cienki dywan wytrzymałych porostów. I sosny. Powyginane, naznaczone wiatrem i zimnem drzewa rosły tam, gdzie nawet ludzkiemu rozumowi wydawało się to niemożliwe, a w swojej wyjątkowości w zmaganiach z żywiołem były piękne. Kowalski wiedział, że kiedy przejeżdżał tędy osiemdziesiąt lat temu Achromet, drzewa wyglądały zupełnie tak samo jak dzisiaj. W ciągu wieku nie urosły nawet o centymetr, a na granicy życia i śmierci przeżywały całe tysiąclecia. Ścięcie każdego drzewa traktował jak świętokradztwo, mimo iż wiedział, że nic innego im nie pozostaje. Podniósł wzrok. Góry wznosiły się jeszcze o wiele wyżej, gdzie nie rosło zupełnie nic, a skałę pokrywały wieczny lód i śnieg. Co wieczór szczyty lśniły w zachodzącym słońcu, rzucały w dolinę oślepiające błyski. Kowalski się bał, żeby trasa Achrometa nie wyprowadziła ich aż na te pasma śniegu.

Na podstawie mapy nie dało się rozpoznać, gdzie znajduje się najwyższy punkt drogi, a Kowalski wiedział, że na zimno panujące tam na górze nie są przygotowani, już teraz ludzie byli ciężko przeziębieni, wielu z nich zmagало się z wysokogórską gorączką. Baribald Bryzold ze swoimi ludźmi mieli pełne ręce roboty.

Kowalski podjechał do swoich wozów i przywiązał konia. Rezki i Nataszy nie było, prawdopodobnie starały się znaleźć na stoku przed nimi przynajmniej trochę drewna na ogień, ponieważ zapasy drewna opałowego szybko się zmniejszały. Bez ognia jednak nie byłoby wspólnych posiłków, a Kowalski nie potrafił sobie wyobrazić, jak by sobie poradził bez tych spotkań. Była to jedyna możliwość w ciągu dnia, żeby zamienić parę słów, zanim dziewczyny wdrapowały się na łóżko i usypiały. Potem następowała najbardziej męcząca i najniebezpieczniejsza część doby. Co noc od ataku ogniowego stróżował między ich małym prywatnym obozem i rozległym biwakiem Faraciusa i czekał na możliwość, żeby policzyć się z napastnikami. Zdecydował się nie dopuścić do

kolejnego napadu i miał zamiar wykorzystać nawet najmniejszą okazję, by zaatakować pierwszy. Dziś zapowiadała się ciut lżejsza warta, ponieważ Faracius ze swoją świtą rozbił obóz na zakręcie trasy, ponad pięćdziesiąt metrów za nimi. Do zmroku jednak brakowało dobrej godziny, wszystko mogło się jeszcze zdarzyć.

Kowalski potrząsnął głową, żeby pozbyć się nieprzyjemnych myśli, i rutynowo, tak jak już niezliczoną ilość razy wcześniej, zaczął przygotowywać ognisko, żeby wieczorne gotowanie zajęło im jak najmniej czasu.

Przy grupie koni przeznaczonych do zwożenia drewna ujrzał Koniasza i Hammonda pogrążonych w poważnej dyskusji. Usłyszał tylko słowa „duży most”. Stłumił natychmiastowe pragnienie przyłączenia się do nich, żeby się dowiedzieć, co ich wszystkich jutro czeka. Hammond był świetnym rzemieślnikiem, cieślą i budowniczym, bez jego umiejętności niektóre przeszkody byłyby dla karawany nie do pokonania albo ich pokonanie zabrałoby wielokrotnie więcej czasu. Hammond potrafił zbudować most prawie z niczego, a ze swoją siłą fizyczną i wytrzymałością był niedoścignioną inspiracją i przykładem dla pozostałych. Ponieważ Koniasz przeszukiwał okolicę przed karawaną i jednocześnie wybierał najdogodniejszą drogę, musieli ściśle współpracować. Dla Kowalskiego już od pierwszej chwili było jasne, że ci dwaj lubią się jak pies z kotem, dopiero Rezka mu wytłumaczyła dlaczego. Z pragmatycznych powodów ucieszył się, że rodzina Hammonda jedzie teraz w tylnej części karawany, a wóz Koniasza przeciwnie - z przodu. Gdyby Hammond i Koniasz weszli w konflikt, oznaczałoby to katastrofę dla wszystkich.

Natasza i Rezka wyłoniły się spomiędzy głązów, każda niosła naręczę suchego chrustu i Kowalski natychmiast zaczął myśleć o czymś innym. Na twarz przywołał uśmiech, ale w środku poczuł strach. Obie dziewczyny wydały mu się o wiele słabsze, niż kiedy się z nimi rano żegnał, ponadto Rezce nienaturalnie błyszczały oczy. Przywitał się z nimi. Wargi Rezki były tak gorące w dotyku, że aż się przeraził.

- Zawińcie się w koce, dziś kolację zrobię ja - powiedział z udawaną wesołością.

Żadna nie protestowała. Kowalski zabrał się do pracy. Zdecydował się nie oszczędzać i na dzisiejszą kolację poświęcił ostatnie zapasy cukru, kawy i mięsa. Czuł, że Nataszy i Rezce potrzeba porządnego jedzenia i trochę rozpieszczania.

Sam jednak nie jadł, ponieważ w czasie kolacji stwierdził, że ze zbocza nad nimi obserwuje ich człowiek ukryty między głązami. Przed zmrokiem zobaczył, jak tamten okrężną drogą schodził między namioty Faraciusa. W ciemności nie dało się prawie poruszać w tym trudnym terenie. Odgadywał, że facecik był czymś w rodzaju poprzedzającego patrolu, który miał zbadać sytuację. Kowalski zachowywał się, jakby nic specjalnego się nie działo. Dopiero kiedy pocałował swoje dziewczyny na dobranoc, wyciągnął ze skrzyni szkatułkę w klonowej okleinie i zawiązał się w kozuchy jak najbardziej mógł. Kuszę starannie naoliwił już wcześniej.

- Co to jest? - spytała ciekawie Natasza, wskazując drewniane pudełko. Led się zawahał, potem otworzył szkatułkę i pokazał trzy skrzydlate strzałki do kuszy. Od normalnie używanych strzał różniły się materiałem i kształtem. Były zrobione z lśniącej stali, dopracowane do ostatniego szczegółu, po bokach każdej znajdowały się trzy charakterystyczne skrzydełka, grot przypominał szyszkę z mnóstwem haczyków.

- Żeby strzelać precyzyjnie z dużej odległości - wytłumaczył i szukał w twarzy Nataszy lub Rezki



ślądów odrazy lub przerażenia. Natasza jednak z zadowoleniem przytaknęła i zagrzebała się głębiej w koce.

- Dobrych łowów - życzyła mu cicho Rezka.

Kowalski zdmuchnął świeczkę, przez chwilę siedział w ciemności, żeby oczy przywykły do mroku, i dopiero potem opuścił wóz. Na zewnątrz tymczasem się ochłodziło, było mocno poniżej zera, wiał dość silny wiatr. Kowalski wszedł na kamień, skąd widział nawet obóz Faraciusa, i czekał. Szczęście mu sprzyjało. Księżyc oświetlał okolicę swoim bladym światłem, różnobarwne gwiazdy powoli wędrowały po niebie. Okolica była jak wymarła, wciąż się ochładzało, a wiatr delikatnie przybrał na sile. Kowalski zaczął trząść się z zimna. Nie mógł nic z tym zrobić, każdy ruch na nieruchomym tle zdradziłby go przed nieprzyjaciółmi. Za wszelką cenę starał się uchronić przed mrozem swoje palce. Bez nich jego umiejętności strzeleckie były do niczego.

Księżyc przebył znaczną część swojej nocnej drogi. Kowalski przestał odczuwać chłód na twarzy i nawet uszy już go nie piekły. Wiedział, co to znaczy. Zaczynał mieć odmrożenia. Mimo to czekał. Pozostał tylko chłód i nieruchoma, pusta okolica dokoła. Potem w obozie głęboko przed nim w dwóch namiotach zapaliło się światło. Kowalski zasłonił sobie oczy, żeby blask świeczki nie spowodował, że przestanie widzieć w ciemności. Zaczął poruszać swoimi zeszywniałymi palcami.

W szarości nocy pojawiły się trzy postaci. Dwie coś niosły, trzecia skrywała w lampie żywy ogień. Kowalski doszedł do wniosku, że znów mają zamiar użyć bomby zapalającej. Naciągnął kuszę i założył pierwszą strzałę. Jeden z mężczyzn odłączył od trójki i stanął przodem do skały. Przez chwilę coś majstrował przy pasku swoich spodni. Kowalski wyraźnie odróżniał jego sylwetkę na tle niskiego księżyca. Zgadywał, że tamten chce się wysikać przed nocną akcją. Wiatr delikatnie skręcił, Kowalski po raz ostatni poprawił ustawienie celowników, oparł podpórkę kuszy o ramię i wycelował w tułów mężczyzny. Był to trudny strzał z dużej odległości i przy jeszcze większym nachyleniu. Ledw wstrzymał oddech i nacisnął spust, broń brzęknęła głośno. Strzelał z odległości dobrych stu dwudziestu metrów, a to nawet dla jego kuszy oznaczało znaczne opóźnienie w locie strzały. Mężczyzna nagle zniknął.

Kowalski naciągnął ramiona i założył drugą strzałę. Ponownie poprawił ustawienie celowników, żeby wyrównać słabiutką zmianę wiatru. Pozostałych dwóch mężczyzn zaczęło szukać swojego współnika. Po chwili jeden z nich odkrył lampę, żeby mogli lepiej widzieć okolicę. Kowalski wykorzystał światło, wycelował i wystrzelił po raz drugi. Teraz wyraźnie widział, co się stało. Nie oszacował nachylenia i wiatru zbyt dokładnie, zamiast w tułów trafił mężczyznę w głowę. Stalowa strzała dosłownie tamtego powaliła. Trzeci napastnik krzyknął przerażony, w panicznym strachu ruszył do przodu, spadł ze stoku i zniknął z pola widzenia.

Ledw Kowalski wstał i skierował się do wozu, gdzie spały Natasza z Rezką. Ledwo trzymał się na nogach, kusza wysliznęła mu się z przemarzniętych palców. W chwilach koncentracji nie zdawał sobie sprawy, że nocny mróz pozbawił go kontroli nad własnym ciałem.

Na wpół nieprzytomny doczłapał aż do wozu. Palce odmawiały mu posłuszeństwa, wiedział, że nie da rady rozsznurować płachty. Oparł się o bok wozu, wewnątrz zapłonęła świeczka, a spod płachty wyjrzała Rezka.

- Musimy mu pomóc! Sam nie da rady! - wyszeptała. Złapała Leda pod jedno ramię, Natasza pod drugie i wspólnymi siłami wciągnęły go do wozu. - Jest zupełnie lodowaty! - Rezka starała się jak

najszybciej wyswobodzić Leda ze sztywnego od mrozu kożucha. W końcu udało się całkiem go rozebrać. Spokojnie paląca się świeczka ledwo co oświetlała przytulne wnętrze wozu chronione przed mrozem matami i tkaninami przymocowanymi do płóciennych ścian. Mimo to z ust wydobywała się para. Natasza wśliznęła się do Leda pod koc.

- Brr. Jest strasznie zimny - poskarżyła się, ale szybko objęła mężczyznę wokół ramion i przytuliła się do niego. Rezka dołączyła do niej zaledwie chwilę później. Zanim zagrzebała się w ciepłych narzutach, zdmuchnęła świeczkę. Z zewnątrz dobiegał natarczywy świst wiatru wiejącego między niedalekimi szczytami gór. Rezka szybko zapadła w półsen.

- Już jest w porządku. - Z drzemki wyrwał ją chichot. - Był strasznie maleńki, ale już jest dobrze.

- Co? - Obudziła się zupełnie i odwróciła w kierunku, gdzie prawdopodobnie znajdowała się głowa Nataszy. - Co było maleńkie? - zapytała niedomyślnie.

Natasza znów zachichotała.

- On. Miał go maleńkiego jak nigdy, więc ukryłam go w ręku. Już jest o wiele lepiej, rośnie.

Rezka stłumiła niedowierzające westchnienie. Pół nocy obie trzęsły się ze strachu, czy Ledowi udadzą się jego łowy i czy nie zamrznie na zewnątrz, a ta mała purytanka, która kilka miesięcy temu nie miała pojęcia, że mężczyźni w odróżnieniu od kobiet mają między nogami coś więcej, zachowywała się jak, jak... Nie mogła znaleźć słów.

- Śmiało, dotknij. Natasza odnalazła w ciemnościach rękę Rezki i położyła w miejscu swojej.

Rezka przyłapała się na tym, że tłumi śmiech. Jej dłoń po prostu była już za mała. Natasza pokręciła się pod przykryciem, Led głośno westchnął przez sen.

- Jeśli go obudzisz, nie wyśpisz się - ostrzegła ją Rezka, ale odpowiedział jej tylko zduszony śmiech. W efekcie nikt się za bardzo nie wyspał, za to ani trochę nie było im zimno.

\*\*\*

Kowalskiemu nie chciało się wychodzić z ciepłych objęć, mimo to wstał tak samo wcześnie jak co dzień i zaczął przygotowywać poranną herbatę. Znajdowali się tak wysoko, że nawet wrzącą wodę dało się natychmiast pić. Nie miał żadnego powodu do wielkiego optymizmu, ciągle czekało ich kilka tygodni ciężkiej podróży przez góry, ale nie mógł się opanować i prawie cały czas się uśmiechał. Nawet problemy nadchodzącego dnia nie zdołały mu popsuć humoru. Ze spokojnego porannego rozmyślania wyrwały go okrzyki z obozu Faraciusa. Zalał herbatę, rozpuścił w nim już naprawdę ostatnią resztkę miodu i zaniósł do wozu dziewczętom. Jeszcze spały, przytulając się do siebie, żeby wykorzystać każdą odrobinę ciepła swoich ciał. Najpierw pocałował Nataszę, potem Rezkę. Ta otworzyła oczy i popatrzyła na niego zaspanym wzrokiem.

- Kapitanie! Faracius Edugan ma jakieś problemy i mnóstwo głupich uwag. Powinien pan tam zajrzeć - i zabrzmiał na zewnątrz ostry głos Kanta. Led postawiła kubki z parującym napojem na skrzyni.

- Wypijcie, dopóki ciepłe. Ogień już zgasł - poleciał Rezce, jeszcze raz ją pocałował i podniósł się do wyjścia.

- Na pewno jakoś dasz sobie radę, prawda? - upewniła się z poważnym wyrazem twarzy.

Led wyprostował się i poklepał po piersi.

- Ja? Z wami wszystko.

Poszedł za Kantem na dół do obozu Faraciusa i z drogi koło głazów, gdzie spędził prawie pół nocy, zabrał swoją kuszę. Wielki żołnierz przyglądał mu się przy tym, ale nic nie powiedział.

W obozowisku purytanów już na niego czekali Bonsetti z Koniaszem. Dwa martwe ciała ktoś położył przy ogniu, trzeciego nie było. Faracius Edugan stał przy ognisku, nieprzyjaźnie, ale i ze strachem obserwował Koniasza oglądającego ciała. Wokół zgromadzili się ludzie Edugana. Kowalski pamiętał, gdzie mniej więcej upadła w nocy bomba zapalająca i kiedy zbliżał się do ogniska, rzeczywiście odnalazł ją między dwoma głazami. Niby przypadkiem podniósł i wsunął pod pachę.

- Dzień dobry wszystkim - przywitał się prawie wesoło, przerywając na moment nuconą pod nosem swawolną piosenkę.

Bogaty farmer przeszył go wściekłym wzrokiem, ale zanim zdążył coś powiedzieć, wtrącił się Koniasz.

- Nie chce się pan im przyjrzeć? Interesuje mnie, co pan na to powie.

Bulwę jabjaru, którą trzymał Kowalski, zostawił bez komentarza.

- Znalazłem to tutaj u was w obozie, nie wiecie, co to jest? Wygląda jak dynia. - Kowalski poklepał bombę zapalającą.

Farmer zacisnął szczęki, aż nabrzmiały mu mięśnie policzków.

- Nie mam pojęcia, co to jest. Nie powinien pan się raczej przyjrzeć tym martwym? Może pan rozpozna, co ich zabiło - powiedział znacząco.

Kowalski wzruszył ramionami i kucnął przy ciałach. W dotyku były tak samo zimne jak okoliczne kamienie, resztki mózgu na potrzaskanych czerepach zamarzyły na szarobiałą pianę, która przy najmniejszym dotyku się kruszyła. Kowalski bez pośpiechu, dokładnie obejrzał oba ciała.

- Wygląda, jakby ktoś strzelił im w głowę. Może arbaletą albo czymś w tym stylu. W życiu niczego podobnego nie widziałem - oznajmił po długiej chwili i wstał.

- To byli moi najlepsi ludzie! - wybuchnął wściekle Edugan. - I jestem pewny, że wiem...

Kowalski uważnie popatrzył krępemu mężczyźnie w oczy.

- Że wie pan, co to jest? - dokończył za niego zdanie i podetknął mu bombę przed twarz.

Obszarnik uciekł wzrokiem.

- Nie, nie mam pojęcia, dlaczego ciągle pan tym przede mną macha! - odciął się wściekle.

Kowalski wzruszył ramionami, popatrzył na Koniasza i wrzucił „dynię” do ognia. Faracius Edugan skamieniał z wystraszoną miną. Bulwa natychmiast się zapaliła.

- Na ziemię! - krzyknął Edugan i sam dał innym przykład.

Kowalski poczekał, żeby zobaczyć, którzy ludzie zareagują najszybciej, i dopiero potem ukrył się za kamieniem. Przypuszczał, że właśnie oni są wtajemniczeni w plan swojego pana. Porankiem

wstrząsnęła ogłuszająca eksplozja, płonące odłamki rozprysły się szeroko po okolicy. Oprócz tego, że zapaliły kilka płacht wozów i zraniły trzech mężczyzn najbliższej ogniska, nie wyrządziły żadnej poważniejszej szkody.

Kowalski leżał twarzą w twarz z Eduganem.

- Jeśli choć jeden z twoich ludzi źle spojrzy na którąś z moich kobiet, zabiję cię. Jeśli ktoś, bez względu na to kto, odważy się do nich zbliżyć, zabiję cię. Rzucisz jedno obraźliwe słowo pod moim albo ich adresem, zabiję cię. Tak samo jak tych trzech. I zapewniam cię, że będzie bardzo bolało - szepnął tak, żeby nikt inny nie słyszał.

Potem się podniósł i odszedł z wesołą melodią na ustach.

- Nie poznaję go - powiedział Bonsetti, kiedy strząsnął z ubrania brud i śnieg. - Co go ugryzło?

Koniasz nie odpowiedział, tylko w zamyśleniu przyglądał się Kowalskiemu.

Jedynie Kant wyglądał na całkiem zadowolonego.

- Nasz kapitan jest pierwsza klasa, nikt nie będzie sobie z nim pogrywał - warknął półgłosem i nagle krzyknął swoim głosem kaprala: - Pogrzebcie ich albo zostawcie, jak leżą. Za chwilę wyruszamy! A następnym razem wyrównujcie rachunki bez nas!

\*\*\*

Nadzieja umiera ostatnia. Po czternastu dniach podróży wszyscy byli już skrajnie wyczerpani. Oddział zbierający i ochraniający spóźniałskich nieustannie miał pełne ręce roboty. Było tylko kwestią czasu, kiedy nawet tym najbardziej wytrzymałym zabraknie sił i najsilniejsi mężczyźni w jednostce ochronnej będą musieli opiekować się sami sobą i swoimi rodzinami.

Kowalski pochmurnie obserwował drogę przed wozami. Do długich śniegowych języków ukrytych w głębokich kamiennych żlebach już dawno się przyzwyczał, teraz jednak drogę tarasowały im złodowaciałe zasy starego śniegu, który nie roztopił się nawet w bezpośrednich promieniach słońca. A trasa wciąż szła w górę, oślepiająco biały skraj lodowców był już tylko kilkaset metrów nad nimi, rzadkie i ostre powietrze zmuszało do kaszlu.

Pierwszy z wozów wjechał na śnieg, lodowa powierzchnia zatrzeszczała pod kołami. Nagle koń jadący po zewnętrznej stronie ścieżki zapadł się w ukrytą jamę aż po brzuch. Zarżał ze strachu, spróbował się uwolnić, skacząc w przód, ale kopyta rozjechały mu się jeszcze raz i znalazł się na krawędzi stromizny. Wystraszone zwierzę przez moment walczyło o równowagę wychylone nad przepaść. Lekki wóz załadowany ostatnimi resztkami drewna budowlanego podskoczył w kierunku skarpy. Również drugi koń się spłoszył i stanął dęba. Kowalski doskoczył do zwierzęcia, wyciągnął miecz i jednym ciosem przeciął uprząż. Koń po raz ostatni się natężył i zmęczony powoli przewrócił w pustkę. Przejmujące końskie rzenie długo odbijało się między górskimi szczytami. Po kilkudziesięciu metrach koń upadł na pochyłą płytę skalną i zaczął się z niej ześlizgiwać. Po następnym upadku przestał rzeć z bólu, ciało zwierzęcia zmieniło się w nieforemny krwawy tobołek i leciało ciągle w dół. Ludzie przyglądali się w absolutnej ciszy. Nie pierwszy to raz, a i nie zawsze ze ścieżki spadały tylko konie. Kowalski dał znak woźnicy, żeby jechał dalej.

- Uważajcie, będzie jeszcze bardziej ślisko! - krzyknął głośno.

Nie czekał, aż karawana ruszy, wskoczył na siodło i ruszył jako pierwszy. Nachylenie ścieżki

stawalo się łagodniejsze, najwyższe miejsce, jakie można było zobaczyć, leżało w odległości zaledwie trzystu metrów, a potem droga zakreślała i po przeciwnym zboczach schodziła w dół. Kowalski w ciągu minionych trzech dni co najmniej dziesięć razy uwierzył, że najgorsze mają za sobą i dalej będą już tylko schodzić. Za każdym razem jednak się mylił i po krótkich odcinkach spadku terenu, kiedy przechodzili przez górskie łąki i kamieniste dolinki, ścieżka znów wiodła ich w górę, do nieba, po coraz bardziej stromych zboczach coraz wyższych gór. Było to jak droga do mroźnego piekła.

Przeskoczył przez najwyższy punkt i stwierdził, że parę metrów niżej czekają Hammond z Koniaszem i ludzie z oddziału budowniczego. Już chciał gniewnie wypomnieć, że ich nieplanowany odpoczynek spowoduje porządne opóźnienie, kiedy uświadomił sobie, na co wszyscy patrzą. Przed nimi rozpościerała się olbrzymia dolina sięgająca od horyzontu po horyzont. Okoliczne góry ginęły w oddali, a w czystym powietrzu ich zarysy miały niebieskawy odcień. Dolina opadała głęboko pod linię śniegu, strome zbocza porośnięte były gęstą puszcza, a całkiem w dole zieleniła się trawiasta równina poprzetykana mnóstwem rzeczek. Daleko na południowym wschodzie w promieniach słońca lśniła rozległa powierzchnia wody. Kowalski się bał, że to przywidzenie, fatamorgana wywołana górką gorączką, ale nawet kiedy pomrukał oczami, dolina nie zniknęła. Musiał się opanować, żeby nie zacząć krzyczeć z radości i dziko galopować na koniu tam i z powrotem. Na takie igraszki droga ciągle jeszcze była zbyt wąska. Popędził swojego kasztanka i zatrzymał się obok Koniasza. Wysoki żołnierz nie podzielał jego entuzjazmu. Podejrzliwie przyglądał się okolicy i był poważniejszy niż zwykle.

- Aż dotąd mapa Achrometa była bardzo szczegółowa i dokładna, ta dolina nie jest na niej zaznaczona, po miejsca, które oznaczył za początek wygodnego zejścia na niziny, zostało nam około osiemdziesięciu kilometrów, a droga wiedzie właśnie przez dolinę. Zastanawiam się, dlaczego nie ma jej na mapie - powiedział półgłosem.

Kowalski nie rozumiał wątpliwości Koniasza. Powodem, dla którego stary handlowiec nie naniósł doliny na mapę, mogło być cokolwiek, wszystko jedno co. Wystarczyło spojrzenie, żeby wiedzieć, że to ziemia obiecana dla każdego człowieka, który nie będzie żałował wysiłku i potu do jej użyczenia. Wciąż na nowo przeszukiwał wzrokiem setki kilometrów kwadratowych niziny przed sobą i starał się wyobrazić, jaki jest tam grunt, jak pachnie, ile jest w rzekach ryb i jaka zwierzyna biega po nieprzebytej puszczy. Nagle jego spojrzenie zatrzymało się na małej ciemnej plamie na granicy widoczności. Wydawało mu się, że rozpoznaje kilka jasnych linii, które się w niej zbiegają. Jakby leżała w centrum pajęczyny.

- Wygląda to na osadę - rzekł Koniasz w zamyśleniu. - Ale co to jest naprawdę, dowiemy się najwcześniej za dwa dni, gdy do niej dojdziemy. Jak tylko zejdziemy niżej, zniknie nam z pola widzenia.

Schodzenie było trudniejsze, niż się z początku wydawało, i zajęło im cztery dni. Nikt jednak nie protestował przeciwko krwawej, niewolniczej pracy, wszyscy się starali, żeby jak najszybciej opuścić krainę wiecznych mrozów, rzadkiego powietrza i górskiej gorączki. Znajdowali teraz więcej śladów obecności człowieka: powycinane drzewa, gromady głazów przygotowanych do prac budowlanych, pozostałości po wydobywaniu rudy żelaza. Wszystko jednak było naznaczone zębem czasu.

Rezka nie dała się porwać ogólnemu entuzjazmowi i mimo ogromu pracy co wieczór zapuszczała

się w pobliże obozowiska Faraciusa. Obszarnik co prawda wystrzegał się wszelkich scen z pogrozkami w stosunku do niej czy Kowalskiego, ale za to bardziej poświęcił się rozszerzaniu i umacnianiu swoich wpływów między pozostałymi ludźmi. Wykorzystywał to, że poszczególne grupy w euforii z osiągnięcia celu straciły część wzajemnej wrogości, ludzie się gromadzili i dochodzili do porozumienia w kwestii przyszłej współpracy. Faracius był jednym z najzamożniejszych kolonistów, a w Bosku mądrze kupił wiele użytecznych towarów. Przewoził ze sobą nawet wielkie kowadło. Brał udział we wszystkich dyskusjach, oferował pomoc swoją i swoich ludzi, radę i pożyczanie sprzętu. Rezka wiedziała, że nie robi nic złego, ale zdawała sobie sprawę, że im silniejszy się stanie, tym więcej problemów będzie z nim później mieć ona, Natasza i Led.

Po jednej ze swoich wypraw wywiadowczych wracała okrężną drogą przez okoliczny las do domu, kiedy usłyszała stłumiony odgłos podobny do pukania dzięcioła w drzewo. Za chwilę dobiegło kolejne puknięcie, o wiele ostrzejsze. Zmieniła kierunek i poszła w stronę hałasu.

Ostatnimi czasy nauczyła się poruszać po lesie po cichu, dlatego bez problemu niezauważona dotarła do celu. Na małej polanie ujrzała Nataszę z kuszą w ręce. Przyjaciółka wyćwiczonym ruchem założyła obie strzały, rozejrzała się wokół, wybrała drzewo oddalone o około dwanaście metrów i bez celowania z biodra wystrzeliła. Strzała wbiła się w środek cienkiego pniaczka. Rezka zrozumiała, co było owym pukaniem dzięcioła.

- Co tu robisz? - zapytała i jednocześnie wyszła z ukrycia.

Wystraszona mina Nataszy zamieniła się w szeroki uśmiech.

- Strzelam. I nawet mi to wychodzi. Popatrz!

I na pozór bez jakichkolwiek starań wystrzeliła do tego samego celu co wcześniej. Strzała wbiła się w korę mniej niż dziesięć centymetrów pod poprzednią.

- Powiedziałam sobie, że może nam się to przydać, i nawet mnie to bawi. Nie chcesz też spróbować?

Podawała Rezce nienabitą kuszę. Tej już na sam widok zdradzieckiej broni zrobiło się niedobrze.

- Wolę nie. Ściemnia się, idziemy do domu? Razem wychodziły z lasu. Natasza zarzuciła Rezce na ramiona własny pled i troskliwie jej pomagała. Po paru krokach niepewnie się zatrzymała.

- Zapomniałam o strzałach. Muszę po nie wrócić. Poczekasz na mnie? Sama się boję, a za chwilę będzie ciemno.

Rezka tylko przytaknęła z uśmiechem.

\*\*\*

Do osady doszli piątego dnia. Była jeszcze mniejsza, nit wyglądała z góry. Dziesięć w połowie zawalonych, chaotycznie rozmieszczonych drewnianych chałup bez chlewów i zadaszeń dla bydła, z boku fundamenty dwóch dużych stodół, które z upływem czasu całkowicie się rozpadły.

Koniasz kazał karawanie zatrzymać się w bezpiecznej odległości i wjechał do wsi tylko z uzbrojonymi ludźmi. Kowalski po pierwszym rzucie oka wiedział, że ostrożność jest zbyt duża. Domami nikt nie zajmował się przez całe dziesięciolecia, okoliczne pola dawno zarosły i prawie nie dało się ich odróżnić od pierwotnej równiny. Powoli przejeżdżali między opuszczonymi domami, wiatr z cichym szumem przemykał przez wybite okna i puste otwory drzwiowe. Mijali całe akry

zdziczałej kapusty i ziemniaków, resztki dawnych ogródków, które pozostawili posobie koloniści. Po osadzie po prostu było widać, że dawno została opuszczona.

Baribald Bryzold przeszukiwał najlepiej zachowane budynki. Największy dom zostawił sobie na sam koniec. Kowalski zatrzymał się przy jego koniu i czekał. Za chwilę czarownik pojawił się w drzwiach i pokręcił głową.

- Tutaj też nic - powiedział. - Żadnych resztek, żadnych naczyń czy narzędzi. Sprawia wrażenie, jakby osiedlili się tutaj tylko tymczasowo i odchodząc, wszystko wzięli ze sobą.

- Domy postawione, żeby w nich przezimować? Dla kobiet i dzieci? - zasugerował Kowalski.

Bryzold przytaknął.

- Może tak być. Znalazłem tylko jeden grób, ale nazwiska i napisu nie dało się już przeczytać. Mam nadzieję, że przy jeziorze będziemy mieć więcej szczęścia.

Przejazd przez opuszczoną osadę ochłodził ogólny entuzjazm. Puste domy przypomniały każdemu, że to, co spotkało dawnych osadników, może przytrafić się również im.

Następnego ranka natknęli się na trakt brukowany szarym kamieniem. Droga wiodła po nasypie, była doskonale prosta i zmierzała w stronę jeziora.

- Musiała ich kosztować wiele pracy, ciekawe, dlaczego ją budowali - mruknął Kant.

Kowalski spojrzał na niego. Taką rzecz na wsi wiedziało każde dziecko.

- Po dobrej drodze można z połową ilości zwierząt przewieźć podwójną ilość ładunku - wyjaśnił.

- Wozili głównie drewno - wmieszał się do rozmowy Bryzold i pokazał ostatnie resztki ogromnej kiedyś kupy pni. Prawie cała zdążyła już spróchnieć, tylko kłody, które leżały pośrodku, zachowały jeszcze częściowo swój kształt.

- Wygląda na to, że byli dobrymi gospodarzami. Najpierw osiedlili się w pierwszym dobrym do zamieszkania miejscu, na które się natknęli. Zbudowali prowizoryczne domy i zapewnili bezpieczeństwo kobietom i dzieciom. Potem zbadali okolicę i przeprowadzili się gdzieś, gdzie im się bardziej podobało. Przypuszczam, że poszli w stronę jeziora, które widzieliśmy z góry. Ponieważ było tam mało lasów albo nie chcieli ich wszystkich wycinać, dowozili drewno z gór i z tego powodu zbudowali drogę, która oszczędziła im mnóstwa pracy. [Wszystko](#)

wskazuje na to, że potrafili planować przyszłość. Zdumiewa mnie tylko to, że nie znaleźliśmy tu rozwijającej się kolonii szczęśliwych osadników.

Kowalski nie odpowiedział. Podobna kwestia męczyła go od chwili, kiedy wjechali do opuszczonej osady. Koniasz nawet podczas jazdy kartkował dziennik Achrometa, jakby miał nadzieję, że znajdzie w nim odpowiedzi na wszystkie ich pytania.

\*\*\*

W szybkim tempie kontynuowali podróż również następnego dnia i Kowalskiemu wydawało się prawie niemożliwe, że jeszcze przed tygodniem cierpieli z powodu zimna. Słońce grzało, powietrze pachniało latem, a zielony dywan gęstej, wysokiej trawy porośnięty był masą aż nierealnie kolorowych kwiatów. Ziemia na pierwszy rzut oka była urodzajna, potrzebowała tylko obrobienia.

- Jesteś zamyślony - wyrwał go z zadumy dziewczęcy głos.

Rezka osiodłała Blyznę i jechała teraz u jego boku.

- W nocy miałas gorączkę, obiecałaś, że zostaniesz cały dzień na wozie - powiedział z wyrzutem.

Na moment się uśmiechnęła i wyrzuty Kowalskiego zbladły. W jednej krótkiej chwili zdał sobie sprawę, że jeśli zostaną razem, zawsze tak będzie. Nigdy nie będzie mógł jej nic przykazać, co najwyżej do czegoś przekonać. Zrobiła poważną minę.

- Muszę z tobą porozmawiać. To ważne. Kowalski zauważył, że Rezka jest zmęczona jazdą i ma bladą twarz.

- Wyjmij nogi ze strzemion i podaj mi rękę - powiedział i nachylił się w jej kierunku.

Posłuchała go. Objął Rezkę ręką wokół pasa i jak małą dziewczynkę przeniósł z jednego konia na drugiego, sadzając w siodle przed sobą. Blyzna faktu, że właśnie straciła jeźdźca, nawet nie zarejestrowała i dalej posłusznie stąpała przy boku kasztanka. Rezka usadziła się wygodniej i oparła Kowalskiemu o pierś. Na chwilę zapomniała o wszystkim innym. Było jej przyjemnie i wciąż odbierała to jako coś niewiarygodnie ważnego. Purytanka, która jechała na wozie przed nimi, zmierzyła ich potępiających wzrokiem.

- Nie podobamy im się - powiedziała Rezka. Kowalski wzruszył ramionami.

- Świat jest pełny rzeczy, które im się nie podobają.

- Wczoraj obserwowałam obóz Faraciusa - zaczęła. Kowalski się wzdrygnął, lecz zanim zdążył coś powiedzieć, przytuliła się do niego jeszcze mocniej.

- Ja wiem, ja wiem, to niebezpieczne, ale musimy o nim wiedzieć jak najwięcej - uspokajała go. - Obserwowałam Faraciusa również przedwczoraj i wcześniej też. Faracius namawia ludzi, żeby się tutaj osiedlili. Nie będą chcieli iść dalej. I, prawdę mówiąc, wcale im się nie dziwię.

Właśnie mijali stadko pięciu sztuk dzikiego bydła. Krowy były dobrze odżywione, długa, gęsta sierść zwisająca z boków wlokła się po ziemi. Duży byk, prawie dwa razy potężniejszy niż ich woły pociągowe, podejrzliwie przyglądał się niekończącemu się strumieniowi ludzi, potem wrócił na pastwisko. Kowalski był pewien, że te zwierzęta nigdy nie spotkały człowieka.

\*\*\*

Im bardziej oddalali się od gór, tym więcej widzieli dowodów ludzkiej działalności, ale wszystkie pochodziły z tych samych czasów co wieś. Ciągłe jechali łagodnie w dół, dolina miała profil płytkiego leja z jeziorem pośrodku. Czasem mijali pozostałości kanałów nawadniających przecinających równinę regularną siecią. Kiedyś wodę dostarczały kolonistom zasypane już studnie artezyjskie. Przez niektóre z nich woda przesiąkała na powierzchnię również i teraz. Baribald Bryzold wybrał studnię, w której okolicy gleba już na pierwszy rzut oka była tak mocno podmokła, że nawet nie rosła tu trawa. Za pomocą drewnianego pala przebił wierzchnią warstwę ziemi. Gdy tylko wyciągnął pal, otwór natychmiast wypełnił się wodą i wytrysnęła mała fontanna.

- Niewątpliwie jest tu woda podskórna, ale musi być jej dużo. Osiemdziesięcioletniej studni artezyjskiej, która wciąż daje wodę, nie widuje się codziennie - powiedział ze zdziwieniem.

- Lata muszą tu być bardzo suche, inaczej cała dolina byłaby zalesiona. Powiedziałbym, że do nawilżania wygodniej im było używać wody podziemnej niż jeziornej - uzupełnił Kowalski, patrząc na pozostałości po rozległych łąkach.



Tego dnia bez wielkiego trudu przejechali dobre czterdzieści kilometrów i rozbili obóz niedaleko lasu otaczającego jezioro. Cały wieczór wiatr przywiewał do nich żywiczny zapach sosen, pod nogami szeleściły zeszłoroczne, uschnięte liście.

Rano karawana była przygotowana do drogi wcześniej niż zwykle. Kowalski, wierny swojej zwyczajowej dokładności, nie spieszył się i dokładnie sprawdził zwierzęta, uprzęże koni i koła wozów. Kant dał trochę czasu spóźnialskim i zatrąbił sygnał do odejścia.

Wieś, albo raczej małe miasteczko, ujrzeli dopiero z bliska, ponieważ domy wybudowane między drzewami tonęły w cieniu. Ludzie umilkli, czoło karawany się rozszerzyło, kiedy wszyscy zgromadzili się z przodu. Na pierwszy rzut oka chaty wyglądały na utrzymane i zamieszkałe, lecz gdy podeszli bliżej, stwierdzili, że również tutaj nikt nie mieszka. Dachy wielu z nich były porośnięte mchem, okna puste, bez okiennic. Droga prowadziła do dużej, częściowo murowanej bramy, która nie miała żadnego obronnego znaczenia i z pewnością służyła tylko jako miejsce oznaczające wjazd do miasteczka. Jednego skrzydła bramy brakowało, drugie kołysało się w zawiasach przy mocniejszych podmuchach wiatru i głośno skrzypiało.

- Czekają na nas - powiedział ktoś.

Kowalski wiedział, że to nonsens, ale po chwili również on ujrzął człowieka siedzącego na ziemi i opierającego się plecami o kamienny słup bramy. Z daleka widział jego twarz jako białą plamę. Skóra wyglądała na zbyt jasną. Ledowi przyszło do głowy, że być może nieznajomy jest chory.

Im byli bliżej, tym więcej szczegółów rozpoznawali. Kowalski nagle zrozumiał, kto na nich czeka, i popatrzył na Koniasza. Pochmurny żołnierz nie mówił nic. On też już wiedział. Ktoś z tłumu krzyknął z przerażeniem, ludzie najpierw zwolnili, a potem się zatrzymali. Kowalski, Koniasz, Bryzold, Bonsetti i Kant jechali dalej sami. Nawet współpracownicy handlowi się wycofali. W szeregu dojechali do bramy.

Mężczyzna, który przy niej siedział, czekał na nich naprawdę długo. Jego ubranie w większości było przegniłe, w całości ostał się tylko płaszcz z mocnej bawolej skóry, który przytrzymywał wszystko razem.

W trawie dokoła leżały zardzewiałe resztki rynsztunku - sprzączka paska, ostrogi, ostrze noża bez rękojeści i zielona spinka z brązu. Wybielona przez słońce czaszka uwięziona kołnierzykiem cierpliwie im się przyglądała pustymi oczodołami. Spodnie przez lata zupełnie zetlały, z nóg zostały tylko luźno porozrzucane kości. Między nimi, jak skarb, którego martwy pilnował aż do końca, leżała szczelna metalowa skrzyneczka. Na pierwszy rzut oka nie została uszkodzona zębem czasu.

- Dziwne, że zwierzęta zostawiły to nietknięte. Sądziłbym, że rozwłóczą kości na wszystkie strony. - Kant położył ręce na skraju siodła i wyprostował plecy. Błądził jednocześnie spojrzeniem po okolicy. Ze strony zagadkowego nieboszczyka żadne jawne niebezpieczeństwo nie groziło, dlatego przestał się nim interesować.

Kowalski przytaknął, dokładnie to samo sobie pomyślał. Koniasz zeskoczył z konia, kucnął przy martwym i przez chwilę ostrożnie przyglądał się skrzyneczce. Niechcący zawadził przy tym o brzeg płaszcza i kościotrup, który czekał na nich całe dziesiątki lat, rozpadł się z suchym chrzęstem. Kowalski usłyszał, jak ludzie tłoczący się z tyłu jęknęli z przerażenia.

- Wnioskując z symbolu, wygląda to na wasz wyrób. Może pan to otworzyć? - zapytał Koniasz i popatrzył na Bryzolda.

Czarownik zsiadł z konia i uklęknął przy skrzynce. Koniasz tymczasem bez skrępowań przeglądał szczątki martwego i składał je na kupkę. Kowalskiemu przy tym przebiegał mróz po plecach, a Kant wolał patrzeć w bok. Tylko Bonsetti obserwował scenę beznamiętnie.

- Tej skrzyni już od osiemdziesięciu lat brakuje nam w spisach - mamrotał Bryzold półgłosem, walcząc jednocześnie z zamkiem.

- Znalazłem klucz - powiedział Koniasz, w tym samym czasie zamek szczęknął, a wieko odskoczyło.

Czarownik podał skrzyneczkę żołnierzowi i odebrał od niego klucz z ciemnego, błyszczącego metalu ze skomplikowanym ornamentem.

- Tak, od kompletu. Ta skrzynia wciąż jest majątkiem klanu. Chciałbym, żeby mi ją pan oddał. Oczywiście, jeśli nie będzie pan miał dla niej żadnego zastosowania. I, o ile to możliwe, z kluczem, bez niego ma o połowę mniejszą wartość - poprosił Bryzold.

Koniasz tylko skinął głową i przeglądał zawartość skrytki. Kowalski nachylił się w siodle, żeby lepiej zobaczyć, co właściwie odkryli. Przestrzeń w środku w porównaniu z wielkością skrzyneczki była zadziwiająco mała. Na dnie leżało tylko parę zszarzałych, gęsto zapisanych kartek. Kowalski natychmiast rozpoznał papier. Był identyczny jak kartki w dzienniku Achrometa, pismo też na pierwszy rzut oka wyglądało podobnie. Tylko kolor atramentu był nasycony, jakby tekst ktoś napisał wczoraj. Kowalski był pewien, że są to właściwe zapiski dotyczące doliny, których brakowało w dzienniku. Koniasz obrzucił tekst krótkim spojrzeniem.

- Wezwijcie wójtów i jeszcze parę osób. To powinni usłyszeć natychmiast, zanim zrobią jakąś głupotę - powiedział i zagłębił się w zapiski.

Dopiero kiedy wokół zgromadzili się zdenerwowani i wystraszeni farmerzy, zaczął czytać na głos:

*Nazywam się Joseph Achromet, a to jest wiadomość dla tych, którzy w przyszłości chcieliby iść w moje ślady. Napisałem ją pierwotnie w swoim dzienniku, ale potem sobie uświadomiłem, że mimo iż sam traktuję to jak ostrzeżenie, ktoś mógłby wykorzystać informację zupełnie odwrotnie i umarłyby następne setki ludzi. Wszystko, co się tu przytrafiło, jest tak niewiarygodne. Gdybym nie widział szeregu grobów, sam bym wątpił. Dlatego wyrwałem ze swoich zapisków również wszystkie wzmianki o tej na pierwszy rzut oka rajskiej dolinie, która jest przeklęta przez samego diabła. Ponieważ nie wiem, czy wy, którzy czytacie moje zapiski, w ogóle coś o mnie wiecie, zacznę zupełnie od początku. Naprawdę nie chcę się chwalić, nie ma czym, a wspomnienia tej całej ponurej sprawy prześladować mnie będą aż do grobu. Chcę jednak, żebyście mi uwierzyli, żebyście wiedzieli, że byłem człowiekiem, który starannie planował swoje kroki i który w końcu przegrał, ponieważ przeciwko niemu był sam los. Może też chcę się usprawiedliwić.*

*Jestem, z waszej perspektywy byłem, handlarzem zbożem. Minione lata (sio do 316po Wielkiej Wojnie) obfitowały w liczne wojny, ludzie umierali z głodu, zboże podróżowało i stało się narzędziem polityki. Podczas handlowania nim można było szybko się wzbogacić, ale też łatwo stracić życie. Nie zaprzeczam, że zorganizowałem to wszystko, żeby się wzbogacić, lecz nie miałem nic złego na myśli. Nie przeczuwałem, jak źle może się to skończyć. Nie chciałem, żeby wszyscy ludzie, którzy tak mi wierzyli, umarli.*

*Ponieważ niedostatek zboża stał się czymś naturalnym, zdecydowałem się znaleźć urodzajny region poza zamieszkanymi terenami ciągle trawionymi poważnymi konfliktami - zarazą dla uczciwych rolników.*

*Mimo że wszyscy mnie do tego zniechęcali, nie ograniczyłem się tylko do najbliższej okolicy, ale szukałem daleko w krajach, gdzie cywilizacja jeszcze nie dotarła. Moje wcześniejsze doświadczenia nauczyły mnie, że pożądaný towar zawsze znajdzie swojego kupca. Po przestudiowaniu wszystkich dostępnych źródeł zdecydowałem, że skieruję się na równiny na południe od Morza Keżskiego. Pierwszą wyprawę zrealizowałem statkiem. Ze swoimi ludźmi wysiedliśmy na południowo-wschodnim wybrzeżu Morza Keżskiego. Szliśmy dalej na południe i po podróży pełnej utrapień dotarliśmy aż na urodzajne stepy.*

*Klimat jest tam gorący, ale strome zbocza Gór Grimma zatrzymują deszczowe chmury i nad równiną często pada. Odkryłem dziesiątki tysięcy akrow świetnych gruntów po prostu stworzonych do radła. Na nieszczęście tereny zamieszkiwały dzikie plemiona. Przez rok pertraktowałem z najsilniejszymi naczelnikami i w końcu doszliśmy do porozumienia. Kupiłem od nich tyle ziemi, żeby zdołała nasycić wszystkie kupieckie państwa i pół Imperium Crambijskiego na dodatek. Wydawało mi się, że jestem na najlepszej drodze do sukcesu, uwierzyłem, że zdołam tam założyć kolonię zbożową.*

*Zostawało tylko znaleźć drogę do ziemi obiecanej dla ludzi i tysiącglowego stada bydła. Początkowo miałem nadzieję, że przewiozę farmerów po morzu, a bydło zyskam przez oswojenie dzikiego bydła rogatego. Jednak w stepach nie znalazłem żadnych użytecznych w rolnictwie zwierząt. Dlatego wyruszyliśmy z powrotem przez Góry Grimma. Od razu na początku natknęliśmy się na wspaniałą dolinę. Właśnie tę, w której się teraz znajdujecie. Wtedy myślałem, że to szczęście. Dziś wiem, że to było najgorsze, co mogło mnie spotkać. Dolina ze wszystkich stron osłonięta jest przez góry, a z południa dostępna tylko przez Wielki Łuk - naturalny kamienny most sklepiony nad głęboką przepaścią. Na jej dnie płynie rzeka, która po kilkudziesięciu milach opuszcza Góry Grimma i przepływa przez Równinę Koolską aż do Oceanu Południowego. Mieszkańcy równin nazywali ją Chciwą, ponieważ w wielu miejscach jej wartki prąd wygryzł w ziemi głębokie kaniony.*

*Z tysiącami kilometrów kwadratowych wolnych gruntów rolnych przed oczyma porzuciłem plan wybudowania kolonii zbożowej między plemionami koczowniczymi. Chciałem, żeby przyszli koloniści osiedlili się właśnie tutaj, w Niebieskiej Dolinie. Ochrzciłem ją tak, ponieważ szczyty okolicznych gór, kiedy patrzy się z dołu, mają niebieski odcień. Poszukiwanie drogi powrotnej przez góry trwało prawie pół roku.*

*Po powrocie cały swój majątek zamieniłem na złoto, kupiłem sprzęt i zboże i zapaliłem do swojego planu ludzi, którzy w przymierającym z głodu Fenidong nie mieli nic do stracenia. Ludzie, którzy towarzyszyli mi w pierwszej podróży, poszli za mną również po raz drugi. Zaproponowałem im udział w zysku. Głównie dlatego, żeby zobowiązać ich do milczenia.*

*Nie była to łatwa wędrówka. To, co było trudne, ale wykonalne z mężczyznami zahartowanymi w bojach, dla farmerów z żonami i dziećmi było prawie niemożliwe. Na początku byli to dla mnie tylko farmerzy, za których pośrednictwem chciałem się wzbogacić, ale z czasem stałem się jednym z nich. Wspólne niebezpieczeństwa i cierpienia zbliżają. Znalazłem wśród nich przyjaciół, towarzyszy. Właśnie dlatego czuję się tak źle.*

*W końcu szczęśliwie dotarliśmy do celu. Prowizorycznie osiedliliśmy się na początku doliny, ponieważ byliśmy wyczerpani, a zima mogła zacząć się każdego dnia. Od razu na wiosnę przenieśliśmy się w stronę jeziora i zaczęliśmy pracę. Założyliśmy nasze miasto, obsialiśmy*

pierwsze pole. Przystudiowałem masę ksiąg, żeby wyciągnąć naukę z błędów naszych przodków. Budowaliśmy, dostosowując wszystko do czasu, kiedy cała dolina zostanie zmieniona w dobrze prosperujący kraj. Obszerne i wygodne domy, równe drogi, stodoły. Lato było suchsze, niż się spodziewałem, ale mimo to plony były dobre. Zostałem gubernatorem kolonii. Zdecydowałem, że wybudujemy system nawadniający. Po części dlatego, żebyśmy nie byli zależni od kaprysów pogody, częściowo dlatego, żebyśmy mogli mieć dwa zbiory rocznie. Zasugerowałem zmiany, rozdzieliłem zadania i wyjechałem sprzedać nadwyżkę z pierwszych plonów i kupić pozostałe sprzęty i więcej bydła. Mój powrót do Fenidong nie wywołał większego poruszenia, ponieważ zboże sprzedawałem ostrożnie w mniejszych ilościach. Nikt nie pytał, skąd jest, a ja nikomu nie tłumaczyłem. Z powodu przeciągającej się biedy udało mi się zawrzeć bardzo korzystne transakcje.

Po powrocie do Niebieskiej Doliny pochłonęło mnie budowanie i zarządzanie naszą kolonią. Urodziło się wiele dzieci, trzeba było zdecydować, gdzie zbudować kolejne miasteczko, i zatroszczyć się o rozwój rzemiosł, żebyśmy stali się samowystarczalni, a nasz rozrost wciąż postępował. Drugie plony wprost przewyższyły oczekiwania, sprawdził się system nawadniający oparty na studniach artezyjskich. Wiedziałem, że takiej ilości ziarna nie uda się już sprzedać, nie wywołując poruszenia. Ludzie zaczęli się interesować, skąd pochodzi, i jeśli tylko stwierdzą, że na rynku pojawił się nowy hurtowy dostawca, spadną ceny. Zdecydowałem się więc jeszcze raz dopilnować sprzedaży osobiście, żeby zawrzeć jak najlepsze umowy na następny rok. Parę dni przed moim odjazdem u kilkorga dzieci pojawiła się na palcach nóg biała wysypka, ale wydawało mi się, że to nic poważnego.

Mój drugi powrót do Fenidong był triumfalny. Kiedy byłem w podróży, cesarz wypowiedział niezależnym państwom na zachodnim wybrzeżu wojnę handlową, ceny pszenicy i jęczmienia osiągnęły zawrotny poziom. Każdy, kto dostawy zboża miał już wcześniej zamówione, zarabiał olbrzymie pieniądze. Udało mi się wyprzedać zasoby z niewiarygodnym zyskiem. Kilku najmądrzejszych handlarzy wyciągnęło właściwe wnioski. Stwierdzili, ile zboża sprzedałem w zeszłym roku, a ile sprzętu wcześniej kupowałem. Istnienie naszej kolonii przestało być tajemnicą. Ceny uzgodnione dla handlu w następnym roku mocno spadły, ponieważ wszyscy zdawali sobie sprawę, że jestem w stanie pokryć znaczną część zapotrzebowania.

Dzień przed tym, kiedy chciałem oficjalnie ogłosić statut kolonii poprzez zaksięgowanie w fenidońskim Urzędzie Rolnym, znalazł mnie człowiek, który w czasie mojej nieobecności w dolinie zastępował gubernatora. Miał złamaną rękę, gorączkę i był śmiertelnie zmęczony. W ciągu trzech dni umarł z gorączki i całkowitego wyczerpania. Z jego majaczeń zrozumiałem, że wyruszył za mną z miesięcznym opóźnieniem. Wciąż wykrzykiwał coś o chorych i umierających, o białej wysypce, która rozprzestrzenia się na całe ciało i po pewnym czasie zmienia w ropnie. W dolinie działo się coś złego. Żadnego lekarza nie przekonałem, żeby na początku zimy wyruszył w drogę przez Góry Grimma. Kupiłem lekarskie księgi, leki i pozostały sprzęt i jedynie z pięcioma wozami wyruszyłem w drogę powrotną. To było szaleństwo, ale sprzyjało nam szczęście. Zima była niezwykle łagodna. Mimo to trzech z nas zmarło, dwóch zaginęło podczas wichur.

W dolinę wróciłem na początku stycznia. W kolonii szalała epidemia. Choroba zaczynała się pod postacią wysypki - białych, bezkrwawych pęcherzyków, które pojawiały się najczęściej na palcach nóg i rąk, te stopniowo rozprzestrzeniały się na całe ciało, powiększały, aż powstawały wielkie, nieogojące się wrzody. W najgorszym stanie były dzieci i niektórzy mężczyźni. Kobiety zaś w

*początkowych stadiach choroby czuły się lepiej. Paru mężczyzn było zupełnie zdrowych. Wypróbowaliśmy wszystkie możliwe i niemożliwe kuracje lecznicze, ale na chorobę nie miało to najmniejszego wpływu. Ludzie stopniowo słabli i tracili chęć do jedzenia. Jeśli wcześniej nie uśmierciła ich gangrena z ropni, umierali z ogólnego osłabienia. Nie ocalałem zupełnie nikogo.*

*Z powodu zmartwienia i śmierci otaczających mnie jak ciemność znalazłem się na skraju szaleństwa. Żeby zupełnie nie stracić rozumu, chodziłem na długie spacery. Na wiosnę, kiedy rozpuścił się śnieg, pomogło mi to odnaleźć przyczynę naszego nieszczęścia. Niestety, za późno.*

*Stwierdziłem, że w miejscach, gdzie źle zamknęliśmy studnie artezyjskie i ziemia przez całą zimę była podmokła, prawie nic nie rośnie. Jeśli już, to rośliny miały chorobliwie jasny kolor i były zdeformowane. Szukałem dalej. Wszędzie wokół studni artezyjskich i kanałów nawadniających roślinność była cherlawka, jakby zaatakowana przez jakąś chorobę. To ironia losu, że woda, która pozwoliła nam zbierać plony dwa razy do roku, również nas zgubiła. Woda z głębin używana do nawadniania była trująca. Nie zawierała żadnej ostrej trucizny, która zabija człowieka natychmiast, ale skażoną substancję, która w ciągu trzech lat nagromadziła się w naszych ciałach i dopiero potem powodowała śmierć. Ja również mam ją w sobie, ale o wiele mniej niż inni, ponieważ wiele czasu spędziłem w podróży.*

*Tę wiadomość, strzeżoną przez zwłoki mojego najlepszego przyjaciela, zostawiam tu jako ostrzeżenie. Przeprowadziłem tu prawie trzy tysiące mężczyzn, kobiet i dzieci, ludzi lepszych, niż kiedykolwiek przedtem poznałem. Nigdy ich nie zapomnę, nawet gdybym bardzo tego pragnął. I już nigdy o tej strasznej historii nie będę mówił.*

Ludzie stali w całkowitej ciszy. Nawet na Kowalskim dawna tragedia wywarła wrażenie. Rozejrzał się i zobaczył urodzajną ziemię dokoła w innych barwach. Teraz postrzegał ją jako śmiertelną pułapkę. Wiedział, że on z Nataszą i Rezką nie zostaną w dolinie za żadną cenę.

- Dopadła ich jakaś nieznana choroba czy rzeczywiście spowodowała to woda? - zapytał Koniasz, podając zapiski Bryzoldowi.

Czarownik znów pogрузił się w tekście. Farmerzy wokół w milczeniu obserwowali ludzkie szczątki przy bramie i ruiny opuszczonego miasta.

Po chwili czarownik oddał Koniaszowi kartki z zapiskami.

- Informacje o chorobie są zbyt ogólne, musiałbym znać więcej szczegółów. Przypomina to trochę zatrucie arsenem. Mam na myśli przewlekłe zatrucie. Górnicy pracujący w kopalniach srebra czasami mają podobne kłopoty. Umierają jednak dopiero po długich latach. To, co opisuje Achromet, trwało tylko trzy lata, z czego przez pierwszy rok nikt nie miał żadnych problemów. Równie dobrze może to być coś innego, pozostałości po rzucanych kłótwach w czasie Wielkiej Wojny, jakiś inny, nieznan nam trujący metal, po prostu cokolwiek. Zgadzam się z nim jednak, że trucizna, która ich doprowadziła do zguby, zawarta była w podziemnej wodzie. Koniasz przytaknął.

- Początkowo osiedlili się u podnóża gór i pili wodę powierzchniową. Potem przeprowadzili się bliżej jeziora i zaczęli coraz bardziej wykorzystywać do nawadniania wodę głębinową ze studni artezyjskich. Część osób w ogóle nie opuszczało doliny, inni przeciwnie - podróżowali z Achrometem albo wyruszali na wyprawy myśliwskie. To mogłoby tłumaczyć, dlaczego niektórzy zachorowali o wiele później niż pozostali. W chwili kiedy kończyli system nawadniający, los wszystkich był przesądzony. Trucizna była w roślinach, które sami uprawiali. Arsen w ich ciałach

wciąż się gromadził, aż jego koncentracja przekroczyła krytyczną granicę i... - Koniasz mówił powoli, jakby wypowiadał na głos swoje myśli.

- Zgadzam się - przytaknął Bryzold. - Achromet przeżył, ponieważ połowę czasu spędził, podróżując do Fenidong.

- Wciąż jednak pozostaje możliwość, że to nie był arsen, ale klątwa albo coś innego. W tym przypadku powinniśmy jechać dalej, mimo że wszyscy potrzebujemy odpoczynku. Możemy stwierdzić prawdę? Tydzień nad jeziorem przydałby się nam wszystkim. W tak krótkim czasie się nie zatrujemy, poza tym mamy własne jedzenie - powiedział Kowalski. Bryzold zmarszczył brwi.

- Prawdą jest, że wokół studni, którą otworzyliśmy, nic nie rośnie. To jednak nie musi nic oznaczać. Ale... - Bryzold podniósł palec, jakby nagle coś mu przyszło do głowy. - Ale możemy przeprowadzić ekshumację!

Farmerzy, którzy przez cały czas uważnie się przysłuchiwali, niepewnie mruknęli. Kowalski wiedział dlaczego, nawet on nie miał pojęcia, co oznacza słowo ekshumacja.

- Otworzymy jeden z tych starych grobów. Arsen w wystarczającej ilości działa jako środek konserwujący. Martwi powinni być przynajmniej częściowo z mumifikowani.

Bryzold nie czekał na opinie pozostałych, własny pomysł go zainteresował. Wskazał na trzech nieszczęśników w przednim rzędzie.

- Wy trzej, weźcie jakieś narzędzia i chodźcie ze mną. Zrobimy to od razu.

Nie trwało długo, zanim znaleźli cmentarz. Czarownik przykazał otworzyć jeden z wyraźnie oznaczonych grobów. Był płytki.

Płytki jak wszystkie groby, które są kopane w czasie, kiedy umiera wielu ludzi naraz, pomyślał Kowalski i ponuro obserwował Bryzolda zręcznie rozcinającego brudne brązowe giezło. Było jasne, że nie robi tego po raz pierwszy. Stojący wokół ludzie przyglądali się z niezdrową ciekawością, nawet jeśli niektórzy trochę zbledli albo zzielenieli.

- Zauważcie, że trumna spróchniała, ale materiał i oczywiście też ciało są prawie nietknięte. Normalnie wszystko powinno być zjedzone przez robaki.

Bryzold w ogóle nie zdawał sobie sprawy, jak jego komentarz działa na przyglądających się ludzi. Kilka kobiet wolało odejść. Wymienił nóż na mały skalpel i kontynuował wykład, nie zmniejszając tempa pracy.

- Po osiemdziesięciu latach w ziemi powinniśmy znaleźć prawie czysty szkielet tylko z resztkami najbardziej wytrzymałych chrząstek, kości powinny mieć naturalny kolor. Dopiero w ciągu następnych dwóch, trzech wieków zabarwiłyby się na kolor ziemi, w której leżą. Na słońcu by zbieleły. To właśnie widzieliście na martwym przy bramie...

Tkanina trzasnęła i Bryzold oderwał ostatnią warstwę.

Przed nimi nie leżał goły szkielet, ale dobrze zachowane, z mumifikowane ciało. Tkanka pozbawiona wody co prawda straciła swoją objętość i rysy twarzy przystosowały się do charakterystycznych linii czaszki, lecz nie mogło być wątpliwości, że ciało nie uległo zwyczajnemu rozkładowi.

- Niewiarygodne. Tak doskonałej mumifikacji nie oczekiwałem - oznajmił Bryzold.

Kowalski spojrział na niego i uniósł brwi pytająco.

- Jest tak, jak myślałem. Uśmiercił ich arsen. Przeprowadzę jeszcze parę prób, ale jestem pewien.

Kowalski odwrócił się do odejścia. - Rozbijemy obóz! Co najmniej na dwa dni! - rozkazał.

\*\*\*

Stałem w strzemionach i odwróciłem się. Ludzie trzymali się w zwartej grupie, nikt się nie opóźniał. Trzy dni odpoczynku w pobliżu opuszczonego miasta wszystkich bez wyjątku przekonały o potrzebie kontynuowania podróży. Podejrzywałem, że Kowalski kazał rozbić obóz właśnie tam celowo. Żeby każdy widział, co się z nim stanie, jeśli tutaj zostanie. Znowu pogoniłem konia. Jezioro było większe, niż wyglądało na pierwszy rzut oka. Szacowałem, że ma dobre dwadzieścia kilometrów długości. Ponieważ trzymaliśmy się blisko brzegu, podróż wokół niego przeciągnęła się dwukrotnie.

Rzekę, która zgodnie z mapą Achrometa miała z niego wypływać, ujrzeliśmy dopiero następnego dnia przed obiadem. Wypływała ze szczeliny w łagodnym wale wytworzonym kiedyś przez przesuwający się górski lodowiec. Wał zatrzymywał teraz wodę jak naturalna tama. Na pierwszych stu metrach rzeka wyryła w ziemi i podziemnej skale wąskie i głębokie koryto. Nurt pieniał się i pryskał wokół przypadkowo porozrzucanych głazów i w żadnym miejscu nie było widać spokojnej powierzchni wody. Niezdecydowana, jak Achromet ochrzcił rzekę, nie była tutaj szersza niż pięć, siedem metrów, ale mimo to tworzyła przeszkodę prawie nie do pokonania. Kilka kilometrów dalej traciła jednak siłę i przechodziła w szerokie rozlewiska porośnięte bujnymi trzcinami i bez wyraźnie widocznych brzegów. Zgodnie z mapą na całej Niezdecydowanej przeplatały się gwałtowne kaskady z leniwymi odcinkami meandrów.

Od jeziora nie prowadziła już żadna droga, trawiasta równina porośnięta tylko kępami krzewów otaczających liczne potoki płynące z gór była źle przejezdna. Już na pierwszy rzut oka dolina szybko się zwężała. Wydawało się, że pobliskie szczyty sięgają nieba, uczucie wolnej, rozległej powierzchni zniknęło, znowu byliśmy w górach. Albo na przedgórzu. Pod wieczór zaczęły wznosić się przed nami pierwsze łagodne wzgórza, niektóre z nich miały zalesione zbocza. Rozbiliśmy obóz za pierwszym z nich.

Rzeka stawała się coraz szersza. Z pewnością tworzyła ją woda ze śniegowych pól na zboczach gór. Aż do końca naszej podróży przez dolinę nie powinniśmy się od niej oddalić, a na sam koniec zgodnie z zapiskami Achrometa powinna nas doprowadzić do podnóża gór po południowo-zachodniej stronie doliny.

Następnego dnia bez jakichś konkretnych przyczyn wprost nie mogłem się doczekać, aż wreszcie opuścimy dolinę. Droga była wygodna, kilometry mijały bez wielkiego trudu i niebezpieczeństw, ale zbliżające się prawie pionowe ściany górskich szczytów zmieniły dolinę w parów, ponadto z lewej strony ograniczała nas Niezdecydowana. W końcu między dwoma stromymi wzgórzami otworzył nam się widok na górski grzebień rozdzielony głęboką przełęczą. To oznaczało, że jest przed nami mnóstwo pracy, zaciskania zębów i rąk zdartych aż do mięsa od wiecznego ciągnięcia wozów pod zbyt strome wzniesienia, lecz mi ulżyło. Bez przestrzeni do manewrów, z jednej strony ograniczony przez rzekę, z drugiej przez prawie pionowe skalne ściany, czułem się jak w pułapce. Ponadto według Achrometa za przełęczą czekało nas tylko dwadzieścia trudnych kilometrów, a potem już definitywnie mieliśmy zejść w niziny.

Pogoniłem konia, żeby oddalić się od czoła karawany i w spokoju uporządkować myśli. Jednak po kilkuset metrach zamarłem w siodle ze zdumienia. Już rozumiałem, dlaczego Achromet w swoim dzienniku kilkakrotnie podkreślał, że dalej na południowy wschód można dostać się tylko po naturalnym moście. Drogę przegradzał nam głęboki kanion. Nie była to rysa w ziemi otoczona miękkim gruntem, tylko coś o wiele bardziej olbrzymiego. Wszędzie wokół nas była twarda skała i nawet wieków by nie starczyło, żeby rzeka wydrążyła w niej takie koryto. Kanion musiał powstać podczas trzęsienia ziemi, które rozdzieliło góry na dwie części wyrwą o szerokości pięciuset metrów i głębokości kilku kilometrów. Rzekę płynącą w dole widziałem z tej wysokości jako wąską niebieską wstążkę ozdobioną białymi naszyjnikami piany. Mojego konia zdumiewająca sceneria nie zainteresowała, szedł po ścieżce dalej i zatrzymał się dopiero kawałek przed stromizną.

Dla nas droga nie prowadziła w przód. Patrzyłem na resztki tego, co Achromet nazwał Wielkim Łukiem. Pewnie już po trzęsieniu ziemi z jednolitej skały tworzącej przeciwległe ściany kanionu wyłamały się dwa gigantyczne bloki, które zaklinowały się wzajemnie i stworzyły w ten sposób naturalny most. Musiało to być naprawdę w odległym czasie, ponieważ goła skała dawno już zniknęła pod warstwą ziemi i roślinności. Problem tkwił w tym, że najdalej osiemdziesiąt lat temu blok tworzący bardziej oddaloną część łuku mostu się zawalił. Nawet z góry było widać ciemną masę kamieni przegradzających rzekę. Przeciwna ściana kanionu oddalona była o dobre dwieście metrów. Niedaleko po mojej lewej stronie w błyszczącym łuku wodospadu Niezdecydowana spadała na dno kanionu. Na początku nurt był jednolity, stopniowo jednak dzielił się na poszczególne, coraz cieńsze srebrne łańcuszki, które gubiły się w bezkresie. Kilkaset metrów przed nami, ale wciąż jeszcze wysoko nad dnem kanionu, widziałem wieczną tęczę.

Stałem i patrzyłem. Dojechał do mnie Kowalski i tak jak ja w milczeniu obserwował przełęcz. Był blisko, a jednocześnie nieskończenie daleko. Stopniowo przyjeżdżało coraz więcej wozów. Ludzie zbierali się obok siebie, w bojaźliwej ciszy stali nad przepaścią. Bryzold pokręcił głową, jakby chciał coś powiedzieć, ale potem zmienił zamiar i tylko marszczył swoje kudłate brwi. Poczuję się potwornie zmęczony. Wbrew woli innych ludzi, wbrew trudom podróży dotarliśmy aż tutaj, a teraz zatrzymała nas przeszkoda, której po prostu nie da się pokonać. Rozejrzałem się po pozostałych. Wszyscy byli bezradni, nikt nie miał żadnego pomysłu, żadnej idei. Kowalskiego, Bryzolda, Gadona, pozostałych czarowników, przywódców farmerów, wszystkich ogarnęła beznadzieja. Mieli ją w oczach, w postawie, w wyrazie twarzy. Wolałem odwrócić się znów w stronę kanionu i zacząć sprawdzać okolice. Kawałek po kawałku, szczegół po szczególe. Ściany kanionu były pionowe i zapewniały minimalną ilość uchwytów i podpórek. Gdybyśmy spróbowali wyciosać w nich schody, do powierzchni wody może dotarłyby dzieci dzisiejszych farmerów, ale nawet potem nie było pewne, czy zdołalibyśmy pokonać spienioną rzekę. Uświadomiłem sobie, że kręcę głową, jakbym nie chciał się przyznać do ostatecznej porażki. Słońce przewędrowało znaczny kawałek swojej dziennej drogi, a ja wciąż obracałem w głowie myśl, która nie dawała mi spokoju, odkąd ujrzałem kanion po raz pierwszy: Dla nas droga dalej nie prowadziła.

- Zbudujemy most - powiedział cicho ktoś obok mnie.

Zabrzmiało to jak ostatni przejaw czarnego humoru. Znałem kobietę, która mówiła, że nadzieja umiera ostatnia, lecz aż do samego końca przetrwa tylko czarny humor. Z pewnością miała rację. Widziałem już wiele mostów, niektóre z nich zaliczane są do cudów świata. Ale rozpiętość najdłuższego łuku w żadnym moście na świecie nie jest większa niż jedna trzecia odległości, która dzieliła nas od przeciwległego brzegu. A budowali je najlepsi architekci z pomocą tysięcy



robotników i najnowocześniejszych narzędzi, ponadto zaczęli z obu stron jednocześnie.

- Zbudujemy most.

Ten, kto to mówił, myślał poważnie. Poznałem ten głos i uwierzyłem. Wyprostowałem się w siodle, skóra upręży zaskrzypiała. Jak na komendę wszyscy wokół na mnie spojrzeli. W ich oczach widziałem nadzieję. Oni wierzyli, że coś wymyślę. Nic nie wymyśliłem, dlatego powtórzyłem propozycję Hammonda.

- Zbudujemy most.

Sam się zdziwiłem, z jaką oczywistością to powiedziałem.

## Rozdział 7

### Most

„Zbudujemy most” - to zdanie było moim jedynym wkładem w jego powstawanie. Kowalski i Bryzold organizowali obóz, Hammond dowodził budową. Kiedy stał bezpośrednio nad stromizną i obserwował ściany kanionu, widziałem, jak drgają mu nozdrza. Miałem wrażenie, że wpada w podobny trans, w jakim go widziałem, gdy rzeźbił. Oglądał kanion i okoliczne ściany kilka godzin bez przerwy, potem posłał po jodły. Powiedział tylko, że widział ich korony gdzieś na zboczach gór blisko miejsca, gdzie zesliśmy w dolinę. Kowalski w ciągu tygodnia dowiózł mu dziesiątki ponadstumetrowych, prostych jak tyczka, obrobionych pni. Hammond obejrzał je wszystkie, niektóre odrzucił, inne kazał porozcinać, kilku użył w stanie pierwotnym. I posłał po następne. Potem chciał setki metrów lin do związowania. Te zrobił dla niego Bryzold ze swymi ludźmi. Kilka dni czarownicy pod jego przewodnictwem zbierali i obrabiali pnącza, z których splatali mocne liny. Hammond bawił się tym wszystkim jak olbrzym gigantycznymi klockami. Zarządzał budową jak żołnierski oficer i nie zwracał uwagi na słowa „nie da się” albo „to niemożliwe”. Jeśli coś się nie udawało, pokazywał, jak robić, a jeśli nawet potem się nie udawało, robił to sam.

Nad pustką piędziesiąt metrów powstawała delikatna konstrukcja z drewna i sznurów. Delikatna w porównaniu z przestrzenią, nad którą miała być przerzucona, z bliska jednak potężna, aż człowieka oblatywał strach. Hammond z pni i lin tworzył łuk, który coraz bardziej rozciągał się nad kanionem i patrząc z boku, przypominał zagięte źdźbło trawy. Często mi się wydawało, że cała konstrukcja może się w każdej chwili rozsypać, ale następny wspornik osadzony we właściwym momencie we właściwym miejscu stabilizował całą budowlę. Hammond bawił się z przyciąganiem ziemskim w swoją własną grę i wygrywał. Co wieczór jednak uniesienie go opuszczało i wracał zmęczony do swojej rodziny. Nie lubiłem faceta, ale szanowałem, a teraz zaczynałem nawet podziwiać.

Codziennie rano i wieczorem wspinałem się na niewysoki, lecz stromy grzebień i obserwowałem pejzaż pod sobą. Rzeka zapędziła nas pod pionowe szczyty gór wznoszących się wysoko nad granicę wiecznego śniegu. Większość powierzchni między górami a Niezdecydowaną zajmował grzebień, którego południowy koniec służył mi jako punkt obserwacyjny. Strome zbocza porośnięte trawą i kłującymi krzewami malin dla jeźdźca na koniu były po prostu nieprzejezdne. Droga wzdłuż rzeki w najważniejszych miejscach była szeroka zaledwie na dwa wozy, a teraz ponadto zatarasowana drewnem budowlanym i innym materiałem. Dopiero tuż przy zboczu kanionu było więcej miejsca, ale i je Hammond zaanektował na swoje potrzeby. Ludzie z powodu niedostatku wolnej przestrzeni rozbili obóz w długim szeregu jeden za drugim, koniec karawany zniknął w wąwozach na drodze, którą przyjechaliśmy. Wzgórza na przeciwległym brzegu były trochę wyższe, w większości zalesione i ciągnęły się aż do wału gór. Bezpośrednio nad kanionem na drugim brzegu wznosił się pagórek, który dawno temu został przełamany przez trzęsienie ziemi. Jego ściana opadająca w kierunku wody była pionowa i gładka.

Pięć minut drogi przed wodospadem Niezdecydowana po raz ostatni rozlewała się, tworząc szerokie koryto. Na pierwszy rzut oka prąd nie był zbyt silny, ale pośrodku woda sięgała koniom aż do boków i przejście przez bród nie było łatwe. Jeśli ktoś upadł, miał zaledwie pięćdziesiąt metrów na to, żeby wydostać się na brzeg. Potem koryto się zwężyło, prąd przyspieszał, a brzegi stawały się zbyt wysokie i strome, żeby można się było na nie wspiąć. Ze względu na to, że często transportowaliśmy materiał przez rzekę, rozciągnęliśmy w tych miejscach dwie liny prowadzące. Na ostatnim odcinku, tuż przed wodospadem, Niezdecydowana zmieniała się w rwący, zaledwie dziesięciometrowej

szerokości potok ze spienioną powierzchnią.

Dwudziestego pierwszego dnia budowy Hammond przeszedł po luźno położonych pniach na przeciwległą stronę kanionu, a w dolinie rozległo się grzmiące „Hurra!” dwóch tysięcy ludzi. Następne dwa dni wszyscy z jeszcze większym staraniem pracowali nad wzmocnieniem mostu. Żeby drewno utrzymało wagę wozów, Hammond musiał umieścić punkty podparcia aż osiemdziesiąt metrów pod poziomem drogi. Drewniana konstrukcja opierała się w ten sposób przyciąganiu ziemskiemu tak samo jak sklepienia starych kamiennych kościołów.

Dwudziestego czwartego dnia rano przez most przejechał pierwszy wóz. Prowadził go Kowalski i nie odważył się jechać szybciej niż powolnym tempem. Po bokach miał zaledwie pół metra miejsca na koła. Mimo że most był zbudowany z najmocniejszych i największych pni, było to dzieło na granicy możliwości. Własna waga obciążała drewno w takim stopniu, że przejazd każdego wozu powodował uginanie i kołysanie się całej konstrukcji. Hammond zdecydował, że w żadnym przypadku nie mogą przejeżdżać więcej niż trzy wozy jednocześnie. Ja sam najchętniej posłałbym na drugą stronę jeden wóz za drugim, żebyśmy już w końcu mieli to za sobą, ale to Hammond most zbudował i wiedział, co mówi.

Organizację przejazdu zostawiłem Kowalskiemu i Hammondowi. Wspiąłem się na swoje ulubione stanowisko, skąd obserwowałem ogólny ruch. Ludzie przez most przejeżdżali jeszcze o wiele wolniej niż Kowalski przy pierwszej próbie, czasem woźnice tracili nerwy nad przepaścią i na długo blokowali drogę. Wszystkie problemy rozwiązywali ludzie Kowalskiego, którzy czasem musieli wykonywać prawdziwe ćwiczenia ekwilibrystyczne, żeby uspokoić przestraszone zwierzęta i farmerów. Z ludźmi były zazwyczaj większe problemy. Początkowo zakładałem, że zdołamy przedostać się przez kanion w ciągu jednego dnia, ale po serii opóźnień stało się jasne, że nawet dwa dni będą niezłym osiągnięciem. Wieczorem dla pewności wyprawiłem dziesięciu żołnierzy na drugą stronę, żeby chronili ludzi przed ewentualnym atakiem.

Następnego dnia o wschodzie słońca ponownie stałem na swoim miejscu obserwacyjnym. Każdy wóz, który znalazł się po drugiej stronie, nappełniał mnie zadowoleniem. Mimo że byliśmy dopiero w połowie drogi, najgorsze zostało za nami. Wierzyłem, że reszta naszej wyprawy będzie łatwiejsza.

Niedługo potem przyłączył się do mnie Bonsetti i obserwowaliśmy ruch razem.

- Dałeś radę to zrobić - powiedział po godzinnym milczeniu.

Nie dotarliśmy jeszcze do ostatecznego celu podróży, poza tym to wszystko nie było moją zasługą, ale nie protestowałem. Jego słowa dokładnie oddawały moje uczucia.

- Kiedy mi zaproponowałeś, żebym był twoim współnikiem, miałem ochotę w to wejść. Ale już za długo byłem poza obiegiem - kontynuował.

Nie miałem pojęcia, co przez to rozumie. Milczałem, tymczasem przejechały kolejne trzy wozy.

- Gdy uciekła ode mnie żona z dzieckiem, nie uwierzyłem w to, co się stało. Przynajmniej na początku. Miałem nadzieję, że wróci. Całe życie chciałem mieć kobietę, która by mnie kochała, i dzieci, które bym wychowywał. I nagle to wszystko miałem. A potem znów nie. Ale nie dało się już wrócić do poprzedniego życia, już nie mogłem być tym Bonsettim co wcześniej. Nie mogłem już dowodzić żołnierzami, żyć w koszarach, słuchać wiecznie takiego samego pijackiego gadania i chodzić do burdelów. Rozumiesz mnie?

Po raz pierwszy w głosie Bonsettiego usłyszałem coś na kształt emocji, jednak i tak go nie rozumiałem. Albo właśnie dlatego.

- Gdy odeszli, chciałem umrzeć. Gospodarstwo, pieniądze, życie, po prostu wszystko straciło dla mnie znaczenie.

Następne trzy wozy. Złapałem się na tym, że się uśmiecham. Wraz z powiększającą się liczbą ludzi i materiałów po drugiej stronie kanionu zbliżała się chwila, gdy opuścimy tę przeklętą dolinę.

- Gdyby nie odwiedzili mnie ci rozbójnicy, chyba bym się zapił. Zabiłem ich jednego po drugim i wszyscy posmakowali strachu przed śmiercią.

Nie powiedziałem na to nic. Każdy kieruje się swoim sumieniem.

- Kiedy ich zabijałem, stwierdziłem, że nagle widzę światełko w ciemności. Nagle znów byłem dla kogoś ważny, bardzo ważny. W chwili gdy umierali, byłem dla nich bogiem. Modlili się do mnie, błagali mnie, prosili mnie i kochali mnie. Byłem dla nich kimś ważnym. Rozumiesz to?

Bonsetti mówił szybko i nerwowo. Nie rozumiałem go, ale miałem się na baczności. Nie zachowywał się jak normalny człowiek.

- Zacząłem polować na ludzi. Początkowo na wygnańców ściganych przez fenidońskie sądy. Byłem jednak za dobry i za moment nie było już kogo szukać i zabijać. Później brałem zlecenia od każdego, wystarczyło, żeby zapłacił. Wyszukiwałem człowieka, łapałem, odwoziłem w odludne miejsce, a potem przekonywałem się, że mnie lubi. W czasie kiedy mnie odwiedziłeś, przestało mnie to już bawić. Fałszywa namiastka życia, a ponadto wciąż taka sama. Zrozumiałem, że tylko udawali. Jedną kobietę puściłem i pozwoliłem żyć, ale później już mnie nie lubiła i starała się mnie zabić. Życie znów nie miało dla mnie znaczenia, ty to zmieniłeś.

Sprawdziłem, czy miecz lekko wyslizguje się z pochwy. Nie przestawałem jednak obserwować wydarzeń pod sobą.

- Znam cię. Jesteś złodziejem, przemytnikiem, mordercą. Złamałeś wszystkie prawa, które istnieją.

Bonsetti przerwał, jakby w nadziei, że zaprotestuję. W niektórych kwestiach się z nim nie zgadzałem, ale nie wydawało mi się istotne prostowanie jego punktu widzenia.

- Praca, którą zaproponowałeś, zainteresowała mnie. Chciałem wiedzieć, jak człowiek taki jak ty, który całe życie robił o wiele gorsze rzeczy niż ja, poprowadzi tysiące farmerów. Stwierdziłem, że masz wokół siebie ludzi, którzy cię lubią, którzy cię szanują, że istnieje kobieta, która cię kocha.

Bonsetti mówił zupełnie od rzeczy, lecz nie chciałem się z nim kłócić.

- Wydawało mi się to niesprawiedliwe. Całe życie żyłem zgodnie z prawem, egzekwowałem je, całe życie byłem lepszy niż ty i nic z tego nie mam. Chciałem cię zabić, ale nie wyszło. Potem jednak uświadomiłem sobie, że i tak by mnie to nie zadowoliło. Umarłbyś, ale byliby ludzie, którzy by cię dobrze wspominali. Zdecydowałem się iść z tobą, żeby zobaczyć, jak to przedsięwzięcie się skończy. Nie wierzyłem, że odniesiesz sukces. Chciałem widzieć, jak winią cię za porażkę, jak cię przeklinają i nienawidzą. Chciałem, żebyś ty sam myślał, że wszystko to twoja wina.

Bonsetti pokręcił głową i wskazał na wozy przejeżdżające przez most.

- Wyszło inaczej. Te najcięższe przeszkody są za wami, nie ma nic, co by was zatrzymało. Dlatego

wróciłem do swego pierwotnego planu. Zabiję cię.

Na więcej nie czekałem i zaatakowałem od razu po wyciągnięciu broni. Bonsetti odbił moje podstępne squalebrato mieczem tylko częściowo wyjętym z pochwy. Wykorzystałem to i dalej atakowałem ślizgiem, ale Bonsetti odskoczył lekko jak baletnica, wydawało się, że nie odrywał stóp od ziemi. Oczy mu błyszczały i uśmiechał się.

- To naprawdę było niezłe - powiedział z uznaniem.

W obu rękach trzymał swoje miecze, w blasku promieni słonecznych stal ostrzy połyskiwała, jakby paliły się żywym ogniem.

Nie miałem ochoty na dowcipną konwersację z takim dobrym szermierzem, jakim był Bonsetti. Zamarkowałem dźgnięcie w pierś, a zaatakowałem w bok i zakończyłem ciosem w kolano. Nawet moja szybkość i dwumetrowy wzrost nie pomogły. Bonsetti zrobił unik, schylając się, a potem uczynił krótki blok i prawie mnie dostał kontratakami w tempie mojego własnego uderzenia. Grot jego prawego miecza zrobił na mojej kurtce głęboką rysę. Obroniłem się krokiem w bok, nasze miecze się zetknęły. Ostrze ześliznęło się po ostrzu, taksowaliśmy się nawzajem wzrokiem. Jeden długi miecz przeciwko dwóm krótszym. Przysłuchiwałem się wibracjom stali i starałem się rozszyfrować Bonsettiego. Już dawno wiedziałem, że jest świetny. Obchodził się z mieczem, jakby ten był przedłużeniem jego ciała. Na ruchy mojej klingi reagował tak wrażliwie, aż się wydawało, że nic nie stoi na drodze mojego ataku. To było oczywiście złudzenie. Wystarczyła chwila nieuwagi, a ten sprężysty i jednocześnie ostry język z najlepszej stali bez wątpienia rozciąłby mnie na dwie części albo przebił na wylot. Drugim mieczem luźno się osłaniał, trzymając go skośnie do ciała. Nie zapomniałem o nim. Bez ostrzeżenia, wymykami, postawił mnie w niewygodnym położeniu i uderzył w niechronione ramię. W ostatniej chwili zasłoniłem się sztyletem. Spróbowałem dostać się do jego ciała, ale twarde krycie ze ślizgiem na drugą stronę i następującym potem cięciem w biodro zmusiło mnie do defensywy, musiałem ustąpić.

Uświadomiłem sobie, że mam przyspieszony oddech, czoło mokre od potu. Wszystkie jego akcje były dokładne i nieludzko szybkie. Gdybym nie znał doskonale języka ludzkiego ciała i nie potrafił przewidywać, leżałbym martwy. Bonsetti był bardziej niż świetny.

Każdy walczący wie, że pogodzenie się z porażką oznacza przegraną. Zaatakowałem. Starałem się zmusić go do walki na większą odległość, wykorzystałem zaletę posiadania długich rąk i dłuższego miecza. Wykorzystywałem wszystko, co umiałem. Używałem grotu, środka ostrza, zmieniałem linię walki z bezpośredniej na okrężną, kilka razy próbowałem przejść przez jego obronę i w walce wręcz powalić go na ziemię. Krycia i bezpośrednie ataki zmieniały się w długie połączenia ostrzy, trawa wokół nas zaczęła przypominać przeorane pole. Między dwoma wypadami uświadomiłem sobie, że w oczach mam mroczki i brakuje mi powietrza. Wycofałem się. Bonsetti nie wykorzystał mojego odwrotu, jedynie mi się przyglądał, oba miecze trzymał skośnie przed sobą. Uśmiechał się.

- Jesteś naprawdę tak dobry, jak się o tobie mówi. Zobaczmy, czy zdołasz przejść samego siebie - powiedział z ciekawością, a oczy mu przy tym błysnęły.

Zrozumiałem, że bawi się ze mną w kotka i myszkę. Jego kontrataki były częścią obrony, w rzeczywistości w żaden sposób nie próbował mnie zaatakować. Miałem poczucie, że nie jest nawet człowiekiem, ale maszyną do walki, sztucznym tworem pochodzącym z walk magów przed początkiem naszej ery.

Ostrzegł mnie nieostrożny ruch jego stóp, kiedy przenosił ciężar ciała. Przed atakiem z podwójną siłą uciekłem głębokim wychyłem do tyłu. Potem definitywnie straciłem rozeznanie, co się właściwie dzieje. Moja podświadomość przejęła kontrolę i wykluczyła mózg z akcji. Dopiero z opóźnieniem uświadamiałem sobie serię ataków Bonsettiego i moich rozpaczliwych obron. Po raz pierwszy mnie dosięgnął. Było to tylko draśnięcie w ramię, ale każda kropla krwi oznaczała ubytek moich już i tak nadwerężonych sił. Spróbowałem ostatniego zwrotu. Rzykując, główny atak odparłem sztyletem, przejąłem inicjatywę zewnętrznym ciosem w ramię i jak tylko zaczął się kryć, wyprowadziłem następny cios w drugie ramię. Był szybszy, zwałił się na mnie, skontrował wymykiem na lewą stronę i wytrącił mi sztylet z ręki. Nie mając innego wyjścia, kryłem się ręką i spróbowałem umknąć krokiem do tyłu, ale potknąłem się i to ocaliło mi życie, ponieważ jego koliste uderzenie w głowę było tak szybkie, że nie dałbym rady z nim zrobić nic. Zanim zdążył zareagować na mój upadek, znów stałem na nogach. Po lewej dłoni ściekała mi krew i nie mogłem złapać tchu. Zrozumiałem, że nie mam najmniejszej nadziei na wygraną. Mimo że ryzykowałem ponad siły i postawiłem wszystko na atak, zdołałem go tylko zadrasnąć.

Zamarliśmy obaj w bezruchu. Słońce świeciło jeszcze mocniej niż przed chwilą, wozy w oddali, podobne do małych pudełek, przejeżdżały pomału na drugą stronę kanionu. Powiał wiatr i doszedł mnie żywiczny zapach sosen. Bonsetti ewidentnie nic z tego nie zauważał, przesywał mnie swoimi nienaturalnie rozszerzonymi żrenicami i uśmiechał się. Prawie że serdecznie.

- Zaskoczyłeś mnie. Pierwszą rundę przeżyłeś - powiedział.

Dotknął boku w miejsce, gdzie go trafiłem. Jego dłoń była ledwie zabarwiona. Wykrzywił się. Oboma mieczami naraz wykreślił wielki łuk, błyszczące ostrza stworzyły zarys motyli skrzydeł, nagle w młynku stalowego motyla znalazłem się również ja sam. To już nie była klasyczna szermierka składająca się z ciosów, pchnięć, uników, dźgnięć, podstępnych zwodów, uderzeń i walki wręcz, jaką znają szermierze z całego świata. Bonsetti władał swoimi mieczami z nieludzką doskonałością, jego ataki wymykały się wszystkim prawidłom równowagi i bezwładu. Albo przeciwnie - odpowiadały im w najmniejszych szczegółach i poruszały się na cienkiej granicy oddzielającej możliwe od niemożliwego. Przestałem zauważać broń i skoncentrowałem się tylko na ruchach jego tułowia i ramion. Tańczyłem w stalowej klatce i z każdą kolejną chwilą coraz bardziej zbliżałem się do śmierci. Bonsetti jakby dopiero teraz się rozgrzewał. Był coraz szybszy. Walczyłem z dwoma wojownikami, a obaj w każdym momencie dokładnie wiedzieli, co akurat robi ten drugi. W chwili kiedy wypadłem z rytmu i straciłem w ten sposób szansę przeciwstawienia się dalszemu naporowi, Bonsetti się wycofał. Krwawiłem z wielu szram i otarć, ale nie były poważniejsze niż rana na lewym ramieniu.

Wciąż się uśmiechał i wyglądał tak jakoś szczęśliwie. Po raz pierwszy jego oczy nie były martwe.

- I z drugą rundą dałeś sobie radę. Masz mój podziw. Ale teraz nadejdzie koniec - powiedział prawie żałośnie.

Potrząsałem lewą ręką, jakbym chciał pozbyć się zmęczenia, jednocześnie w dłoń wśliznął mi się nóż z futerału na nadgarstku.

- Możliwe - odpowiedziałem i zaatakowałem go ciosem od spodu.

Nóż zabrzączał na ostrzu miecza Bonsettiego.

- Na pewno.

Miał rację, ale mimo to chciałem jeszcze czegoś spróbować. Nigdy w życiu z niczego nie zrezygnowałem. Człowiek zraniony ostrzem w większości przypadków nie umiera natychmiast. Jeśli jest wystarczająco wytrzymały, zdesperowany i zdecydowany, zdoła przeprowadzić atak aż do końca. Nigdy nie wiecie, czy właśnie wam się to uda, ponieważ o tym możecie się przekonać tylko raz, i to z fatalnym skutkiem. Musiałem zabić Bonsettiego za wszelką cenę. Nie dlatego, że mnie pokonał. Jak każdy mężczyzna, który ma do czynienia z ogniem i żelazem, pogodziłem się z tym, że kiedyś w taki sposób również skończę. Gdyby Bonsetti był normalnym szermierzem, spróbowałby wygrać i jednocześnie przeżyć, nawet jeśli szansa była prawie zerowa. Ale on już nie był człowiekiem. Został z niego tylko cień, żył z cierpienia innych, pasożytniczo na cudzych istnieniach i jednocześnie je niszczył. Żyłem dostatecznie długo, żeby stwierdzić, że ten świat jest wystarczająco okrutnym miejscem nawet bez takich potworów jak on. Albo ja.

Złapałem miecz oburącz, lewy łokieć przy tym ułożyłem tak, żeby chronić serce i lewe płuco. W porannym słońcu Bonsetti rzucał na zbocze wzniesienia cień o długości kilkudziesięciu metrów i każdy jego ruch był widoczny w wielokrotnym powiększeniu. Gdzieś w dali krzyknęła sójka, osie kół wozów podjeżdżających do mostu nieregularnie skrzypiały. Słyszane z oddali dźwięki naginanego drewna nie były aż tak uporczywe. Bonsetti zrobił grymas, a cień jego ucha przy tym przesunął się prawie o metr.

- Mimo że ja nie mam nic, a ty wszystko, jestem lepszy od ciebie - powiedział.

Wzruszyłem ramionami.

- Na razie tak to wygląda. Dwa razy próbowałeś mnie dostać, a wciąż żyję. Przestało mnie to bawić. Teraz przyszła kolej na mnie.

Kłamałem ze spokojem gracza, który co prawda wie, że już nie wygra, ale wciąż ma w ręku ostatni niespodziewany atut. Pod lasem za rzeką pojawiło się kilka szybko powiększających się czarnych kropek. Bonsetti zaatakował. Opuściłem miecz do dołu i nawet się nie ruszyłem. Był naprawdę najlepszym szermierzem, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Potrafił zatrzymać śmiertelny atak, nawet mnie nie drasnąwszy.

- Co robisz? - wrzasnął i zrobił minę dziecka, któremu zabierają jego ulubioną zabawkę. - Broń się!

Wrócił do postawy wyjściowej i przygotował się do nowego ataku. Kropki były już większe, rozpoznawałem jeźdźców na koniach. Było ich około dwudziestu, ale z lasu wciąż wyjeżdżali następni. Zbliżali się bardzo szybko, musieli jechać cwałem.

Pokręciłem głową.

- Nie. Możesz mnie zabić, ale bez walki. Jeśli jednak pomożesz mi zlikwidować tamtych - wskazałem za jego plecy - obiecuję ci pojedynek na arenie z dwoma tysiącami widzów.

Bonsetti odszedł na bezpieczną odległość i odwrócił się.

- Pojedynek na arenie? Z widzami? - zapytał niedowierzająco.

Przytaknąłem.

- Będzie to arena tylko dla nas dwóch. Każemy zbudować schodkową widownię, żeby widzieli absolutnie wszyscy. Żeby każdy wiedział, kto jest najlepszy. Jakiś powód wymyślimy i możesz być pewny, że nikt nie odważy się z nami dyskutować - starałem się zawrzeć w głosie tyle przekonania,

ile tylko potrafiłem.

Jeźdźcy byli już zaledwie parę minut drogi od Niezdecydowanej. Na dole wciąż nikt o nich nie wiedział.

- Zgadzam się - powiedział Bonsetti. Przestałem poświęcać mu uwagę, wskoczyłem na wielki kamień i krzyknąłem:

- Alarm! Kowalski! Kant! Uwaga na drugi brzeg! Obstawcie bród!

Przez czas dziesięciu uderzeń serca nic się nie działo, jakby wszyscy zdrętwieli. Potem ciszę przerwał głęboki głos rogu Kanta.

Zeskoczyłem z kamienia. Bonsetti miał już za sobą prawie jedną trzecią drogi z boczem w dół. Pobiegnę za nim. Nawet przez chwilę nie wątpiłem, że nasi nieoczekiwani goście mają wrogie zamiary, choć nie miałem pojęcia, kim są.

Kiedy wreszcie zbiegłem do rzeki, Kowalski stał już na czele grupy łuczników pilnujących brodu. Pierwsi jeźdźcy właśnie dotarli do przeciwległego brzegu i wchodzili do wody.

- Na razie nie strzelajcie, są zbyt daleko. Dopiero na komendę! - rozkazywał Kowalski.

Sam klęknął, wycelował i wystrzelił. Pierwszy jeździec spadł z konia ze stalową strzałą w piersi, ale jego kompanów to nie zatrzymało. W wodzie był ich już dobry tuzin, a następni jechali za nimi. Umwald przybiegł z moją własną kuszą i pękiem strzał.

- Powiedz Hammondowi, żeby jak najbardziej przyspieszył przechodzenie przez most! Nie wiem, jak długo się utrzymamy! - krzyknąłem do niego i przygotowałem się do strzału. Umwald precyzyjnie się między wozami i zniknął.

- Pal! - krzyknął Kowalski.

Strzały świsnęły w powietrzu, czterech z pięciu pierwszych napastników skończyło w wodzie. Dwóch próbowało wstać, ale prąd ich przewrócił i porwał. Stojąc, wycelowałem i nacisnąłem spust. Stalowa kusza zabrzęczała, mężczyzna na czele drugiej fali zachwiał się w siodle. Przez chwilę się wydawało, że się utrzyma, ale zwałił się do wody. Jedna stopa została mu w strzemieniu, koń się spłoszył i próbował wydostać najkrótszą drogą na brzeg. Wtedy jednak zszedł z brodu i zanurzył się pod powierzchnią. Pojawił się dopiero kilka metrów dalej, w miejscu, gdzie nie miał już żadnej szansy wydostania się z wody. Kilka sekund później zniknął za zasłoną wodospadu. Pozostali ludzie szybko wracali do brzegu. Pierwszy atak odparliśmy.

- Utrzymamy się - powiedział Kant, w jego głosie brzmiała wiara we własne siły.

- Zależy, jak mądry jest ten, kto nimi dowodzi - odpowiedział mu cicho Kowalski i natychmiast przeszedł do rozkazującego tonu przeznaczonego dla uszu pozostałych.

- Nie strzelać i czekać na rozkaz!

Również zależało od tego, ilu ich właściwie było. Nasi łucznicy nerwowo spoglądali na Kowalskiego i czekali na następne polecenia. Z wyjątkiem dwóch byli to farmerzy, których Kowalski w czasie podróży częściowo wyćwiczył i nauczył strzelać. Mieli lekkie jeździeckie łuki, skuteczne tylko na krótszą odległość.

- Na co czekacie! - wrzasnąłem na gromadkę uzbrojonych farmerów zgromadzonych obok dwóch



wozów blokujących inne. - Zejdźcie z drogi i uformujcie się w oddziały, jak ćwiczyliście! Potem stańcie na brzegu poza zasięgiem strzału! Gdy przyjdzie czas, zawołam was!

Karawana znów ruszyła. Facet w błyszczącej zbroi zaczął ustawiać ludzi na przeciwległym brzegu w dwa rzędy. Przez rzekę nie dało się rozpoznać, czy mieli ciężkie pancerze, czy tylko kółkowe koszule. Oddałbym ostatnią resztkę kawy, żeby się dowiedzieć, kim są, ilu ich jest i kto nimi dowodzi. Z pewnością nie byli to zwyczajni bandyci, ponieważ po pierwszym żywiołowym ataku zachowywali dyscyplinę. Kowalski poprawił ustawienia celowników swojej kuszy i wystrzelił. Mężczyzna w kirysie złamał się w siodle, ale już uformowane szeregi jeźdźców ruszyły przez rzekę. Nasi wystraszeni łucznicy nierozważnie wystrzelili, a ich strzały wpadły do wody, nie czyniąc żadnej szkody, daleko przed brodzącymi jeźdźcami.

- Czekać na rozkazy, do cholery! - ryknął Kowalski i sam naciągał kuszę.

Strzeliłem w jeźdźca najbardziej w prawo, ale trafiłem tylko konia. Mężczyzna zdołał się na czas wyswobodzić ze strzemion, zeskoczył z siodła i sam dopłynął do brzegu. Pierwsi z najeźdźców dotarli do połowy rzeki.

- Pal! - rozkazał Kowalski.

Salwa strzał świsnęła w powietrzu, trzy konie zostały z pustymi siodłami, ale grupa była już zaledwie dwadzieścia metrów od nas. Został ich tuzin.

Ktoś za mną wypuścił jedną po drugiej trzy strzały i wszystkie sięgnęły celu. Zdjąłem faceta chowającego się za tarczą. Na taką odległość zdała się na nic w obliczu porządnej kuszy. Obejrzałem się. Bonsetti stał kawałek z boku ze swoim długim łukiem bloczkowym i pozornie bez celowania strzelał raz za razem. W jednej chwili w wodzie skończyło następnych czterech jeźdźców. Ten człowiek był diabłem. Siedem razy wystrzelił i ani razu nie chybił. - Pal!

Trzecia salwa zrzuciła z siodel trzech następnych jeźdźców i do brzegu dotarł tylko jeden. Kant zastawił mu drogę, w ostatniej chwili odskoczył na bok i z biodra oburącz sieknął jeźdźca mieczem w kręgosłup. Odparliśmy drugi atak.

Martwych znosił prąd, trzy konie niezdecydowanie stały w wodzie, inne wracały, skąd przyszły. Jakiś młodzieniec na skrzydle naszego oddziału strzeleckiego nie spuszczał oczu z przeciwników, po brodzie ciekła mu krew z rozgryzionej wargi i cały drżał.

W jednej chwili wyeliminowaliśmy ponad dwadzieścia osób, ale wydawało się, że mimo to wrogów po drugiej stronie przybyło.

- Powiedział, że może puścić cztery wozy naraz, ale nie więcej! - krzyczał do mnie już z daleka nadbiegający Umwald.

Po trawiastym zboczu na przeciwległym brzegu rzeki nadjeżdżali coraz to nowi napastnicy.

- Chcę kogoś na górze, żebyśmy wiedzieli, ilu ich jest i dokąd się przemieszczają.

Kant skinął głową i gestem posłał jednego z żołnierzy na stanowisko obserwacyjne.

- W ten sposób utrzymamy ich, jak długo będziemy chcieli - mruknął z zadowoleniem i wytarł swój długi miecz w płaszcz martwego wroga.

Nie chciałem osłabiać jego zapału. Mężczyźni po drugiej stronie nie wyglądali na nowicjuszy i nie

wierzyłem, że podobnie samobójczy atak przeprowadzą jeszcze raz. Przypuszczałem, że spróbują przerzedzić nasze siły.

- Uwaga! - ktoś krzyknął.

Instynktownie się skuliłem, pół tuzina strzał wbiło się w ziemię parę metrów przed nami, jeden z naszych łuczników upadł z przestrzelonym brzuchem.

- Zostawcie go i obserwujcie, co robią! - krzyknął Kant, zanim ktoś spróbował pomóc rannemu.

Dzięki ostrzeżeniu podczas następnej salwy straciliśmy też tylko jednego człowieka. Strzała trafiła go w pierś. Mężczyzna leżał na ziemi, oddychał z trudem, było słychać, jak płuca zasysają przez ranę powietrze. Ludzie wokół patrzyli, jak umiera ze strachem w oczach.

- Przyciągnijcie jakiś wóz i postawcie go przy wodzie, żebyśmy mieli się za czym schować - rozkazał Kowalski.

Trzecia salwa kosztowała nas dwóch ludzi.

- Pospieszcie się z tym wozem, do cholery! - kłął Kowalski. - Nie spuszczajcie przy tym oczu z nieprzyjaciół! Są daleko, a znowu aż tak dobrze nie strzelają, żeby nie można było się na czas uchylić.

Gorączkowo się zastanawiałem, jaki będzie następny krok napastników. Łucznicze pojedynki przez rzekę były z pewnością tylko preludium. Oddział pomocniczy w końcu dopchnął wóz aż do wody. Teraz byliśmy całkiem dobrze kryci. Położyłem się na ziemi, żeby być jak najmniejszym celem, i wystrzeliłem. Dosięgnąłem wusacza zakładającego właśnie strzałę. Przewrócił się na plecy. Pozostali cofnęli się o kilka kroków i salwa, którą odpowiedzieli, przeleciała wysoko nad naszymi głowami. Nie dotknęła nikogo z oddziału strzeleckiego. Nagle jednak wozy powoli posuwające się za naszymi plecami zatrzymały się i usłyszeliśmy krzyk zranionych i lament kobiet. Następna seria świsnęła w powietrzu i znów spadła za naszą linię obrony. Strzelali do naszych farmerów! Nie musieli dokładnie celować, przy takiej masie ludzi za każdym razem kogoś trafiali. Bonsetti klęczał kawałek ode mnie. Wyciągnął z ziemi jedną ze strzał nieprzyjaciół, dokładnie ją obejrzał i wypróbował grot.

- Długie łuki, zasięg dziewięćdziesiąt metrów. Pokryją ścieżkę i do tego jeszcze kawał zbocza. Mają nas jak na dłoni - skomentował.

Nie wiedziałem, co na to powiedzieć. Było jasne, że dopóki będą ostrzeliwać wozy, ludzie nie mogą jechać dalej. Ponadto denerwowało mnie, że karawana, ściśnięta na wąskiej przestrzeni między brzegiem rzeki a stromym wzgórzem, miała ograniczony ruch. Przeciwnicy po drugiej stronie za to mieli dość miejsca, a ponadto posiadali konie. Gdyby się zdecydowali, mogliby szybko przedostać się do najbliższego brodu i przejść przez rzekę, zanimbyśmy zdążyli zareagować.

- Kant? - zawołałem i skuliłem się pod następnym deszczem strzał.

Żołnierz schował się na drugim końcu wozu.

- Słyszę, proszę pana.

- Weź piętnastu ludzi i przejdź z nimi pod prąd do pierwszego miejsca, gdzie można przepłynąć Niezdecydowaną. Za żadne skarby nie możecie przepuścić ich na naszą stronę. Miej przygotowanego szybkiego kuriera, gdybyście nie mogli dać sobie rady.

- Tak, proszę pana.

Następny deszcz strzał bez szkód zabębnił na drewnianych bocznych deskach wozów i płóciennych dachach. Wszyscy zdążyli się już schować. Było źle, że trzymali nas przy ziemi i zmusili do czekania, aż oni coś wymyślą. Za wszelką cenę musieliśmy kontynuować przechodzenie przez kanion. Łucznicy nieprzyjaciela ocenili już maksymalny zasięg strzał naszych kuszy i rozmieścili się około trzydziestu metrów od brzegu.

- Umwald? - zawołałem.

- Tutaj!

Stwierdziłem, że Umwald chowa się bezpośrednio pod wozem, który służył za nasze prowizoryczne mury obronne.

- Znajdź Bryzolda i Gadona i powiedz im, niech zadbają o to, żeby ludzie nie panikowali. Musimy przejechać przez most w jak najkrótszym czasie. Nie utrzymamy się wiecznie, jest ich za dużo.

- Zrobione.

Podeksytowany ton głosu Umwalda bardzo mi się nie spodobał.

- A jeśli pozwolisz się postrzelić, stłukę cię ile wlezie. Jasne? Wybiegniesz, kiedy dam ci znak.

- Rozumiem. Naciągnąłem kuszę.

- Kowalski, Bonsetti? Będziemy go kryć. Biorę środek, wy skrzydła.

- Jestem gotowy! - odpowiedział Kowalski.

Bonsetti klęczał obok mnie z założoną strzałą.

- Teraz, Umwald - powiedziałem cicho.

Wyskoczył spod wozu jak zając i biegł wzdłuż stojącego szeregu wozów. Kilku łuczników na przeciwległym brzegu wycelowało. Nacisnąłem spust i prawie że sięgnąłem faceta w czerwonej kurtce. Było to dla mnie już za daleko. Kowalski swojego człowieka trafił, Bonsetti też. Kątem oka dostrzegłem, jak Umwald zahamował z poślizgiem, a dwie strzały wbiły się w ziemię parę kroków przed nim. Nagle po przeciwnej stronie uformowała się grupa jeźdźców i cwałem ruszyła wzdłuż brzegu rzeki pod prąd. Przyszło im do głowy, żeby pokonać Niezdecydowaną gdzieś wyżej. Na szczęście dla nas Kant miał przewagę.

Kilkadziesiąt minut nic się nie działo. Nasz obserwator na wzgórzu sygnalizował, że widział, jak z lasu wyjeżdża około stu pięćdziesięciu jeźdźców. Żeby nie wiem jak liczył, przy brodzie nie było ich więcej niż połowa. Gdyby to byli zwyczajni bandyci, spróbowaliby zwyciężyć jednym potężnym atakiem. Może przedostaliby się na drugi brzeg, może nie. W każdym razie przyplącaliby to mnóstwem martwych. To, że wyczekiwali, oznaczało, iż dowodzi nimi ktoś doświadczony i obyty, ktoś, kto przygotowuje coś sprytniejszego.

Słońce się wznosiło i zaczynało grzać. Stałem po kostki w wodzie, mimo to po plecach ściekały mi krople potu. Ludzie milczeli przerażeni, słychać było tylko niespokojne parskanie koni. Po drugiej stronie kanionu mieliśmy dopiero dwie trzecie ludzi. Każda minuta, podczas której przez most nie przejechał żaden wóz, była na korzyść przeciwnika, ponieważ miał czas na przygotowanie kolejnego podstępu. Słyszałem chwilami uspokajający, a czasami energiczny głos Bryzolda.

- Most jest wolny! Jedziemy! - zawołał ktoś z przodu.

W zasadzie ludzi i zwierzęta chronił gęsty pas krzaczastych leszczyn i topoli, tylko przy brodzie brzeg był goły. Wozy, które pokonały już krytyczne miejsce, ze zgrzytem i trzaskiem ruszyły. Jeden farmer spróbował szybko przejechać przez otwartą przestrzeń. Zręcznie ukrywał się za wozem, ale łucznicy dostali jego zwierzęta pociągowe. Wóz się zatrzymał i zatarasował drogę.

- Z ładunkiem nie przejedziemy - powiedział Kowalski - ale ludzie mogliby iść zboczem wzgórza poza zasięgiem strzał.

Miał rację. Wozy były naszą słabą stroną, wstrzymywały nas. Nie mogliśmy ich jednak tu zostawić, ponieważ wiozły wyposażenie, bez którego nie było sensu iść dalej. Ładunek był niedogodnością, ale - stłumiłem gwizdnięcie - również zaletą. Mogliśmy wykorzystać wozy jako małe ruchome twierdze.

- Potrzebujemy powozu na wysokich kołach - powiedziałem. - Albo lepiej dwa.

Kowalski zrozumiał natychmiast.

- Dopchniemy go do rzeki, będziemy się za nim chować i przegnamy tamtych dalej od brzegu. W ten sposób pozbedziemy się problemu krótszego zasięgu strzał - dokończył za mnie.

- Dokładnie tak - potwierdziłem.

Po dziesięciu minutach pchaliśmy do wody dwa wozy naładowane trawą i chrustem. Chrustem po to, żebyśmy w przypadku szybkiego odwrotu mogli łatwo podpalić, trawą dlatego, żeby chroniła nas zasłona dymu. Za żadne skarby nie chciałem udostępnić przeciwnikom możliwości skorzystania z ruchomego schronienia.

Koryto po naszej stronie pogłębiało się bardzo powoli, więc bez większych problemów zdołaliśmy dopchnąć wozy aż do środka rzeki. Próbowali nas zniechęcić powolnym kontratakami, ale nasze małe twierdze na kołach zapewniły nam skuteczne schronienie i obroniliśmy się. Wystarczyły trzy salwy, żeby jeźdźcy i strzelcy na drugim brzegu ustąpili. Byli tak zaskoczeni rozwojem sytuacji, że na razie nie podjęli nowych działań.

Kuliłem się pod wozem, woda mi pluskała wokół ramion, kuszę opierałem o obręcz koła, żeby jej nie zamoczyć. Za kołnierz wpadały plewy i ziarno. Człowiek nie musiał być geniuszem, żeby się domyślić, co jeszcze przed chwilą było załadowane.

Ze mną między kołami tłoczyło się siedmiu ludzi, pozostali gnietli się nad nami osłaniani płachtą. Kowalski opiekował się drugim wozem, Bonsetti trzymał się z boku, z wody wystawiał tylko głowę. Łuk trzymał równoległe do tafl i prawie w ogóle nie było go widać. Na razie nikt go nie zauważył.

- Strzelajcie tylko wtedy, gdy będziecie pewni, oszczędzajcie strzały - krzyknąłem, kiedy policzyłem, ile strzał mnie samemu zostało.

Oparłem kuszę o oś i pewnym strzałem między oczy posłałem na tamten świat faceta chowającego się w krzakach na przeciwległym brzegu. Był ostatnim, który nie zrozumiał, że zarośla leszczyn nie uchronią go przed kuszami moją i Kowalskiego. Karawana wozów za naszymi plecami znów ruszyła. To szarpiące nerwy skrzywienie i łoskot brzmiały w moich uszach jak rajska muzyka. Co trzy minuty na drugą stronę kanionu przejeżdżał jeden wóz, jedna rodzina była bezpieczna.

- Wszystko w porządku! Kant utrzymuje brzeg, już odparł trzy ataki. Nie potrzebuje posiłków, wziął ze sobą paru farmerów! - krzyczał do mnie z brzegu Umwald. Cieszyłem się, że nie idzie do nas,

niepotrzebnie by ryzykował strzałę w brzuch.

Znów nie mogłem doliczyć się naszych wrogów. Naprzeciw nam stało ich chyba z pięćdziesięciu, co najmniej trzydziestu z nich smażyło się w piekle czy dokładniej, kąpało się gdzieś w dole kanionu. Przeciwno Kantowi odgalopowało koło trzydziestu. Jeśli straż policzyła dobrze, niecała pięćdziesiątka tułała się Bóg raczy wiedzieć gdzie. Niepokoiło mnie to, ale nic zrobić nie mogłem. Czas biegł, wozy przejeżdżały przez kanion jeden za drugim, a lodowata woda pozbawiała mnie ostatnich resztek ciepła. Zacząłem szcząkać zębami. Wyglądało na to, że nasze prowizoryczne twierdze pośrodku rzeki pomogły nam zyskać wystarczająco dużo czasu. Nagle kątem oka dostrzegłem, jak ze skały wznoszącej się nad kanionem na przeciwległym brzegu Niezdecydowanej spadł głaz. Za nim drugi, po chwili następny. Nie spadały same z siebie, ktoś zrzucił je, próbując dosięgnąć mostu. Szósty kamień z rzędu trafił w belkę podporową i cała delikatna konstrukcja wyraźnie się zachwiała. Stłumiłem przekleństwo. Skrzypienie kół straciło rytm, karawana znów się zatrzymała.

- Jedźcie, do cholery, dopóki się da! - krzychałem, ale ludzie się wahali.

Bali się bombardowania strzałami, bali się upadku w przepaść i było to silniejsze niż strach przed nieprzyjaciółmi. Między kamieniami pojawiły się płonące pochodnie. Na razie na szczęście mostu nie dosięgła ani jedna. Drewno być może nie chwyci płomieni od razu, lecz sznury maczane w żywicy, którymi pnie były łączone, na pewno. Zaczynałem mieć poczucie, że nie doceniłem naszego przeciwnika.

- Musimy ich z tej skały wypędzić albo zniszczyć most. To tylko kwestia czasu - rozważałem na głos. - Boczno z pewnością pilnują, mogliśmy jednak dostać się na górę bezpośrednio po krawędzi skały nad rzeką. Jest co prawda pionowa, ale da się po niej wejść. Kowalski?

Nie mogłem mu tego rozkazać. Była to samobójcza misja z szansą na przeżycie jeden do stu. Gdyby odmówił, poszedłbym sam.

- Wezmę paru ludzi i spróbuję. Ale ktoś musi ubezpieczać tyły, bo nas wystrzelają jak tokujące cietrzewie - odpowiedział spokojnie, jakby nie było to nic wielkiego.

Następny głaz trafił w most i złamał wspornik pomocniczy, konstrukcja jęknęła, lecz wciąż się trzymała. Płonąca pochodnia odbiła się od głównego filara i spadła w dół kanionu. Z oddali dobiegły mnie przekleństwa i jęki ludzi zgromadzonych przy moście. Nasz czas szybko się kończył, wrogom pozostało już tylko czekać, aż dywersantom uda się zniszczyć most.

Liczyłem, że szczyt skały obsadziło nie więcej niż dziesięć osób.

- My w wodzie będziemy pchać wozy do ich brzegu jak najdalej się da. Łucznicy na górze będą jednocześnie strzelać. Tamci nie mają gdzie się schować, a nie będą chcieli ustępować w nieskończoność, żeby uniemożliwić nam wygodne podejście do skały - zacząłem tłumaczyć. - Wcześniej czy później zdecydują się na atak mieczem. Kiedy będą przy nas, podpalimy wozy. Kowalski ze swoimi ludźmi nie weźmie udziału w tej zabawie. W chwili największego zamieszania spróbuje niezauważony przejść aż do skały. Potem wszystko zależy tylko od nich. Musimy im dać trochę czasu i zająć napastników. Będziemy się wycofywać, nie uciekać, jasne? Łucznicy, którym zostaną strzały, zabiorą się wcześniej i dołączą do pozostałych na brzegu.

Bonsetti skrzywił się ironicznie.

- Nie wiem, kto ma większą szansę przeżyć. Oni - wskazał palcem na Kowalskiego - czy my.

Jego uwaga była trafna, ale lepszego pomysłu nie miałem.

- Wchodzimy w to - powiedział Kowalski i popatrzył na skalną ścianę, po której miał się wspinać. Kamienie i pochodnie spadały z niej teraz prawie bez przerwy. - Mam tylko nadzieję, że tam jest płytka. - Zerknął na rzekę.

Oparłem się ramieniem o koło.

- Hej, rup!

Wody przybyło, prąd szamotał się z wozami, aż się wydawało, że w każdej chwili może je przewrócić. Przypomniałem sobie, że Kowalski nie umie pływać. Posunęliśmy się o następne piętnaście metrów i zaczęliśmy strzelać. Po dwóch salwach rzucili się na nas. Na koniach i pieszo. Mnóstwo ludzi wskoczyło do wody, piana rozbryznęła się na wszystkie strony. Bonsetti wystrzelił ostatnie dwie strzały, wyrzucił łuk i wyciągnął miecz.

- Łucznicy, odwrót! - krzyknąłem. Dziesięć postaci wysliznęło się spod płacht wozów i szybko uciekało. Miałem wrażenie, że w porównaniu z napierającą hordą została nas tylko garstka. Rozejrzałem się po ludziach wokół. Rozszerzone oczy, blade twarze, mocno zaciśnięte fioletowe wargi. Bali się o życie, ale zostali. Ja bałem się o coś innego. Strach, że nie zdołamy ich zatrzymać, mroził mi żołądek jak bryła lodu. Bowiem to by znaczyło koniec dla wszystkich ludzi za nami.

- Wytrzymamy, musimy! - słyszałem, jak sam krzyczę. Już nawet nie było mi zimno.

Kowalski wrzucił do wozu zapaloną pochodnię i zaczął schodzić z prądem. Po dwóch krokach woda sięgała mu aż do piersi. Przestałem go obserwować i skoncentrowałem się na pierwszej fali napastników. Nogi miałem zeszywniałe od długiego pobytu w lodowatej wodzie. Potrząsnąłem głową, żeby pozbyć się kropli na rzęsach. Suchy chrust natychmiast się rozpałił, otoczył nas obłok gęstego, duszącego dymu. Tuż przy powierzchni wody dało się jeszcze oddychać.

Zza ciemnego konturu wozu wynurzył się pierwszy jeździec na koniu. Przykleiłem się do bocznej deski, mężczyzna chciał na mnie najechać, ale zwierzę przestraszyło się płomieni, stanęło dęba i nagle przewróciło się na bok. Zewsząd odezwało się rżenie koni duszących się dymem i przeklinanie jeźdźców. Ogień buchnął jeszcze wyżej, rozpętało się piekło. Wciągnąłem do płuc powietrze i przepłynąłem pod wozem. W mętnej wodzie przed sobą wyczułem bardziej, niż zobaczyłem, ciemny zarys czyichś nóg. Dźgnąłem mężczyznę ukośnie w brzuch, zmacona woda jeszcze bardziej ściemniała. Wynurzyłem się i przytrzymałem umierającego przed sobą jak tarczę. W dymie przyprawiającym o wymioty nikt mnie nie zauważył. Stałem za plecami trzech piechurów obchodzących ogień dużym łukiem. Po cichu położyłem martwego w wodzie, wyciągnąłem miecz i ukośnym cięciem sieknąłem dwóch bliższych mężczyzn przez plecy. Jeden jeszcze zdołał się odwrócić. Dźgnąłem go w twarz. Rozległ się krzyk, z dymu wyłoniło się następnych trzech. Wyciągnąłem nóż, który ciągle trzymałem w lewej ręce, i nie upewniając się nawet, czy trafiłem, zanurzyłem się i podpłynąłem z powrotem pod wóz.

Wypląnąłem między dwoma jeźdźcami, napastnicy również byli już tutaj. Koło głowy świsnęła mi strzała, koń z prawej zarżał i upadł z przestrzelonym karkiem. Zasłoniłem się przed śmiertelnym ciosem w głowę, dogoniłem jeźdźca, który właśnie stawał na nogi, i rzuciłem się w nurt. Miałem nadzieję, że Kowalski jest już dostatecznie daleko.

Wszedłem jak najgłębiej pod wodę, dopiero po pięciu długich ruchach ramion zmieniłem kierunek i starałem się płynąć skośnie do naporu wody. Wynurzyłem się dopiero wtedy, kiedy płuca bolały mnie, jakby miały pęknąć. Rzeka zniosła mnie bardziej, niż oczekiwałem, nie sięgnąłem dna. Brzeg był na szczęście niedaleko, ale musiałem się wdrapać na trzymetrowe zbocze porośnięte gęstą płataniną małych wierzb. Wspinałem się jak najszybciej potrafiłem, z przejmującym wrażeniem, że w każdej chwili w plecach poczuję strzałę. W połowie drogi ziemia osunęła mi się spod nóg, spadłem z powrotem do wody, ostry ból zranionego kolana przeszył mnie jak piorun. Rozpaczliwie spróbowałem po raz drugi, nie miałem sił na dalsze przebywanie w lodowatej wodzie. Udało mi się.

Na górze skontrolowałem sytuację. Wozy się dopalały, przeciwległy brzeg rzeki na długości trzydziestu metrów pokrywała gęsta dymna zasłona. Nieprzyjacielem nie ryzykowaliśmy ataku na ślepo i wróciliśmy. Wyczerpany zwałem się na ziemię. Ból naciągniętych więzadeł kolanowych był tak intensywny, że aż straciłem oddech. Odciąłem kawałek nogawki, omotałem wokół stawu i ścisnąłem prowizoryczny opatrunek jak najbardziej się dało. Pomogło. Trochę.

Po chwili doszedłem do siebie i dokuśtykałem z powrotem do brodu. Bonsetti liczył właśnie ludzi, którzy przeżyli. Została nas zaledwie jedna trzecia, w tym tylko trzech łuczników. Ja i Bonsetti nie mieliśmy już ani łuku, ani kuszy.

- Jak tylko rozproszy się dym, zaatakują nas. Sami nie mamy szansy. Przyszedł czas, żeby również farmerzy pokazali, co potrafią - zaproponował.

Miał rację. Kiwnąłem na żołnierza, który właśnie obwiązywał sobie zranioną rękę.

- Przeprowadź ich!

Za minutę mieliśmy na brzegu pięćdziesięciu mężczyzn z pikami, tarczami i siekierami. Tylko paru z nich miało miecze. Milczący, bladzi, z przerażeniem w oczach. Wielu z nich rękami rozcierało sobie brzuchy. Strach potrafi porządnie zamieszać wnętrzościami. Mimo to bez protestu przewracali własne wozy, budowali z nich barykadę na całej szerokości brodu i zajmowali miejsca zgodnie z rozkazami Bonsettiego. Mieli o co walczyć, wiedzieli, że jeśli napastnicy się przedostaną, będzie koniec. Koniec z ich żonami i dziećmi.

Nagle ciszę przerwał paniczny krzyk grozy. Odwróciłem się w stronę mostu. Po owiązanych sznurami filarze wspinał się pierwszy język ognia, dym unosił się nad mostem jak czarne gieżło. Mimo to po poniszczonej w wielu miejscach drodze przejeżdżał jeden wóz za drugim. Uświadomiłem sobie, że bombardowanie się skończyło. Hammond gorączkowo przeskakiwał między wozami na moście, naprawiał największe szkody, wskakiwał na belki jak małpa i z dużym ładunkiem na ramionach wykonywał nieprawdopodobne sztuki akrobatyczne. Materiału musiała mu dostarczać cała brygada. Czarownicy Bryzolda uspokajali ludzi i pomagali przedostać się na drugą stronę pieszym. Każda chwila, przez którą się utrzymujemy, oznaczała bezpieczeństwo jednej rodziny - kobiety z dziećmi. Przyszło mi do głowy, że Krystyna jest na samym końcu karawany. Ktoś na przeciwległym brzegu krzyknął komendę do ataku, żołnierze wolnym krokiem weszli w nurt. Przestałem obserwować, co się dzieje na moście.

Nieprzyjacielem posuwali się w wyrównanych formacjach w trzech rzędach. Nie było po co się spieszyć, nikt nie miał już strzał. Wzdłuż przesuwających się w ślimaczym tempie wozów kłusował do nas Kant. Swoją szarszun miał przerzucony przez ramię, kółkową koszulę na piersiach przeciętą, materiał ubrania ściemniały od krwi, ale mimo to jechał ze zwycięską miną.

- Nie przeszli! Pobiliśmy wszystkich, ale dla pewności zostawiłem tam paru ludzi.

- Jakichś żołnierzy? - spytałem.

- Zostałem tylko ja. - Pokręcił głową. - A tutaj będę bardziej użyteczny.

Przytaknąłem. Wyrównane rzędy napastników pokonały już dwie trzecie szerokości rzeki. Liczebnie siły były wyrównane. Wierzyłem, że damy radę, nawet jeśli farmerom było daleko do doświadczonych żołnierzy. Zbliżała się decydująca chwila. Ktoś krzyknął, nagle w chaosie dźwięków rozpoznałem tętent kopyt. Zza grzebienia cwałem wyjeżdżały dziesiątki jeźdźców. Zrozumiałem, że nasz obserwator się nie pomylił i dobrze odgadł liczbę nieprzyjaciół. Ich dowódca jednak od razu na początku wysłał jeden oddział pod prąd Niezdecydowanej, żeby znalazł niestrzeżony bród i zaszedł nas od tyłu. Ich koniom brakowało już sił, z pewnością poganił je przez wiele kilometrów. Od mostu dzieliły ich ostatnie setki metrów, a na drodze nie stał im nikt.

- Wy dwaj zostaniecie z farmerami i poprowadzicie obronę, pozostali żołnierze za mną! - krzyknąłem.

Biegiem, z wyciągniętymi mieczami, ruszyliśmy w stronę mostu. W tej samej chwili pierwszy rząd napastników dotarł do barykady na brodzie. Przez moment miałem nadzieję, że jeźdźców zatrzyma pładrowanie wozów, które mieli na wyciągnięcie ręki, ale nie zainteresowali się nimi wcale. Z nożem w jednej ręce i mieczem w drugiej przeciskałem się między ludźmi, przedzierałem przez krzaki, przeskakiwałem kamienie. Farmerzy porzucali swój majątek i uciekali pod górę.

Pierwsi jeźdźcy wjechali na most, żeby przedostać się na drugą stronę. Płomienie buchały już w kilku miejscach, powietrze drżało z gorąca, nie dało się rozpoznać, co się dokładnie dzieje. Ujrzałem Hammonda, jak staje najeźdźcom twarzą w twarz z belką w ręce. Nie walczył. Rzucił kłodę przed siebie z taką siłą, że za jednym zamachem zmiotł jeźdźca wraz ze zwierzęciem w przepaść.

Byliśmy już w połowie drogi. Ja pierwszy pośrodku, krok za mną po bokach Bonsetti z Kantem, za nami ostatnich ośmiu żołnierzy. Kolejny jeździec zaatakował nieuzbrojonego Hammonda, ale olbrzymi mężczyzna nie ustąpił i jednym uderzeniem pięści zwałił konia na most. Mężczyzna wyśliznął się ze strzemion i zniknął w pustce. Napastnicy nas zauważyli, kilku wyszło nam naprzeciw. Musieli zsiąść z koni, ponieważ na wąskiej powierzchni wypełnionej wozami w dwóch rzędach nie było dla nich dość miejsca. Precisnąłem się wąskim szpalerem między zaprzężonymi bawołami, tuż za mną dwóch ludzi. Za Kantem szło pozostałych sześciu, Bonsetti przesuwał się sam.

Kolejni najeźdźcy nie odważyli się już wjechać na most, zamiast tego siekierami przecinali liny przytrzymujące i starali się podciąć poszczególne dźwigary. Mężczyzna wydający rozkazy próbował pochodniami podpalić pnie.

Natknąłem się na pierwszego przeciwnika. Zaatakowałem bez podstępów, z daleka i tak szybko, że w ogóle nie zdążył zareagować. Przeszedłem nad nim, jeszcze zanim upadł. Natychmiast przede mną stanęło czterech kolejnych. Wybrałem faceta najbardziej po lewej, zamarkowałem uderzenie w pierś, wymykiem dostałem się blisko jego ciała i wbiłem mu nóż pod żebra. Nie kryłem się, tylko atkowałem. Nie było czasu. Pozostałych trzech zostawiłem moim towarzyszom i biegłem dalej.

Krótką wolną przestrzeń, przez chwilę z Kantem i Bonsettami biegliśmy w jednej linii. Za Kantem po pierwszym starciu biegło już tylko trzech ludzi, ja za sobą słyszałem jednego. Zza wielkiego głazu na skraju ścieżki wyskoczyło następnych trzech szermierzy. Zdażyłem zauważyć tylko metalowy błysk ich zbroi. Twarde krycie z odepchnięciem, cięcie ukośnie do góry, obrót, krótki cios w głowę



kolejnego. Krępy facecik z bródką był szybszy, niż oczekiwałem, i przed śmiercią zdążył mnie dosięgnąć sztyletem. Pędziłem dalej, ktoś za mną krzyknął.

Drewno zatrzeszczało, most się zachwiał. Serce stanęło mi na chwilę, ale konstrukcja wciąż się trzymała. Większość napastników przestała demolować most i odwróciła się naprzeciw nam. Z góry niósł się zwycięski wrzask Kowalskiego, za nami szalała wrzawa walki o bród. Zostaliśmy trzej: ja, Kant i Bonsetti. Szliśmy w rzędzie, przeciwko nam dziewięciu mężczyzn, ich dowódca kontynuował podpalanie lin. Stanęli, każdy przygotowany w szermierczej pozycji wyjściowej, wprawieni i twardzi faceci. Obniżyłem punkt ciężkości i złapałem miecz obiema rękami. Musiałem przejść za wszelką cenę i zatrzymać szaleńca z ogniem. Zaatakowałem uderzeniem ostrze rywala, krótkim i tak twardym, że miecz wypadł mu z dłoni. Przebiegłem koło niego, odbiłem się ramieniem od ramienia, wykorzystałem rotację, w ostatniej chwili odparłem uderzenie jego partnera i skontrolowałem ciosem w obojczyk. Septymą odparłem atak szermierza uzbrojonego w sztylet i poziomym machnięciem z obrotu przeciąłem go na pół. Kolano zaprotestowało, lewa noga osłabła, musiałem przyklęknąć. Krew ze świeżej szramy na czole zalewała mi lewe oko, udo miałem otwarte prawie do kości, ale żadna żyła ani tętnica nie były uszkodzone. Nie miałem pojęcia, kiedy zostałem zraniony.

Kant pierwszego przeciwnika zabił, przed drugim się wycofywał i bronił już ostatkiem sił. Próbowałem wstać, ale mi się nie udawało. Nogi mnie nie słuchały. Palcem wskazującym zdjąłem zabezpieczającą opaskę z rękojeści noża w futerale na nadgarstku i pozwoliłem mu zsunąć się w dłoń. Kant się zachwiał, jego ostatnie krzyki było już tylko rozpaczliwą próbą. Rzuciłem nóż niskim łukiem. Ostrze po półtora obrotu wbiło się przeciwnikowi Kanta pod prawą łopatkę. Przed wąskim i doskonale naostrzonym grotem nie uchroniła go nawet zbroja płytkowa. Mężczyzna nie dokończył zwycięskiego ciosu, ugięły się pod nim kolana i upadł. Na bladej twarzy Kanta pojawił się wyraz zdziwienia, gęste brwi połączyły mu się w jedną kreskę. Na piersi na krzyż do poprzedniej szramy miał teraz nową, krew przesiąkała nawet przez drucianą koszulę. Opierał się na swoim dużym mieczu, jego oczy zaczynały mieć ten charakterystyczny rybi błysk.

- Wkurza mnie to, że nie mogę już z wami iść dalej, ale cieszę się, że dotarłem aż tutaj. Cholera... - nie dokończył i przewrócił się na bok.

Spojrzałem w drugą stronę. Bonsetti stał nad czterema ciałami i przestępował z nogi na nogę. Był na wylot przekłuty mieczem z bogato zdobioną, esowato wygiętą osłoną, rękojeść wciąż jeszcze ścisnęła czyjaś dłoń uciętą w nadgarstku.

- Był bardzo zawzięty - mruknął i popatrzył na mnie. - Chyba nie będę miał swojego pojedynku na arenie.

Umarł ze smutnym uśmiechem na ustach. Ja sam jeszcze nie mogłem umrzeć. Nie wolno mi było, nie mogłem. Wszystko by wtedy było niepotrzebne. Na chwilę mocno ścisnąłem dłońmi stłuczone kolano i próbowałem wstać. Udało się. Niepewnie ruszyłem w stronę ostatniego mężczyzny, który dopiero teraz odrzucił pochodnię. Poznałem go. Był chudszy, niż go pamiętałem. Nawet i na nim odbiło się przejście przez góry.

Za nim widziałem Hammonda gaszącego płachtą jednego z wozów te największe płomienie na moście. Ludzie z drugiej strony kanionu stworzyli żywy łańcuch, podawali sobie wiadra z wodą i polewali płonące filary. Zmusiłem się, by skoncentrować wzrok na ostatnim przeciwniku. Niezbyt mi się to udawało, postrzegałem go jako rozmazaną plamę.

Arthur Duno stał swobodnie i spokojnie mi się przyglądał.

- Ile ci zaoferowali za to, że mi się znowu przeciwstawisz? - zapytałem.

Załamywał mi się głos, bałem się, że mnie nie zrozumie.

- Pięć tysięcy - powiedział z grymasem. - Ale pieniądze tym razem nie były dla mnie najważniejsze.

- Więc dlaczego tu jesteś? - postawiłem kolejne pytanie i zbliżyłem się o krok. Kolano na razie wytrzymało.

Emocje powoli opadały, zacząłem odczuwać zmęczenie walką, cały tułów miałem nagle zdrętwiały, kręciło mi się w głowie. Z pewnością straciłem więcej krwi, niż sobie zdawałem sprawę.

- Ponieważ mnie pokonałeś, chociaż miałem po swojej stronie wszystkie atuty. Taka rzecz jak na razie nikomu się nie udała - odpowiedział.

- Ale to nieprofesjonalne, a ty jesteś profesjonalistą - kontynuowałem i starałem się wyostrzyć myśli.

Duno wzruszył ramionami.

- Masz rację, ale ja ciebie chcę zabić.

Nagle zrozumiałem, że ten człowiek przede mną jest po prostu bez znaczenia. Tylko stał mi na drodze. Ważni byli ludzie za nim, ludzie, których chronilem, których miałem doprowadzić do miejsca, gdzie postawią nowe domy. Mężczyźni jak Bonsetti, Duno, Kant albo ja nigdy nie byli, nie są i nie będą ważni. Wydawało się dziwne, że nie przyszło mi to do głowy wcześniej. Świat rozmazał się jeszcze bardziej, sylwetka Duna stawała się podłużną plamą, tylko jego twarz ciągle widziałem wyraźnie.

- Byłeś profesjonalistą - powiedziałem. Pytająco uniósł brwi.

- Byłem? Ponieważ to - spojrzał na rzeź dokoła - traktowałem jak coś osobistego?

- Nie.

Stłumiłem chęć pokręcenia głową. Bałem się, że stracę równowagę.

- Ponieważ jesteś martwy.

Zaśmiał się. Zaatakowałem. Tak jak wtedy, kiedy starałem się pokonać Bonsettiego. Niefrasobliwie, z szybkością, która mnie samego zaskoczyła. Tylko lekko machnąłem mieczem. Duno mój ukośny cios odparł jedynie częściowo. Spodnie poczerwieniały mu od krwi. Mimo to nagle kontrował tak gwałtownie, że wytrącił mi miecz z ręki. Broń nie jest ważna, ważni są ludzie. Miałem wrażenie, że moja świadomość opuściła ciało i decyduje za mnie ktoś inny. Przykleiłem się do niego, lewą ręką złapałem za ramię ręki trzymającej broń i ścisnąłem je w uchwycie. Sięgnął wprawdzie po sztylet, ale w następnej chwili leżał na ziemi ze złamanym ramieniem. Moje kolano puściło. Upadłem obok niego. Mglisto dostrzegałem, jak maca w poszukiwaniu sztyletu, który przy upadku wysliznął mu się z palców. Złapałem jego twarz w dłonie. Zrobił triumfalną minę i podniósł prawą rękę, żeby dźgnąć. W tym samym momencie swoimi długimi palcami wcisnąłem mu gałki oczne głęboko do mózgu.

Rozejrzałem się. Walka o bród była rozstrzygnięta, napastnicy powoli się wycofywali. Śmierć dowódcy z pewnością ostudziła ich bojowy entuzjizm. Na moście wszystko wyglądało w porządku. Płomienie zniknęły, tylko z dołu jeszcze wznosiły się rzadziejące słupy cuchnącego dymu.

Machnąłem na Hammonda. Kiedy klęczałem, z równowagą nie było tak źle.

- Możemy kontynuować? - zaskrzeczałem.

Zdziwiło mnie, że w ogóle mogę mówić.

Przytaknął, podniósł prawą dłoń do góry i uniósł kciuk.

Tak go zapamiętałem.

Nadwerżone drewno nagle trzasnęło i po przerwie trwającej pięć uderzeń serca konstrukcja mostu, osłabiona ogniem i bombardowaniem, z jakąś niezdrową elegancją spadła w przepaść. Hammond aż do końca trzymał kciuk w optymistycznym geście, tylko na twarzy pojawił mu się zdumiony wyraz, jakby nie mógł uwierzyć w to, co się dzieje.

Katastrofa wywołała szok u wszystkich. Ludzie na barykadzie przestali walczyć, w rozpacz porzucali broń i uciekali. Wycofujący się nieprzyjaciele wykorzystali panikę i z podwójną siłą rzucili się do ataku. Farmerzy, których rodziny nie były w niebezpieczeństwie, puciekali do swoich wozów. Jednolita obrona rozpadła się na wiele małych grup. Zaczęły się powszechne rabunki.

\*\*\*

Stałem na skraju przepaści śmiertelnie zmęczony. Nie miałem pojęcia, co dalej. Nikt z napastników mnie nie zauważał. Nie miałem żadnego majątku, który mógłbym stracić, dlatego nie byłem dla nich ważny. Zaczęły się palić pierwsze wozy. Zewsząd słyszałem wystraszone krzyki kobiet i dzieci. Z wrzawy wynurzył się Kowalski. Był mokry, utykał na jedną nogę, lewe ucho wisiało na skrawku skóry. Twarz miał czarną od sadzy, a jego oczy wyglądały jak martwe. Stanął u samego podnóża zbocza i kręcił głową, jakby nie chciał przyjąć do wiadomości tego, co widzi.

- Myślę, że nie powinieneś zostawiać swoich dziewczyn samych. Z pewnością będą cię potrzebować - zacząłem i nie rozumiałem, dlaczego właściwie to mówię.

- Co? - spytał zakłopotany.

- Tam po drugiej stronie nie poradzą sobie bez ciebie. Powinieneś iść do nich.

Moje rozsądniejsze ja chciało Kowalskiemu powiedzieć, żeby mnie nie słuchał, że na pewno mam wstrząs mózgu, ale ten drugi, ten, który walczył z Dunem, nie pozwolił na to. Kowalski tylko poważnie pokiwał głową, jego wiszące na pasku skóry ucho śmiesznie przy tym się zakołysało. Przynajmniej mnie się to wydało śmieszne.

- Masz rację - przytaknął. Bez dalszego wahania odłożył miecz i po chwili szukania dobrego miejsca zaczął złazić w przepaść. Robił to z takim samym spokojem, z jakim wyruszał na swoją samobójczą misję. Nie wierzyłem, że da radę, ale musiał tego spróbować. Ja mu tylko doradzałem, pokazywałem drogę tam, gdzie jej nie widział. Do śmierci by sobie nie darował, gdyby nie spróbował.

Nagle zrozumiałem, co muszę zrobić ja. Skierowałem się do najbliższego wozu. Nikt go nie bronił, wokół były tylko kobiety i dzieci. Jeden z rabusiów właśnie kładł na łopatkę dorodną wieśniaczkę, drugi uderzeniami pięści urabiał jej córkę, żeby była bardziej uległa. Mnie nikt nie zauważał, nie miałem przecież żadnego majątku. Moje poczucie rozdwojenia powróciło, złapałem się na tym, że się uśmiecham. Może nawet błyszczały mi oczy, tak jak Kantowi, kiedy umierał. Nie tego wozu co prawda szukałem, ale jeśli już przechodziłem obok, przeciągnąłem pierwszemu grabieżcy nożem po plecach, drugiego wałnąłem głownią w potylicę. Pękła. Potylica, nie głownia.

Przy drugim wozie już mnie zauważyli. Też było ich dwóch. Albo miałem pecha, albo nie byłem zbyt szybki.

Jeden z nich zdążył sieknąć mnie w udo. Jedno zranienie mniej czy więcej nie robiło różnicy. Potem kolano znów odmówiło mi posłuszeństwa. Na szczęście nawet za bardzo nie bolało, właściwie nic już nie bolało. Przy trzecim wozie znalazłem konia do jazdy. Chudy facet z pociągłą twarzą nie chciał dać go sobie zabrać i nawet z tego powodu przestał gwałcić jakąś kobietę. Niezbyt dobrze radził sobie z mieczem. Następny wóz również nie należał do Krystyny, ale stało przy nim trzech napastników. A potem przyszła ciemność.

## Rozdział 8

### Ucieczka

Umwald biegł wzdłuż rzędu wozów, przepychając się między ludźmi. Dym go oślepił, gdzieś jeszcze walczone, ale w większości ludzie tylko uciekali przed najeźdźcami. Mężczyzna z tobołkiem na ramieniu, który nie rozglądając się, ruszył biegiem pod górę, brutalnie przewrócił Umwalda na ziemię i chłopak po kilku fikołkach zatrzymał się przed pokrytym bliznami facetem z mieczem w ręce. Uzbrojony człowiek zerknął na niego uważnie, a kiedy stwierdził, że Umwald nie ma broni, odepchnął go butem, sięgnął do boku i rzucił gdzieś nad głowę Umwalda siekierę. Chłopaka zmroziło, gdy usłyszał wyraźny trzask kości. Popatrzył za siebie. Mężczyzna z tobołkiem leżał na brzuchu z siekierą wbity w plecy, jedną nogą wierzgał, jakby wciąż starał się uciec.

- Tutaj znów jest tylko zboże! Podpalcie to! - ktoś krzyknął, w powietrzu przeleciała płonąca pochodnia i spadła na płócienny dach wozu. Umwald podniósł się na kolana, początkowo ostrożnie, żeby nikt go nie zauważył, a chwilę później jak najszybciej popędził dalej. Trzymał się teraz zbocza wzgórza, gdzie teren nie był najłatwiejszy, ale gdzie miał czas omijać uciekających ludzi i ich prześladowców. Niektórzy farmerzy próbowali uciekać również z wozami, lecz w większości kończyło się to jedynie zderzeniem z innym zaprzęgiem. Wąska droga wzdłuż rzeki w kilku miejscach była zupełnie zatarasowana. Chaos potęgowały wystraszone, urwane z uprzęży zwierzęta biegające tam i z powrotem. Najeźdźcy przestali zachowywać się jak oddział wojskowy i w pogoni za zdobyczą masakrowali załogi poszczególnych wozów. Umwald szybko ich wyprzedził. Droga wzdłuż rzeki się poszerzyła, ujrzał kilka wozów zmierzających z powrotem. Na końcu szeregu zobaczył Krystynę z dziećmi. Siedziała na koźle, w ręce trzymała lejce, przygotowana, żeby w każdej chwili popędzić zwierzęta. Umwald z ulgą zarejestrował również dwie dziecięce twarzyczki wyglądające spod płachty.

- Zawracaj i uciekaj! - krzyknął i zaczął jak najszybciej odwiązywać dwa konie z opuszczonego powozu.

- Uciekaj! - powtórzył, kiedy zobaczył, że kobieta nie reaguje.

- Co z moim mężem? - zawołała Krystyna i wstała, żeby lepiej widzieć, co się dzieje z przodu.

Obok rzędu wozów w ich kierunku pędziło dwóch jeźdźców. Na razie byli daleko.

- Nie żyje, spadł do kanionu! Most zniszczony! Uciekaj! - krzyknął znowu Umwald.

Jeźdźcy szybko się zbliżali. Umwaldowi w końcu udało się wyprząc jednego konia i wskoczyć na jego grzbiet. Wiedział, że jeśli mężczyźni zaczną ich ścigać, nie mają żadnej szansy.

- Jedź! - krzyczał.

Najeźdźcy byli już w odległości tylko kilku kroków. Umwald wrzasnął zaprzęzonemu gniadoszowi wprost do ucha i smagnął go batem po karku. Spłoszone zwierzę skoczyło w przód - wchodząc w drogę prześladowcom. Pierwszy mężczyzna zderzył się z wozem i upadł na ziemię wciąż ze stopami w strzemionach. Jego wierzchowiec stanął dęba i deptał po bezwładnym ciele kopytami. Drugi napastnik wyminął zaprzęg łukiem od strony zbocza. Krystyna szarpnęła lejce i trzasnęła z bata. Kierowany przez nią wóz zawrócił prawie w miejscu, aż drewno zaskrzypiało przeraźliwie, a tylne koła wpadły w poślizg. Drugi jeździec właśnie galopował w dół zbocza z wyciągniętym mieczem. Brawurowa furmańska sztuczka go zaskoczyła, ponadto Krystyna smagnęła jego konia batem. Ten

zderzył się z wysokimi przednimi kołami i napastnik przeleciał przez koński łeb. Wóz podskoczył, kiedy po nim przejechali. Mężczyzna leżał na ziemi, głośno jęcząc. Umwald zbladł, piętami pogonił konia, kurczowo trzymając się grzywy drżącymi rękoma.

- Jedziemy! - zachęcał zwierzę krzykiem do większej szybkości.

Dopiero teraz dopadł go strach i zrobiło mu się niedobrze od tego, co widzi.

Przejechali cwałem prawie dziesięć kilometrów. Potem musieli się zatrzymać, ponieważ zwierzęta były wyczerpane. Umwald z siodła raczej spadł, niż zsiadł. Nieustannie obserwował drogę za nimi, czy nie zobaczy prześladowców.

- Mamy szansę uciec. Aż do nocy będą mieć co robić - powiedział głośno.

Kiedy uświadomił sobie, co oznaczają słowa „będą mieć co robić”, wzdrygnął się.

Krystyna siedziała na koźle z lejcami w dłoniach. Grube rzemienie na jej wąskich nadgarstkach odcisnęły granatowe, podbiegnięte krwią ślady, była blada, twarz miała nieruchomą, podobnie jak ludzie, którzy przeżyli ciężki szok. Harold i Rosetka tulili się do Krystyny każde z jednej strony i poważnie przyglądali Umwaldowi.

- Naprawdę nie żyje? - spytała cicho. Przytaknął.

- W momencie, kiedy zwyciężyliśmy i mieliśmy kontynuować podróż, most się zawalił. Stał na nim. Naprawiał go.

Umwald czuł się niepewnie, gdy patrzył w oczy wystraszonych dzieci. Prawie jakby sam był winien śmierci ich ojca.

- A Koniasz?

Umwald wzruszył ramionami.

- Tamci przedostali się przez rzekę i zaczęło się plądrowanie. Zgubił mi się w zgiełku.

Krystyna pocałowała Rosetkę we włosy, pogłaskała Harolda. Jakby pod wpływem tego dotyku nabrała siły, na twarz wróciło zdecydowanie.

- Co zrobimy? - zapytała spokojnie.

Umwald zamarł. Sam chciał zadać to samo pytanie, ponieważ nie miał najmniejszego pojęcia, co począć. Nagle zdał sobie sprawę, że Krystyna jest tak samo bezradna, a ponadto ma nadzieję, że on jej pomoże.

- Wrócimy. Przejdziemy z powrotem przez góry. Tutaj zostać nie możemy - powiedział głośno.

Przemknęło mu przez myśl, że to nonsens, ponieważ czegoś takiego nigdy sami nie zdołają zrobić. Gdy wyobrażał sobie wspinanie się w góry, gdzie ludzie tracili oddech, sił ubywało z nieprawdopodobną szybkością, a każdy krok był męką, ogarniał go strach. Miał nadzieję, że Krystyna nie zgodzi się na jego propozycję. Ona natomiast rozejrzała się po okolicznych szczytach.

- Masz rację, tutaj nie możemy zostać. I chyba powinniśmy jak najszybciej oddalić się od tych tam. - Pokazała w kierunku kanionu.

- Jedziemy - zgodził się Umwald.

Wędrowali całą noc. Drogę znali, wystarczyło trzymać się wyjeżdżonych wozami kolein. Mimo coraz większego zmęczenia jechali również w dzień, ale kolejnego wieczoru musieli się zatrzymać, ponieważ zwierzęta odmówiły pójścia dalej.

Umwald zsiadł z siodła i przez chwilę przyglądał się Krystynie szybko i zręcznie przygotowującej obozowisko. Rosetka z Haroldem przez cały dzień byli spokojni, jakby rozumieli, że sytuacja jest poważna. Umwald wyprzągnął konie, napoił je w rzece, a potem przywiązał do drzew w taki sposób, żeby miały wystarczająco dużo jedzenia dookoła. Kiedy siadał przy ognisku, ledwie widział na oczy. Dostał kubek gorącej kawy, reszkę kilkudniowego, starego chleba i kawałek wędzonego mięsa. Bezmyślnie przeżuwał jedzenie. Nie był głodny. Jadł, ponieważ zdawał sobie sprawę, że w ciągu najbliższych dni będzie potrzebował wszystkich sił. Krystyna położyła dzieci spać i wróciła do ogniska.

- Wozu musimy się pozbyć. Jest ciężki i opóźnia nas. W górach byśmy sobie z nim nie poradzili - powiedział i spojrzał na Krystynę.

Milczała, patrząc w ogień, jej czarne włosy w blasku płomieni połyskiwały metalicznie. Wokół ust miała sieć zmarszczek ze zmęczenia i zmartwień. Umwald nagle zdał sobie sprawę, że i on, i ona już za kilka dni będą wyglądać o wiele gorzej. O ile będą jeszcze żyć.

- Na górze za chwilę skończy się lato i będzie zima. Musimy mieć dobre ubrania i dużo jedzenia. Przydałyby się również dodatkowe zapasy drewna - wygłosiła w zamyśleniu.

Umwald zawstydział się. On na razie rozmyślał tylko o jedzeniu i drewnie, o ubraniach zapomniał.

- W tym wymarłym miasteczku zostawiliśmy z Koniaszem dwukółkę, a myślę, że więcej ludzi zostawiło tam rzeczy, których nie chciało im się ciągnąć ze sobą. Proponuję wziąć ten wozik i trzy konie. Na jednym pojedę ja z Haroldem, na drugim ty z Rosetką. Trzeciego zaprzęgniemy do kary z ładunkiem. Jeśli się nie uda, zostawimy ją gdzieś.

Krystyna tylko kiwnęła głową.

- Gdzie się nauczyłaś tak dobrze prowadzić wóz? - zapytał Umwald, ponieważ Krystyna z ciężkim wozem radziła sobie zręczniejsz niż większość profesjonalnych woźniców.

Uśmiechnęła się, ale był to raczej cierpki uśmiech.

- Człowiek musi sobie radzić, jak umie. A potem wszystko, co umie, mu się przydaje.

Umwald dalej nie wypytywał. W nocy, zanim usnął, zazdrościł Krystynie i dzieciom ich wzajemnej bliskości. Tak wielkiego osamotnienia nie odczuwał już bardzo długo. Starał się nie myśleć o ludziach z karawany.

W ciągu następnego dnia objechali jezioro i dotarli do opuszczonego miasteczka. Kara stała tam, gdzie Umwald ją zostawił. Przełożył zapasy jedzenia i ubrań z wozu Krystyny, w rzeczach pozostawionych przez farmerów odkryli parę ciepłych derek, znaleźli również kilka końskich uprzęży. Kiedy Umwald po raz ostatni sprawdzał ich wyposażenie, Krystyna przyniosła naręcze drobno porąbanych sosnowych szczap. Przypominał sobie, jak czasem podczas wiatru nie udawało mu się zapalić twardego jak kamień drewna górskich drzew. Krystyna myślała praktycznie i o niczym nie zapominała. Umwaldowi wydawało się głupie, że traktowała go jak dowódcę ich małej grupy.

- Mamy wszystko? - spytała.

Umwald przebiegał wzrokiem z jednego tobołka na drugi i wyliczał poszczególne pozycje ich ekwipunku. Krystyna uważnie słuchała i w końcu twierdząco skinęła głową.

- Wszystko.

Wyruszyli przed wieczorem, ponieważ Umwald obawiał się prześladowców i chciał jak najszybciej znaleźć się w górach. Krystyna nie protestowała przeciwko nocnej wędrówce. Jechali pod jasnym, usianym gwiazdami niebem, księżyc skrył się za górami. Można było odczuć ciepły powiew górskiego lata, jednak Umwald tego nie rejestrował. Nie przestawał myśleć o wspinaczce po stromiznach i niebezpiecznych spadkach na górskich ścieżkach. Nie miał pojęcia, w jakim czasie uda im się pokonać góry, a już w ogóle nie wiedział, czy ilość mąki i fasoli, którą ze sobą wiozą, jest wystarczająca. Czuł się jak samobójca, jak człowiek, który nie umie pływać, a skacze w głęboką toń. Najgorsze było to, że od niego zależna była pozostała trójka.

Harold, drzemiący przed Umwaldem na siodle, pokręcił się i stłumił bolesne syknięcie. Nie był przyzwyczajony do spędzania całych dni w siodle, na pośladkach i wewnętrznej stronie ud miał odgniecenia i otarcia. Umwald podziwiał Krystynę. Siedziała na koniu, jakby dosłownie wyrosła na jego grzbiecie, a mała Rosetka spała w jej objęciach słodko i spokojnie.

Skądś z przodu rozległo się niespokojne rżenie. Umwald zeszywniał w siodle, aż Harold się przebudził i spłoszony drgnął. Jechali teraz po drodze zbudowanej przez pierwszych osadników, nie wchodziło w grę, żeby po ciemku zjechać z nasypu i spróbować ominąć ludzi przed nimi.

- Popatrzę, kto to taki - szepnął.

Cieszył się, że powiedział to cicho, ponieważ trząsał mu się głos. Wyciągnął z futerału na biodrach myśliwski nóż, swoją jedyną broń, ostrożnie zsiadł z konia i ruszył zgięty w pół. Bał się i gdyby był sam, dawno zniknąłby gdzieś w okolicznej trawie. Odwrócił się i zobaczył nieruchomą sylwetkę Krystyny. To mu dodało nieco odwagi. Trzymał nóż ostrzem w górę, tak jak uczył go Koniasz. Mimo to wiele sobie po broni nie obiecywał. Z doświadczenia wiedział, że człowiekowi, który nie potrafi walczyć, na nic się zda nawet siekiera na długim toporzystku.

Rozpoznawał już przed sobą sylwetkę konia. Powoli się do niego zbliżał, aż potknął się o ciało na ziemi. Leżący człowiek nie wydał z siebie żadnego głosu, ale kiedy Umwald go dotknął, wyczuł ciepłą skórę. Macając, ostrożnie przeszukiwał ciało. Chciał sprawdzić puls na nadgarstku, wyczuł tylko ochraniacz przedramienia z pustym futerałem na nóż. Na drugiej ręce również. Umwald już był prawie pewny, kto to jest. W momencie, gdy odkrył prawie pusty bandolet na piersi, z ostatnim nożem, krótko gwizdnął.

Krystyna zrozumiała jego sygnał i podjechała.

- Koniasz. Nieprzytomny - wytłumaczył. Krystyna uklękła i przyłożyła ucho do ust rannego.

- Oddycha. Roznieć ogień i zagotuj wodę, musimy go opatrzyć. Rozbierzemy go i sprawdzimy, co z nim - powiedziała cicho.

- Zobaczą nas - zaprotestował Umwald. Wyczuł, że Krystyna patrzy na niego.

- Bez ognia nie mogę mu pomóc.

Głos miała spokojny i zgodny. Umwald uświadomił sobie nagle, że Krystyna liczy się z jego opinią. A on by wolał, żeby po prostu poleciła mu rozpaść ogień. Głośno przełknął ślinę.



- Zniesiemy go z drogi, z jednej strony będzie nas zaciemniać nasyp - zdecydował po krótkim wahaniu.

Niedługo potem w dolince przy drodze zapłonęło porządne ognisko. Obstawili je liściastymi gałęziami, żeby jak najbardziej zamaskować płomienie. Potem wspólnie rozebrali Koniasza. Miał rany chyba na całym ciele, Umwald w życiu nie widział tak zmasakrowanego żywego człowieka. W duchu się dziwił, że Krystyna zaczęła go opatrywać. On sam był pewien, że Koniasz do rana umrze. Nic jednak nie mówił, tylko cierpliwie przygotowywał nad ogniem napary ziołowe i maści z kory osiki. Na szycie ran igłą nie mógł patrzeć. Wydało mu się to dziwne. Widział już tylu ludzi z rozprutymi brzuchami, że coś takiego nie powinno wyprowadzać go z równowagi. W surowych, a mimo to delikatnych ruchach palców Krystyny wyczarowujących na porozdzieranej skórze wytworne ściegi było coś, co przyprawiało Umwalda o gęsią skórę. Jakby ludzkie ciało traciło swoją wyjątkowość i zmieniło się w beładną masę.

Krystyna bez skrępowań oglądała ciało Koniasza centymetr po centymetrze. Kiedy skupiła się na pachwinach i przyrodzeniu, Umwald poczerwieniał i chciał odejść, ale nie pozwoliła.

- Poświęć mi porządnie, tylko go nie poparz - poleciła.

Przez górną część wewnętrznej strony uda ciągnęła się wąska i głęboka szrama, która sięgnęła również lewego jądra. Umwald przez przypadek dokładnie wiedział, co się stało, ponieważ już widział, jak dochodzi do takiego zranienia. Przeciwnik w pojedynku szermierskim próbował dźgnąć Koniasza sztyletem w podbrzusze, lecz Koniasz zepchnął jego rękę. Niestety, niezupełnie w odpowiednim czasie. Chłopak podniósł wzrok na Krystynę. Przygryzała wargi i z powagą oglądała szramę.

- Nie wiem, co z tym. Wyczyścimy ranę i będziemy mieć nadzieję, że sama się zagoi.

Tak samo jak pozostałe metry zszywanych ran, kilka dużych obszarów zdartej skóry i kawałków mięsa, których mu po prostu brakuje, pomyślał sarkastycznie Umwald. Nie robił sobie jakiegokolwiek nadziei. Dla niego łatwiejsze było traktowanie Koniasza jak martwego.

Wreszcie razem położyli żołnierza na wozik i zawinęli w koce. Musieli ułożyć go na skos i przesunąć ładunek, żeby w ogóle się zmieścił.

Świtało. Krystyna siedziała przy dogasającym ognisku, miała czerwone i podkrążone z niewyspania oczy. Z pozoru wyglądała spokojnie, gdy jednak Umwald podawał kobiecie kubek kawy, zauważył, że trzęsą jej się ręce. Sam nawet nie zdążył się napić. Usiadł i usnął.

Obudził się po paru godzinach. Krystyna kucnęła nad Koniaszem i coś cicho do niego mówiła. Umwald przez chwilę myślał, że Koniasz oprzytomniał, lecz potem zrozumiał, że Krystyna rozmawia sama ze sobą. Specjalnie głośno ziewnął i wstał. Niedaleko wznosiły się góry, na razie pogrążone w cieniu, tylko najwyższe szczyty lśniły bielą w promieniach jeszcze niewidocznego słońca. Umwald stłumił westchnienie i zaczął przygotowywać śniadanie. Gdy jedzenie było gotowe, Krystyna obudziła dzieci. Harold dostał od Krystyny jednego całusa, Rosetka dwa i dziewczynka, jakby jej było mało, przyszła jeszcze do Umwalda i wtuliła się w jego objęcia.

- Ja dziś nie chcę nigdzie jechać, jestem zmęczona - prosiła go.

Umwald nie wiedział, co na to powiedzieć.

- A mama na pewno też nie chce, zostaliśmy tutaj - błagała.

Umwald przyciągnął Rosetkę do siebie.

- Dziś jeszcze musimy, ale obiecuję, że jak tylko będzie to możliwe, będziemy cały dzień odpoczywać, hm?

Nie zastanawiając się, pogłaskał Rosetkę i pocałował w policzek. Zaraz też się zakłopotał. Krystyna obserwowała go z rozbawieniem, a na jej poważnej twarzy na moment pojawił się cień uśmiechu, który nagle zniknął.

- Jak tylko to będzie możliwe - powtórzyła z westchnieniem.

Zanim wyruszyli w dalszą drogę, Umwald obejrzał wierzchowca Koniasza. Stwierdził, że żołnierz owinął sobie uzdę wokół przedramion, a stopy przywiązał do strzemion. Na ziemię spadł dlatego, że rozluźniły się węzły.

- On nas szukał - powiedział Umwald w zamyśleniu. - Wiedział, że jest z nim bardzo źle, i dlatego przywiązał się do siodła.

Krystyna przytaknęła.

- Zauważyłam. Pętlę wokół lewej ręki miał tak zaciśniętą, że może stracić dłoń.

\*\*\*

Dolina zniknęła im za plecami już dwa dni temu i teraz ze wszystkich stron otaczały ich tylko góry. Umwald spojrzął w dal. Ścieżka wiła się pod górę i w dół, ciągnęła po skalistych zboczach pozornie bez końca. Zimny wiatr bez ustanku zawiewał im w twarz delikatny kurz. Chłopak pogonił konia i uważnie zaczął iść po umocnionym drewnianymi krążkami żwirowisku. Chociaż od czasu, kiedy naprawiali starą drogę, upłynął miesiąc, niektóre miejsca znów wyglądały, jakby ludzka ręka nie tknęła ich całe dziesięciolecia. Kobyła, którą wybrali do zaprzęgu woziku, posłuszenie poszła za nim. Koniasz wciąż leżał zawinięty w koce. Do tej pory nie odzyskał przytomności, ale wydawało się, że jego rany nie ropieją. Krystyna jeszcze raz starannie obejrzała jego głowę i stwierdziła, że całe ciemnie ma zmiażdżone. Prawdopodobnie doznał ciężkiego wstrząsu mózgu. Umwald miał nadzieję, że Koniasz jak najszybciej dojdzie do siebie. Chciał, aby brzemię dowództwa spoczywało na kimś innym. Koń nagle się potknął. To nie był przypadek, od wczoraj kulał coraz bardziej. Silny poryw wiatru przeniknął Umwalda na wylot, Rosetka zatrzęsała się z zimna, chłopak objął ją jedną ręką, zaciśnął zęby i pochylił się w przód, pod wiatr.

\*\*\*

Kowalski macał lewą ręką w wąskiej szczelinie. Bardzo ostrożnie, ponieważ poprzednie doświadczenia nauczyły go, że jajeczka gołębi skalnych są bardzo kruche. Miał szczęście, wyciągnął jedno po drugim pięć jajeczek wielkości napastrka i włożył do ust. Wcześniej starał się je wysać lub wylizać, teraz jednak rozgniół zębami delikatną skorupkę i połknął dosłownie wszystko. Jednocześnie spojrzeniem ogarnął przestrzeń za swoim prawym ramieniem. Przeciwległa ściana kanionu nie była dalej niż sto metrów, ale w wiecznym półmroku nie rozróżniał żadnych szczegółów. Wyglądała jak monolit bez najmniejszych nawet występów czy szpar. Szczelina z ptasim gniazdem była głęboka, wsunął do niej lewą rękę aż po łokieć, zaczepił się i pozwolił odpoczywać mięśniom palców i przedramion. Wiedział, że kanion jest olbrzymi, ale mimo to wielkość go zaskoczyła. Już dwa i pół dnia schodził na dno, walczył o każdą piędź skały, przyklejał się do ściany jak jakiś gigantyczny pająk, każdą szczyrbinę lub występ wykorzystywał jako podparcie dla nóg i rąk.

Poprzedniego wieczoru przedostał się przez warstwę mgieł prawie bez przerwy zacieniających dno. Popatrzył pod siebie i nawet sobie tego nie uświadamiając, szukał drogi w dół. Kilkaset metrów niżej rozpoznawał ciemny blok kamienia przegradzającego spienioną rzekę. Z wysokości wyglądało tak, jakby opierał się o pionową ścianę kanionu, ale odległość i półmrok zacierają szczegóły.

Kowalski zaniechał dalszych rozważań, wyjął rękę ze szczeliny i wyciągnął ją w lewo, aby chwycić w miejscu, które wypatrzył już wcześniej. Napuchniętymi, pozdieranymi do krwi palcami starannie wymacał skałę. Występ był nawet większy, niż się spodziewał, mógł się zaczepić całą dłonią. Przesunął się następane pół metra w dół i znalazł oparcie dla nogi.

Nagle zdał sobie sprawę, że gołębie gniazdo, które splądrował, jest dobre dwadzieścia metrów nad nim. Ostatnimi czasy coraz częściej zdarzało się, że posuwał się w jakimś transie, w którym nie był świadomy ani siebie, ani okolicy. Boleśnie ugryzł się w wargę, żeby wrócić do rzeczywistości. Wiedział, że na wysokości kilkuset metrów powinien zastanawiać się nad każdym krokiem.

Wyciągnął się do chwytu, o którym wiedział, że tam jest, nie pamiętając nawet, kiedy go szukał. Wymacał bezpieczne podparcie, nagle skała pod stopami trzasnęła, led wierzgnął nogami w pustecę, oberwał się również występ, którego trzymał się prawą ręką. Przez chwilę wisiał na jednej ręce. Czuł puls krwi wtłaczanej do mięśni obciążonych do granic możliwości. Musiał wybić się ćwierć metra w górę, znaleźć miniaturowy gzyms i po nim przesunąć się dwa metry w lewo. Tam mógł kontynuować schodzenie.

W miejscu, z którego zwisał, nie było oparcia dla drugiej ręki, ponadto lewa była mu potrzebna, żeby znaleźć inny chwyt. Zacisnął zęby, biceps nabrzmiał krwią, ścięgna i stawy napuchły. W jedynym stosownym momencie Kowalski lekko pomógł sobie odbiciem stopy, wspiał się jak najwyżej i zaczepił dwoma palcami w płytkiej szparze. Przez następne dziesięć minut bezpiecznie odpoczywał na gzymsie szerokości dłoni. Beznamiętnie zastanawiał się, ile podobnych nieszczęśliwych wypadków może jeszcze przeżyć. Nie pierwszy raz skała pod nim się oberwała. Do tej pory mu się udawało, ale zawsze kosztowało go to wiele sił. Kowalski szacował, że od dna kanionu dzieli go jeszcze niecałe pół kilometra. A potem następane trzy w górę. Oczywiście tylko wtedy, jeśli przedostanie się na drugą stronę.

\*\*\*

Krystyna przygotowała cztery kawałki mięsa i cztery placki, które zostały im z wczoraj. Tym razem musieli zadowolić się kolacją na zimno, ponieważ nie naznosili drewna na podpałkę, a tę odrobinę, którą wieźli ze sobą, oszczędzali na czarną godzinę. Dziś przebyli zaledwie sześć kilometrów, ponieważ zatrzymał ich szeroki język kamiennej lawiny, która zatarasowała drogę. Na początku kobieta obawiała się, że będą musieli zostawić konie, ale Umwald po kilku próbach przeprowadził je w końcu przez pole nagromadzonych głazów. Jego kobyła jednak kulała jeszcze bardziej.

Krystyna przez chwilę przyglądała się chłopcu. Starał się opatrzyć bolące kopyto wierzchowca, lecz ewidentnie nie dawał sobie rady. Mimo to próbował wciąż na nowo z desperackim uporem. Bez koni ich szanse byłyby o połowę mniejsze. Krystyna opuściła wzrok i skoncentrowana starała się rozmieszać tłuszcz stwardniały w zimnym bulionie wołowym. To była kolacja dla Koniasza. Kiedy był nieprzytomny, mogła go nakarmić tylko takim jedzeniem. Mimo jej największych starań podczas każdego posiłku połykał jedynie parę kropel.

Na niebie przesuwwały się białe chmury, które napawały ją grozą. Tak wysoko pogoda bywała

zmienna. Jedna krótka burza śniegowa wystarczy, żeby wszyscy zamrzli. Potrząsnęła głową. Takie myśli napędzały strach i pozbawiały chęci do działania. Popatrzyła na dzieci. Harold z Rosetką kulili się za niską kamienną ścianką, którą Umwald zbudował jako ochronę przed wiatrem. Już się nie bawili, również na nich odbiło się zmęczenie podróży. Skończyła próby nakarmienia Koniasza i zaczęła mówić. Opowiadała mu wszystko, co w ciągu minionych dni przyszło jej do głowy, opowiadała o wszystkich swoich obawach, o beznadziejności. A głównie prosiła, żeby wrócił do życia. Czowała, że szybko traci siły. Na chwilę poraził ją atak duszącego kaszlu.

\*\*\*

Kowalski siedział na skalnym gzymsie i obserwował przeciwległą ścianę. Nie była dalej niż cztery metry. Cały miniony dzień stracił na sprawdzaniu okolicy. Był już zupełnie pewien, że znajduje się w miejscu, gdzie pionowa ściana najbardziej zbliżała się do gigantycznego granitowego bloku przegradzającego rzekę. Cztery metry wolnej przestrzeni nad trzydziestometrową głębią. Spojrzał w dół. Dudnienie rzeki ogłuszało, morze białej piany miotano się w ogromnych wirach, w nieregularnych odstępach tworzyły się fale sięgające prawie aż do niego. W powietrzu unosiły się drobniutkie krople wody, wilgoć skupiała się na ścianach i bezpośrednio w powietrzu, wyglądało więc, jakby ciągle mżył drobny deszczyk. Nie latały tu już nawet żadne ptaki. Kowalski wokół siebie nie odnalazł w ogóle nic żywego i wątpił, czy w wodnym piekle mogą przeżyć jakieś ryby.

Wrócił myślami do swojego zadania. Cztery metry to nie było dużo, tylko że przeciwległa skała zapewniała minimalną ilość podpórek. Jedyne miejsce, które mógłby uchwycić dłonią, odkrył ponad dwa metry pod sobą. Kowalski nie czuł strachu, ponieważ w skupieniu oceniał, czy w ogóle możliwe jest skoczenie na odległość czterech metrów w dal i dwóch metrów w dół, przystąpienie jedną nogą na małej powierzchni odrobinę większej niż odcisk dłoni i zaczepienie się ręką o płytką szczelinę. Rozważał swój problem jak pracę. Jak pracę, którą bez względu na wszystko należy wykonać. Wiedział, że nie musi się udać, tak jak po raz pierwszy nie musi się udać układanie dachu dużej stodoły. Ale było jasne, że jeśli człowiek nie spróbuje, nigdy nie będzie miał stodoły na zboże.

Sam sobie przytaknął i wstał. Marzyła mu się stodoła pełna zboża, dom i wszystko, co kiedykolwiek do niego należało. Na pewno było to do zrobienia. Czynności, jakich wymagał skok przez przepaść, na stałym gruncie wykonałby każdy zwinny młodzieniec. Może nie za pierwszym czy za drugim razem, ale za trzecim z pewnością. Kowalski dokładnie rozmasował sobie mięśnie nóg i rozruszał palce. Nie było sensu zwlekać, ponieważ chłód, wilgoć i czas powoli, ale pewnie pozbawiały go sprężystości, zwinności i siły. Ostrożnie odwrócił się przodem do skały, rozpostarł ręce, przeniósł ciężar na czubki palców stóp i skoczył.

\*\*\*

Umwald po raz tysięczny naparł ramieniem na koło i wozik pomału i niechętnie przejechał przez obły kamień. Został im już tylko pociągowy wałach. Koń Koniasza złamał nogę od razu czwartego dnia, gniadoszka zachorowała przed tygodniem, a poprzedniego dnia zaniemógł karosz Krystyny. Rano drżał jak w gorączce i nie zdołał wstać. Umwald bał się, że nawet wałach nie wytrzyma długo, ponieważ ładunek był zbyt ciężki. Ponadto przez większość dnia musiał nieść również Harolda z Rosetką, którzy już dalej iść nie mogli.

- Jesteś strasznie ciężki, ty gnojku - wymamrotał przez ściśnięte zęby i popatrzył przez boczną deskę na Koniasza. - Tracę siły, codziennie jestem coraz słabszy. Już nie dam rady cię ciągnąć. Zdechnij albo się obudź!

Ostatnie zdanie wypowiedział jak przekleństwo.

Kolejny dzień w drodze.

Krystyna otarła sobie czoło. Mimo że trzęsa się z zimna, jej kożuch zwilgotniał od potu. Była zasapana, kręciło jej się w głowie, czasem się zataczała. Rano Umwald zaproponował, żeby zostawili Koniasza na pastwę losu. Chciał zwolnić miejsce w woziku dla niej. Nawet nie zdała sobie sprawy z tego, że pokręciła głową. Wiedziała, że musi wytrzymać i iść, dopóki Koniasz nie ozdrowieje, ponieważ gdyby omdlała, Umwald o nic by jej nie pytał. Niepewnie ruszyła do przodu.

Tego wieczoru zatrzymali się długo przed zachodem słońca. Nie byli w stanie iść dalej, Krystyna upadła podczas marszu, miała problemy ze złapaniem oddechu. Umwald zużył ostatnie resztki drewna i ugotował gorącą zupę, którą obdzielił dzieci. Potem wyczerpany usiadł i obserwował okolicę. Kilkaset metrów nad nimi bieleła się granica górskich lodowców, w skośnych promieniach słońca widać było mroźne powietrze przedostające się ze zboczy na dole do doliny. Zdecydował, że jutro zostawi Koniasza, a Krystynę wsadzi na wóz choćby przemocą.

Rano gołe kamienie wokół były bogato pokryte szronem. Kiedy budził pozostałych, znalazł Krystynę martwą. Umarła we śnie, twarz miała spokojną. Dopiero teraz uświadomił sobie, że jest chuda jak patyk.

Nie płakał. Zanim dzieci się obudziły, odciągnął ciało Krystyny na bok, żeby nie było go widać, i przebudował wozik, na którym mógł wieźć albo Rosetkę, albo Harolda.

- Zostawię cię tutaj - powiedział i odwrócił się do Koniasza. - Powinienem być zrobić to wcześniej. Będę potrzebował więcej ubrań dla dzieci, ale jej - kiwnął głową w stronę Krystyny - nie będę ich zabierać.

Zaczął rozbierać nieprzytomnego żołnierza. Zabrał mu jego długi płaszcz i kurtkę. Bez współczucia przyglądał się, jak obnażona skóra w mroźnym powietrzu zaczyna szybko sinieć. Koniasz nieznacznie się poruszył, ciężko przełknął ślinę i otworzył oczy.

- W pasku, szkatułka - wymamrotał z trudem. Umwald obejrzał pasek żołnierza. Oprócz broni i pieniędzy znalazł cylindryczne pudełko z lakierowanej skóry. Po kilku próbach udało mu się je otworzyć. Było pełne małych różowych pastylek. Bez pytania włożył Koniaszowi jedną do ust.

W drogę wyruszyli za godzinę. Rosetka na wozie, który ciągnął Koniasz, Harolda prowadził za rękę Umwald. Kiedy dzieci pytały o mamę, powiedział, że idzie w przedzie. Były w tak złym stanie, że nawet nie wydawało im się to dziwne. Ślimaczym tempem szli cały dzień, a rano Koniasz był pierwszy na nogach. Nic nie mówił, oczy mu błyszczały i czasem zataczał się, jakby tracił równowagę. Zmusił się jednak, żeby iść aż do wieczora. Umwald wpadł w otępienie, wszystkie myśli, jakie mu zostały, dotyczyły następnego kroku, następnego rozpoczętego metra, głazu albo skaliska. Zapomniał, ile dni są w drodze, świat skurczył się dla niego na odległość do najbliższej góry albo górskiego grzebienia.

Pewnego dnia obudził się i stwierdził, że leży na wozie obok Harolda i Rosetki, a przed sobą ma pochylone plecy Koniasza, w które wbijają się skórzane pasy.

\*\*\*

Rezka przyglądała się krajobrazowi przed nimi. Łagodnie pofalowana równina porośnięta wysoką trawą; z prawej i lewej strony w odległości kilku kilometrów wznosiły się wysokie zalesione

wzgórza. Widok z przodu zasłaniały kręte linie olch i topoli otaczające liczne potoki i rzeczki.

Po panicznej ucieczce z kanionu oderwały się od pozostałych i już prawie dwa tygodnie błądziły po pogórzu zupełnie same. Natasza nie miała pojęcia, gdzie się znajdują i dokąd powinny iść, ale Rezka kilka razy widziała mapę Koniasza i twierdziła, że przynajmniej częściowo ją pamięta. Na podstawie swoich wspomnień starała się wyznaczyć właściwą trasę. Wiele razy nakładały drogi i musiały wracać, jeszcze wielokrotnie podczas przeprawy przez dziką równinę grzęzły w ostępach, parę razy znalazły się w sytuacji, która na pierwszy rzut oka wyglądała beznadziejnie, kiedy wydawało się, że w następnej chwili wóz wraz z ładunkiem utopi się, przewróci albo spadnie gdzieś w rozpadlinę. Natasza sama już dawno by poszła na piechotę, ale Rezka za każdym razem wpadała na jakiś pomysł i udawało im się pokonać krytyczną sytuację i jechać dalej.

- Skierujemy się bardziej w prawo i przejedziemy przez dolinę między tymi dwoma pagórkami. Jeden przypomina psią głowę. - Pokazała Nataszy. - Co prawda trochę nadłożymy drogi, ale teren tutaj wygląda na bardziej przejezdny.

Przyjaciółka tylko kiwnęła głową i zwinnie zmieniła kierunek jazdy. Mimo że teren był coraz bardziej gościnny, noce cieplejsze i co kilometr znajdowały miejsca dobre do rozbicia obozu, obie zaczynały być śmiertelnie zmęczone. Rezka ponadto już z trudnością ukrywała niepewność i zdenerwowanie. Jeśli naprawdę posuwały się we właściwym kierunku, zgodnie z mapą Koniasza, już dawno powinny spotkać którąś z grup farmerów. Stłumiła przypływ beznadziei i zmusiła się do przyspieszenia kroku, żeby z odpowiednim wyprzedzeniem obejrzyć teren i wybrać dalszą drogę. Obeszła wielki krzak dzikiej róży, wdrapała się na niewidoczne z daleka wzniesienie, które jednak wyczerpie ich zwierzęta i zweryfikuje umiejętności powożenia Nataszy.

W pierwszej chwili zaczęła prawie tańczyć i krzyczeć z radości. Okolica za niewysokim grzebieniem wyglądała ciągle tak samo, lecz na zielonym dywanie ujrzała ślady kół dziesiątek wozów, kopyt i butów. Pierwotnie ciągnęły się prawie równolegle z kierunkiem ich własnej drogi, lecz gdy Rezka zdecydowała się objechać wzgórze psiej głowy z prawej strony, karawana minęła go z lewej i ich ślady się skrzyżowały.

- Udało ci się - powiedziała Natasza i uśmiechnęła się.

- Udało nam się - poprawiła ją Rezka. - Goła ziemia nie zdążyła jeszcze porządnie przeschnąć. Nie są dalej niż dzień przed nami.

Teraz jechały już obie na wozie, ponieważ nie musiały wyszukiwać najlepiej przejezdnej drogi i wystarczyło obserwować ślady karawany. Do wieczora co prawda nie dogoniły głównej grupy, ale wnioskując ze świeżości odcisniętych kolein, bardzo się do niej zbliżyły. Wieczorem kładły się w najlepszym nastroju, jaki miały od katastrofy przy kanionie.

- Mam nadzieję, że już tam na nas będzie czekać - wymamrotała Natasza przed zaśnięciem.

Rezka miała tak wspaniały humor, że zupełnie nie wydało jej się to nieprawdopodobne.

\*\*\*

Rano wstały jeszcze przed świtem i po zimnym śniadaniu natychmiast wyruszyły. W południe zobaczyły w oddali stada spłoszonych ptaków, zgadywały więc, że od karawany dzieli je tylko parę mil. Nawet nie zdawały sobie sprawy, że zmusiły woły do szybszego tempa.

- Już ich dogoniłyśmy! - zawołała nagle Natasza.

Z nieprzeniknionej gęstwiny otaczającej potok wyszedł jakiś mężczyzna. Był jeszcze daleko. Rozpoznawały, jak przysłania dłonią oczy przed światłem zachodzącego słońca, żeby lepiej widzieć. Zwierzęta z niezadowoleniem parsknęły, kiedy Natasza popędziła je batem. Mężczyzna wyszedł im naprzeciw. Szedł szybko i zgrabnie, Rezce sposób jego poruszania już z daleka kogoś przypominał. W końcu do niego dotarli.

- Honza! - krzyknęła Natasza, zsunęła się z kozła i gwałtownie objęła młodzieńca.

Rezka natychmiast uświadomiła sobie, że coś jest nie w porządku. Honza w pierwszej chwili wyglądał na uradowanego, potem jednak na jego twarzy pojawiło się zakłopotanie i jakby niepewność.

- Cieszę się, że was znalazłem - powiedział w końcu, kiedy wyswobodził się z objęć Nataszy.

Rezka zeszła z wozu, uściśnęła mu rękę i przyjacielsko pocałowała w policzek.

- My też. Ale coś jest nie tak, jak powinno, prawda? Młodzieniec z wahaniem przytaknął.

- Właściwie wypatrywałem was. Żeby zobaczyć was wcześniej niż inni - powiedział nerwowo.

- Dlaczego wcześniej niż inni? - nie rozumiała Natasza. Rezka tylko pokiwała głową.

- Po upadku mostu wybuchł straszliwy chaos. Rozgorzało mnóstwo bójek o wozy, zwierzęta i majątek. Ludzie zaczęli uciekać w kilku grupach. Najwięcej pod dowództwem Faraciusa Edugana. Kontynuuje podróż zgodnie z pierwotnym planem i ciągle dołączają do niego coraz to nowi ludzie. Początkowo wędrowałem tylko z dwiema rodzinami. Natknęliśmy się na niego osiem dni temu.

- A co nam się może stać, gdy do was dołączymy? - spytała Rezka poważnie.

Honza Szoblaj wyglądał, jakby nie wiedział, co ma odpowiedzieć.

- Może nawet kazałby was zabić - wymamrotał wreszcie.

- Możesz to wytłumaczyć? - zachęciła go Rezka.

- Nikogo z wójtów na początku w grupie nie było, również żadnych żołnierzy. Wszyscy zostali po drugiej stronie kanionu. Faracius natychmiast wziął się za dowodzenie, a ze swoich najwierniejszych gońców uczynił coś w rodzaju gwardii obronnej, która ma wszystkich chronić przed atakami następnych napastników. A także, oczywiście, karze tych, którzy odmówili poddania się jego dowództwu.

- Kazał już kogoś zabić? - zapytała ze strachem Natasza.

- Nie, ale kilku farmerom, którzy mu się postawili, zabrał majątek. Rozdzielił go między swoich towarzyszy, więc stał się jeszcze bardziej popularny. Kilku czarowników, którzy dołączyli do nas później, uwięził. W większości byli ranni, dlatego nie mogli mu się przeciwstawić.

Przez chwilę wszyscy troje milczeli. Rezka zdała sobie sprawę, że podczas ich rozmowy słońce zauważalnie zbliżyło się ku zachodowi.

- I co według ciebie powinniśmy zrobić? Iść dalej w nieznaną stronę? - zadała pytanie.

Szoblaj wzruszył ramionami.

- Nie wiem. W małych grupkach, które do nas dołączały, często panowała zupełna anarchia, a kobiety - zamilkł z wahaniem - miały tam bardzo ciężko. Was dwóch Edugan nienawidzi i obwinia o

problemy z Ledem i innymi ludźmi. Nie mam pojęcia, co by z wami zrobił.

- Możemy zaryzykować albo iść dalej same. Albo możesz do nas dołączyć. Spróbujemy znaleźć jak najwięcej małych grup, które są jeszcze z tyłu. Zaprowadzimy... zaprowadzisz - podkreśliła Rezka - w nich porządek i założymy gdzieś własną osadę.

Młodzieniec z zawstydzeniem pokręcił głową.

- Nie pójdę z wami. U Faraciusa jest wielu moich ludzi i po raz pierwszy w życiu nie jestem ostatnim najemnikiem. Mam całkiem dużą władzę między nimi.

- Może nad nimi? Pomagasz forsować wolę Faraciusa? - napomknęła Rezka.

- Nie pójdę z wami. - Honza jeszcze raz pokręcił głową. - Ale rano się tu pokażę. Zapasów chyba macie wystarczającą ilość, przerysuję wam jednak szkic mapy Faraciusa. Więcej dla was nie mogę zrobić.

Rezka ciężko westchnęła.

- Nawet za to dzięki. Ale i tak kiedyś będziesz musiał zdecydować, po której stronie stanąć. Po stronie tego silniejszego czy swoich przyjaciół. Jeśli będziesz miał szczęście, może jeszcze jakiś czas da się z tym poczekać. Pamiętaj, że nawet gdybyś jutro nie przyszedł, będę ciebie wspominać jak przyjaciela.

Młodzieniec odwrócił się i ze spuszczoną głową, bez pożegnania odszedł.

Rozbiły obóz w zakolu małej rzeczki, w miejscu osłoniętym z trzech stron nieprzebytą zasłoną leszczyn i olch. Nastrój minionego wieczoru poszedł w niepamięć, do spania układały się w napiętej ciszy. Obie zastanawiały się, co przyniesie jutro.

- Może jednak powinniśmy chociaż spróbować. Jeszcze nikogo nie zabił, zabrał tylko majątek. Pewnie weźmie nasz wóz, ale my przeżyjemy - powiedziała Rezka tuż przed tym, zanim zdmuchnęła świeczkę.

Ujrzała tylko wystraszone oczy Nataszy.

- No dobrze. Jeszcze o wszystko wypytały Honzę - zakończyła swój monolog.

\*\*\*

Rano nie odważyły się rozpaścić ognia, żeby dym nie przyciągnął czyjejś uwagi, i po raz drugi z rzędu zamiast gorącej herbaty musiały się zadowolić zimną wodą. Żuły suszone mięso i czekały. Chlebowe placki skończyły się już wczoraj.

Usłyszały ich szybciej, niż zobaczyły. Wynurzyli się z trawy - jeden, dwóch, całe mnóstwo mężczyzn. Gdy napastnicy stwierdzili, że ich zdobycz nie jest przygotowana do ucieczki, przestali się ukrywać.

Rzeczka i zarośla, które stanowiły schronienie, teraz ułatwiły ludziom Faraciusa okrążenie. Wystarczyło zatarasować jedną stronę i już mieli dziewczęta w pułapce.

Rezka przebiegała wzrokiem po napastnikach i starała się wśród nich znaleźć dowódcę. Mniej więcej pośrodku stał potężny mężczyzna uzbrojony w miecz. Pozostali mieli tylko siekiery, ewentualnie pałki lub skrócone cepy do młócenia zboża. Poznała starszego mężczyznę z siwym zarostem. Nazywał się Karnet, w radzie wójtów był przedstawicielem grupy farmerów z wybrzeża i wcześniej często współpracował z Ledem. Szobłaj stał między człowiekiem z mieczem a jedynym



strzelcem z kuszą. W rękę trzymał pałkę i nie odważył się spojrzeć dziewczynom w oczy. Miał świeżo złamany nos, rozcięte wargi i opuchnięte usta. Faracius przyszedł dopiero chwilę później.

Dowódca, pan, który nie musi brudzić rąk robotą, Rezka zrozumiała jego plan.

- Zatem naprawdę was tu znalazłem - rzekł Edugan lekceważąco, z pogardliwym grymasem.

Przeszedł przez szereg swoich uzbrojonych ludzi i zatrzymał się przed dziewczętami.

Nie boi się nas. Jesteśmy tylko dwiema kobietami, oceniła go w duchu Rezka. Natasza nerwowo gniotła spódnicę i fartuch, wzrokiem przebiegała od jednego mężczyzny do drugiego, jakby nie mogła się zdecydować, ze strony którego grozi im największe niebezpieczeństwo.

- Wydało mi się dziwne, że mojemu adiutantowi - Edugan wskazał na Szoblaj a - nagle tak rozpaczliwie potrzebna była mapa, że z tego powodu wkradł się do mojego namiotu. Początkowo nie chciał mi nic powiedzieć, ale po chwili wypytywania zdradził wszystko, co wiedział. Ponieważ każdy popełnia błędy, zdecydowałem dać mu jeszcze jedną szansę. Dlatego tu jest.

Edugan zrobił triumfalną minę.

Lubisz się chwalić, jesteś mądry i czerpiesz przyjemność z zadawania bólu, ale jednocześnie umiesz nad sobą panować, oszacowała go Rezka.

- Najpierw chciałem was przywlec do naszego obozowiska i pokazać ludziom, kto jest winny ich cierpienia i kłopotów, i w sposób obrazowy im udowodnić, co się stanie z każdym, kto się sprzeciwiał albo będzie się sprzeciwiać mojej woli. Pozwoliłbym im zdecydować, czy was ukamienują, czy spalą.

Edugan zamilkł i przez chwilę badawczo oglądał paznokcie. Rezka uświadomiła sobie, że wygląda porządniej niż kiedyś. Jako dowódca karawany z pewnością podróżował wygodnie.

- Niechlubny przykład mego adiutanta przekonał mnie jednak, że to mogłoby nie być najmądrzejsze. Wśród farmerów mogłoby się bowiem znaleźć więcej ludzi, którzy by z wami sympatyzowali.

Rezka wyczuła, że właśnie teraz nastąpi wyrok. Z dwunastu mężczyzn, którzy mu towarzyszyli, tylko czterech oceniła jako zdolnych do wszystkiego fanatyków, pozostali stali raczej nerwowo i obawiali się tego, co się stanie. Z doświadczenia jednak wiedziała, że ludzie łatwo idą za przykładem.

- Zabiję was od razu tutaj, a jedzenie i sprzęt, jaki nam ukradłyście, zwrócę do wspólnych zapasów. W obozie oznajmię, że tylko dzięki zdecydowanej ingerencji moich ludzi mamy wszystko z powrotem. Skończcie z nimi! - rozkazał.

Rezka obrzuciła spojrzeniem szereg farmerów. To przecież było zabójstwo! Dwie bezbronne kobiety, które nic nie zrobiły, przeciwko tuzinowi uzbrojonych mężczyzn!

Ludzie nerwowo przestępowali z nogi na nogę. Nawet oni zdawali sobie z tego sprawę. Faracius dobrze wybrał sobie swoich najwierniejszych. Jeśli raz dla niego zabiją, będą zabijać już zawsze.

Mężczyzna w środku rzędu zrobił krok do przodu i uniósł miecz.

- Nie! - krzyknęła Rezka. - Przecież to nie tak. Niczego nie ukradłyśmy! Dobrze to wiecie! Zabijecie niewinne kobiety!

- Skończcie z nimi! - powtórzył rozkaz Edugan. Natasza wstała i odgarnęła fartuch, który przez cały czas leżał na jej kolanach. W prawej ręce trzymała kuszę. Nie celując, od razu z biodra wystrzeliła i

trafiła szermierza w pierś. Mężczyzna zatoczył się, puścił broń i upadł na ziemię.

Źle, źle! - krzyczała w duchu Rezka. To nie był ten najniebezpieczniejszy! Edugana, powinna zabić Edugana!

Mężczyźni zamarli ze strachu.

- Zastrzel ją! - Edugan zwrócił się do mężczyzny z kuszą.

Strzelec posłusznie uniósł kuszę do policzka i wycelował. No to koniec, przyszło do głowy Rezce.

Świsnęła pałka, mężczyzna z krzykiem wypuścił broń i zanim zdążył zareagować, drugie uderzenie zważyło go na ziemię. Honza Szoblaj opuścił pałkę, popatrzył na swoich towarzyszy, wyszedł z rzędu i stanął po stronie dziewczyn.

- Jestem strasznym głupkiem! - wymamrotał, z ukosa mrugnął na Rezkę i dalej uważnie przyglądał się nowym wrogom.

- Chyba tak, ale dlatego cię lubię - szepnęła.

- Skończcie z nimi! - wrzasnął nieprzytomny z wściekłości Edugan, podniósł z ziemi miecz i jako pierwszy ruszył w kierunku Rezki, Nataszy i Szoblaja. Pozostali mężczyźni poszli za nim.

Natasza z nieobecny wyrazem twarzy po raz drugi podniosła kuszę, Faracius zamarł w pół kroku.

- Nie! - zdążył jeszcze krzyknąć.

W pierś ze stłumionym puknięciem wbiła mu się strzała.

- Ty su... - zaczął, ale nie zdołał złapać tchu. Stał, jedną ręką chwycił strzałę, w drugiej wciąż trzymał miecz. Jego zwolennicy przyglądali mu się niezdecydowani.

- Albo rzucą się na nas od razu, albo zostawią w spokoju - szepnęła Rezka i wciągnęła powietrze, żeby głośno przemówić.

Wtem gęstwina leszczyn z prawej strony się zatrzęsła, trzasnęły gałęzie, rozsunęły się liście i na otwartą przestrzeń wyszedł mężczyzna w podartym ubraniu. Miał szklisty wzrok, blade wargi, podkrążone z niewyspania oczy. Oprócz noża myśliwskiego za pasem nie miał innej broni. Rezka w pierwszej chwili go nie poznała, taki był wychudzony. Kowalski natychmiast ocenił sytuację - szereg uzbrojonych ludzi, otoczoną trójkę przy wozie i rządzącego Edugana.

- Przyszliście z wizytą, sąsiedzi? Nie rozumiem więc, skąd ta broń. A może przyszliście coś ukraść? Wicie chyba, jak się karze kradzież w karawanie, nie? - rzucił spokojnie i pozornie bez zainteresowania. - A może wasza obecność oznacza coś innego? Ale chyba się mylę, kobiet byście przecież nie skrzywdzili.

Jeden z uzbrojonych mężczyzn popatrzył na swój cep, jakby widział go po raz pierwszy, i rzucił w trawę. Kowalski przeszedł obok szeregu i każdemu z farmerów długo zaglądał w twarz.

- Zapamiętam sobie wszystkich, którzy dziś tu byli. Jeśli nie będziecie zachowywać się, jak na uczciwych ludzi przystało, przypomnę wam to.

Faracius upadł na kolana, rękami starał się zatkać ranę, przez którą do płuc przedostawało się powietrze.

- Pomóżcie mi, pomóżcie... - chrypiał.

Nikt nie zwracał na niego uwagi, wszyscy przyglądali się Kowalskiemu.

- Ilu mamy w sumie ludzi? - Kowalski zwrócił się do Szoblaja.

- Koło sześciuset. Osiemdziesiąt wozów.

- A zboże, Karnet? - spytał wąsacza.

- Ech, nie wiem, proszę pana - odpowiedział ten niepewnie, patrząc jednocześnie w ziemię. - Wszystkie zapasy są w prywatnych wozach Faraciusa. Tylko trochę wiozą poszczególni farmerzy.

- Jak zatem chcecie zakładać swoje gospodarstwa? Faracius chciał wam pomóc z przewozem ziarna siewnego? To niezwykle ładnie z jego strony! - skomentował Kowalski z udawanym zdziwieniem.

- Nie, proszę pana, on sam by tego nie zużył, wydzierżawiałby. Ziarno za pracę.

- A ile jest tu dzieci i kobiet? Ile mamy broni? Zapasów soli? Ile narzędzi straciliśmy? Są z nami jacyś lekarze i ludzie Bryzolda?

Nikt nie odpowiadał.

- Kto umie czytać i pisać? - Kowalski kontynuował wypytywanie.

Zgłosiło się dwóch mężczyzn.

- Dobra, będziecie moimi tymczasowymi adiutantami-protokolantami. Nie jedziemy dalej. Ogłaszam trzy dni odpoczynku. Pan Szoblaj wszystkim rozdzieli pracę. Do wieczora chcę znać odpowiedzi na swoje pytania. Wy trzej - wskazał na mężczyzn z najbardziej zaciętymi minami - weźcie sobie do dyspozycji po dwóch mężczyzn i zacznijcie przeczesywać okolicę. Starajcie się znaleźć następnych farmerów, którzy gdzieś się błakają. Pan Szoblaj ze wspólnych zapasów wyda wam jedzenie na trzy dni. To na razie wszystko. I jeszcze raz wam przypominam: niczego z tego, co tu się stało, nie zapomnę.

Faracius Edugan po raz ostatni chrapliwie odetchnął i umarł.

Kowalski jakby dopiero teraz sobie o nim przypomniał.

- Martwych odnieście. Wszystkich. Możecie ich pogrzebać albo odciągnąć gdzieś do lasu. Zależy od was.

Kiedy zostali sami, dziewczyny rzuciły się Kowalskiemu w objęcia. Rezka płakała, Natasza się śmiała. Kowalski tylko stał i w milczeniu je obejmował.

- Gdzie się nauczyłaś tak dobrze strzelać? - zapytał po chwili Nataszę.

Pokręciła głową i szczerze się zaśmiała.

- Przypadek, po prostu trafiłam.

Rezka spojrzała na nią ze zdziwieniem, ale nic nie powiedziała.

Kowalski każdej wycisnął na ustach długi pocałunek, jakby chciał w ten sposób wymazać rozłąkę.

- Jestem szczęśliwy. Jestem szczęśliwy, że was znalazłem.

\*\*\*

Umwald otworzył oczy. Niebo było czyste, świat zalany słońcem. Świtało. Uprzytomnił sobie, że

leży na wozie obok śpiących Harolda i Rosetki. Koniasz siedział przed nim na kozle i wyglądał, jakby drzemał. Góry były daleko za nimi, a minione dni wydawały się snem. Ostrożnie wyplątał się z koców.

- Hej, Koniasz!

Żołnierz nie zareagował na jego powitanie. Umwald ostrożnie przeszedł na kozła i po kilku szturchnięciach udało mu się obudzić Koniasza. Mężczyzna miał głęboko zapadnięte oczy, twarz przypominała czaszkę obciągniętą cienką skórą.

- Dobrze, że się obudziłeś - szepnął. - Skończyły mi się tabletki, za chwilę wpadnę w śpiączkę. W pasku mam pieniądze. Do Gretanu zostało nam pięćdziesiąt kilometrów. To przystań rzeczna na Varanie. Mniejsze statki docierają daleko pod prąd. Przy odrobinie szczęścia dotrzesz aż do Fenidong. Dzieci powierz Lucy Lou, powiedz jej, że ją o to proszę. Jeśli... - Koniasz nie dokończył zdania, stracił przytomność i gdyby nie był przywiązany do kozła, spadłby na ziemię. Umwaldowi wydawało się, że to dalszy ciąg sennego koszmaru.

W jednej z licznych kieszeni kurtki Koniasza znalazł kartkę z poleceniami. Było tam napisane to, co żołnierz starał się mu powiedzieć, łącznie z informacją, której nie dokończył:

*Jeśli w tym czasie będę jeszcze żyć, znajdź doktora Alama w Fenidong i przekaz mu szkatułkę po pigułkach. To wszystko, co możesz dla mnie zrobić.*

Umwald ułożył Koniasza na wozie, złapał za uprząż i zaczął ciągnąć.

\*\*\*

Silny południowo-wschodni wiatr nadymał żagle, ślad za statkiem lśnił białą pianą i wioślarze mogli odpoczywać. Umwald wykorzystał rzadkie momenty wytchnienia, oparł się o poręcz i rozkoszował widokiem rozczłonkowanego wybrzeża, wiatrem, skrzypieniem lin i krzykami ptactwa wodnego. Po masakrze w dolinie i piekle w górach wszystko wydawało mu się niewiarygodnie proste: zorientowanie się w Gretanie, obejrzenie portu, wybranie kapitana i dobrej łodzi, która kierowała się pod prąd Varany. Za dziesięć dni mieli być w Fenidong. Koniasz już nie odzyskał przytomności i ewidentnie umierał. Umwaldowi było przykro, ale o wiele większe wrażenie wywarła na nim śmierć Krystyny i ludzi w kanionie.

Ponieważ nie zostały mu żadne pieniądze na jedzenie, był zmuszony pomagać załodze jako chłopiec okrętowy. Nie była to taka najłatwiejsza praca, ponadto musiał wypełniać wszystkie rozkazy prostackiego bosmana i znosić nieokrzesane żarciki pozostałych marynarzy. Jednak nie wydawało mu się to wcale trudne.

- Co tam, młody, robi ci się niedobrze? - krzyknął na niego drwiąco bosman ze swojego miejsca na przednim pokładzie.

- Nawet nie. Nie mogłaby ta łódeczka płynąć przynajmniej trochę szybciej? - Umwald zrobił pogardliwy grymas.

Swoją uwagę zasłużył sobie na dwugodzinne ćwiczenia umiejętności marynarskich, zaczynając od błyskawicznego zwijania i rozwijania żagli, a na dokładnym szorowaniu białych desek pokładu kończąc. Nie przeszkadzało mu to, pomagało nie myśleć o przeszłości.

\*\*\*

Lucy Lou siedziała w swoim apartamencie i układała pasjansa. Przed chwilą wyszła z łaźni, ubrana była tylko w cienki jedwabny szlafrok, bosa nogi miała oparte na podnóżku z delikatnej sobolej skóry, obok kart na niskim stoliku stał zroszony kieliszek z winem. Przez otwarte okno do pokoju wpadał wilgotny aromat letniego wieczoru. Zazwyczaj w lecie Lucy chowała się przed zapachem miasta, dziś jednak trochę popadało i rześki wiatr przywiał na rozpalone ulice świeże powietrze nasyczone zapachem żywicznych sosen.

Odłożyła ostatnią kartę i napiła się. Pasjans udał jej się jak rzadko kiedy. Zdmuchnęła świeczki i w zamyśleniu wyjrzała na zewnątrz, żeby zobaczyć, ile jeszcze czasu do zmroku.

Nagle na gzymsie pojawiła się brudna, obtarta ręka, palce złapały za ramę, wynurzyła się również druga dłoń. Lucy wstała z fotela i zdjęła ze ściany swój ulubiony kańczug. Po krótkiej przerwie w oknie pojawiła się też głowa. Nieoczekiwany gość tylko zajrzał do pomieszczenia i ewidentnie nie zauważył Lucy Lou w półmroku. Lucy z zainteresowaniem i bez lęku obserwowała nieznajomego śmiałka. Wiedziała, że wystarczy jeden cios ciężkim kańczugiem i ów człowiek spadnie. Upadek z wysokości trzeciego piętra załatwi resztę. Najpierw myślała, że nieznajomy gość jest mężczyzną, potem odkryła, że to chłopiec, i w końcu stwierdziła, że to młody człowiek, który jest na granicy wieku młodzieńczego i męskiego. Kilka razy wdrapywał się aż na parapet, ale potem znów wychylał się w dół i rozmawiał z kimś stłumionym głosem. Nie rozumiała tego, ale rozpoznawała jego uspokajający ton. Jak na złodzieja zachowywał się dziwnie, dlatego zaniechała na razie swojego ciosu kańczugiem. W końcu młody chłopak po raz drugi zajrzał do pomieszczenia i tym razem ją zobaczył.

- Pani, proszę mnie nie zrzucić na dół, przysłała mnie Koniasz. Nie chcę, żeby ktoś z pani personelu mnie widział, dlatego włączę oknem.

Lucy Lou stała zdziwiona.

- Mogę wejść?

- Pewnie. - Skinęła głową.

Chłopak zręcznie przeturlał się przez parapet i przysiadł na dywanie.

- Uff - westchnął z ulgą i wstał. - Nazywam się Umwald i potrzebuję pieniędzy, żebym mógł zapłacić doktorowi Alamo, potrzebuję również domu dla Harolda i Rosetki i... - zaplątał się we własne słowa.

Lucy Lou poważnie mu się przyglądała.

- Spróbuj od początku, krótko i jasno, tak? Wygląda na to, że nie mamy zbyt dużo czasu.

Podetknęła mu karafkę z wodą.

Umwald łapczywie się napił i skinął głową.

- Oczywiście, pani. Wolę zacząć zupełnie od początku. Mówił zwięźle, ale jednocześnie starał się, żeby nic ważnego nie opuścić. Lucy Lou słuchała i bacznie obserwowała. Umwald nie zauważał jej badawczego spojrzenia, skoncentrował się tylko na swoim monologu.

- Kochał ją? A ona umarła z wyczerpania, kiedy ciągnęliście go przez góry? - Lucy Lou w pewnym momencie przerwała opowieść.

Umwald się zamyślił.

- Myślę... myślę, że ją kochał i ona go również. Tylko nie spotkali się we właściwym czasie.

Lucy Lou skinęła głową, jakby było dla niej zupełnie jasne, co to znaczy, i Umwald chciał kontynuować.

- Umwald! Ty o nas zapomniałeś? - rozległo się z zewnątrz szeptem.

- A to co znowu? - spytała podejrzliwie Lucy.

- Do tego jeszcze nie dotarłem - powiedział Umwald. - Harold z Rosetką. Koniasz panią prosi, żeby się pani nimi zajęła.

Podał Lucy Lou kartkę, którą żołnierz napisał, zanim stracił przytomność. Kobieta w zamyśleniu oglądała kawałek papieru z prawie nieczytelną wiadomością.

- Zrobię wszystko, o co mnie prosisz. Ale zorganizuję to sama. Zanim wymyślimy ci nową tożsamość, będziesz miał areszt domowy. Niektórzy ludzie wiedzą, że pojawiałeś się w pobliżu Koniasza, a to dziś bardzo niebezpieczne. Zawołaj na górę te dwie małe rozrabiaki, które czekają przed domem, niech wejdą głównym wejściem. Potem idź do łaźni. Dla personelu jesteś moim bratankiem ze wsi. Ja tymczasem zaalarmuję doktora, jak mówiłeś, że się nazywa? Alamo?

Kiedy została sama, dopiła wino i popatrzyła przez okno w gęstniejącą ciemność.

- Bałam się, że to się tak skończy - powiedziała do siebie. - Miłość? Honor? Przyjaźń? Człowiek nawet nie wierzy, że takie rzeczy jeszcze istnieją.

Stała w półmroku, a gdy usłyszała odgłos dziecięcych kroków na schodach, na jej poważnej twarzy pojawił się uśmiech.

## Rozdział 9

### Powrót wilka

Każdemu może się przydarzyć coś podobnego. Rzecz, której często i chętnie używa, nagle się popsuje. Człowiek potem robi wszystko, co możliwe i niemożliwe, żeby ją naprawić. Jeśli jest zręczny i nie szczędzi trudu ani czasu, w końcu z reguły mu się udaje. Kiedy jednak próbuje ponownie użyć tej rzeczy, stwierdza, że to nie to samo. Spinka płaszcza, rękojeść dłuta rzeźbiarskiego, koło garncarskie albo wypróbowana torba nie są już takie jak dawniej, uczucie przyzwyczajenia wynikające z wieloletniego używania znika, jakby podczas naprawy powstała zupełnie nowa rzecz. Takie właśnie wrażenie miałem względem swojego ciała. Stałem nagi w oknie, zimowe powietrze chłodziło mi pierś. Spróbowałem zgiąć rękę w łokciu, a potem znów ją wyprostować. Dało się, ale powoli i ciężko, jakbym musiał najpierw poprosić kogoś obcego, kto dopiero przekazał polecenia mojej własnej ręce. Z zaciśnięciem dłoni w pięść było jeszcze gorzej. To ciało po prostu nie było moje.

Wróciłem w myślach do przeszłości. Płonące wozy, zabijane kobiety i dzieci. Widziałem to już wiele razy i nigdy się do takiego widoku nie przyzwyczaiłem. Jednak po raz pierwszy czyniono krzywdę ludziom, którzy polegali na mnie. Ja miałem się nimi opiekować i doprowadzić do miejsca, gdzie mogliby założyć nowe domy. Złapałem się na tym, że zgrzytam zębami. Moje własne problemy wydały mi się nagle o wiele mniej ważne. Nie jestem mściwy, ale teraz czułem, że nienawiść otacza mnie jak aura, jak zbroja, że staje się moją drugą skórą.

Wiedziałem, że ktoś za to wszystko zapłaci. Usnąłem.

Następnego dnia rano znów rozmawiałem z doktorem Alame. Ponownie starał się mi wytłumaczyć, że już do końca życia nie wolno mi się w żaden sposób męczyć, a mój stan fizyczny porównywał do niedołęstwa dziewięćdziesięcioletniego starca. Nie kłóciłem się. Kazałem sobie opisać, w jaki sposób mnie leczy i których ziół i leków do tego używa. Może nie zgadzałem się z doktorem Alame w jego poglądach dotyczących mojego stanu zdrowia, ale na starych zakazanych naukach lekarz znał się doskonale. Legenda nie kłamała. Kasetka z tabletkami pochodziła według niej z pierwszego wieku po Wielkiej Wojnie, zatem miała dwieście, trzysta lat. Prawdopodobnie wyprodukował ją klan czarowników, którzy przeżyli wojnę i poddali się dopiero w czasie powszechnych prześladowań. Legendę spisano w języku dotykowym swaglish. Kiedyś służył czarownikom, dziś używają go aptekarze i przyrodoznawcy. Ja sam jestem zaznajomiony tylko z jego pospolitą formą. Według podania szkatułka zawierała bardzo wymyślny narkotyk, który potrafił stymulować ludzkie ciało, wykraczając daleko poza naturalne granice. Substancja miała wpływ na jądra, nadnercza, przysadkę mózgową, trzustkę i mnóstwo innych gruczołów i organów, o których dzisiejsza nauka nie ma nawet pojęcia. Tylko że nic nie ma darmo i za wszystko się płaci. Doktor Alamo porównywał to do podpalenia stosu oblanego smołą. Płomień jest o wiele wyższy i jaśniejszy, ale też szybciej gaśnie. Ludzkie ciało ma w zapasie tylko ograniczony zapas siły - fizycznej, psychicznej oraz uzdrawiającej i regenerującej. A kiedy jakikolwiek składnik się wyczerpie, człowiek umiera.

Po tej rozmowie przestałem brać medykamenty Alama. Było w nich zbyt wiele narkotyków i substancji otępiających. W ciągu dwóch dni wszystko, łącznie ze starymi, dawno zapomnianymi ranami, zaczęło mnie nieznośnie boleć, źle mi się oddychało, serce przyspieszało i zwalniało swój rytm. Lekarz z pewnością miał rację, ale nie popuściłem i nie wróciłem do terapii narkotykowej. Kiedy zaczynało mi brakować silnej woli, koncentrowałem się na człowieku, który posłał za nami

Duna z jego ludźmi. Nienawiść pomagała. Pragnąłem krwi tego gościa, chciałem patrzeć, jak umiera. Z dnia na dzień było mi gorzej, desperacko potrzebowałem leków Alama. Żeby ciągle o nich nie myśleć, wyobrażałem sobie, co zrobię swoim wrogom. Obedrę ich ze skóry, każę pić rozżarzony ołów, kawałek po kawałku będę z nich odkrawał płatki mięsa, aż zostaną tylko żywe szkielety. Wymarzyłem sobie tak wyrafinowane męczarnie, że nawet najślawniejszy fachowiec, kat cesarza crambijskiego, zbladłby z zawiści. Najgorzej było, kiedy z rozważań wyrwała mnie pielęgniarka albo służka. W tej chwili w ogóle nie czułem się słaby i musiałem się zmuszać, żeby nie karać kobiet za ich zbytnią śmiałość. Za każdym razem przechodziłem później kilkugodzinną mękę, zanim się opamiętywałem, zapominałem o naglącej potrzebie narkotyków i znów wracałem do ćwiczeń.

Pewnego poranka - nie miałem dokładnej świadomości czasu - odwiedziła mnie Lucy Lou. Wyglądała na zaszepioną. Stłumiłem chęć wyrzucenia Lucy z pokoju, byłem przecież jej gościem.

- Mam złe wiadomości - powiedziała poważnie. - Twoja pielęgniarka została ciężko pobita i nie może się tobą opiekować.

Wzruszyłem ramionami. Już nie potrzebowałem pielęgniarki. Powiedziałem to głośno.

Lucy Lou ze zmęczeniem i jakby ze smutkiem pokręciła głową.

- Nie rozumiesz mnie. Dziś rano ty sam parę razy uderzyłeś ją w twarz i wyrzuciłeś przez okno na zewnątrz. Ma rozbity nos, pocięte wargi i złamaną nogę.

Zgarbiłem się przygotowany, żeby pomścić takie niedorzeczne obwinienie, ale Lucy tylko szybko spojrzała w otwarte drzwi i do pokoju weszło dwóch mężczyzn uzbrojonych w naciągnięte kusze. Celowali we mnie.

Nie rozumiałem, co się dzieje, dlaczego mi to robi. Nigdy przecież bym jej nie skrzywdził, byłem jej przyjacielem.

- Doktorze, proszę!

Alamo, trochę wystraszony, wszedł.

- Co pan tu robi, niech pan się stąd wynosi! - zwymyślałem go. - Nie potrzebuję pana marnych leków.

- Przepraszam, pani - mówił do Lucy Lou, a na mnie tylko bojaźliwie spoglądał. - Informacje o starych substancjach są często bardzo niepełne, a czasem nawet fałszywe. Natychmiast, jak tylko pani mnie poinformowała, zacząłem poszukiwania i stwierdziłem, że narkotyk, który pan Koniasz przez tak długi czas zażywał, ma niewątpliwie i inne właściwości. Nie tylko jego ciało było wytężone znacznie poza granice możliwości, ale również jego mózg. Możliwe, że w przeszłości narkotyku używano właśnie z tego powodu, a efekt wzmagający siłę fizyczną jest jedynie wtórny. Obawiam się, że aby dokładnie objaśnić skutki, musiałbym być o wiele bardziej wykształcony w dziedzinie nauk zakazanych. Po prostu chodzi tu chyba o magię w tej najbardziej wyrafinowanej formie, magię połączoną z chemią i alchemią.

- Więc niech pan już w końcu da sobie spokój z tymi niedorzecznościami, niech pan mówi, czego chce, i spada - wykrzyknąłem.

- Obawiam się, to znaczy jestem prawie pewien, że osobowość pana Koniasza się rozpada - oznajmił.



Ocknąłem się na ziemi ze związanymi rękoma i nogami. Alamo siedział na krzeselku z obitą twarzą, jeden ze strażników miał rękę na temblaku. Lucy przyglądała mi się ze współczuciem. Pamiętałem wszystko. Rzuciłem się na Alama, powaliłem go na ziemię, jednocześnie zdołałem jednemu człowiekowi wyrwać kuszę i złamać rękę. Potem ktoś mnie uderzył z tyłu w głowę.

- Wiem, co się stało - powiedziałem, patrząc przy tym na Lucy. - Nie rozumiem, czemu to zrobiłem.

Położyła mi rękę na ramieniu i nie mówiła nic.

- Ale teraz czuję się zupełnie normalnie i pamiętam wszystko, również to, jak uderzyłem pielęgniarkę

- zwróciłem się do Alama.

Lekarz przyświadczył.

- Kiedy był pan nieprzytomny, dałem panu preparat uspokajający i... - zawahał się - użyłem zakazanego środka. Czaru od wieków ukrytego w kryształach. Pana przyjaciółka zapłaciła za niego trzysta złotych.

- Więc jestem wyleczony? - odetchnąłem. Lucy Lou pokręciła głową.

- Nie, to tylko chwilowe ozdrowienie. Wykorzystałabym cały swój majątek, żeby cię uratować. Doktor jednak twierdzi, że drugim takim cudem już nie dysponuje i nie wie o niczym podobnym.

- Ale ja naprawdę czuję się zupełnie normalnie, mam jasne myśli, nie mam żadnych urojeń jak wcześniej - próbowałem protestować.

- Niech pan spróbuje coś napisać - zaproponował mi Alamo i kiwnął na strażnika, żeby rozwiązał mi ręce.

Dostałem pióro i kawałek papieru. Zamoczyłem końcówkę w atramencie, przybliżyłem ją do kartki i zatrzymałem się. Nie umiałem pisać, nie wiedziałem, jak to się robi, nie znałem liter, po prostu nic.

- Pana osobowość jest w rozkładzie, połączenia między poszczególnymi częściami są naruszone, prawdopodobnie prędzej czy później zmieni się pan w pół-zwierzęcego potwora przepelnionego emocjami, które ostatnimi czasami w panu przeważyły. Lecz są to tylko moje przypuszczenia. Być może zmieni się pan w coś o wiele bardziej przerażającego, inteligentniejszego. W każdym przypadku jednak będzie pan niebezpieczny dla otoczenia. Drugą możliwością jest powrót do kuracji narkotykowej podobnej do tej, którą pan odrzucił. Użyte medykamenty musiałyby być jednak o wiele silniejsze i do końca życia znajdowałby się pan w odurzeniu narkotycznym.

Uwierzyłem mu. Uwierzyłem mu, ponieważ nagle umiałem czytać i pisać.

- Nie ma najmniejszej nadziei? Alamo się zawahał.

- Doktorze, proszę mnie zrozumieć. Ja nie chcę bić kobiet i mordować na poczekaniu jak szalony. Jeśli nie zdoła mnie pan wyleczyć, zabiję się. Nie mam innej możliwości.

Popatrzył na mnie, potem na Lucy.

- Jeśli jest pan zdecydowany umrzeć, może pan spróbować.

\*\*\*

Leżałem spętany na ziemi i obserwowałem Umwalda z Haroldem, jak zamurują otwór w stropie jaskini, przez który przed chwilą opuścili mnie na dół. Gdybym mógł, zabiłbym ich, tak jak każdego

innego człowieka. Powiesiłbym ich za ich własne wnętrzności. Te myśli napełniły mnie rozkoszą. Zbytecznie, związali mnie mocno.

- Masz na dole zapasy na dwa miesiące. Zostawię opuszczony przez otwór sznurek z małym koszykiem. Każdej nocy się tu pojawię i sprawdzę, czy nie włożyłeś do niego wiadomości. Wtedy cię wyciągniemy - krzychał do mnie z góry Umwald.

Potem rzucił w dół nóż, który spadł kawałek ode mnie. Ostatni rząd cegieł zmniejszył otwór do minimum, dno jaskini pogrzyżyło się w mroku, ledwo rozpoznawałem lśniąca ostrze. Wiedziałem, co zrobić. Oswobodzę się z pęt, wdrapię się na górę i załatwię wszystkich. Przecięcie sznurka trwało chwilę. Jak pajak przylepiony do ściany zacząłem wspinać się po chropawym murze. Po kilku metrach spadłem. To mnie zachęciło do większego wysiłku. Próbowałem wciąż od nowa, dopóki moje myśli się nie rozsypały, a ja nie pogrzyżyłem się w ciemności.

\*\*\*

Obudził mnie strach, że niedługo umrę. Leżałem bezsilnie na plecach, niezdolny do jakiegokolwiek ruchu, i spoglądałem na czarny sufit. Rozjaśniająca się i ponownie ciemniejąca plama oznaczała szybko płynące dni. Często traciłem przytomność, nie mogłem na niczym się skoncentrować, mózg mnie nie słuchał. Przychodziło mi na myśl słowo „delirium”, tylko nie wiedziałem, co to słowo znaczy. Podniebienie miałem stwardniałe z pragnienia, a język spuchnięty, aż mnie prawie dusił. Dopiero po bardzo długim czasie zrozumiałem, że już od wielu dni nie jadłem i nie piłem. Przypominałem sobie o zapasach, które mi zostawili. Czołgałem się, zataczając coraz większe kręgi, żeby je odszukać, ale znajdowałem tylko skorupy glinianych naczyń i czasem okruchy suszonego mięsa, które od razu łapczywie zjadałem. Jak zły sen przypominałem sobie wydarzenia minionych dni. W napadach wściekłości, z którymi nie mogłem sobie poradzić, rozrzucałem produkty po wszystkich kątach jaskini, naczynia z wodą rozbiłem i, co najgorsze, przerwałem sznurek z koszykiem, za pomocą którego miałem przekazać wiadomość. Pamiętam, jak wściekle skubałem go na kawałki, raz, dwa, wiele razy.

Jeszcze później przypominałem sobie nawet, dlaczego jestem pogrzebany za życia. Alamo w starych księgach odkrył, że dawnych czarowników, których osobowości zmieniły się przez niebezpieczne eksperymenty, zamykano na długi czas w wieży, gdzie nikt nie miał do nich bezpośredniego dostępu. W osamotnieniu i ciemności albo stawali się całkowitymi szaleńcami i prędzej czy później powodowali własną śmierć, albo dochodzili do siebie i mogli wrócić. Tylko że ci, którzy przeżyli, prawdopodobnie nie zniszczyli zapasów wody i żywności.

- Nie mieli prawa mnie tutaj zamykać!

Moja słabość nagle się ulotniła, stałem, krzychałem, na głowę sypał mi się kurz strącany echem mojego głosu.

- Zabić, powinienem wszystkich zabić, zanim mnie uwięzili. Wszystkich!

Przez przypadek wymacałem cienką zwisającą linkę. Wściekle nią szarpnąłem, ze stropu oderwał się kamień i powalił mnie na ziemię.

Uratował mnie deszcz. Gdzieś na górze, w świetle ludzi, zaczęło padać, woda przeciekała przez szpary zadaszenia, które postawili nad wąziutkim otworem jaskini, i kapała mi na twarz. Połykałem ją kropla po kropli i błagałem wszystkich nieistniejących bogów, żeby padało jak najdłużej. Trwało to dzień, może dwa czy trzy. Znow zacząłem szukać jedzenia i zamiast niego odkryłem koszyk na

sznurku z kartką papieru i gliną do pisania. Nagle wiedziałem, jak się wydostać na zewnątrz. Wystarczyło napisać jedno słowo. Przez wiele godzin, może nawet dni, trzymałem w ręce glinę, ale nie dałem rady. Nie wiedziałem, jak to się robi. Wściekle rozdarłem koszyk i wyruszyłem na poszukiwanie jedzenia. Chciałem żyć, bardzo chciałem żyć. Ciągłe nie odwiedziłem wielu miejsc, nie spotkałem wielu ludzi, nie przeżyłem wielu rzeczy. A ponadto było coś, co chciałem dokończyć. Bałem się, że nie dam rady, że umrę pod ziemią strawiony przez jakiś stary czar, wycieńczony ogólną słabością jak pływak, który przecenia swoje siły i tonie kawałek od brzegu. Nie pamiętałem, kiedy ostatnio aż tak bałem się śmierci.

Czołgałem się w ciemności po ziemi, oblizywałem kamienie, na których zostały resztki wyschniętych i rozdeptanych kawałków jedzenia, i radowałem się z każdej kropli wilgoci. Myślałem coraz jaśniej, napady wściekłości ustępowały, tylko ja byłem coraz słabszy i w końcu z trudnością się poruszałem. Wiele czasu spędzałem przy koszyczku z papierem, który zawsze jakimś cudem znajdował się w jaskini. Już go nie niszczyłem, tylko między palcami rozkruszałem glinę do pisania, gdy desperacko próbowałem napisać jedno jedyne słowo. Został z niej mały ogryzek, już nawet nie zdołałem porządnie jej złapać i czekałem na definitywny koniec z oczami utkwionymi w stropie. Miałem wzrok tak słaby, że nie potrafiłem rozróżnić dnia od nocy.

\*\*\*

Zapach bulionu wołowego, pokarmu rannych i chorych. Rozchyliłem powieki. Światło było oślepiające, więc natychmiast zamknąłem oczy z powrotem. Leżałem w czystej jedwabnej pościeli, ktoś mnie karmił. Byłem tak słaby, że nawet oddychanie przychodziło mi z trudem.

Kiedy po raz drugi się ocknąłem, stała nade mną Lucy. Wyglądała na starszą, niż pamiętałem.

- Dałeś radę. Byłeś pod ziemią dwa i pół miesiąca. Alamo twierdził, że musisz zbliżyć się do śmierci najbardziej jak to tylko możliwe. Chcę, żebyś wiedział, że to było ciężkie. Bardzo ciężkie. Dręczyć przyjaciela, kogoś, kogo się lubi. Już nigdy nic takiego nie zrobię, raczej pozwolę ci umrzeć. I podziękuj Umwaldowi, on jedyny wierzył, że dasz radę.

Położyła na kołdrze garść pomiętych, pomazanych gliną papierów i odwróciła się szybciej, niż zdążyłem porządnie zobaczyć jej twarz.

Świstków nie zdołałem sam przejrzeć, ponieważ ciało dalej mnie nie słuchało. Pielęgniarka musiała trzymać mi je przed oczami. Było ich czterdzieści dwa. Początkowo puste, później namazane jakieś bezsensowne bazgroły, na dwudziestej kartce w kolejności pojawił się pierwszy kształt, w którym przy odrobinie uporczywości można było rozpoznać kostropatą literę. Potem czytelnych znaków przybywało, ale wciąż nie miały żadnego sensu. Od trzydziestej kartki formy liter znów zaczynały być niewyraźne, jakby autor tracił siły. Na ostatniej, czterdziestej drugiej, rozchwianie i trochę nieczytelnie wypisano: Chcę żyć.

Na chwilę zalała mnie intensywna nienawiść do ludzi, którzy to wszystko spowodowali. Leżałem bez tchu, atak przeszedł i nie pozostawił we mnie żadnych następnych krwawych wyobrażeń. Nie chciałem pomścić siebie, ale martwych.

Znów zacząłem ćwiczyć. Najgorszy był początek, zmusić do posłuszeństwa ręce. Alamo twierdził, że tak jak na początku poszczególne części mojej osobowości nie łączyły się we właściwy sposób, teraz mam podobne problemy z ciałem. Nie słuchałem doktora, to znaczy nie za bardzo go słuchałem. Po czternastu dniach rozpaczliwych starań udało mi się samemu usiąść na łóżku, po następnym tygodniu -

wstać. Wtedy przyłapała mnie Lucy.

Zapukała, ja jednak nie miałem siły, żeby odpowiedzieć. Utrzymanie się na nogach wymagało całej mojej uwagi. Weszła i przez chwilę bacznie mi się przyglądała.

- Dasz radę - powiedziała tylko i wyszła.

Rozumiała mnie. Litość, współczucie albo próba pomocy tylko by mnie osłabiały.

Po miesiącu, na początku grudnia, po raz pierwszy odważyłem się wyjść na zewnątrz. Ciągłe byłem słaby jak niemowlę, wystarczyło, żeby w tłumie ktoś lekko się o mnie otarł, i miałem problemy z utrzymaniem się na nogach. Zacząłem chodzić po fenidońskich rusznikarzach i kupować sobie nowe wyposażenie. Lucy pożyczyła mi pieniądze, chociaż jej nie obiecywałem, że będę mógł wszystko oddać. Na kilku starych kontach miałem jeszcze ulokowane jakieś pieniądze, ale nie wydawało mi się właściwe, żeby teraz z nich skorzystać. Obawiałem się, że mogliby się o tym dowiedzieć ludzie, dla których powinienem być martwy.

Harowałem do utraty sił. Po zmroku wychodziłem na ulice Fenidong i biegałem, dopóki nie padałem ze zmęczenia. W dzielnicy portowej odkryłem schody wiodące aż do poziomu rzeki. Sto czternaście stopni po dwadzieścia siedem centymetrów. Zmierzyłem je, ponieważ po raz pierwszy zatrzymałem się bez tchu w połowie i musiałem się przekonać, czy to są naprawdę zwyczajne schody. Później po swojej drodze tortur wbiegałem dwa razy, potem pięć, a w końcu pięćdziesiąt razy z rzędu.

Zacząłem ćwiczyć z bronią, ale nie wychodziło mi tak jak kiedyś. To nie byłem ja, lecz układanka, którą ktoś złożył ze starych, rozbitych skorup. Straciłem zwinność i dokładność, szybko brakowało mi tchu. Musiałem myśleć o każdym ruchu, o każdym oddechu, a w duchu nie przestawałem porównywać się z facetem, który żył w moim ciele przed bitwą przy moście. Za każdym razem, kiedy traciłem nadzieję, że się wygrzebię ze swojej bezsilności, kiedy chciałem się poddać, przypominałem sobie niekończący się rząd płonących wozów.

\*\*\*

W połowie lutego przed wieczornymi dzwonami wyszedłem za miejskie mury. Już wcześniej wybrałem sobie miejsce, gdzie przy odrobinie zwinności dało się wdrapać od zewnętrznej strony, żeby przeskoczyć ponownie w obręb miasta.

Pofałdowana równina wokół Fenidong była zaśnieżona, ale wiatr obnażył długie grzebienie obłych pagórków, po których dało się biegać bez grzęźnięcia w głębokich zaspach. Wiał ostry, zimny wiatr, kryształki lodu skrzypiały na powierzchni śniegu. Niebo było jasne, a księżycowi do pełni brakowało trzech dni. Byłem sam pośród bezludnego terenu, za mną wznosił się ciemny cień śpiącego miasta. W oddali zawył pies. Płaszcz i rękawice położyłem na ziemi, miecz wbiłem w śnieg i ostrym kłusem ruszyłem po ciemnej, gliniastej drodze otaczającej szerokim łukiem mury obronne.

Biegłem, wiatr świszcział mi koło uszu, chłód palił w płucach. Często się potykałem. Upadłem, zdążyłem zrobić fikołka, ale przy tym kolaniem uderzyłem się w brodę, aż zaczęły mi się ruszać przednie zęby. Podniosłem się i biegłem dalej. Wycie psa znów się rozległo, tym razem bliżej. Było mi gorąco, bicie serca odczuwałem jak dudnienie dzwonów. Przebiegłem przez głęboki rów wypełniony śniegiem i zmieniłem kierunek, żeby długim łukiem wrócić do murów obronnych. Za sobą ujrzałem psa. Ścigał mnie, ale tak, żeby nie przecinać moich śladów.

Po następnym kilometrze były już trzy zwierzaki, a po kolejnym zrozumiałem, że to nie psy, lecz

wilki. Kiedy wróciłem do swoich rzeczy, było ich sześć. Zima musiała być naprawdę ciężka, skoro odważyły się podejść do miasta, do centrum cywilizowanego świata. Wyciągnąłem ze śniegu miecz, lewą ręką złapałem sztylet. Wilki stały w odległości dziesięciu metrów i bacznie mi się przyglądały. A potem zrobiłem coś, czego do dziś nie rozumiem.

Odłożyłem miecz, zdjąłem kurtkę i tylko z nożem w ręce, lekko ubrany, po własnych śladach rozpocząłem następną rundę. Wilki natychmiast pobiegły za mną. Największy z nich po kilku metrach dogonił mnie i biegł równolegle ze mną. Wydłużyłem krok. Z pewnością były głodne i osłabione, jednak to były wilki. Nie mogłem im uciec.

Potknąłem się. Nie starałem się odzyskać równowagi, zamiast tego odbiłem się w bok, robiąc przewrotną, stanąłem znów na nogi i gnałem dalej. Przywódca stada natychmiast wykorzystał moje zawahanie i rzucił się na mnie. Skacząc, sieknąłem go nożem przez mordę. Zawył i wrócił do pozostałych. Dwa razy próbowały mnie powalić na ziemię i dwa razy się poddały. Bały się. Kiedy ponownie wróciłem do swoich rzeczy, koszulę miałem przesiąkniętą potem, ale oddychałem regularnie, a rękojeści noży w moich dłoniach znów były godne zaufania i znajome. Ubrałem się i wspiąłem na mury. Wróciłem. Albo, dokładnie mówiąc, wrócił ktoś, kto był bardzo do mnie podobny, lecz twardszy, ostrzejszy i bardziej szalony. Nie pamiętałem, żebym wcześniej dobrowolnie biegał z wilkami po pokrytych śniegiem równinach.

\*\*\*

Pod koniec marca pożegnałem się z Lucy Lou i znalazłem sobie zakwaterowanie w taniej gospodzie. Sam, bez ludzi, którzy przypominaliby mi przeszłość, czułem się silniejszy. W prezencie dostałem od nich spis wszystkiego, co zdarzyło się w Fenidong po naszym odejściu, a co mogłoby w jakikolwiek sposób łączyć się z karawaną Masnera. O Krystynie już prawie nie myślałem, może tylko czasem tuż przed zaśnięciem i we śnie. Jednak jeden albo dwa dzbany nierozcieńczonego wina dobrze tłumili nawet te wspomnienia. Włosy obciąłem na języka i zapuściłem brodę tej samej długości. Na twarzy miałem parę nowych blizn, jedna przedłużała lewy kącik ust w dół, więc wyglądało, jakbym wciąż z jakiegoś powodu robił grymas. Nigdy nie byłem piękny, ale kiedy teraz czasem widziałem się w lustrze, sam siebie się bałem. Miało to jedną zaletę, nikomu nie przyszło do głowy łączyć mnie z tym pewnym siebie „prawie przystojniakiem”, który przed nieledwie rokiem został wynajęty przez adwokata Masnera na największe zlecenie swojego życia.

Mimo że nie miałem pojęcia, przeciwko komu dokładnie działałem, tamten z pewnością dysponował ogromnymi środkami, a ja byłem sam. Moją zaletą było to, że nikt nie miał o mnie pojęcia, dla wszystkich byłem martwy. Gdybym zbyt nieostrożnie wypytywał w nieodpowiednich miejscach, zwróciłbym na siebie uwagę, a to by oznaczało koniec zabawy. Potrzebowałem informacji, które wskażą mi kierunek, żebym potem w odpowiednim momencie mógł działać z zaskoczenia i zaatakować. Zdecydowałem się zacząć swoje śledztwo od dolnego końca drabiny społecznej, gdzie nie będę miał problemu z zachowaniem anonimowości.

Z kartki od Lucy dowiedziałem się, że bankier Guiny niedawno został zamordowany. Nawet najdokładniejsze śledztwo nie wykryło sprawcy. Ktoś podpalił siedzibę Hatovu, tylko że armator podobno zdążył uciec i od tego czasu nikt już go nie widział. Plotkarze twierdzili, że został piratem. Urząd podatkowy oskarżył Klan Haurów o manipulacje podatkowe, ponadto anonimowy donos sprawił, że rozpoczęło się dochodzenie dotyczące wykorzystywania w niewłaściwym celu starej wiedzy i zakazanych praktyk przez Wielki Konwent. Najciekawsze było to, że wszystkie oskarżenia

zostały później wycofane. Jeśli chodzi o mnie, co rusz widywałem ogłoszenie ze swoim portretem i napisem: „Poszukiwany żywy lub martwy”.

Jedynie gwiazda gubernatora Valera wciąż błyszczała, a nawet wydawało się, że świeci coraz jaśniej. W ciągu roku wybudował sobie wygodne rodzinne siedlisko na wsi, podobno żeby odpocząć od wymagającego wielkiego wysiłku urzędu gubernatorskiego. Lucy Lou podkreśliła, że chodzi o kosztowną i dobrze zabezpieczoną siedzibę. Gubernator z pewnością myślał perspektywicznie, zabezpieczając się na czas, kiedy okres jego kadencji się skończy. Lucy wspominała również o ekstrawaganckiej bransolecie z dużym kryształem, którą Valer zaczął nosić na lewej ręce. Spowodował tym nawet nową modę. Kiedy wszyscy umierają, a jeden prosperuje, jasne jest, kto jest podejrzany.

Ponieważ kończyły mi się pieniądze, wynająłem się na trzy tygodnie do ochrony statków przewożących towary. Pracodawca na koniec chciał zatrzymać sobie połowę mojego żołdu za jedzenie i mieszkanie. Jako że podczas przyjmowania do pracy nie padło na ten temat ani jedno słowo, wziąłem sobie, co do mnie należało, a także pewne wyrównanie za niewygody. Za żołd kupiłem odzież podróżną i wyposażenie potrzebne do wędrówki po dzikich ostępach, za wyrównanie - dobrego konia z uprzężą. Ponieważ nie miałem żadnego punktu zaczepienia, zdecydowałem wyruszyć po trasie karawany, spróbować szczęścia w pobliskich wioskach i miasteczkach i popytać ludzi. Duno musiał zostawić po sobie ślady, ktoś z jego ludzi się upił, wygadał, zwierzył dziewczynie, z którą bardzo miło spędził noc.

Dla pewności najpierw zatoczyłem duże koło wokół Fenidong i odwiedziłem wszystkie wsie. Do trasy karawany dołączyłem z zachodu, w odległości trzech dni jazdy od miasta. Nie znałem okolicy, ponieważ do karawany dołączyłem później. Wioskę Bryboh pamiętałem jednak ze wzmianek Kowalskiego. Słynęła z końskich targów i cwanych koniarzy. W niedalekim majątku kupił wtedy konie i woły pociągowe dla własnych wozów.

Swojego gniadosza zaprowadziłem do najemnej stajni, wytarłem do sucha wiechciem słomy i ze wspólnego worka nasypałem mu szczodłą porcję owsa. Takiego luksusu nie miał już bardzo długo, a zasłużył sobie na to. Przy szynkwasio zapłaciłem oberżyscie za pokój dla siebie, stajnię dla konia i zamówiłem coś do jedzenia. Usiadłem przy stole w rogu. Przez okno z lewej strony widziałem, co się dzieje na zewnątrz, a jednocześnie miałem na Oku wszystkich obecnych. Była to gospoda z małymi oknami, dymiącymi lampami i zapachem zjełczanego oleju w powietrzu, wiejska gospoda ze szczodrymi porcjami i silnymi, bojowymi dziewczynami, które pozwalają się czasem poklepać po pupie, ale nic więcej. Jeśli przeberzecie miarę, dostaniecie po mordzie, a potem wam przyłożą miejscowi stali goście. Nie miałem najmniejszej ochoty poklepywać żadnej kobiety po tyłku. Gdyby to zależało ode mnie, w ciągu jednej nocy wszystkie mogłyby spokojnie zniknąć ze świata. Na jedzenie też jakoś specjalnie się nie cieszyłem. Po tygodniach włóczenia się po najgorszych spelunach, jakie można znaleźć w krajach Ligi Handlowej, miałem powyżej uszu popłuczyn podawanych jako piwo, a od zapachu drożdży wydobywającego się z pucharu z winem robiło mi się niedobrze. Tutaj piwo było tańsze niż gdzie indziej i niewiele lepsze. Nie oznaczało to nic ponad to, że dało się je wypić bez skurczu mięśni twarzy. Jedzenie przyniósł mi oberżysta osobiście. Chyba bał się posłać do mnie którąś ze swoich pomocnic. Wyszukałem sobie miejscowego obiboka, który najwyraźniej był biedny jak mysz kościelna, i zamówiłem mu piwo. Wypił je, ale się nie przysiadł. Drugi dzban kazałem przynieść do swojego stołu. Dopiero to go przekonało, że opłaca się dotrzymać mi towarzystwa.

- Jak tam życie? - zacząłem takim zdaniem, na które większość ludzi reaguje.

Chwyciło i przez pół godziny opowiadał mi o rzeczach, które mnie wcale nie interesowały. W tym czasie zamówił dwie następne kolejki.

- Wygląda pan jak jeden z tych, którzy tu byli wcześniej. Nie lubili, jak się ich za bardzo wypytywało, za to dużo słuchali - powiedział z krzywym uśmiechem po kilku następnych piwach.

Ta uwaga mnie zainteresowała. Zrobiłem przyjazną minę, zamówiłem następny dzban i zacząłem ostrożnie wypytywać. Do każdego pytania dodawałem nowe zamówienie. Sam nie piłem, tylko moczyłem usta.

W końcu dowiedziałem się, że w gospodzie jakoś w połowie zimy zameldowało się trzech facetów. Wnioskując z ekwipunku i zachowania - uzbrojonych najemników bez skrupułów. Nic nie robili, tylko obserwowali, o czym ludzie gadają i kto dokąd jedzie. Nie oszacowali dobrze miejscowej siły i pozwalali sobie ze służącymi. Dlatego grunt zaczął im się palić pod nogami i miesiąc temu przeprowadzili się do wsi obok.

Wczesnie rano wyruszyłem. Sąsiednia wieś leżała dobre trzydzieści kilometrów dalej. Mój gniadosz wciąż jeszcze nie był wypoczęty, dlatego pozwoliłem mu iść jego własnym tempem i do celu dotarłem dopiero pod wieczór. Wioska była o wiele mniejsza niż Bryboh, za to gospodę ze stajnią miała o wiele większą, ponieważ służyła jako stacja przeprzęgu dla kurierów i handlowców. Zaprowadziłem konia do stajni. Wolne miejsce znalazłem dopiero w boksie najbardziej oddalonym od bramy. Wyczyściłem go zgrzeblem, nakarmiłem, napiłem. Tymczasem zapadł zmrok, w pomieszczeniu zapanowała zupełna ciemność. Nie zapalając żadnej z zawieszonych lamp, skierowałem się do wyjścia. Nagle skrzypnęły wrota i do środka weszło dwóch mężczyzn. Instynktownie cofnąłem się do najbliższego boksu.

- Ma tyłek jak styryjski wałach, a najlepsze jest, że nawet nie piśnie. Powiedziałem jej, że ją zarżnę razem z tym jej bachorem, jeśli się gdzieś wygada.

Wyglądało na to, że uśmiechnęło się do mnie szczęście. Tych dwóch nie wyglądało na typowych gości wiejskiej gospody.

- Czasem zła opinia nie jest zła. Cieszę się, że nas wygnali z Bryboh. Tutaj wszyscy się nas boją i mamy się dobrze. Nie rozumiem, dlaczego chcesz podnosić kotwicę.

Wstrzymałem oddech, żeby nie umknęło mi ani jedno słowo.

- Już mnie nie bawi przesiadywanie w jednym miejscu i patzenie, kto jedzie na południowy wschód i dlaczego - odpowiedział drugi mężczyzna. - Straszna nuda.

- Jesteś głupi. Czy w życiu ktoś ci płacił, i to dobrze płacił, za wysiadywanie w gospodzie? Przez całe trzy miesiące musieliśmy zdjąć tylko trzech facetów, którzy kierowali się w stronę Gór Grimma i dużo wypytywali. I wliczam w to tego dziadygę. Nie wygłupiaj się, lepszej pracy w życiu nie znajdziemy.

Było ich dwóch. Miałem duże szanse, że uda mi się jednego zabić, a drugiego wziąć do niewoli. Potrzebowałem go żywego, ponieważ chciałem spytać o wiele rzeczy. Koń w boksie, w którym się ukrywałem, zaczął załatwiać swoje potrzeby. Stał zadem odwrócony do mnie, łajno spadało na ziemię tuż obok moich nóg. Nagle zrobił krok w tył i na ramieniu poczułem ciepły mocz. Przykleiłem się bardziej do przegrody i ostrożnie przesuwalem tuż przy boksach, skryty za środkowym słupem.

Wyciągnąłem miecz i sztylet. Ruszyłem do ataku.

Wyciągnąłem z nich wszystko, co wiedzieli. Nie było tego dużo. Najwięcej obiecywałem sobie po imieniu żołnierskiego agenta, który załatwiał im pracę. Pieniądze zawsze dostawali za miesiąc z góry. To oznaczało, że mój nieznajomy, w którym przeczuwałem Valera, regularnie płaci żołnierskiemu agentowi. Krew, która została na drewnianych belkach, zamazałem gnojem, a tych dwóch wrzuciłem do wody z kamieniami u szyi.

Miałem szczęście. Już tydzień po tym, kiedy zacząłem śledzić żołnierskiego agenta, miał spotkanie z człowiekiem, który starał się zamaskować. Długi płaszcz, kapelusz wciśnięty głęboko na oczy i podniesiony kołnierz bywają czasem bardzo podejrzane. Śledziłem go aż do haurskiej cytadeli. Im dalej, tym ciekawiej. Zaczynało mi się rysować interesujące połączenie: gubernator - czarownicy. Zdecydowałem się zaryzykować i przekonać, co wie żołnierski pośrednik.

Zacząłem się na niego, gdy wracał wieczorem do domu z gospody. Zaciągnąłem w uliczkę i z nożem przy szyi próbowałem wypytać. Niestety, umarł, zanim zdążyłem się czegokolwiek dowiedzieć, przy czym nawet go nie dotknąłem. Wyglądało to na problemy z sercem.

Wydawało mi się, że wiem wystarczająco dużo, żeby dokładnie się przyjrzeć samemu panu Valerowi. Zdecydowałem się odwiedzić go w jego nowej siedzibie, i tak było tam mniej ludzi niż w gubernatorskim pałacu.

\*\*\*

Leżałem na szczycie muru i patrzyłem w dół, na ciemny ogród. Siedlisko Valera wyglądało jak zameczek z przybudówką gospodarską. Okoliczny park miał powierzchnię kilku hektarów i był otoczony trzymetrowej wysokości murem zakończonym ostrymi żelaznymi grotami wpuszczonymi w szpary między kamieniami. Podścieliłem sobie dwudziestocentymetrową warstwę derek. Księżyc był w nowiu, a między chmurami na niebie pobłyskiwało tylko kilka samotnych gwiazd.

Parku pilnowała zgraja psów wyćwiczonych do łapania ludzi, ponadto niektóre z nich miały zoperowane więzadła głosowe, żeby nie mogły szczekać. Pierwotnie chciałem załatwić jedno zwierzę po drugim przy pomocy przynęty i duszącej pętli ze stalowej struny na długim drągu, ale minionej nocy naliczyłem psów ponad dwadzieścia. Dlatego przyprowadziłem ze sobą rozwścieczoną sukę specjalnej rasy, hodowaną do walk. Ważyła dobre sześćdziesiąt kilogramów, była ostrzejsza niż naostrzona na skórze brzytwa i nie miała zrozumienia dla żadnego psiego zalotnika. Pierwszy właściciel się jej pozbył, ponieważ podczas prób sparzenia zabiła już trzy walczące czempiony. Zostawiłem ją w skrzyni z zamkiem czasowym przy ścianie na drugim końcu ogrodu. Ironią losu było to, że mechanizm był dziełem Haurów. Skrzynia miała się otworzyć koło drugiej w nocy. Miałem nadzieję, że suka skoczy do ogrodu, a nie na zewnątrz. Już cztery dni czekałem, aż nadejdzie wystarczająco ciemna noc i jednocześnie będzie wiał ciągły delikatny wiatr, żeby suka czuła psy, a nie odwrotnie. Potrzebowałem rozruchu, ale rozruchu w odpowiednim czasie.

Tuż przy domu rozciągał się drugi, wewnętrzny mur. Według relacji niższy, zaledwie dwumetrowy. Za nim nie powinno być już żadnych psów, tylko strażnicy. Drogę, po której chciałem do niego dobiec, znałem w najmniejszych szczegółach, pamiętałem położenie każdego krzewu i drzewa w okolicy. Mój plan był prosty. Zwabić wszystkie psy do jednej części ogrodu, przebiec przez park, przeleźć przez wewnętrzny mur, a potem przy pomocy liny z kotwicą dostać się na dach, a z niego do domu. Był jednak pewien szkopał. Największy taki, że nie byłem pewien, czy zdołam te sto metrów



przebiec szybciej, niż psy zdadzą sobie sprawę z mojej obecności. Miałem ochotę zaryzykować. Dziewięćdziesięcioletni starcy nie mają wiele do stracenia.

Kiedy wiatr na krótko ucichł, wydawało mi się, że słyszę szczęk metalu i cichy skok drapieżnika na trawę. Wstrzymałem oddech i nadstawiłem uszu, żeby ruszyć przy pierwszym znaku psiej utarczki. Ubrany byłem w luźny strój z ciemnoczerwonego jedwabiu. Większość ludzi myśli, że w ciemnościach najmniej widoczna jest czerń. To jest oczywiście prawda, ale wystarczy najmniejszy nawet odbłask światła i nasycona czerń natychmiast rzuca się w oczy. Na kolor ciemnoczerwony oko ludzkie jest mniej wyczulone. Twarz zakrywała mi maska, ręce miałem pomalowane na czarno sadzą pomieszaną z kleistym sokiem z mydlnicy, do oczu wkropliłem sobie wywar z koritanu, żeby nie świeciły mi się białka. Nie miałem miecza, jedynie zestaw noży do rzucania i dwa noże do walki z bliska. Jedyńm człowiekiem, z którym chciałem się spotkać, był pan Valer. W lewej ręce trzymałem luźno zwinięte pętle liny z kotwicą.

Ciszę przerwało krótkie warknięcie i następujące po nim wycie z bólu. Miałem nadzieję, że suka nawet mimo przewagi psów nie da się tak łatwo. Kolejne skamlenie, nagle cisza zamieniła się w szaleństwo psiego ujadania. Zeskoczyłem z muru, lewa noga mi się wykręciła, ale na szczęście, upadając, zwinąłem się w kłębek. Biegłem jak najszybciej mogłem. Mniej więcej w połowie drogi gdzieś z lewej usłyszałem przyduszony warkot i poczułem za sobą poruszający się cień. Przyspieszyłem. W pierwszych oknach w domu zapaliło się światło.

Szczekania, wycie i charczenie zwierząt rozlegało się zewsząd, stróżujące psy rozkojarzone przez morderczą sukę z pewnością zaczęły walczyć same ze sobą. Usłyszałem wyraźny trzask zębów, jeszcze bardziej wydłużyłem krok. Wewnętrzny mur nagle wyrósł bezpośrednio przede mną. Nie traciłem czasu na przełazenie, odbiłem się tylko w biegu i skoczyłem. Przeturlałem się przez szczyt i jak worek spadłem z drugiej strony na ziemię. Na nieszczęście kawałek dalej stał strażnik. Widziałem go na tle jasnych okien, on mnie na ziemi w klombie kwiatów dostrzec nie mógł. Słyszał jednak odgłos upadku. Wyciągnął miecz i otworzył usta do ostrzegawczego krzyku. Zanim zdążył wydać głos, przez mur mignął ciemny cień i powalił go na ziemię. Mój prześladowca był wytrwalszy i sprawniejszy, niż zakładał jego pan. W momencie, kiedy pies stwierdził, że zagryzł niewłaściwą osobę, już wspinałem się po dzikim winie na taras.

Przeskoczyłem poręcz i przysiadłem w kucki przy ścianie. Po intensywnym wysiłku ciężko oddychałem, ale na szczęście wokół panował taki chaos, że pozwoliłem sobie nawet odkaszlnąć. Słyszałem pokrzykiwania straży i psiarzy, nerwowe rozkazy i meldunki. Sądząc po wszystkim, nie mieli w ogóle pojęcia, co wywołało psią wojnę. Miałem nadzieję, że większość strażników jest teraz na zewnątrz. Wprawilem w ruch kotwicę i luźnym łukiem rzuciłem ją na dach. Z wyjątkiem grotów owinałem ją cienkim konopnym sznurkiem, ponadto dach był porośnięty sztuczną trawą. Użyteczna moda. I tak mnie zdziwiło, że zaczepienie nie wywołało żadnego hałasu.

Ostrożnie zacząłem się wspinać na dach i jednocześnie uważałem, żeby lina napinała się równomiernie. Siedem metrów wspinania trwało parę sekund. Linę wciągnąłem za sobą, położyłem się przy centralnym kominie i czekałem. Przypuszczałem, że aż do rana ochrona będzie w pogotowiu. Dalsza część pracy czekała na mnie dopiero następnej nocy. To jest we włamywaniu najtrudniejsze. Dokładne oszacowanie reakcji przeciwnika w czasie i opanowanie własnych nerwów. Na obcym terenie człowiek czuje się o wiele bardziej narażony na zranienie.

Mój wzrok stopniowo przyzwyczaiał się do ciemności, obserwowałem okolicę. Na dach prowadziły

dwa wejścia. Z jednego nie było mnie widać, ponieważ na linii wzroku stał komin, drugi był bezpośrednio przede mną. Miałem nadzieję, że dachu nikt sprawdzać nie będzie. Po półgodzinie czekania usłyszałem skrzywienie drzwi na strych i dudniące kroki. Valer nie płacił swoim ludziom na próżno. Świetlik po drugiej stronie komina się otworzył, płomień pochodni wyrysował na moment ostre cienie.

- Czysto - skonstatował zadowolony głos.

W chwili kiedy pierwszy świetlik się zamknął, ze skrzywieniem zaczęło się otwierać okno przede mną. Przykleiłem się do ściany komina, więcej nie zdążyłem zrobić. Padło na mnie światło, zamarłem jak kameleon i nasłuchiwałem z głową opuszczoną do ziemi. Opanowałem potrzebę popatrzenia na mężczyznę. Płomień pochodni odbiłby się nawet w moim mętym białku. Zamiast tego nasłuchiwałem i w napięciu czekałem na jakikolwiek znak zaskoczenia czy przestachu.

- Tutaj też czysto - powiedział strażnik i wycofał się do środka.

Nie stał ode mnie dalej niż pięć metrów. Ostra granica między światłem a ciemnością wyczynia czasem z ludzkimi zmysłami dziwy. Otarłem pot z czoła i usiadłem wygodniej. O świcie, kiedy ruch w końcu się uspokoił, ostrożnie otworzyłem boczny świetlik i przedostałem się na strych. Zgodnie z planem pokoje Valera znajdowały się bezpośrednio przede mną. Nie spieszyłem się. Z góry już liczyłem się z tym, że będę czekał cały dzień, i przyniosłem ze sobą butelkę wody. Przyczołgałem się aż do klapy w podłodze, przysłuchiwałem dźwiękom domu i jego mieszkańców i starałem zwracać uwagę na wszystko, co mogło mi się jakoś przydać.

Zgodnie z tym, co usłyszałem z rozmów niższych urzędników, Valer powinien przyjechać wieczorem. Miałem nadzieję, że to prawda, ponieważ nie chciałem spędzić na strychu kolejnego dnia. Pokojami pana domu zajmowały się dwie służące i kulawy facecik. Reszta służby i strażę z pewnością trzymali się na niższych piętrach. Jedna z kobiet zawołała kulawego, ponieważ okno w gabinecie osiadło i tarło. Słyszałem, jak mężczyzna ciężko wchodzi po schodach, na półpiętrze się zatrzymał, pewnie po to, żeby odpocząć, i przy tej okazji głośno postawił na ziemi ciężką torbę z narzędziami.

Miałem szczęście. Ramę okienną naprawiał dłutem, a później papierem ściernym. Wykorzystałem hałasy i zszedłem piętro niżej. Poruszałem się na palcach i uważałem na każdy krok. Moja szansa tkwiła w tym, że nikt nie będzie miał o mnie najmniejszego pojęcia.

Prywatne skrzydło Valera było podzielone na trzy pokoje, sypialnię, gabinet z biblioteką, salonik dla gości i antresolę, z której prowadziły schody na dół. Antresolę ozdobiło wiele kwiatów rosnących w wielkich kamiennych naczyniach. Kiedy służący wychodził, kuliłem się pod stołem ukryty za dużym pokojowym fikusem. Gdy tylko zszedł kawałek po schodach, szybko otworzyłem drzwi do gabinetu, przedostałem się do środka i znów za sobą zamknąłem. Teraz byłem względnie bezpieczny.

Czekałem i myślałem o wszystkim, o co spytam Valera i co mu zrobię. Z rozmyślań wyrwał mnie turkot podjeżdżającego powozu, przez chwilę spoglądałem przez okno na elegancki wóz zaprzężony w cztery konie. Kto z niego wysiadł, nie widziałem, ponieważ powóz zatrzymał się poza zasięgiem mojego wzroku.

Schowałem się za drzwiami. Przypuszczałem, że tutaj Valer przyjdzie sam. Wraz z powrotem pana domu służba się przebudziła i zewsząd było słychać ruch. W końcu usłyszałem kroki na schodach. Dostojne, spokojne i poważne. W dłoni trzymałem nóż, ręce mi się trzęsły. Przyszło mi do głowy, że za mocno, jak nataką prostą rzecz, jaką zamierzałem wykonać. Powietrze stało się cięższe, źle mi się

oddychało. Miałem tylko nadzieję, że to nie jest żaden atak przepowiedziany przez doktora Alama. Drzwi się otworzyły, spróbowałem się skoncentrować, w chwili kiedy chciałem ruszyć z miejsca, ugięły się przede mną kolana, a nóż wypadł mi z ręki.

- Powietrze jest już czyste, może pan wejść do środka - powiedziała ta rozmazana twarz przede mną.

Głos już kiedyś słyszałem, a niewyraźne rysy twarzy wyglądały znajomo. Do pokoju wszedł kolejny mężczyzna. Powoli powracał mi wzrok, chociaż ciało pozostawało sparaliżowane. Poznałem ich obu. Nade mną stał Wielki Mistrz Haurskiego Klanu i sam gubernator. Twarz Valera wykrzywił grymas nienawiści, w jego ręku pojawiła się drewniana pałka. Rozmazany cień wypełnił moje pole widzenia i eksplodował mi w oczy. To nie mogło skończyć się dobrze. Usłyszałem pęknięcie chrząstki nosa i straciłem przytomność.

\*\*\*

Ocknąłem się na podłodze w więzieniu pod pałacem gubernatorskim. Chcieli mnie zamknąć w ciężkim lochu, ale nie mogli znaleźć klawisza z kluczami do drzwi na głębszych piętrach. Mimo że pękała mi głowa, nie widziałem na jedno oko, a z nosa ciekła krew, starałem się zapamiętać wszystkie szczegóły. Byłem doskonale związany i nie mogłem się nawet ruszyć.

Pierwsze piętro więzienia, gdzie na wyrok czekali ludzie obwinieni o lżejsze przestępstwa, jak drobne kradzieże, oszustwa podczas sprzedaży czy niedotrzymanie któregoś z licznych rozporządzeń gubernatora, tworzyły wielkie klatki z grubych na palec żelaznych krat. W każdej takiej klatce tłoczyło się kilka osób.

Znaleźli klucze i po kręconych schodach zanieśli mnie do podziemnej jaskini, częściowo przebudowanej na pomieszczenie z salą tortur umieszczoną pośrodku. Oficjalnie fenidoński system prawny nie dopuszcza tortur, to musiało być osobiste ulepszenie Valera. Za cele służyły dziury dziesięciometrowej głębokości, o średnicy od jednego do dwóch metrów. Na ich dnie w ciemności i smrodzie na kupce słomy gnietli się ciężcy zbrodniarze.

Na mnie czekała duża klatka, dziesięć na dziesięć metrów, umieszczona mniej więcej pośrodku jaskini. Przepływał przez nią mały strumyczek, a większość powierzchni zajmowały narzędzia tortur. Pomieszczenie oświetlało kilka łuczyw. Wielki Mistrz metalowymi kajdanami przymocował moje nadgarstki do prętów krat, popatrzył na mnie nieodgadnionym spojrzeniem i wyszedł. Zamek z brzękiem się zatrzasnął. Valer stał w odległości dwóch metrów, w dłoni trzymał klucze i miał triumfalną minę. Wyglądał tak samo jak wcześniej, może trochę bardziej dostatnio i był bardziej zadowolony.

- Macie wolne - powiedział do oficera straży więziennej i ludzi, którzy mnie tutaj przynieśli. - Do rana nie chcę tu nikogo widzieć!

Mężczyźni bez żadnych uwag odeszli, zachowanie pana gubernatora z pewnością ich nie dziwiło.

Pochodnie syczały, woda kapała z sufitu, oczy Valera tonęły w cieniu. Widmo przeszłości wróciło i wypełniło podziemną salę. Trzask płonącego mostu, jęki umierających, lamenty wystraszonych kobiet i dzieci, czarny, duszący dym podpalanych wozów. Czarna kurtyna zapomnienia opadła, nagle całkiem wyraźnie przypomniałem sobie zupełnie wszystko.

- Wiedziałem, że przyjdiesz. Kiedy nie znaleźli twojego ciała, nie wierzyłem, że jesteś martwy. Czekałem na ciebie - zaczął mówić, uśmiechając się jednocześnie.

Valer był politykiem, człowiekiem, który nie posmakuje sukcesu, dopóki komuś się tym nie pochwali. Miałem nadzieję, że będzie mi opowiadał jak najdłużej. Wciąż jednak nie rozumiałem, dlaczego jest tutaj również haurski Wielki Mistrz.

- Gnojki takie jak ty tak łatwo nie umierają. Przypuszczałem, że kiedyś przyjdiesz się zemścić i przygotowałem się na to.

- W ogóle nie rozumiem, o czym pan mówi. Chciałem się z panem spotkać, ponieważ jest pan jednym ze współników, a pozostali są martwi. Staliśmy się ofiarami spisku - udawałem naiwniaka.

Nienawidziłem go. Pragnąłem wyrwać mu język, oczy, rozdeptać jego czaszkę na małe kawałeczki. Tak małe, żeby nawet nie kłuły, kiedy się przejdzie po nich bosymi stopami. Starłem się walczyć ze swoimi wyobrażeniami, nie chciałem ponownie stać się zwierzęciem. Niezbyt mi się to jednak udawało.

Valer roześmiał się szczerze i wskazał kryształ na swojej bransolecie. Świecił na zielono.

- Aż do końca się starasz, prawda? - zasyczał. - Tylko że już cię przejrzałem. To jest rzecz, która cię zdradziła. - Potrząsnął bransoletą. - Moi nowi przyjaciele - pogardliwie popatrzył na Wielkiego Mistrza - nastawili kryształ na moją świadomość. Kiedy znajdę się w pobliżu człowieka, który mnie nienawidzi, zmienia kolor. Więc nie udawaj, że przyszedłeś do mnie jako do współnika.

Tym razem się nie śmiał, przyglądał mi się jak wąż żabie i upajał poczuciem zwycięstwa.

- Dowiedziałem się o tobie, gdy zabiłeś tego żołnierskiego agenta. Moi przyjaciele - kpiąco machnął w kierunku Wielkiego Mistrza - zahipnotyzowali go i włożyli mu w mózg blokadę psychiczną, która miała go zabić w momencie, kiedy chciałby mnie zdradzić. Wystraszyłeś go tak, że o tym zapomniał. A ja ostrzegąłem. Z niezadowolaniem się rozejrzał.

- Idę po coś do picia, na razie proszę go pilnować - przykazał Wielkiemu Mistrzowi i odszedł.

Czarownik poczekał, aż przebrzmia kroki Valera, i bez pytania zaczął tłumaczyć:

- Informacje, które panu przekażę, pochodzą z badań, które nasz klan ostatnimi czasy przeprowadził. Gubernator Valer ma wyjątkowe hobby, mam na myśli młodych chłopców. Dla człowieka na jego stanowisku nie było to aż tak finansowo trudne, ale paru już nieładnie skrzywdził i zatuszowanie tych godnych pożałowania incydentów kosztowało go cały majątek. Dlatego zaczął prowadzić interesy. Dwa lata temu z racji swojej funkcji dowiedział się o planowanym embargo na dostawy przypraw z Imperium. Stworzył własną flotyllę handlową i posłał ją na morze. Może słyszał pan o zatopieniu pięciu statków w Cieśninie Raackiej. Wszystkie statki aż po brzegi były wyładowane przyprawami. W tym czasie zastępowało się je złotem w stosunku jeden do dwóch. Był to dla niego ciężki cios finansowy. Z wielkim trudem spłacał długi, które mogłyby go wydać, w końcu został mu jedyny wielki wierzyciel. Pan Maletavil. Valer był mu winien siedemdziesiąt tysięcy złotych w imperialnej walucie. W czasie kiedy stracił statki, był już zainteresowany projektem Masnera. Zaoferował Maletavilowi swój udział jako równowartość długu. Ponieważ Maletavil znał starą historię Achrometa, zgodził się.

W rodzinie wciąż jest odpis dziennika, którego oryginał był w naszym archiwum. Zastrzegł sobie jednak, że chce zyskać kontrolę nad całym interesem, inaczej nie przyjmie takiej spłaty. Nawiasem mówiąc, Valer, a właściwie również i Masner mocno nie docenili znaczenia, jakie zyskałaby kolonia po swoim oficjalnym uznaniu. Zupełnie zniósłaby obecny handel zbożem, jej założyciele ulgami

podatkowymi podbiliby swoje zyski do nierealnych wysokości, a do tego zyskaliby niezależność od tutejszej biurokracji. Kluczową postacią w podstępym planie Valera miał być pan. Jego błędem było, że o wiele za długo, niż było to uzasadnione i rozumne, uważał pana za niezbyt inteligentnego najemnego żołnierza, który łatwo da się oszukać i przekupić. Kiedy stwierdził, że jest pan mądrzejszy, niż wygląda, zaczął się denerwować.

- Próbował mnie zamordować - przerwałem Wielkiemu Mistrzowi.

Skinął głową.

- Tak, to wzbudziło pana podejrzenia i spowodowało następne śledztwo. Ponieważ zabójstwo się nie udało, Valer zaatakował od innej strony i próbował zrujnować wasze fundusze finansowe. Jego atak na bank Guinyego był mistrzowską sztuczką. Tylko że nawet wtedy nie przystaliście na jego stosunkowo atrakcyjną propozycję odkupienia proporcjonalnej części całego interesu. Nie udało nam się stwierdzić, kto udzielił wam wsparcia.

Przynajmniej jedna dobra wiadomość, Lucy Lou była bezpieczna. Nie miałem jednak pojęcia, dlaczego Wielki Mistrz mówi mi to wszystko.

- Valer zdecydował się użyć siły. Skontaktował się z Kelemanem i chciał, żeby Keleman zabił pana i pana ludzi. W ten sposób uzyskałby dowództwo nad karawaną i cały interes byłby jego. Tylko że Keleman pracował jednocześnie również dla cesarza, który domagał się od niego demonstracyjnego zabicia wszystkich uczestników, żeby ewentualnym naśladowcom napędzić strachu.

- Atak zbrojny, a potem зараżenie węglikiem - wywnioskowałem na głos. - Nic z tego się nie udało i Valer kazał zabić Masnera.

Czarownik przytaknął.

- Zabójstwo prawnika spowodowało jego sprzeczkę z Maletavilem, który nie chciał, żeby w wojny handlowe wciągnięte były również jego kręgi towarzyskie. Odrzucił poprzedni sposób wyrównania długu i żądał czystej gotówki. Valer musiał zacząć szukać kogoś innego, komu mógłby zaproponować udział w interesie.

- I zwrócił się do człowieka, który mógł mu zaoferować najwięcej. Do crambijskiego cesarza - zrozumiałem. Wszystko nagle było jasne i logiczne. Chodziło o pieniądze i o władzę. Jak zawsze.

- Współpraca z cesarzem sprawiła, iż Valer zdobył dowody, że podczas leczenia węglikiem wykorzystaliśmy zakazane metody. Tym nas szantażuje. Z dowodami, które dostał od cesarza, bardzo łatwo dopadłby nas wszystkich na granicy - odpowiedział Wielki Mistrz na moje niewypowiedziane pytanie.

Na schodach rozległy się kroki.

- Ten kryształ naprawdę ostrzega go przed ludźmi, którzy go nienawidzą. Materiały obciążające nasz klan złożone są u prawnika Valera. W przypadku, kiedy zginie nagłą śmiercią, będą upublicznione. Jeśli tylko zaginie bez śladu, zgodnie z prawem dopiero po siedmiu latach zostanie uznany za martwego. To wszystko, co chciałem panu powiedzieć - zakończył Wielki Mistrz i na jego twarz powróciła obojętna mina.

- A co mi się przydarzyło wtedy w pokoju? - spytałem.

- To był gaz, który zrobił z ciebie kukłę - odpowiedział z tyłu Valer z wesołym grymasem.

W jednej ręce niósł doniczkę z jakąś rośliną, w drugiej koszyk z kilkoma butelkami wina i książkę.

- Przyniosłem sobie bambus. Powieszę cię zakutego w dyby, postawię go pod tobą i będę się przyglądał, jak przzerośnie przez ciebie na wylot. Według tej książki znajdę właściwe miejsce, żebyś żył aż do końca. Traktuj to jako małe wyrównanie za wszystkie krzywdy i nieprzyjemności, które mi wyrządziłeś - kontynuował. - Podobało mi się posłanie za tobą człowieka, którego już raz pokonałeś.

- Będzie mnie pan jeszcze potrzebował? - spytał Wielki Mistrz. - Oglądanie męczarni fizycznych nie wpływa na mnie dobrze. Jestem już stary.

- Pewnie, niech pan znika! - szepnął Valer. - Proszę mi tylko dać zbiornik z gazem, żebym mógł Koniasza przywiązać tak, jak potrzebuję!

Czarownik usłużnie podał mu gaz.

- Niech pan nie zapomina, że rano będą wypuszczać więźniów z górnego piętra, a pojutrze będą prowadzić skazańców na szafot.

- Wiem! Niech pan już, do cholery, znika! - zaklął Valer.

Nie było dla mnie jasne, po co Wielki Mistrz mu o tym przypomina.

- Żegnajcie, panowie. - Czarownik ukłonił nam się i odszedł.

Było mi wszystko jedno, czy umrę, a nawet jak umrę. Pragnąłem tylko jednej rzeczy: zabić tego plugawego faceta po drugiej stronie krat. Za każdą cenę. Intensywność mojej nienawiści sprawiła, że zielony blask kryształu oświetlił całe pomieszczenie.

Valer napił się wprost z butelki.

- No, to mi się podoba! - zachichotał. - Dla twojej informacji. Koloniści, którzy uciekli przez most, zginęli z głodu, ponieważ kazałem zniszczyć statki wiozące zboże. Dla cesarskiej floty to było proste zadanie - powiedział i prysnął na mnie gaz ze swojego rozpylacza. - To jest coś innego niż poprzednio. Omami cię, ale będziesz w stanie odczuwać ból - tłumaczył działanie swojej zabawki.

- Nie boisz się wejść do mnie do klatki? A co, jeśli mnie to nie omami! - drażniłem go.

Machnął ręką i otworzył następną butelkę wina. Doniczkę z bambusem przezornie odsunął na bok, żeby przez przypadek nie zdeptać.

- Nie wejdę do ciebie, dopóki ten kamień będzie miał zielony odcień. Ten kuglarz mnie ostrzegął. Może to podobno trwać dłuższy czas, zanim zadziała.

Spojrzenie mimowolnie skierowałem na łańcuchy, którymi byłem przywiązany do żerdzi. Mimo że w żaden sposób się z nimi nie szamotałem, wydawało się, że potężne oczka się zdeformowały. Musiały być z ołowiu albo podobnie miękkiego metalu. Stałem się częścią gry kogoś innego, ale nie przeszkadzało mi to. Byłem zdecydowany wykorzystać każdą szansę. Valer prysnął na mnie następną dawką gazu. Teraz już byłem pewien, że gaz również był oszustwem. Zostawał jednak magiczny klejnot.

Patrzyłem na Valera i sprawdzałem swoje uczucia do niego z każdej strony. Będzie mi się podobało, jak go zabiję? Będę odczuwał radość z jego bólu, cierpienia? Przez chwilę ponownie przeżywałem swoją agonię, umieranie w jaskini. Tam z nienawiścią i pragnieniem dręczenia innych zapoznałem się całkiem dobrze. Valer znów użył gazu. Usiadłem, na ile pozwalały mi pęta. Uważnie

obserwowałem zielony kryształ. Uświadomiłem sobie, że nic z tego nie przyniesie mi radości. Krystynie ani pozostałym ludziom nie wróci to życia. Z drugiej strony, kiedy Valer umrze, nie będzie mógł zabić lub kazać zabić kogoś innego. Każdy kiedyś zapłaci za swoje czyny. Nawet ja. Obserwowałem, jak gubernator niecierpliwie podskakuje i wpatruje się w kryształ. A ten już był prawie biały. Gaz prawdopodobnie działał.

Valer otworzył kratę i podszedł do mnie.

- Wstań! - polecił mi.

Posłuchałem. Trochę mgliście rozważałem, co zrobię. Jednym ruchem wykręciłem mu rękę na plecy, aż zgiął się z bólu.

- Co to? - wyrzucił z siebie ze zdziwieniem.

Naprawdę w tej chwili nie czułem do niego nienawiści, raczej współczucie z powodu tego, co będę musiał zrobić. Kryształ na bransolecie był przejrzysty.

- Niech pan się rozbierze - rozkazałem.

Wystarczyło wzmocnić chwyt i posłuchał. Doprowadziłem go aż do dziury, gdzie powinien siedzieć człowiek skazany na karę śmierci. Oczywiście była pusta. To, co powiedział na odchodnym Wielki Mistrz, nie było bez znaczenia.

Uderzyłem Valera grzbietem dłoni z lewej, potem z prawej i znów z lewej. Zanim zdążył przyjść do siebie, złamałem mu nos jednym prostym ciosem.

- Pan oszalał! - zaskomlał z przerażenia i starał się zatamować krew. Po kilku następnych ciosach dał sobie z tym spokój, były to bezcelowe starania. Ostatnim uderzeniem przetrąciłem mu szczękę i zrzuciłem go do dziury. Przyniosłem kubek z odchodami - klawisze za drobną zapłatą wynosili odchody nawet skazanych na śmierć - i wylałem na niego. Już w niczym nie przypominał eleganckiego gubernatora.

Kiedy ponownie zamykałem celę, jego protesty były już prawie niesłyszalne. Ubranie spaliłem w kominku. Jeśli przez przypadek ktoś go przyjdzie skontrolować, będzie głośno, choć może niezrozumiale, protestować. Klawisze w większości tego nie lubią, od swoich owieczek wymagają traktowania z szacunkiem. W nagrodę wyleją na niego parę następnych kubków gówna, a jeśli to go nie uspokoi, dostanie taki wycisk, w obliczu którego ten mój będzie tylko rundą rozgrzewkową. Spokojnie może się zdarzyć, że gubernatora zabiją jego własni ludzie.

Wszedłem na górne piętro, gdzie nie było żywej duszy, więźniowie spali. Nie chciałem ryzykować ucieczki z pałacu, więc zamknąłem się w klatce dla więźniów, którzy mieli być jutro zwolnieni.

Obudziły mnie krzyki oficera. Bez wielkich ceregieli wyrzucili nas z celi i wyprowadzili przez tylne wyjście. Znalazłem się na zewnątrz.

## Epilog

Rosetka i Harold zostali u Lucy Lou. Lubiła ich, wiedziałem, że dobrze się nimi zaopiekuje.

Wczesnie rano, żebym nie musiał się z nikim żegnać, wsiałem na konia i tylko z tym, czego potrzebuje samotny jeździec, skierowałem się do głównej bramy miasta. Fenidong było miejscem, które wiązało się ze zbyt wieloma wspomnieniami.

Na chwilę jeszcze zatrzymałem się na placu, prowadzili właśnie skazanego na śmierć. Niewyspany urzędnik ze znużeniem odczytywał wyrok. Mżyło i widać było tylko fasady najbliższych domów. Marny dzień na umieranie. Gubernator odmówił prawa łaski. Kat wprowadził mężczyznę na szubienicę i założył mu stryczek na szyję. Skazaniec wyglądał, jakby ostatnie dni jego życia nie były zbyt łatwe. Wzrokiem wciąż błądził z miejsca na miejsce, jakby nie mógł uwierzyć w to, co się dzieje. Tuż przed tym, zanim kat pociągnął za dźwignię otwierającą zapadnię, rozpoznał mnie. Kiwnąłem mu na pożegnanie i popędziłem konia. Usłyszałem skrzypienie drewna, szarpnięcie liny i trzask skręcane go karku. Przekroczyłem bramę, nie oglądając się do tyłu. Jechałem, wlokąc się noga za nogą, pozwoliłem gniadoszowi wybrać tempo i kierunek. Zimny poranek z czasem zmienił się w piękny listopadowy dzień, ale jeśli o mnie chodzi, spokojnie mogła szaleć śnieżna zadymka.

Jechałem dalej i patrzyłem, jaki cudowny jest świat. Po miesiącach opętania zabijaniem i nienawiścią było to trudne. Różnokolorowe korony drzew, zwierzęta przygotowujące się do zimy, ozdobione rosą pajęczyny, brązowe kapelusiki grzybów, natura układająca się do snu. Świat ciągle był tak samo piękny i ciekawy bez względu na to, jak marnie czuli się mieszkańcy albo dokładniej - jak marnie czułem się ja. Nigdzie się nie spieszyłem.

Powoli przejeżdżałem przez cywilizowane tereny państw Ligi Handlowej, od wieśniaków kupowałem jedzenie, spałem w opuszczonych stodołach albo szopach pasterzy. O ile się dało, unikałem ludzi. Wsłuchiwałem się w szum wiatru, szelest liści pod kopytami konia, bicie własnego serca. Wydawało mi się, że im jestem cichszy, tym bardziej mgliste i mniej niespokojne są moje myśli.

Pewnego ranka, mniej więcej po trzech tygodniach włóczęgi, stwierdziłem, że ktoś mnie śledzi. Zdradził to słup dymu z opuszczonego szałas, w którym spałem poprzedniego dnia, a potem spłoszone stada ptaków, kiedy ten ktoś szedł po moich śladach. Było mi wszystko jedno.

Krótko po południu dogoniło mnie trzech jeźdźców. Zatrzymałem się i czekałem. Ich konie były na granicy wyczerpania. Boki miały pokryte pianą, z nozdrzy wydobywała się para. Już z daleka rozpoznałem Umwald z Bryzoldem, trzeciego jeźdźca nigdy przedtem nie widziałem. Bryzold bardzo się zmienił. Był opalony, jak człowiek, który spędza dużo czasu na wolnym powietrzu, policzki miał osmagane wiatrem. Musiał ostatnimi czasy przeżyć parę ciężkich chwil, jednocześnie emanowało z niego wewnętrzne zadowolenie, że je przeżył.

- Kolonia działa! - wypalił zamiast powitania Umwald.

- Nie zrobimy jakiegoś małego pikniku przy drodze? Mam ze sobą świetny czerwony alibernet z kroczkich winnic. Sprzed dziewiętnastu lat - powiedział Bryzold i zrobił minę niewiniątka.

Alibernet rocznik 376, wino królów... Czarownik dobrze wiedział, że nie odmówię. Wzruszyłem ramionami i pokazałem na trawę. Umwald bez zachęcania zsiadł z konia i w okamgnieniu wyczarował na ziemi obrus pokryty samymi specjałami. Gdy tylko zjedliśmy pierwszy kęs i upiliśmy pierwszy łyk, wygrała niecierpliwość i z pełnymi ustami zaczął opowiadać:



- Kolonia istnieje! Tydzień temu przywieźli pierwszą dostawę zboża! Hatovu przebił się przez cesarską blokadę i przywiózł im następne zapasy. Zawierają kontrakty na następny rok! Oprócz tego zaczynają rozmowy z Ministerstwem Handlu, będą kupować statki do transportu! Rząd zobowiązał się zapewnić eskortę statków handlowych i chronić je przed piratami! - wyrzucał z siebie jedną nowość za drugą.

- Jak się panu wiedzie? - spytałem Bryzolda.

Sukcesy handlowe, o których mówił Umwald, niezbyt mnie interesowały, nie chciałem mieć z tym nic wspólnego. Ciekawiły mnie tylko losy ludzi.

Bryzold ułamał kawałek sera, zapił go winem. Nad nami zakrzyczał myszołów, na obrus skoczył zielony konik polny i spokojnie spacerował między butelkami wina, chlebem, masłem i serem. Czarownik bez pośpiechu zaczął opowiadać:

- Zima była ostra, ale przeżyliśmy. Początkowo musieliśmy walczyć z koczownikami zamieszkującymi równiny, potem zawarliśmy z nimi przymierze. Zbudowaliśmy domy, obsialiśmy pola. Urodziło się dwadzieścioro jeden dzieci, następne są w drodze. Może pan zapomniał, ale należy pan do udziałowców całego interesu. Ponadto chcielibyśmy panu, mam na myśli nas, pozostałych wspólników, zwrócić koszty, które podczas drogi wziął pan na siebie. I nie wolno mi zapominać, że po tym, kiedy dzięki panu wydała się oszukańcza gra Valera i zdrada stanu, zyskał pan zgodnie z fenidońskim prawem handlowym siedemdziesiąt procent udziałów. Musi pan wrócić do Fenidong i prawnie uporządkować sprawy związane z kolonią. Mam również panu przypomnieć, że posiada pan pewien przedmiot. Bardzo byśmy byli radzi, gdyby go nam pan oddał.

Zrobiłem grymas i podałem mu bransoletę z kryształem zabraną gubernatorowi.

- Nie muszę zupełnie nic, ale wasze problemy można bardzo łatwo rozwiązać. Dam tutaj swojemu przyjacielowi - mrugnąłem na Umwalda - pełnomocnictwo we wszystkich sprawach, o których pan mówił.

Trzeci mężczyzna, który na razie nie powiedział ani słowa, wyglądał na skonsternowanego. Bryzold z rozbawieniem zmrużył oczy.

- A zdaje pan sobie sprawę, że mówimy teraz o znacznym, a potencjalnie olbrzymim majątku? Że takie pełnomocnictwo to ogromna odpowiedzialność? Zwłaszcza dla tak młodego mężczyzny! - powiedział, ale nie wydawało się, że naprawdę tak myśli.

Nieznajomy na zmianę bladł i czerwieniał. Musiał być prawnikiem, ponieważ oni są zawsze nieprzytomni, kiedy mówi się o pieniądzach. Wzruszyłem ramionami.

- Umwald zdołał już zrobić więcej niż wielu mężczyzn przez całe życie. Ufam mu i jego umiejętnościom. Spiszemy to?

Wszystkie formalności trwały dwadzieścia minut, Bryzold posłużył nam za świadka. Podałem Umwaldowi rękę na pożegnanie.

- Może za parę lat się pojawię, więc dobrze opiekuj się moim majątkiem. A jako prowizję bierz sobie procent, jaki bierze się w Fenidong. I odwiedź dzieci. Oboje, nie tylko Rosetkę.

Zaczerwienił się zawstydzony i uściśnął mi prawicę. Nie miałem nastroju na dalsze rozmowy, chciałem być gdzieś daleko, daleko od nich.

- A Kowalski? Przeżył? - zapytałem Bryzolda, żeby jakoś skończyć.

Uśmiechnął się szeroko, porządnie napił się wina i zaczął opowiadać.

Po półgodzinie uświadomiłem sobie, że wciąż jeszcze nie siedzę w siodle, lecz na ziemi i chłonę każde słowo Bryzolda. Mówił o przejściu Kowalskiego przez kanion, o walkach, które stoczył z koczownikami, o konflikcie z niezyczliwymi ludźmi, którym nie podobała się jego miłość do dwóch kobiet, o domu, który zbudował, o słynnych wieczornych spotkaniach, na które zaprasza swoich przyjaciół, o tym, jak on sam, Bryzold, lubi Kowalskiego, i o planach, które chcieliby jeszcze razem zrealizować. Słuchałem i zazdrościłem, ale bez złych intencji. Życzyłem mu wszystkiego, co osiągnął.

- I żebym nie zapomniał, tuż przed moim wyjazdem urodził mu się syn - dodał Bryzold po dłuższym milczeniu.

Jeśli przed chwilą zazdrościłem Ledowi trochę, to nagle zacząłem mu zazdrościć bardzo. Kowalskiemu udało się na tym okrutnym świecie założyć rodzinę.

- A której z jego żon? - byłem ciekawy.

- Nataszy. Ale zachwycone nim są obie. Podniosłem się, sprawdziłem gniadoszowi popręg i wskoczyłem na siodło.

- Pozdrówcie ich wszystkich! Jak się nazywa ten chłopak? - zapytałem zamiast ukłonu na pożegnanie i już pędziłem konia do kłusa.

- Mówią na niego Kony, ale właściwie nazywa się Koniasz. Rezka była przeciwna, Kowalski jednak postawił na swoim - zawołał za mną Bryzold.

Odjeżdżałem z ustami otwartymi w niemym zdumieniu, niezdolny do wypowiedzenia słowa. Gdzieś daleko żyli ludzie, którzy na moją cześć nazwali swoje dziecko. Na cześć najemnego żołnierza, zabijaki, tajnego agenta, na cześć jednego z najokrutniejszych i najniebezpieczniejszych ludzi, jakich można spotkać na tym parszywym świecie. Niewiarygodne.

Przez całą resztę dnia uśmiechałem się głupkowato. Krótco przed zmrokiem natknąłem się na pusty szałas. Był przepełniony zapachem siana, na belce wisały dwa kawałki doskonale uwędzonej szynki. Zatrzymałem się tu na noc. Jedną szynkę sobie przywłaszczyłem, a zamiast niej na belce przybiłem złocisza. Przypadkiem (właściwie niezupełnie przypadkiem) wiozłem ze sobą bukłak dobrego czerwonego wina. Roznieciłem ogień, ukroiłem sobie porządny kawał szynki i napiłem się. Wszystko smakowało wspaniale.

Otworzyłem książkę, którą ponad rok wlokłem ze sobą w torbach przy siodle. Gdybym kiedykolwiek sobie o niej przypomniał, pewnie bym ją wyrzucił. Nosiła tytuł „O pochodzeniu gatunków”. Usnąłem dopiero późno w nocy i miałem przyjemny sen o słońcu, rozgrzanej trawie i innych rzeczach, których rano nie mogłem sobie przypomnieć. Po lekkim śniadaniu spakowałem rzeczy, książkę schowałem do torby i wyruszyłem na szlak. Miałem nadzieję, że będzie długi, i cieszyłem się na myśl o wszystkich rzeczach, które na nim spotkam.

# Table of Contents

[Wszystko](#)